

KRWAWY
K R A G

JEROME
DELAFOSSÉ KRWAWE
K R A G
Przełożyła Barbara Krupa
PWos2yńsl<i i **S-ka**

Tytuł oryginału LE CERCLE DE SANG
Copyright © Editions Robert Laffont, Paris, 2006
Projekt okładki Jérôme Delafosse
Redakcja Magdalena Koziej
Redakcja techniczna Anna Troszczyńska
Korekta
Bronisława Dziedzic-Wesołowska
Łamanie Ewa Wójcik
ISBN 978-83-7469-466-7
Wydawca Prószyński i S-ka SA 02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7 www.proszynski.pl
Druk i oprawa Drukarnia Naukowo-Techniczna Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA 03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Wstęp

-Clémence...

Noc. Szepty, stłumione, zmieszane ze szlochem krzyki odbijają się od ścian korytarzy, wdzierają do pokoju Juliana.

- Clémence, moja księżniczko...

Julien kuli się w łóżku, ukrywa twarz w poduszce. To mama... Znowu zaczyna...

Tata łagodnie do niej przemawia:

- Moja droga, Clémence odeszła. Już nie wróci.

- Czuję... jej obecność... jest tam... na dworze... Rozpacзлиwa skarga przedziera się przez delikatną osłonę z pierza i wnika do świadomości Juliana.

- Mamo... błagam cię... tygrys... usłysz nas. Zaraz nas znajdzie... Znosi się rozpaczliwym szlochem.

Cisza.

- Clémence? Chodź... tutaj jestem, mój skarbie...

- Opanuj się, Isabelle, twoja córka nie żyje!

- Nieeee... To nieprawda... Kłamiesz, łajdaku...

- Skończ z tym. Męczysz siebie i nas. Chodź tu do mnie, przytul się...

- Nie dotykaj mnie!

- Daj spokój! Obudzisz małego...

Julien nie może już dłużej znieść mroku, który zdaje się pograżać go w coraz straszniejszej otchłani. Wymyka się z pokoju, wychodzi na korytarz.

Za oknem słyhać trzask kołysanych wiatrem gałęzi. W pobliżu czai się bestia. Jest zupełnie blisko. Julien czuje, że powróciła.

Strach ściska mu serce. Czuje ciepły oddech na karku, w mroku słyszy przytłumione, posuwiste kroki.

- Mamo, on wraca. Dopadnie nas wszystkich... ratuj nas... ratuj mnie... boję się...

7

U podnóża schodów widzi snujące się po ścianach cienie. Tata ściska w swoich dłoniach ręce mamy, która wrywa się, płacze, błaga go:

- Słuchaj... ależ słuchaj! Ona tam jest... na dworze... Nie słyszysz jej?

- To tylko wiatr. Mocno wieje od wieczora...

- Chcesz, żebym ją zostawiła samiotką na zimnie, w ciemności... Jesteś łajdakiem, łajdakiem, łajdakiem...

Julien cicho schodzi schodami do salonu. Mama wrywa się, biegnie do drzwi prowadzących do ogrodu, chwyta za klamkę.

- Isabelle, nie! Obudzisz całą dzielnicę! Tata jest wściekły.

Julienowi zbiera się na płacz, ma ochotę wrzeszczeć. Chce zawołać matkę, ostrzec ją. Z gardła wydostaje się tylko charczenie. Matka odwraca głowę, przygląda mu się przez chwilę. Ma smutne, udręczone oczy.

Drzwi otwierają się w gwałtownym podmuchu. Szyby pękają z brzękiem. Słychać wystrzał. Wrywa on z gardła mamy fragmenty ciała i kości. Matka wyciąga rękę, próbując chwycić za firankę, ale jej wstrząsane drgawkami ciało osuwa się bezwładnie na ziemię. Ciemne włosy mieszają się z czerwoną, wypływającą z ust pianą.

Tata podbiega do uciekającego Juliana.

Chwyta go, traci równowagę.

Drugi wystrzał rozrywa tacie czaszkę. Pada. Jego twarz staje się bladą woskową maską.

Julien leży na ziemi ze stopami unieruchomionymi w zaciśniętych, martwych dłoniach ojca. Spogląda na otwarte drzwi, za którymi jest ciemność.

Czuje w niej czyjaś obecność.

Sapanie staje się głośniejsze. W głębi dziecięcej świadomości rozbrzmiewa niepokojący tupot kroków. Owej grudniowej nocy Tygrys powrócił.

Hammerfest, Norwegia 6 marca 2002

Oślepił go gwałtowny błysk światła. Pochyliła się nad nim jakaś skryta w cieniu twarz. Ludzkie głosy, niewiadomego pochodzenia, plątały się po zakamarkach powracającej świadomości. Tłukąc się po głowie, rozdrabniały się na tysiące kryształowych cząstek, przechodząc w łagodne szepty. Ponownie zamknął oczy.

- Nathanie, słyszy mnie pan?

Pod powiekami eksplodował błysk, rozlał się strumieniami, wypełniając całe ciało. Chciało mu się wrzeszczeć, lecz jakaś niewidzialna ręka zaciskała mu płuca. Znowu pogrążył się w nieświadomości.

- Nathanie, niech pan z nami zostanie... Tlen!

Szarpiący ból przywrócił go do przytomności. Dotyk pościeli na skórze palił niby trucizna. Serce łomotało w piersi jak oszalałe. Każde uchylenie powiek powodowało, że pazurki białego światła rozdrapywały oczy. Dostrzegał jedynie płonące obrazy. Spróbował odwrócić głowę, ale dwie twarde jak kamień ręce zacisnęły mu się na szczęce...

- Proszę się nie ruszać i leżeć spokojnie, jest pan ciężko ranny...

Był kłębką czystego cierpienia. Owładnięty panicznym strachem, wciągnął w płuca łyk życiodajnego powietrza. Uświadomił sobie istnienie własnego ciała. Potem, nieoczekiwanie, jego ciało uniosło się i wyprężyło niczym klinga na granicy pęknięcia. Jeden tylko raz. I znowu pogrążył się w otchłani, czarnym i lodowatym oceanie.

Myślał, że umiera.

Wypłynął na powierzchnię znacznie później, po dniu, po roku, po godzinie. Jego świat, mający kształt okręgu, kolejno poszerzającego się i zwężającego, był wypełniony wrażeniami. Metaliczny stukot noszy, białe fartuchy, czyste, aseptyczne ściany, obrazy przesuwające się na wysokości oczu.

Czuł się tak, jakby był ciekłą substancją, płynną, rozlewającą się pianą, by po paru chwilach stać się drobnutkim gwiazdnym pyłem, ulatniającym się w tchnieniu zapomnienia.

Parokrotnie przenoszono go z jednej sali do innej. Jakieś mgliste sylwetki ciągle pochylały się nad nim, badały go. W rękach trzymały wielkie płyty bladej i wilgotnej tkaniny, przypominające strzępy skóry.

W regularnych odstępach czasu pojawiała się ciągle ta sama postać, którą identyfikował jako jasnowłosą kobietę. Za każdym razem powtarzała te same dźwięki, które stopniowo przekształcały się w słowa: „Wypadek”... „Nathan”... Inna postać, milcząca i masywna, pozostająca przy nim i obserwująca go przez długie chwile, była bez wątpienia mężczyzną. Nathan nie zdawał sobie sprawy, czy należała do świata żywych, czy do świata duchów pojawiających się w okresach nieświadomości.

Po upływie pewnego czasu powoli zaczął przyjmować płyny. Początkowo każdy łyk powodował wrażenie, jakby miał usta pełne zasypującego mu gardło piasku. Miał ochotę wypluć język, zwrócić wnętrzności, ale krzepiło go poczucie, że żyje.

Kurczowo uchwycił się życia.

I powracał do niego.

Pewnego ranka nieoczekiwanie nastąpiła gwałtowna poprawa. Po prostu jednym susem przeniósł się do świata żywych. Otworzył oczy i przez chwilę pozostał nieruchomy, obserwując kilka promieni światła sączącego się przez zasłony, które tańczyły na białym suficie.

Rozejrzał się wokół... Gdzież to on się znajdował?

Przesunął wzrokiem po swoim ciele. Dostrzegł lekko napinające się od czasu do czasu mięśnie. Jedne po drugich, zupełnie jak pod wpływem elektrycznych impulsów. Bezskutecznie usiłując poruszyć ręką, zrozumiał, że jest mocno skrępowany pasami. Chciał głęboko nabrać powietrza, lecz klatkę piersiową miał również spiętą pasem i unieruchomioną.

Postanowił leżeć spokojnie i przeanalizować na zimno sytuację.

Jego ciało, ubrane w niebieską szpitalną bluzę, leżało na chromowanym łóżku. Od lewej ręki odchodziła kroplówka, połączona przezroczystą rurką z zestawem strzykawek, właczających do żył leki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; małe szczypczyki w kształcie sześcianu, podłączone do ukazującego rzędy cyfr monitora, obejmowały wskazujący palec prawej ręki. Nieznacznie uniósł głowę i starając się przeszyć wzrokiem ciemność, obrzucił spojrzeniem salę, od prawej strony do lewej. Zwoje przewodów, szmaragdowo połyskujące monitory, aparatura mierząca rytm serca i aktywność mózgu.

Oto co łączyło go ze światem żywych.

Zza przegrody z matowego szkła dochodziły przytłumione szmery głosów...

Drzwi sali otworzyły się, skrzypiąc. To jasnowłosa kobieta. Nie pamiętał jej rysów, lecz rozpoznał sylwetkę.

- Dzień dobry, Nathanie. Jestem Lisa Larsen, ordynator oddziału neuropsychiatrii tutejszego szpitala. Wraz z całym zespołem kolegów zajmuję się panem od dwóch tygodni, odkąd został pan do nas przetransportowany na pokładzie helikoptera. Sygnał alarmowy oznajmił mi, że się pan przebudził.

Mówiła po angielsku i doskonale ją rozumiał. Obserwował, jak się porusza. Po raz pierwszy siatkówki jego oczu przekazywały i zachowywały obrazy. Zrobiła kilka kroków. Jej twarz pozostawała w cieniu. Potem powoli odwróciła się do niego. Miała smukłe i gibkie ciało, białe ręce, delikatną, trochę kościstą twarz, duże oczy, których barwy Nathan nie był w stanie dojrzeć. Zbliżając się do niego, spytała, czy wie, z jakiego powodu znajduje się w szpitalu. Nie odpowiedział, a jego oczy o pytającym spojrzeniu wypełniły się łzami. Powiedziała, że to nic poważnego, że teraz już wszystko będzie dobrze. Podeszła jeszcze bliżej i grzbietem dłoni wytarła mu wilgotne policzki.

- Pasy, to dla pańskiego bezpieczeństwa. Miał pan kilka ostrych ataków. Teraz pana uwolnię. Zdejmiemy też kroplówki. Ale musi być pan posłuszny...

Zwracała się do niego spokojnym tonem, powiedziała, żeby spróbował leżeć nieruchomo i kolejno, jeden po drugim, rozpinając go skórzane rzemienie. Spytała, czy go boli, powiedziała, żeby przymknął oczy, jeśli „tak”. Nie uczynił tego. Kiedy poinformowała, że znajduje się w szpitalu w Hammerfest, na północnym krańcu Norwegii, chciał wstać, ale wytłumaczyła mu, że na to będzie musiał jeszcze poczekać.

Po raz pierwszy spróbował wrócić myślami do przeszłości, drażyć w pamięci. Przy każdej jednak próbie, mimo że wysiłał umysł, wspomnienia zawisały w próżni. Koniecznie potrzebował wyjaśnień. Nie, to byłoby zbyt bolesne. Uczepił się słów, które go kołysały do snu.

Wypadek... Nathan...

W sylabach tych nie znajdował żadnego sensu. Co ta lekarka chciała powiedzieć? Czy było to jego nazwisko? Niczego nie pamiętał. Jakby jego odrętwiała dusza wychodziła z tysiącletniego snu. Na darmo drażył, przeszukiwał pamięć, nic absolutnie w niej nie odkrył. Ponownie obezwładnił go strach, nogi zadygotały pod wpływem skurczów, z gardła wydarło się dziwne rzężenie. Kobieta przemawiała łagodnym głosem. Jej oddech oddziaływał jak uspokajające tchnienie. Ledwie poczuł igłę wkłuwającą się w ramię, płyn rozchodzący się pod skórą, we włóknach mięśni, w umyśle. Potem przyłożyła mu dłoń do czoła. Doznał natychmiastowego ukojenia. Lisa Larsen podeszła do okna i podniosła roletę. Rozproszone światło zalało cały pokój.

- Przebadalam pana bardzo dokładnie i, pod względem fizycznym, jestem raczej zadowolona ze stanu pańskiego zdrowia. Biorąc pod uwagę okoliczności wypadku, można powiedzieć, że cudem pan

ocalał. Z punktu widzenia ściśle neurologicznego pański mózg funkcjonuje prawidłowo. Jednakże dostrzegam w pańskim zachowaniu pewne zaburzenia, które należy poddać obserwacji. Niepokoi mnie to, że przez cały czas pobytu w szpitalu nie wypowiedział pan ani jednego słowa. Pańskie objawy wskazują na konkretny przypadek kliniczny. Zanim jednak wypowiem się na ten temat, chciałabym wyjaśnić z panem niektóre kwestie.

Lisa Larsen przerwała i głęboko odetchnęła.

- Kiedy przychodziłam do pana w ciągu ostatnich dni, wydawało mi się, że porozumiewał się pan ze mną za pomocą różnych znaków. Czy może pan potwierdzić, że pan słyszy i rozumie to, co do pana teraz mówię?

- Rozumiem każde słowo, które pani wypowiada.

W tym samym momencie, w którym ostre i chropawe sylaby wydostały się z jego ust, Nathan dostrzegł prześliczny uśmiech rozjaśniający twarz jego anioła stróża. Teraz widział również oczy: przejrzyste i jasne, niczym dwa cudowne opale.

- Wspaniale, Nathanie - powiedziała Lisa. - Może mi pan powiedzieć, czy przypomina pan sobie okoliczności wypadku?

Słowa te wywołały w nim kolejną falę strachu. Lodowaty pot oblał mu całe ciało, ale udało mu się wymamrotać:

- Ja... ja nic... nie pamiętam... Żadnego wypadku... moja pamięć...

- Proszę się uspokoić, Nathanie, wszystko w porządku, jestem tu, by panu pomóc. Na pewno nic pan nie pamięta? Żadnych obrazów, spraw niezwiązanych z wypadkiem, dotyczących wcześniejszego okresu? Jakież reminiscencje z dzieciństwa, odnoszące się do rodziny?...

- Nic, pani doktor... jedynym moim wspomnieniem jest pani... Co się ze mną stało? Nie wiem nawet, kim jestem...

- Nazywa się pan Falh, Nathan Falh. Uległ pan wypadkowi w czasie podmorskiego nurkowania na Arktyce, w rejonie odległym od naszego szpitala o pięć godzin lotu helikopterem - oznajmiła spokojnie Lisa.

- Jak... co się stało?

- Przebywał pan na pokładzie „Pole Explorera”, lodołamacza czarterowanego przez zatrudniające pana przedsiębiorstwo robót podmorskich o nazwie Hydra. Celem ekspedycji było odzyskanie niebezpiecznych odpadów, zapasów kadmu, z ładowni wraku uwięzionego w górze lodowej, na głębokości dwudziestu siedmiu metrów. Zgodnie z tym, co opowiedział mi de Wilde, lekarz okrętowy, który był cały

czas przy panu w czasie transportu sanitarnego, prawdopodobnie nieprzewidziana fala ciepła przetoczyła się nad rejonem, w którym się znajdowaliście, co doprowadziło do poważnego osłabienia struktury ławicy lodowej pływającej po morzu. Szef misji zignorował niebezpieczeństwo. Góra lodowa zamknęła się na wraku niczym szczęki. A pan w tym czasie był wewnątrz niego. Jeden z członków załogi wydostał pana stamtąd w ostatniej chwili.

- Dlaczego wylądowałem w tym szpitalu?

- Każda arktyczna wyprawa naukowa lub wojskowa potrzebuje naziemnej opieki lekarskiej. W razie niebezpiecznego wypadku ofiary są natychmiast przetransportowywane drogą powietrzną do najbliższego szpitala, z którym wcześniej organizator zawarł porozumienie. My mieliśmy takie uzgodnienia z przedsiębiorstwem, w którym pan pracuje.

Hydra, Arktyka, kadm... jak mógł nie pamiętać takich rzeczy?

Lekarka usiadła koło niego i otworzyła teczkę zawierającą plik kartek i niedużą stertę fotografii wielkości kart do gry. Nathan wpatrywał się w jej jasne oczy, przyglądał się bladej skórze usianej piegami.

- Zrobię z panem krótki test. Na zadane pytania proszę odpowiadać bez zastanowienia.

- Jestem gotów.

- Będę wymieniała nazwy państw, a pan będzie mi podawał ich stolice. Dobrze?

- W porządku. Zaczynamy!

- Francja?

- Paryż.

- Anglia?

- Londyn.

- Chiny?

- Pekin.

- Norwegia?

- Oslo.

- Bardzo dobrze. A teraz, czy może mi pan powiedzieć, kto jest obecnym prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- George W. Bush.

- Egiptu?

- Hosni Mubarak.

- Francji?

- Jacques Chirac.

- Rosji?

16

- Putin. Władimir Putin.
- Wspaniale. Teraz pokażę panu serię fotografii znanych w świecie osobistości, które powinien pan rozpoznać.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało twarz mężczyzny. Grube ciemne włosy, gęste wąsy.

- Stalin.

Drugie kobietę o surowych rysach, siwiejących włosach zebranych w kok.

- Golda Meir.

Następnym był uśmiechnięty mężczyzna o wydatnej szczęce i srebrnych włosach.

- Bill Clinton.

Nathan rozpoznał jeszcze Elizabeth Taylor ucharakteryzowaną na Kleopatę, Alfreda Hitchcocka, Yassera Arafata, Gandhiego, Fidela Castro, Paula McCartneya i Pabla Picasso.

- Dobrze, myślę, że z tym już koniec. Nie popełnił pan żadnego błędu.

Lisa Larsen podniosła się, zrobiła kilka notatek. Kiedy zwróciła się ku niemu, diagnoza z jej ust spadła niczym nóż gilotyny:

- Z pewnością konieczne będą jeszcze dodatkowe badania, lecz uważam, że cierpi pan na formę amnezji osobowości nazywanej wsteczną, o podłożu psychogennym, a nie neurologicznym. Niemożność przypomnienia sobie swego nazwiska i faktów związanych z własną przeszłością jest wyraźnym objawem tak zwanego syndromu podróżnika bez bagażu.

Lisa podeszła i wzięła go za rękę. Nathan wydawał się przyjmować spadające na niego ciosy bez najmniejszego wrażenia.

- Mówiąc o uszkodzeniu mózgu - ciągnęła - mam na myśli uszkodzenie fizyczne, zaburzenia są wówczas rozleglejsze i bardziej chaotyczne. Nie byłby pan w stanie przypomnieć sobie zdarzeń zaistniałych od momentu odzyskania świadomości. Taki rodzaj amnezji nazywa się następczą. Jednak nie wydaje się, aby o nią chodziło w pańskim wypadku. Pańska pamięć semantyczna, to znaczy ta, która zawiera cały bagaż kulturalny, zostałaaby również poważnie uszkodzona lub nawet utraciłby pan ją całkowicie. Byłby pan podobny do komputera wychodzącego prosto z fabryki.

Maszyną nieposiadającą żadnych danych. Na szczęście wyniki testu dowodzą, że tak nie jest.

- Ile czasu pozostanę w tym stanie?

- W tej kwestii nie mogę się wypowiadać. Musi jednak pan wiedzieć, że pańska pamięć epizodyczna, mówię tu o pamięci autobiograficznej, tej, która zawiera zdarzenia z pańskiej przeszłości, a więc

pańska pamięć epizodyczna prawdopodobnie nie została utracona. Wspomnienia nie zostały na zawsze zatarte. Skryły się gdzieś, odrętwiały jak źle ukrwiona kończyna. Tego rodzaju przypadłość jest stosunkowo łatwa do zdiagnozowania na podstawie oznak klinicznych, jednak zrozumienie jej mechanizmów psychopatologicznych jest niezwykle trudne. Właściwie nie znam odpowiedzi na pańskie pytanie. Ten stan może się cofnąć równie dobrze za godzinę jak i za dziesięć lat.

Sytuacja wydawała się Nathanowi niemal nierealna. Zupełnie jakby ta kobieta zwracała się do kogoś innego.

- Musi istnieć sposób, żeby mnie wyleczyć. Powodując jakiś wstrząs, coś w tym rodzaju, już sam nie wiem?

- Przypadki amnezji są stosunkowo rzadkie i niestety mam niewielkie doświadczenie w tej dziedzinie. Wiem jednak, że w ostatnim dwudziestolecu zostało opracowanych kilka rodzajów terapii. Lekarze i pacjenci stworzyli stowarzyszenia, których celem jest wprowadzenie specjalistycznych kursów metod leczenia zaburzeń nazywanych w naszym żargonie osobowością mnogą lub rozdwojeniem osobowości. Metoda psychoanalityczna wypierana jest przez hipnozę. Zasadniczą regułą, tak jak pan sam to zasugerował, jest ponowne wywołanie szoku psychicznego. Zdaniem specjalistów szanse wyleczenia są bardzo duże, lecz niestety terapia jest długotrwała.

- Jak długa?

- Średnio sześć lat... Skieruję pana do jednej z takich grup w Paryżu. Tam, gdzie pan mieszka.

W taki sam sposób mogła równie dobrze oznajmić mu koniec świata. Nathan pozostał nieporuszony. Poprosił tylko:

- Chciałbym porozmawiać z kimś z rodziny.

- Na to jest jeszcze zbyt wcześnie. Nie wiadomo, jaka byłaby reakcja na taką konfrontację. Uraz głowy, którego pan doznał, napędził nam sporo strachu. W związku z tym im mniej wstrząsów pan odniesie, tym lepiej będzie się pan czuł.

- Ale...

- Proszę mi zaufać. Wiem, co jest dla pana dobre.

- Kiedy będę mógł spojrzeć w lustro?

- Nawet natychmiast, jeśli takie jest pańskie życzenie. Właściwie oczekiwałam tego pytania. Proszę pójść za mną.

Lekarka zaprowadziła go do łazienki.

Nathan stanął sam przed lustrem umieszczonym nad umywalką. Z zarysów łazienki stopniowo wyodrębniły się nieznane, zaokrąglone linie, które po chwili ukonkretniły się w owalu lustra.

Miał około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu. Mocne, silnie umięśnione ciało, szerokie ramiona, długie, szczupłe ręce z nabrzmiętymi żyłami. Ślady po wypadku uwydatniały sieć żyłek na skórze. W okolicach miednicy rozciągał się żółtawy, szeroki siniak. Drugi, podłużny, ciemnofioletowy, umiejscowiony był na klatce piersiowej. Z trudem przyglądał się swojemu odbiciu. Przybliżył się, by dostrzec szczegóły...

Duże migdałowe oczy, podkreślone długimi rzęsami i szerokie, ciemne, mocno zarysowane brwi. Tęczówki, o dziwnej barwie miodu, usiane jaśniejszymi punkcikami, niczym zatopionymi w ich głębi miniaturowymi ziarnkami złota, nadawały spojrzeniu szczególny blask. Skóra... skóra była matowa, nos orli. Oczy prześlizgnęły się po gładkich łukach. Od spuchniętych ust odchodziła ukośnie dawna, zbieleła blizna, sięgająca środka prawego policzka, nadając twarzy wyraz lekkiego grymasu. Czarne włosy były bardzo krótko przycięte. Prawdopodobnie standardowe strzyżenie na oddziale neurologicznym.

Stopniowo rysy zespoliły się w jednolity obraz. Twarz... Jego twarz była obrobioną, nieruchomą maską, po której spływały dwie ciepławe łzy, odbicie czegoś nieznanego, od czego zakręciło mu się w głowie. Pocztał, że spada w przepaść. Lisa Larsen uchwyciła go za ramiona.

To wszystko było bez znaczenia, stał się nikim.

Owego ranka Nathan po raz pierwszy oddalił się od jedynej drogi, wytyczonej przez zmarzlinę, i zapuścił w głęboki śnieg, poddając pierwszej próbie swoje ciało i oddech. Od czasu do czasu odwracał się do tyłu, by spojrzeć na ślady, które zostawiał na grubej, sypkiej pokrywie, niczym jedyne świadectwo swego istnienia. Chociaż czuł się lepiej, częściowo dzięki doktor Larsen, która regularnie składała mu wizyty w wiecznym mroku tej Dalekiej Północy, w dalszym ciągu na swój temat wiedział niewiele.

Personalia: Nathan, Paul, Marie Falh, urodzony 2.09.1969. Zawód: nurek. Stały adres: 6 *bis*, Rue Campagne-Première, 75014 Paryż, Francja. Domniemanie przyjęte przez psychiatrę: był ofiarą tego, co Freud nazywał wyparciem. Brak informacji na temat osobistych przeżyć lub okoliczności poprzedzających obecny stan sprawiał, że jego przyczyny były niejasne i niezrozumiałe. Czynnikiem, który go spowodował, był bez wątpienia przeżyty uraz psychiczny, lecz źródło problemu tkwiło w samym Nathanie, przyczajone gdzieś w zakamarkach umysłu. Tylko on sam mógł zaradzić cierpieniu, które go dosięgło.

Bardzo prędko przekazano Nathanowi kopie dokumentów dotyczących wypadku. Wszystko tam było, wypisane małym szarawym drukiem na kartach informacyjnych, wypełnionych przez lekarza Hydry, gdy przyjmowano go do szpitala. Mając nadzieję, że wywoła w sobie jakąś reakcję, Nathan wielokrotnie powracał do relacji z zaistniałych wydarzeń: czytał o tym, jak partner wyciągnął go ze stalowej i lodowej pułapki, jak umieszczono go w komorze hiperbarycznej, jakie leki wstrzyknięto mu w czasie transportu helikopterem sanitarnym. Na próżno. Te informacje nie obudziły w nim żadnych wspomnień.

Z rzeczy osobistych posiadał jedynie torbę podróżną z żeglarskiego płótna, ubrania codzienne, odzież polarną i neseser z przyborami

toaletowymi. W małym plecaczku znalazł paszport, książeczkę szczepień, komplet kluczy, mały cyfrowy aparat fotograficzny, na którego karcie nie było żadnego zdjęcia, oraz portfel z francuskim prawem jazdy i dwiema kartami kredytowymi: Visa Premier z francuskiego banku, do której nie znał PIN-u oraz American Express Gold, wydaną w Wielkiej Brytanii. Lisa Larsen powiedziała mu, że z tej drugiej będzie mógł korzystać, bo wystarczy sam podpis. Miał jeszcze pięć tysięcy euro w gotówce. Wszystkie ślady z przeszłości uparcie milczały.

Nathan przystanął w miejscu, zmęczony wędrówką. Daleko z tyłu, na horyzoncie, rysowały się budynki szpitalne, niczym statki widma uwięzione w pływającej po morzu lodowej ławicy. Tylko ciemna linia roślinności wskazywała na istnienie lądu, stałej ziemi ukrytej pod oszronioną powłoką. Odzyskiwał siły. Palenie lodowatego powietrza w płucach, ból rozchodzący się po zmęczonych mięśniach stanowiły oznaki powrotu do życia, ale wciąż nie mógł pozbyć się głębokiego niepokoju, który w nim narastał od powrotu do świadomości. Początkowo były to jakby gwałtowne wyładowania, rozpryskujące się w jego wnętrzu, podobne do krótkich ataków paranoi... W miarę upływu czasu i po rozmowach z Lisą sądził, że to uczucie zniknęło.

A jednak powracało. Niepokój wzrastał.

W innej postaci, mniej gwałtowny, ale nieustępliwy. Teraz był to przeszywający strach, którego źródła Nathan nie potrafił zidentyfikować.

Zapadała noc. Potężny podmuch arktycznego wichru podniósł tumany śniegu.

Nathan mocniej związał tasemki kaptura, żeby szczelniej osłonić się przed chłuszczącą mu twarz zawieją, i postanowił powrócić do swojej sali na oddziale neuropsychiatrycznym.

Za automatycznymi drzwiami rozciągał się pusty hol. Nathan skierował się do windy, potem zawrócił. Czarna, gorąca kawa dobrze by mu zrobiła. Przeciął hol i wszedł do kafeterii, gdzie złożył zamówienie u młodego pracownika wycierającego podłogę.

Zaciskając dłonie na kubku, przeszedł przez pustą salę. Kremowa terakota, stoliki z metalu i drewna. Jedynie jakiś olbrzym w zielonej bluzie, którego twarzy nie mógł dostrzec, siedział, czytając, naprzeciwko oszklonych drzwi. Usiadł przy sąsiednim stoliku i przełknął pierwszy łyk gorzkiego napoju, który natychmiast go rozgrzał.

Podczas gdy jego wzrok błędził ponad zaparowaną szybą, z tyłu dobiegł łagodny, lecz stanowczy głos.

/

- Wygląda na to, że się pan wygrzebał. Niezmiernie mnie to cieszy. Nathan spojrział na olbrzyma, który zwrócił się do niego w nienagannej francuszczyźnie.

- Słucham?

- Bardzo się cieszę, że pan sobie z tym wszystkim poradził, młody człowieku. Był pan w kiepskim stanie.

Nathan nie odpowiedział. Obserwował twarz swego rozmówcy: była to pospolita, kwadratowa, grubo ciosana facjata, cała w zmarszczkach. Krótkie, szpakowate włosy. Małe, głęboko osadzone, podkrążone oczy.

- Moja twarz nic panu nie mówi? - odezwał się nieznajomy z dziwnym uśmiechem na ustach.

Zarys masywnej postaci przez moment wydał się Nathanowi znajomy. Odepchnął tę myśl. Nie, jedynym mężczyzną, którego spotkał po przebudzeniu, był dyżurny pielęgniarz z drugiego piętra. Tego faceta nie znał.

- Kim pan jest? Skąd pan wie, co się ze mną dzieje?

W spojrzeniu olbrzyma tańczyła jakaś iskierka, podobna do czarnego płomyka. Nathan miał wrażenie, że już kiedyś spotkał tego człowieka, że go znał. Nie, to niemożliwe, to uczucie było prawdopodobnie związane z rozpaczliwą potrzebą uczenia się czegośkolwiek.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli zachowałem się niezręcznie. Pozwoli pan, że się przedstawię. Doktor Erick Stroem. Jestem psychiatrą. Byłem członkiem zespołu zajmującego się panem, podczas gdy leżał pan w śpiączce. Bardzo się o pana niepokoiśmy.

Dziwny przebłysk się ulotnił, ustępując miejsca życzliwości lekarza przyzwyczajonego do obcowania z cierpiącymi ludźmi. Nathan zdał sobie sprawę z własnego nietaktu.

- Proszę mi wybaczyć - wykrztusił. - Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co pan i pańscy koledzy dla mnie zrobili. Bez waszej pomocy prawdopodobnie nie wyszedłbym z tego.

- Jest pan bardzo silny, Nathanie. Wyzdrowienie może pan zawdzięczać wyłącznie sobie samemu.

- Jest pan pierwszą osobą, z której ust słyszę język francuski w czasie mojego pobytu w szpitalu - odezwał się Nathan po chwili milczenia. - Pańskie nazwisko nie wydaje się...

- Nie jestem Francuzem, ale w latach młodości miałem szczęście podróżować.

- I lubi pan ten kraj? Przecież to koniec świata.

- Lubię przede wszystkim swój zawód, a poza tym zupełnie niedawno tu przyjechałem. To wspaniałe miejsce, niezmiernie spokojne. Słowem, odpowiadając na pańskie pytanie, tak, świetnie się tu czuję.

22

Mam natomiast wrażenie, że pan wprost przeciwnie. Czy wszystko w porządku? Wydaje się pan trochę zagubiony...

- Nie wiem, czy...

Nathan wahał się, czy mówić otwarcie z tym nieznajomym. Nagle jednak zrozumiał to wrażenie déjà vu. Przypomniał sobie... Kiedy powoli wybudzał się ze śpiączki, ten człowiek przychodził do niego, siedział przy jego łóżku, nie tak często jak Larsen... ależ tak, to był na pewno on. Ta milcząca sylwetka... to był Stroem.

- Zaczynam przypominać sobie obrazy... Pan... pan przy mnie czuwał, prawda? Pan siedział, milcząc, przy moim łóżku.

- Wydawało się, że jest pan daleko, bardzo daleko, ale byłem pewien, że czuje pan moją obecność, Nathanie. Cieszę się, że się nie pomyliłem.

- To mgliste wspomnienie... Teraz nie umiałbym powiedzieć, czy był pan częścią realnego świata, czy mojego majaczenia. Ja... Zdaje się, że doktor Larsen nie ocenia zbyt optymistycznie moich szans na szybkie odzyskanie pamięci i przyznaję... powiedzmy, że bardzo trudno mi się z tym pogodzić.

Stroem potarł twarz rękami, milczał skupiony, jakby nakłaniając go do dalszych zwierzeń. Nathan mówił dalej:

- Panie doktorze, czy podziela pan jej opinię, że...

- Wydaje mi się, że wiem, czego pan ode mnie oczekuje. W obecnym stanie rzeczy nie mogę dać panu więcej nadziei niż moja koleżanka. Z punktu widzenia klinicznego jej diagnoza jest jak najbardziej właściwa. Jednakże zmiany zachodzące w umyśle czasami okazują się bardziej skomplikowane, niż można by tego oczekiwać.

Nathan przerwał mu.

- Co pan przez to rozumie?

- Nie jest pan moim, lecz jej pacjentem. Wprowadźcie gdybym to ja pana leczył, być może nie stosowałbym tych samych metod co ona. Jedno pytanie, młody człowieku: miał pan jakieś kontakty z bliskimi, z rodziną?

- Doktor Larsen powiedziała, że nie jestem jeszcze do tego gotów, że muszę jeszcze poczekać. Obawia się kolejnego wstrząsu. Uważam to za dziwne i moim zdaniem czekamy z tym zbyt długo.

- Rzeczywiście... Zwykle działa się powoli i ostrożnie, by nie wprowadzić chorego w stan niepokoju, ale raczej liczy się na to, że obecność bliskiej osoby, możliwie jak najszybciej po wypadku, nawet jeśli pacjent jest jeszcze nieprzytomny, zwiększy szanse na wywołanie w nim wspomnień. Jest pan pewien, że nie pamięta pan żadnej twarzy - na przykład matki?

23

- Żadnej, panie doktorze. Tylko pańską, kiedy pan przy mnie czuwał, i doktor Larsen, to wszystko.

- Żadnych obrazów ludzi, którzy zajmowali się panem w momencie wypadku? Żadnych skojarzeń?

Nowy błysk, tym razem niedowierzania, pojawił się w spojrzeniu psychiatry, ale ogarnięty gwałtowną falą strachu Nathan nie zwrócił na niego uwagi. Złapał się rękami za głowę i wymamrotał:

- Kompletnie nic.

Podniósł oczy i spojrzał na Stroema.

- Panie doktorze, chcę wrócić do domu, dłużej już nie wytrzymam, wkoło tylko niekończąca się noc, nicość. Chcę spotkać się z rodziną, chcę zobaczyć światło dzienne... Chcę do domu. Jestem przekonany, że cała pamięć mi powróci, gdy tylko przekroczę próg swego mieszkania.

- To nie jest proste, ale być może będę mógł panu pomóc - odrzekł Stroem po chwili zadumy.

- Pomóc mi? W jaki sposób?

- Mogę przejrzeć pańskie dokumenty i spróbować skontaktować się z członkami pańskiej rodziny, z którymi doktor Larsen już być może też usiłowała nawiązać kontakt.

- Być może? Co pan sugeruje?

- Czy doktor Larsen przekazała panu kopię pańskiej dokumentacji?

- Tak, oczywiście.

- Czy były w niej nazwiska, adresy, numery telefonów osób mogących być pańskimi krewnymi?

- Nie, ale...

Nathanem zawładnęło podejrzenie przyprowadzające o zawrót głowy. Co Stroem usiłował mu powiedzieć? Że Larsen ukrywała coś przed nim? To nie miało sensu... Ta lekarka była jedynym trwałym, niezawodnym i godnym zaufania elementem w pustce, która go otaczała. Powtórzył:

- Co pan sugeruje? Proszę odpowiedzieć!

- Niczego nie sugeruję, młody człowieku, rozumiem, że prosi mnie pan o pomoc, więc ją oferuję, to wszystko. - Głos Stroema był ostry, bezwzględny. - Ponieważ doktor Larsen uważa, że zbyt wczesny kontakt z bliskimi byłby ryzykowny dla pańskiego zdrowia, proponuję po prostu stworzenie panu możliwości nawiązania z nimi bezpośredniego kontaktu. Teraz potrzebuje pan odpoczynku. Proszę się przespacerować, zgłoszę się do pana, jak tylko będę mógł przekazać panu informacje, o których mówiliśmy.

24

Stroem spojrział na zegarek i gwałtownie podniósł się z krzesła.

- Teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę pana opuścić.

Nathan wstał jednocześnie z olbrzymem, który górował nad nim o głowę. Ucisnęli sobie ręce.

- A więc do zobaczenia. Życzę dobrej nocy.

Stroem oddalił się spieszenie, nie dając mu czasu na odpowiedź. Nathan poczuł lodowaty pot spływający po plecach. Nie wiedział, o co chodzi, ale wyczuwał jakiś fałsz w zachowaniu lekarza. Albo on, albo Larsen, jedno z nich go okłamywało.

Wszedł na oddział neuropsychiatryczny tylnymi schodami. Po spotkaniu z lekarzem pozostało mu dziwne wrażenie pogarszające jeszcze bardziej jego kiepskie samopoczucie.

Przyspieszył kroku, by jak najprędzej ukryć się w swoim pokoju. Pchnął drzwi prowadzące na drugie piętro i stanął oko w oko z doktor Larsen.

Wyglądała, jakby to spotkanie przyniosło jej ulgę.

- Dobry wieczór, Nathanie! Gdzie pan się podziewał? Spacerowałem. Zapuściłem się trochę dalej niż zwykle, potrzebowałem potężnego łyku świeżego powietrza.

- Byłam o pana niespokojna.

W jej jasnych oczach kryła się ciekawość.

- Czuje się pan już lepiej?

Zanim odpowiedział, obserwował ją przez chwilę w milczeniu: w oczach lekarki nie było najmniejszego śladu hipokryzji.

- Jest coraz gorzej, nie wiem, co się ze mną dzieje. Mam wrażenie, że zaczynam wariować.

- Zaprowadzę pana do pokoju.

Weszli na korytarz. Larsen odczekała chwilę, a następnie spytała:

- Co pan teraz czuje?

- Trudno to wytłumaczyć, jakby przewlekłe uderzenia gorąca... które dręczą mnie od środka.

- W jakich okolicznościach występują te ataki, czym są spowodowane?

- Właściwie pojawiają się cały czas, ale pewne zdarzenia mogą je spotęgować.

- Na przykład jakie?

- Niespodziewany hałas... Ktoś obserwujący mnie ukradkiem...

- Ktoś obserwujący pana... ukradkiem?

- Tak... właściwie nie... już nic nie wiem. Nathan zamilkł na chwilę, potem oświadczył:

- Muszę pani coś powiedzieć...

- Słucham.
 - No więc... Właśnie rozmawiałem z doktorem Stroemem, on chyba ma odmienny pogląd niż pani i przyznam...
- Lisa przerwała mu:
- Z kim pan rozmawiał?
 - Z doktorem Stroemem. Spotkałem go w kawiarni. Prawdę mówiąc, przypomniałem go sobie, właściwie jego sylwetkę. Przychodził mnie odwiedzać, kiedy leżałem w śpiączce.
- Larsen spoglądała na niego zdumiona.
- Jest pan pewien tego, co pan mówi?
 - Absolutnie.
- Zatrzymała się. Jej twarz stała się trupio blada.
- Co to za historia, Nathanie?
 - Jak to historia...
 - Niech się pan uspokoi, bardzo się o pana niepokoję. - Nagle wydała się zdenerwowana. - Martwi mnie to, co pan opowiada.
 - O co tu chodzi? Na miłość boską, niech pani mówi!
 - Wstęp na oddział intensywnej terapii jest bardzo ograniczony i ściśle kontrolowany. Poza mną i dyżurnymi pielęgniarkami nikt do pana nie przychodził. W naszym szpitalu nie ma żadnego doktora Stroema, a jedyne stanowisko lekarza psychiatry zajmuję ja...
 - Ale zapewniam panią, że...
 - Przykro mi, Nathanie, obawiam się, że popełniłam poważną pomyłkę diagnostyczną.

Obudził się w środku nocy. Oddech miał krótki, przyspieszony, kończynami wstrząsały drgawki, kark i plecy pokrywał lepki pot.

Powlókł się do łazienki, odkręcił kran i odświeżył twarz lodowatą wodą.

Choć Larsen nie wypowiedziała tego konkretnego słowa, ale było dla niego jasne, że wzięła go za schizofrenika, ogarniętego halucynacjami paranoika. Przypuszczenia te potwierdziła pielęgniarka, przynosząc przed kolacją leki uspokajające w postaci podłużnych powlekanych pigułek. Potulnie włożył je, jedną po drugiej, do ust i wypluł natychmiast po jej wyjściu z pokoju.

Nathan wiedział, że nie ma przywidzeń. Ten facet... ten Stroem... on bez wątpienia istniał. Nie był wytworem jego chorej wyobraźni, jak sądziła psychiatra. Jednakże towarzyszyło mu podświadome przeświadczenie o jej uczciwości. Po raz pierwszy jakiś konkretny fakt potwierdził, co podpowiadała mu intuicja.

Zrozumiał wreszcie przytłaczające go wciąż uczucie.

Od samego początku miał wrażenie, że jest śledzony. Choć mogło się to wydawać szaleństwem, doszedł do wniosku, że Erick Stroem jest oszustem, mającym za zadanie zebrać informacje na jego temat.

Nie znał powodów, dla których stał się obiektem czyjegoś zainteresowania, ale instynkt podszeptął mu, że powinien szybko stąd się wynieść. Najszybciej jak to tylko możliwe.

Wytał się frotowym ręcznikiem, przeszedł do pokoju i otworzył szafkę. Ucieknie stąd, do Hammerfest, do centrum miasta. Potem pomyśli, co robić dalej.

Zamknął torbę, ubrał się ciepło, wsunął do kieszeni papiery Hydry dotyczące wypadku, dokumenty tożsamości, karty kredytowe, pięć tysięcy euro w gotówce i cichutko wyszedł z pokoju.

Wokół panowały mrok i pustka.

Ruszył korytarzem w kierunku klatki schodowej. Otwierając drzwi, zderzył się z jakimś człowiekiem ze szmatą w ręce, ubranym w jaskra-

wopomarańczowy kombinezon i czapeczkę oznaczoną logo firmy sprzątajacej. Tamten gestem przepuścił go pierwszego.

W tym samym momencie Nathan poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. W szybie biegnącej wzdłuż korytarza dostrzegł odbicie drugiego mężczyzny, ukrytego za załomem schodów. Obrzucił szybkim spojrzeniem faceta w kombinezonie, zauważył jego atletyczne bary i umykający wzrok.

Pułapka. Te łajdaki były tu z jego powodu.

Nie dając nic po sobie poznać, Nathan szedł spokojnie dalej. Nagle wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Mężczyzna, którego zauważył w odbiciu szyby, szykował się, by zadać mu uderzenie w kark... Nathan zaatakował pierwszy, miażdżąc mu pięścią grzbiet nosa, który pękł jak skorupka orzecha. Potem kopnięciem w brzuch posłał go na schody. Natychmiast odwrócił się ku drugiemu... Zbyt późno.

Silny kopniak w krzyż przewrócił go na ziemię. Tracąc oddech, Nathan wypuścił z rąk torbę i próbował się podnieść, ale typ już skoczył mu do gardła, w żelaznym uchwycie zaciskając tętnice szyjne. Z rękami wyciągniętymi w tył Nathan usiłował wywinąć się z uścisku, ale zaczęło brakować mu tchu, wzrok się zamglił... Już niemal tracił przytomność, gdy coś przerażającego przykuło jego uwagę.

Strzykawka.

Napastnik próbował wbić mu ją w gardło.

Nathan wyciągnął ręce, by zatrzymać opadające na niego ramię. Udało mu się tylko je przyhamować. Ostry czubeczek, na którym perlił się płyn, zawisł niebezpiecznie blisko jego twarzy.

Szarpnął się. Nieeee... Łzy wściekłości wypełniły mu oczy. Nie po to przeżył wypadek, nie po to wymknął się śmierci, by skończyć w ten sposób, na tych ohydnych schodach.

Wściekłym wierzgnięciem udało mu się uwolnić, potem, w ułamku sekundy, przekręcił w bok wiszącą nad nim strzykawkę i wbił grubą igłę w przedramię przeciwnika. Mężczyzna odskoczył i wyłamał tkwiącą w jego ciele stalową końcówkę. Lecz Nathan zdążył już nacisnąć tłoczek aż do samego końca, wstrzykując mu większość płynu. Mężczyzna jak kamień osunął się na ziemię.

Nathan podniósł torbę i zbiegł ze schodów, kierując się do podziemi. Nie było już mowy o tym, by iść pieszo do miasta. Coś mu mówiło, że na tych dwóch typach się nie skończy. Prawdopodobnie trzeci czeka na zewnątrz, w samochodzie. Kim oni są? Czego od niego chcą? Nathan odpędził te pytania, by skupić się na najważniejszej sprawie: uciec stąd.

W podziemiach wszedł do szatni personelu szpitala. Kilkoma pewnymi ruchami zdemontował klamkę u drzwi. Za jej pomocą zaczął zrywać, jedną po drugiej, kłódki ustawionych rzędem szafek. W szafce noszącej numer cztery znalazł to, czego szukał. Kluczyki samochodowe na breloczku landrovera, ale co ważniejsze, kartę magnetyczną, „sezamie, otwórz się”, dzięki której będzie mógł, niezauważony, opuścić szpital.

Na parkingu nie było żywego ducha. Nathan wszedł między betonowe filary. Wśród kilkunastu zaparkowanych w jednym rzędzie samochodów były trzy landrovery. Dwa białe, trzeci w kolorze khaki. Wyjął z kieszeni kluczyki i wcisnął przycisk centralnego zamka. Jeden z białych samochodów odpowiedział na przesłany mu sygnał. Nathan wskoczył do niego w największym pośpiechu, włączył silnik i ruszył do wyjścia. Kiedy już wyjechał na zewnątrz, zwolnił i rozejrzał się bacznie dookoła. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, wszędzie panował spokój, tylko drobniutki, gęsty śnieg wirował w świetle reflektorów. Ruszył dalej spokojnie, wjeżdżając na białą, oszronioną drogę prowadzącą do Hammerfest.

Udało się. W niewytłumaczalny sposób jego ciało zareagowało bezbłędnie, uratował go instynkt. To istny cud. Nękały go jednak ciągle te same pytania: kim byli napastnicy? Czego chcieli? Czy miało to związek z ekspedycją, z Hydram, z jego wypadkiem, z rozmową, którą przeprowadził z doktor Larsen, kiedy zdemaskowała Stroema? Czy wiedzieli więcej na temat jego tożsamości niż on sam?

Trzęsąc się na nierównej powierzchni, samochód zbliżał się do skraju sosnowego lasu ciągnącego się wzdłuż drogi. Nagle Nathan dostrzegł ciemny kształt, odcinający się między pniami drzew. Ten widok przywołał go do rzeczywistości. Jakiś samochód stał ze zgaszonymi światłami, ukryty na skraju lasu. Pozostawiony na czatach trzeci mężczyzna musiał być więc niedaleko.

Odzyskać spokój, nie dać się ponieść panice. Nie zwrócić na siebie uwagi.

Nathan utrzymał dotychczasową prędkość i oddalił się w kierunku miasta, w kierunku świateł. Koniecznie musi ustalić, jakie tajemnice kryje jego przeszłość.

Nad Paryżem wisiało usiane niebieskawymi smugami, coraz bardziej ciemniejące niebo. Nathan spoglądał na pierwsze krople wiosennego deszczu, rozpryskujące się na przedniej szybie taksówki, wiozącej go z ogromną szybkością ku przeszłości. Potrzebował osiemnastu godzin, by dotrzeć do Francji. Pomysł lotu samolotem bezpośrednio z lotniska w Hammerfest odrzucił jako zbyt niebezpieczny. Samochodem pojechał do Alty, miasta położonego dwieście kilometrów na południe. W pobliżu lotniska porzucił samochód i wsiadł do pierwszego samolotu lecącego do Oslo. Tam przesiadł się na lot do Paryża, gdzie wylądował pod wieczór. Zjeżdżając z paryskiej obwodnicy, taksówka zwolniła i skierowała się ku centrum. Nathan nerwowo obracał w dłoniach pęk kluczy.

Czy napastnicy będą tu na niego czekali?

Nie, z pewnością nie. Nie miałyby to sensu, nawet jeśli znali jego adres, gdyż logicznie rzecz biorąc, byłoby to ostatnie miejsce, w którym Nathan ukryłby się, wiedząc, że jest ścigany. Przynajmniej miał nadzieję, że podążą takim tokiem rozumowania. Nie mógł sobie pozwolić na pominięcie tego mieszkania, stanowiącego jedyny łącznik z jego poprzednim życiem. Strach przed tym, co tam znajdzie, skręcał mu wewnątrzności. Jak wyglądał jego świat? Może to nie było stałe mieszkanie, jeśli dużo podróżował. Usiłował sobie wyobrazić... notes z adresami, dzięki któremu będzie mógł nawiązać kontakt z rodziną, z przyjaciółmi. Meble, przedmioty, książki i muzyka, której lubił słuchać, zapach inny niż ten, którym przesiąkła mu skóra na oddziale neuropsychiatrycznym.

Wspomnienia powrócą, gdy tylko przekroczy próg swojego domu. Był tego pewien. Będzie jednak musiał podwoić ostrożność.

Zima nie opuściła jeszcze zgrabiałego od zimna miasta. Ludzie snuli się po szarych ulicach, mrużąc oczy przed ukłuciami wiatru

i deszczu. Nathan postanowił przyglądać się twarzom. Może rozpozna ojca, przyjaciela, kochankę... A może mieszkają oni gdzieś zupełnie indziej, daleko stąd? Po przejechaniu bulwarem Montparnasse taksówkarz skręcił w Campagne-Première, minął spokojnie jego dom, dzięki czemu Nathan mógł dokładnie przyrzeć się najbliższej okolicy. Nie dostrzegając nic podejrzanego, kazał wysadzić się przed skrzyżowaniem z bulwarem Raspail, po czym cofnął się do numeru 6 **bis**.

To tutaj.

Wzniósł oczy ku niebu. Najwyżej położone okienka na poddaszu mieszczańskiej, sześciopiętrowej kamienicy, wydawały się sięgać fioł-koworóżowej nocy. Ani śladu domofonu. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Automatycznie rozbłysło światło. Na którym piętrze mieszkał? Podszedł do skrzynki na listy i poszukał swojego nazwiska. Nie znalazł. Obrzucił wzrokiem korytarz. Chyba nie było tu dozorczy. Przyjrzał się swoim kluczom. W małym, niebieskim, plastikowym etui znalazł zniszczoną wizytówkę. Pod nazwiskiem wypisanym grubym drukiem widniał ciąg znaków: mieszkanie numer 5. Wcześniej tego nie zauważył. Zachowując wszelkie środki ostrożności, zrezygnował z zamiaru wjechania windą i wspiał się cichutko po schodach. Nawet się nie zadyszał, oddech miał regularny. Poczł się pewniej, strach ustąpił miejsca podnieceniu. Zatrzymał się przed masywnymi dębowymi drzwiami, przyjrzał zamkowi. Nie było śladów włamania. Nadstawił uszu, wokół panowała niczym niezmacona cisza. Serce waliło mu jak młotem. Zaraz będzie mógł wejść do siebie. Wziął głęboki wdech, przygotował klucz. Chwilę później drzwi otwały się bezszelestnie. Za nimi panowała ciemność.

Nathan nacisnął pierwszy kontakt elektryczny, na który po omacku natrafił ręką. Nic, światło nie rozbłysło. Wchodząc w ciemność, pod nogami słyszał skrzypienie desek parkietu. Sądząc po odgłosach, mieszkanie wydało mu się dużo większe, niż je sobie wyobrażał. Przesuwał rękami po gładkich ścianach, aż natrafił na szafkę licznika elektrycznego. Otworzył ją i po omacku kontynuował poszukiwania, aż w końcu natknął się na małą bakelitową dźwigienkę, która dała się unieść z metalicznym trzaskiem.

Nagle oślepiła go jasność.

Oslonił dłonią oczy, po chwili źrenice przyzwyczyły się do światła. Coś tu nie grało. Obrzucił spojrzeniem korytarz... Niech to diabli! Zerknął w kierunku salonu.

Wszędzie to samo... wokoło zionęło pustką.

Rzucił się do innych pomieszczeń, trzaskał drzwiami, zapalał każdą lampę. Białe, świeżo pomalowane ściany. Żadnych mebli, żadnego przedmiotu, żadnej fotografii. Nic.

Nie! Nie! Nie! Z wyjątkiem materaca i aparatu telefonicznego to mieszkanie było tak samo puste jak jego cholerna czaszka.

Snuł się od jednego pokoju do drugiego, szukając czegokolwiek, jakiegoś znaku, na próżno. Chwyciły go mdłości, ściany przytłaczały go, miał wrażenie, jakby zamykały się wokół niego, unieruchamiając w tej pustej przestrzeni jak w kaftanie bezpieczeństwa.

Dusił się, grzązał w koszmarze...

Zatrzymał się w salonie przed królującym nad kominkiem dużym, pretensjonalnym lustrem. Podszedł bliżej do odbijającej się w nim postaci, jeszcze bliżej, i znieruchomiał na krótką chwilę. Teraz pojął, nagle wszystko stało się jasne.

Zrozumiał, dlaczego Lisa Larsen nie zgodziła się na odwiedziny jego bliskich, rodziny. Nie mogła nikogo odszukać, do nikogo dotrzeć i to była ta informacja, której nie chciała mu przekazać, by nie narazić go na nowy wstrząs psychiczny.

Kim on był, u licha?

Patrząc szklistymi oczami na swoje odbicie, miał wrażenie, jakby jego jestestwo rozkładało się na czynniki pierwsze, rozczłonkowywało niczym monstrualna nieforemna masa. Znienacka wyrzucił do przodu pięść, która uderzyła w lustro i rozbiła w drobne kawałeczki nieznajome odbicie. Chwiejąc się niepewnie na nogach, stał z zakrwawioną ręką, potem zgiął się wpół. Padł na kolana, ranną rękę przyciskając do piersi, drugą opierając o podłogę... Mdlilo go. Przy każdym odruchu wymiotnym mięśnie szyi napinały się jak postronki. Z podrażnionego żołądka wypłynął w końcu śluzowatą maź i zmęczony opadł na ziemię. Powoli ciało zwinęło się i skuliło, przyjmując pozycję płodową. Nie wytrzymując wewnętrznego napięcia, chciał powrócić tam, skąd przyszedł, tam, gdzie nic nie mogłoby go dosięgnąć, do najgłębszych pokładów śpiączki.

Tej nocy miał sen. Wśród rozrzuconych zabawek siedzi małe dziecko. Ociera się o nie kot. Bez słowa, nie wykazując żadnych emocji, dziecko chwytą nóż i śmiertelnie rani zwierzę w głowę. Pełne trwogi miauczenie przenosi wówczas Nathana na mroczną pustynię, z której piasków sterczą czarne skalne grzbiety. Jakieś kobiety, jacyś mężczyźni, o nagich, wychudzonych ciałach, osłaniając dłońmi żarzące się węgielki, z zalanymi łzami oczami utkwionymi w jego twarzy, wyciągają ku niemu kościste ręce. Opuszczając wzrok, dostrzega swoją pierś rozplataną na dwoje, z wylewającymi się z niej czarnymi, pulsującymi wnętr-

nosciami. Ale nie na to wskazują otaczający go ludzie. Wiatr dmucha, podnosząc w swych porywach tumany brunatnożółtego piasku; jakaś okutana zawojami postać rysuje się w jasnych barwach, mamrocząc jego imię. W chwili, gdy usiłuje do niej podejść, postać umyka.

Kiedy Nathan się przebudził, słoneczny blask wyznaczał na ziemi wyraźne ukośne cienie. Podniósł się z materaca, czując przejmujący ból w umęczonym ciele.

Dochodziła dziewiąta. Od razu pomyślał

o ścigających go ludziach. W każdej chwili mogli się zjawić. Spędzenie tutaj nocy było niebezpiecznym błędem, miał niewiele czasu, by rozejrzeć się po okolicy i wynieść się stąd.

Wszedł do łazienki i wziął szybki prysznic. Obejrzał powierzchowną na szczęście ranę dłoni, wyjął z torby czyste ubranie: dżinsy, koszulkę z długimi rękawami i tenisówki. Potem zabrał się do roboty.

Powierzchnię mieszkania ocenił na jakieś sto metrów kwadratowych. Cztery pomalowane na biało pokoje, parkiet ułożony w jodełkę, kominki z czarnego marmuru. Całość sprawiała przyjemne wrażenie.

Coraz więcej pytań pozostawało bez odpowiedzi. Od czego zacząć?

Telefon. Przeszedł do korytarza. Do aparatu podłączony był faks

1 zainstalowana poczta głosowa w skrzynce. Nie było żadnej wiadomości. Nathan podniósł słuchawkę i instynktownie wcisnął klawisz automatycznego wybierania ostatnich numerów. Na kwarcowym ekranie natychmiast wyświetlił się numer.

- Orkyn Rive Gauche, proszę czekać...

Telefonista przełączył jego rozmowę na oczekiwanie. Zapisując pospiesznie nazwę instytucji na kawałku papieru, Nathan intensywnie szukał w pamięci... Nie nasunęło mu się żadne skojarzenie. Głos na taśmie powtarzający formułkę, wypełniającą czas oczekiwania na połączenie, uświadomił mu, że Orkyn jest agencją zajmującą się wynajmem luksusowych apartamentów, willi, limuzyn z kierowcą... Musiał widocznie zgłosić się do nich, wynajmując to mieszkanie.

- Dzień dobry. Vincent przy aparacie. Czym mogę służyć?

- Chciałbym otrzymać informacje dotyczące mieszkania, które obecnie wynajmuję za pośrednictwem waszej agencji.

- Oczywiście, proszę podać mi adres.

- 6 **bis**, Rue Campagne-Première, w czternastej dzielnicy. Moje nazwisko Falh.

- Pan Nathan Falh? Trafił w dziesiątkę.

-Tak.

- Jakich informacji pan sobie życzy?

- Widzi pan, gdzieś zawieruszyła mi się kopia umowy najmu. Czy mógłby mi pan podać dokładną datę podpisania jej, jak również datę ważności?

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniony do udzielania tego typu informacji przez telefon. Może mógłby pan osobiście pofatygować się do agencji?

- Potrzebuję tych informacji natychmiast.

- Ale...

- Jestem pewien, że znajdzie pan jakieś wyjście.

- Proszę chwilę poczekać.

Telefonista ponownie zawiesił połączenie, by porozumieć się z przełożonym.

- Panie Falh?

- Tak, słucham.

- Muszę sprawdzić pana tożsamość. Proszę mi podać datę i miejsce urodzenia, numer i miejsce wydania paszportu.

Nathan schwycił swoje dokumenty i podyktował mu potrzebne dane. Słyszał, jak palce rozmówcy stukają nerwowo w klawiaturę komputera.

- Już szukam... O jest, mam pańską umowę przed oczami... Najem zaczął obowiązywać pierwszego stycznia dwa tysiące drugiego, obejmuje okres sześciu miesięcy, to znaczy do trzydziestego czerwca dwa tysiące drugiego.

- Czy może mi pan przypomnieć dokładną wysokość czynszu?

- Oczywiście. Z zastrzeżeniem naszej pomyłki cała suma w wysokości dziewiętnastu tysięcy dwustu euro, co odpowiada **trzem tysiącom** dwustu euro miesięcznie, została przez pana wpłacona gotówką pod koniec grudnia. Zadał pan również dodatkowe tysiąc euro na poczet rachunków telefonicznych.

- Czy są tam jeszcze jakieś inne informacje?

- Nie, proszę pana.

- No to bardzo dziękuję...

- Do widzenia, panie Falh. Agencja Orkyn Rive Gauche życzy panu przyjemnego pobytu w Paryżu.

Robiło się ciekawie. W jakim celu wydał fortunę w gotówce na wynajęcie tego mieszkania, skoro kilka miesięcy później wyjeżdżał z ekspedycją?

Ponownie podniósł słuchawkę i wybrał numer Hydry w Antwerpii. Czas porozmawiać z tymi ludźmi. Odezwała się młoda kobieta.

- Hydra, sekretariat pana Roubaud. Dzień dobry.
- Z panem Jeanem Paulem Roubaud proszę.
- Przykro mi, będzie dopiero w środę.
- Może mi pani podać numer, pod którym go znajdę?
- A kto mówi?
- Nathan Falh. Mam bardzo pilną sprawę.
- Pan Roubaud uprzedził mnie, że może pan dzwonić. Żałuję, ale jest nieosiągalny. Nathan nalegał.
- A czy może go pani poprosić, żeby do mnie oddzwonił?
- Dlaczego nie można poczekać z tym do środy, panie Falh? O co właściwie panu chodzi?
Pogardliwy ton urzędniczki zaczął mu działać na nerwy.
- O pewne szczegóły dotyczące misji HCD02.
- Nie zapoznał się pan z raportem przekazanym przez nas zespołowi medycznemu, który się panem zajmował?
- Ten raport dotyczy tylko samego wypadku. Ja chcę mieć wgląd do szczegółowego raportu dotyczącego tej cholernej ekspedycji -uniósł się Nathan. - Jestem ofiarą poważnego...
- Znam pana historię. Otrzymał pan solidne odszkodowanie.
- Odszkodowanie?
- Suma dwudziestu tysięcy funtów szterlingów została przelana na pańskie konto bankowe w Wielkiej Brytanii. Nie poinformowano pana o tym?
-Nie.
- A więc teraz już pan wie. Panie Falh, proszę mi nie utrudniać... Pan Roubaud jest bardzo zapracowany. Wydał mi wyraźne polecenie przed wyjazdem. Nie życzy sobie rozmowy z panem. Proszę nie nalegać.
W słuchawce dał się słyszeć przenikliwy świst. Sekretarka się rozłączyła.
Oszołomiony Nathan odłożył słuchawkę. Co mogło oznaczać takie zachowanie? Czy Hydra i Roubaud mieli coś wspólnego z próbą uprowadzenia go w Hammerfest? Usiłował poukładać sobie elementy układanki, którymi dysponował. Nic nie pasowało. Musi poczekać na powrót Roubauda. Trzy dni. Ma czas, żeby przemyśleć strategię rozmowy. Wiadomość o przelewie pieniędzy na konto w Wielkiej Brytanii przyjemnie go zaskoczyła, gdyż mając zaplecze finansowe, będzie mógł spokojnie prowadzić swoje śledztwo.
Tymczasem skupi się na mieszkaniu.

Gdyby wcześniej w nim przebywał, zostałby po nim jakiś ślad, chociaż najmniejszy... Dokładnie musi je przeczesać, centymetr po centymetrze.

Na pierwszy ogień poszła kuchnia. Znalazł jedynie złożoną torebkę z herbatą na wagę. Potem zajął się sypialnią, w której był jedynie nowy materac, leżący bezpośrednio na podłodze, złożona kołdra w kolorze zgniłozielonym i komplet białej pościeli.

Wtedy wpadł na nowy pomysł: jeśli niczego nie znalazł, to znaczy, że może dawniej coś ukrywał? Wrócił do przedpokoju i skierował się do salonu.

Kominek.

Ukląkł przed nim, zaczął macać wewnątrz przewodów, wsuwając palce do każdego najmniejszego załamka. Nie było tam nic poza sadzą. Przeszukanie kominków w pozostałych pokojach również okazało się bezowocne.

Cały czas dreptał w miejscu, nie posunął się ani o krok.

Jeszcze przez pół godziny przetrząsał wszystko bardzo dokładnie, mając nadzieję, że znajdzie jakąś wskazówkę. Choćby najmniejszą.

Niestety, bez rezultatu.

Opanowała go nowa fala strachu. Otrząsnął się. Na moment wychylił się przez okno. Po stalowoszarym niebie sunęły przejrzyste chmury. W dole, na ulicach pojawili się już pierwsi przechodnie. Na-then pomyślał o tym bezładnym nagromadzeniu milionów istot, z których każda podąża konkretną trasą, wie, dokąd iść, i jest przez kogoś gdzieś oczekiwana. Ta refleksja wywołała w nim niezrozumiałą zazdrość na widok tych wszystkich nieznanym ludzi. Obudziła się w nim jednak nowa, silna energia: nie wyjdzie stąd, dopóki czegoś nie znajdzie.

Dochodziła dziesiąta. Siedząc w przedpokoju, Nathan jeszcze raz powrócił do raportu z wypadku. Studiował każdą stronę, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś drobiazgu, który naprowadziłby go na ślad. I znalazł. Na dole ostatniej strony.

Pieczałka... rozlany tusz, ale litery pozostały w miarę czytelne. Imię i nazwisko, Jan de Wilde. Lekarz okrętowy, człowiek, który go przetransportował do Hammerfest.

Adres i numer telefonu w Antwerpii Nathan odcyfrował z największym trudem. On będzie na pewno bardziej rozmowny niż asystentka Rou-bauda. Podniósł słuchawkę i wybrał ciąg cyfr. Cztery sygnały, a potem poczta głosowa. Nathan zaklął i nie pozostawiając żadnej wiadomości, gwałtownie się rozłączył.

Miał nadzieję, że lekarz nie wypłynął gdzieś w morze... Cały czas błędząc myślami, utkwiał wzrok w faksie. To był średniej wielkości,

szary sześcian. Nathan machinalnie obserwował wierzchnią płytę urządzenia: zwarty blok ponumerowanych przycisków po lewej stronie, oddzielony był od małego ekranu pasem podłużnych przycisków w żywych kolorach. Tuż poniżej widniała marka i numer modelu. Jakies pięć centymetrów wyżej, po prawej stronie, wyróżniał się czerwony, przezroczysty guzik. Uniósł się, żeby odczytać umieszczony na nim napis: MEMORY. Jak mógł to pominąć?

Nacisnął prostokącik i ekran natychmiast zamigotał. Dioda nie świeciła się, ale pamięć zawierała jakiś faks. Nathan podskoczył, sprawdził zawartość podajnika papieru. Pusty. Wyrwał czystą kartkę z dokumentów szpitalnych, wsunął ją do urządzenia, które natychmiast za-chrzęściło. Chwilę później trzymał w rękach zadrukowaną kartkę.

Nagłówek przedstawiał słonia, wokół którego owijał się wąż. Poniżej widniał napis:

Istituzione Biblioteca Malatestiana

Biblioteka... Adres wskazywał, że znajdowała się w Ceseni, we Włoszech. Nathan przeczytał krótką wiadomość po francusku, umieszczoną na środku strony.

Próbowałem skontaktować się z panem telefonicznie. Bezskutecznie.

Rozpocząłem badania nad manuskryptem Eliasa.

To zadziwiające! Proszę do mnie jak najszybciej zadzwonić.

Ashley Woods

Obejrząwszy dokładnie faks, Nathan zauważył, że został on przesłany dziewiętnastego marca. Czyli przed czterema dniami. Natychmiast wybrał numer telefonu figurujący w nagłówku. Po trzecim sygnale odezwał się męski głos:

- ***Pronto?***

- Dzień dobry, czy mówi pan po francusku?

- Tak, dzień dobry, słucham pana...

- Chcę rozmawiać z Ashleyem Woodsem.

- ***Signore*** Woods jest nieobecny. Jeśli to pilne, mogę pana połączyć z jego asystentem.

- Tak, bardzo proszę.

Wydawało mu się, że oczekiwanie na rozmowę trwa całą wieczność.

- Lello Valente, **sf!**
- Dzień dobry, nazywam się Falh, dzwonię z Paryża. Otrzymałem faks od pana Woodsa...
- Włoch przerwał mu gwałtownie.
- Falh?
- Tak, chodzi o „manuskrypt Eliasa”, który podobno...
- Ach tak, oczywiście! Elias, Elias. Proszę wybaczyć, ale pańskie nazwisko umknęło mi z pamięci. Niestety nie miałem okazji poznać pana, ale Ashley opowiadał mi o panu. Od paru dni próbuje się z panem skontaktować.
- No właśnie, myślałem, żeby od razu do niego przyjechać. Myśli pan, że to możliwe?
- Na pewno. Teraz jest w Rzymie, ale ma wrócić wieczorem. Kiedy chciałby pan przyjechać?
- No powiedzmy... mógłbym być jutro wczesnym rankiem.
- Wspaniale.
- Gdzie mam się zgłosić?
- Bezpośrednio do Malatestiany, tu mieszkamy. Jeśli mnie pamięć nie myli, był już pan tu kiedyś.
- Tak! Rzeczywiście, gdzież ja mam głowę? - skłamał Nathan.
- Kiedy pan przyjedzie, proszę wejść tylnymi drzwiami, ponieważ biblioteka jest teraz nieczynna z powodu remontu. Obejdzie pan budynek z prawej strony. Zobaczy pan mały kamienny przedsionek. Przejdzie pan przez niego i już będzie pan na miejscu. Proszę nie rezerwować hotelu, zamieszka pan u nas.
- Wspaniale. Dziękuję, Lello. Do zobaczenia. Rozłączyli się.
- Nathan zastanowił się przez krótką chwilę. Ten człowiek nigdy go nie widział. W przeciwieństwie do Woodsa. W końcu miał czego się uchwycić! Zadzwoił do informacji i poprosił o połączenie z centralą lotniska Roissy. Włączyła się automatyczna sekretarka, tonowo wybrał numer przedstawicielstwa Alitalii, gdzie zgłosiła się hostessa.
- Dzień dobry, chcę jeszcze dzisiaj polecieć do Ceseny. Jakie loty może mi pani zaproponować?
- Cesena, Cesena... Trzeba lecieć przez Bolonię. Dzisiaj pozostaje tylko jeden lot z Roissy, 014 o siedemnastej, chwileczkę, sprawdzę... przykro mi, nie ma już miejsc. Następny jest dopiero jutro o dwunastej trzydzieści i są wolne miejsca... Halo, halo? Po drugiej stronie nie było nikogo. Jej rozmówca już wcześniej się rozłączył.

Maksymalnie skoncentrowany na prowadzeniu, ze wzrokiem wbitym w drogę, Nathan przedzierał się przez ciemności. Od wyjazdu z Paryża, gdzie wynajął solidne audi, zatrzymał się tylko jeden raz, żeby zatankować i zjeść kanapkę. Dijon, Lyon, Chamonix, do tunelu Mont Blanc, potem Włochy, Mediolan, Modena, Bolonia. Cel podróży był już blisko. Może lepiej byłoby pojechać prosto do Antwerpii... Bezpośrednia konfrontacja miałaby zapewne większy wpływ na asystentkę. Nie... lepiej poczekać na powrót Roubauda. A na razie ten Woods jest jedynym człowiekiem, który może mu pomóc.

Za oknami samochodu przesuwaly się wysokie, smukłe zarysy topoli, odcinające się od ciemnego, podobnego do asfaltu nieba. Kątem oka rzucił na zegar na desce rozdzielczej. Trzecia rano. W tej samej chwili blask rozświetlonej tablicy sygnalizacyjnej wskazał mu zjazd do północnej Ceseny. Przejechał jeszcze kilometr, włączył kierunkowskaz i zjechał z autostrady na krętą, przykrytą gęstą mgłą drogę. Zwolnił. Światła samochodu rozcinały obłoki pary, które wydłużały się w pasma, by ponownie zamknąć się za nim. Do czego zmierzał? Czego dowie się w Cesenie? Miał wrażenie, jakby z każdym oddechem życie rozstępowało się przed nim jak kłęby mgły, przez którą przejeżdżał. Jedynie trzymana w rękach kierownica stanowiła jakiś łącznik z rzeczywistością. W oddali, z mroków nocy, wyłaniały się ostre zarysy średniowiecznej fortecy. Był na miejscu.

Wjechał w labirynt stromych uliczek, przy których stały stare, szare, brunatnożółte i brunatnoczerwone domy. Od razu skierował się do centrum uśpionego miasta, szukając Piazza del Popolo. Dopiero teraz poczuł, że jest we Włoszech. Instynkt podpowiadał, że już kiedyś tu bywał, że lubił ten kraj, te kolory i zapachy...

Chwilę później jechał Via Zeffirino Re. Wykorzystując prosty odcinek, przyspieszył, dojechał do Palazzo del Ridotto, okrążył go i znalazł się na dużym kwadratowym placu, Piazza Bufalini. Po-

środku, w cieniu ulicznych latarni, odcinały się łamane linie olbrzymiego, pokrytego ciemną dachówką budynku z rdzawymi, masywnymi murami, otoczonego ogromnymi cyprysami. Nathan wysiadł, zamknął samochód i ostatnie metry dzielące go od biblioteki pokonał pieszo. Wszędzie panował całkowity spokój i w ciszy rozlegał się tylko odgłos jego kroków na chodniku.

Miedziana tabliczka umieszczona po prawej stronie ciężkich, drewnianych, rzeźbionych drzwi, z kamiennym obramowaniem, informowała: Istituzione Biblioteca Malatestiana. Dojrzał na niej również wyryty w metalu rysunek słonia. Obszedł budynek dookoła i zauważył lampę oświetlającą tylne wejście, o którym wspominał Lello. Nacisnął guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się z donośnym zgrzytem, ukazując w rozmigotanym świetle przedsionka przysadzistą, rozczochraną postać.

- **Sf!** - wydusił chrapliwie wyrwany ze snu mężczyzna.

- Przepraszam, że obudziłem pana, jestem Nathan Falh, przyjechałem z Paryża. Pan jest...

Twarz młodego człowieka rozjaśniła się w ujmującym uśmiechu, ukazując szerokie szczęki. Odpowiedział bezbłędnie po francusku, z leciutkim włoskim akcentem.

- **Si, si!** Jestem Lello. Proszę wejść. **Buon giorno**, panie Falh. Miał pan dobrą podróż?

- Wspaniała, dziękuję - odpowiedział Nathan, przekraczając próg.

- Przykro mi, lecz Ashley jeszcze nie wrócił z Rzymu. Nie udało mi się nawet zawiadomić go o pańskim przyjeździe. Ale na pewno wkrótce się zjawi. Mogę czymś pana poczęstować? Herbata, kawa? Och! Bardzo się ucieszy na pana widok. Pański manuskrypt... Ale może woli pan odpocząć, czekając na niego? Mam dla pana wygodne łóżko.

Nathan chętnie skorzystał z zaproszenia.

- Za herbatę dziękuję, ale podróż była długa i...

- Proszę za mną, wskażę panu pokój.

Nathan podążył za nim, pokonali długi, surowy korytarz, na którego końcu znajdowały się wąskie kamienne schody prowadzące na piętro. Na górze przeszli inny korytarz, mijając po drodze zamknięte cele. Musiało ich być tutaj około sześćdziesięciu. Kiedy mijali jedne po drugich drewniane, naznaczone zębem czasu drzwiczki, Lello, szurając nogami, opowiadał historię zabytkowej budowli.

- Pierwotnie biblioteka stanowiła część opactwa. To są cele mni-

chów, w nich mieszkali. Ach! Musieli mieć niewesołe życie, prawda? Ale Ashley pewnie już panu o tym wszystkim opowiadał! Proszę się nie denerwować. Dam panu ten sam pokój, w którym mieszkał pan poprzednio. Jeśli się nie mylę, to był apartament księżęcy?

Nathan potwierdził z możliwie największym przekonaniem. Włoch zatrzymał się przed wielkimi drzwiami, wyciągnął z kieszeni pęk niezmiernie dużych kluczy i w jednej chwili otworzył zamek.

- Proszę bardzo, to pański pokój. Życzę dobrego wypoczynku i do zobaczenia...

Luksus pokoju absolutnie nie współgrał z surowością pozostałych pomieszczeń. Wielkie, stare meble, niemal czarne, rzucały cienie na gobeliny przedstawiające nieznanymi włoskich księząt o ciemnych oczach i czarnych jak węgiel włosach. Zdobity one przepierzenia wyłożone szlachetnym gatunkiem drewna. Umieszczone w kątach komnaty kinkiety z jedwabnymi, ręcznie malowanymi abażurami, rzucały przytłumione światło na czerwobrazowy mahoń wielkiego, zdobionego alegorycznymi scenami łoża.

A więc już był kiedyś w tym miejscu, mieszkał tu... Niczego, absolutnie niczego nie pamiętał.

Nathan odstawił bagaże i dokładniej rozejrzył się po apartamencie, jeszcze raz wystawiając swoją pamięć na próbę. Otworzył pierwsze drzwi, prowadzące do gabinetu z kwadratowym biurkiem, na którym umieszczony był ekrytuar, i z imponującą biblioteką, w której zgromadzono setki starych woluminów. Przyjrzy się temu później. Przeciął gabinet i otworzył drugie drzwi. Łazienka. Tego właśnie szukał. Wszedł do marmurowego, jasnego pomieszczenia, minął lustro i puścił do wanny gorącą wodę. Po kąpieli włożył szlafrok i rzucił się na podwójne łożo. Zgasił światło i po raz ostatni zgłębił zakamarki swej świadomości, pozwalając rodzić się pytaniom, w poszukiwaniu choćby strzępka jakiegoś wspomnienia. Na darmo. Jutro... Cierpliwości... - pomyślał. Oczy zaszły mu mgłą i niemal natychmiast pogrążył się w głębokim śnie, nie próbując nawet z nim walczyć.

Pierwszym doznaniem po przebudzeniu był chłód stalowej lufy przyłożonej do twarzy. Nathan zachował nadzwyczajny spokój i nie poruszył się. Poczuł przyływ adrenaliny rozchodzącej się po ciele. Wiedział, że przy najmniejszym fałszywym ruchu dziewięćmilimetrowa kula rozerwie mu czaszkę na kawałki. Drugie doznanie przyszło wraz z otwarciem oczu. Pieczenie wnikające w najgłębsze warstwy siatkówki. Jakiś łajdak oślepił go latarką elektryczną. Nathan próbował ocenić sytuację, gdy nagle stało się z nim coś dziwnego. Poczuł, że jego duch odłącza się od ciała i unosi w ciemności. Zupełnie jakby ciało i umysł rozdzieliły się na dwie osobne istoty. Jedna leżała na łóżku, podczas gdy druga unosiła się zawieszona w przestrzeni, czatując na najmniejszy błąd nieznajomego. Coś się dokonało, wrażenie, którego nigdy wcześniej nie doświadczył, jakby żył w nim ktoś inny. Nieznajomy pierwszy przerwał milczenie:

- Utniemy sobie małą pogawędę...

Błąd. Reakcja Nathana była błyskawiczna. Płynnym, nieomylnym ruchem chwycił uzbrojoną rękę, jednocześnie odsuwając ją na bok, by usunąć się z linii strzału. Wykręcił ją w dół, do granicy złamania. Jednocześnie prawa pięść wystrzeliła w gardło napastnika. Siła uderzenia była tak wielka, że tamtego odrzuciło na ziemię. Dławiąc się, usiłował doczołgać się do drzwi. Nathan wyskoczył z łóżka jak oszalały i wbił kolano w kręgosłup uciekającego, aż poczuł chrzęst kręgów. Błyskawicznie opasał mu głowę ramieniem, gotów jednym ruchem złamać kark.

Co on wyrabia, do jasnej cholery? O mało nie zabił tego człowieka! Gołymi rękami. Krew ścieła mu się w żyłach. Zwolnił uścisk, złapał rozciągniętego cały czas na brzuchu nieznajomego za włosy, zaświecił mu latarką w twarz. Z rozciętej wargi ciekła gęsta karminowa krew. Nigdy przedtem go nie widział.

- Czego ode mnie chcesz? Kim jesteś? - warknął Nathan.

- Nic... złego... ja...

Nathan pociągnął mocniej za włosy.

- Jesteś tym śmieciem z Hammerfest? Kto cię nasłał? Gadaj!

- Ja... nazywam się Woods, Ashley Woods...

Zdumiony Nathan, zanim przeszukał i uwolnił mężczyznę, podniósł leżącą na podłodze broń. Sig P226, mała, szwajcarska broń ręczna. Absolutnie niezawodna. To też wiedział. Mechanicznie, bez najmniejszego wahania, przesunął dźwignię umieszczoną wzdłuż kolby, wyjął magazynek i zamek, wsunął je do kieszeni, po czym włożył pistolet do szuflady nocnej szafki. Dopiero wtedy cofnął się i znieruchomiał. Dysząc w napięciu, dwaj mężczyźni przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem w ciemności.

Nathan był wstrząśnięty.

Skąd wzięło się w nim tyle porywczoci, tyle brutalności? Kiedy wymknął się swoim prześladowcom w Hammerfest, poczuł przypływ dziwnej siły. Teraz było jasne, że nieprzypadkowo dał sobie wtedy radę: miał odruchy jak człowiek wspaniale zaprawiony w walce... Spojrzał na swoje przedramiona, dłonie. Dopiero teraz dostrzegł ich mocne kształty. Dwa mordercze szpony...

Odezwał się pierwszy, od razu atakując.

- Co to za burdel! Najpierw wysłał mi pan faks, a teraz chce mnie sprzątnąć...

Woods powoli dochodził do siebie. Wierzchem dłoni wytarł z twarzy krew i rozmasował potłuczoną szyję.

- Niech pan nie udaje spryciarza. Doskonale pan wie, że gdybym chciał pana zabić, wykorzystałbym pana sen. Trzeba przyznać, że pańskie maniere są co najmniej dziwne.

- Moje maniere?

- W co pan ze mną pogrywa? Wracam do siebie i znajduję wiadomość od swojego asystenta, który uprzedza mnie o przyjeździe Na-thana Falha, właściciela manuskryptu Eliasa.

- No i co?

- No i co? To pan... jest pan tym samym człowiekiem, który przyjechał do mnie poprzednim razem i który nazywał się wówczas Hugu-ier, Pierre Huguier!

Słowa te natrętnie zadźwięczały pod czaszką Nathana. Cały pokój gwałtownie zawirował. Popadał w obłąd.

- Kpi pan sobie ze mnie?

- Szczerze mówiąc, to samo myślę o panu.

Woods, który już doszedł do siebie, powoli zbliżał się do Nathana.

- Niech się pan nie rusza!

Anglik znieruchomiał, mierząc go wzrokiem, w którym zdziwienie mieszało się z zaciekawieniem.

- Powtarzam, że nie mam względem pana złych zamiarów. Moja podejrzliwość może wydawać się panu niezrozumiała, ale są pewne powody...

- Jakie powody?

- Znajdują się tu niezwykle cenne dzieła.

Nathan nie uwierzył w ani jedno słowo na temat książek. Chociaż stosunkowo łatwo udało mu się go obezwładnić, ruchy Woodsa nie pasowały do dyrektora zakurzonej biblioteki, lecz do wyszkolonego w walce profesjonalisty.

- Kim pan jest, Woods?

- Nie odwracajmy ról, bardzo pana proszę.

- Dlaczego po prostu nie zawiadomił pan policji?

- Mam zwyczaj sam załatwiać własne sprawy. Możemy uznać, że po wycisku, jaki od pana dostałem, jesteście kwita. Nie przebierał pan w środkach... Co pana napadło? Nathan nie słuchał, czuł się schwyty w pułapkę, którą sam na siebie zastawił, jak ptak obijający się o szklaną ścianę. Usiłował posklejać poszczególne elementy w logiczną całość. Pomyślał o faksie. Adresat nie był wymieniony. Facet pewnie mówił prawdę. Trzeba podjąć jakąś decyzję. I to natychmiast.

- Niech pan słucha, Woods, moje ostatnie wspomnienia sięgają zdarzeń sprzed trzech tygodni. W wyniku wypadku straciłem pamięć. W wynajmowanym przez siebie w Paryżu pustym mieszkaniu znalazłem pański faks. Przyjechałem aż tutaj w nadziei, że dostarczy mi pan jakichś wyjaśnień. Nie pamiętam absolutnie nic, ani

pana, ani nikogo innego, ani nic, co wiązałoby się z moją przeszłością. Bibliotekarz uważnie słuchał. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Nathana, zachęcając go do zwierzeń. Nathan wyrzucił z siebie całą resztę i zakończył:

- W środę pojedę do Antwerpii, żeby zobaczyć się z szefem Hydry, czy będzie mu się to podobało, czy nie.

- Nie ma pan nikogo? Rodziny, przyjaciół? - spytał Woods.

- Nikogo.

Bibliotekarz wstał i unióś rękę do gardła.

- Myślę, że filiżanka kawy dobrze nam zrobi.

Nathan przyglądał się ruchom Woodsa, stojąc na progu kuchni. Gospodarz wsypał do elektrycznego młynka brązowe ziarna, dodał do nich innych, bladezielonych, podobnych do nefrytowych perełek. Nastawił młynek na odpowiednią grubość i włączył. Mieszanka wydzielala ostry aromat. Woods przesypał ją do metalowego filtra ekspresu do parzenia kawy, w milczeniu odczekał, aż wycieknie z niego gęsty, czarny jak nafta, parujący płyn. Potem przelał go do dwóch filiżanek stojących na stole. Nathan podniósł do ust gorącą czarbkę.

- Mój drogi Pierre, obawiam się, że...

- Wolę Nathanie, jeśli nie sprawi to panu różnicy.

- W porządku, obawiam się, że nie dowie się pan ode mnie nic szczególnego.

Spotkaliśmy się tylko jeden raz. Na początku lutego przyjechał pan do mnie, przywożąc stary, bardzo zniszczony manuskrypt. Pochodził z końca XVII wieku, zawierał około stu stron. Poprosił mnie pan o przetłumaczenie tekstu i odtworzenie brakujących fragmentów. Moje opracowanie miało panu dostarczyć informacji na temat usytuowania wraku i rodzaju ładunku statku, który zatonął w tamtych czasach.

- Powołałem się na kogoś?

- Nie, zadzwonił pan do mnie, powiedział o swoim zamiśle, a mnie to zainteresowało.

- Ma pan jakieś przypuszczenia, dlaczego zwróciłem się z tym właśnie do pana? Jest pan Anglikiem, mieszka pan daleko od Paryża. Czy we Francji nie ma ludzi, posiadających odpowiednie kwalifikacje, którzy mogliby się tym zająć?

- Są, nawet w samym Paryżu jest wielu specjalistów potrafiących przetłumaczyć taki manuskrypt. Sam pan jednak zrezygnował z tego rozwiązania.

- Wie pan dlaczego?

- Tak. W tym konkretnym wypadku, biorąc pod uwagę wiele przeróbek, którym został poddany tekst, praca nad dokumentem wymagała, poza interpretacją literacką, użycia innych technik, związanych bardziej z metodami badawczymi z dziedziny fizyki bądź chemii. We Francji istnieją tego typu laboratoria, tyle że nie są one dostępne dla osób prywatnych. Instytucja, którą ja kieruję, jest jedną z najbardziej renomowanych w Europie. Dysponuję specjalistycznym sprzętem, jak również pewną niezależnością, gdyż zajmuję się wyłącznie zasobami biblioteki. Krótko mówiąc, zadzwonił pan do mnie, a ja się zgodziłem. Pan skorzystał z okazji. Nathan milczał przez chwilę, potem zapytał:

- Zakończył pan pracę?

- Jeszcze nie. Na razie odtworzyłem tylko pierwsze strony. Zadanie jest ogromne i całkowite jego wykonanie może mi zająć sporo czasu. Większa część manuskryptu została zniszczona i tekst wciąż się urywa. Ale jestem dobrej myśli.

- Czego on dotyczy?

- To dziennik pewnego szlachcica, Eliasa de Tanouarn, pochodzącego z Saint-Malo-en-1'Ile, dawnego francuskiego korsarskiego miasta. I muszę przyznać, że bardzo różni się od tego, co mi pan na początku zapowiedział.

- Różni się, ale w jaki sposób?

- Wolę, żeby sam pan przeczytał tekst, Lello właśnie kończy transkrypcję, to język starofrancuski. Próbkę powinny być gotowe jutro wieczorem.

Słaby jeszcze blask świtu oświetlał twarz Woodsa. Anglik mógł mieć koło pięćdziesiątki. Sucha twarz bez zarostu, czarne, przetykane srebrnymi nitkami włosy, zaczesane do tyłu. Ubrany na szaro - sweter wycięty w serek, bawełniana koszula, proste wełniane spodnie, skórzane, sznurowane pantofle - jego gibka i wysmukła sylwetka emanowała rzadko spotykaną siłą. Orli nos, w połączeniu z przenikliwym wzrokiem, nadawał mu surowy wygląd. Zapanowała nieprzenikniona cisza, jakby czas nagle się zatrzymał. Mężczyźni przerwali rozmowę; pojawiło się jakieś zakłopotanie. Jakby dwie istoty, bez jednego słowa, odnalazły się nagle, tak jak brat rozpoznaje własnego brata. Wzajemne oddziaływanie, którego ani jeden, ani drugi nie umiałby wytłumaczyć, coraz bardziej przybliżało ich do siebie. Nathan był teraz pewien, że Anglik również miał jakieś tajemnice.

- Niech mi pan powie, Ashleyu, czy sig jest przepisową bronią bibliotekarzy?

Woods lekko się uśmiechnął i nie odpowiadając, poprosił, żeby Nathan poszedł za nim. Ponownie przemierzali ciemne galerie, schody, a w końcu weszli do wspaniałego ogrodu, w którym rosły idealnie przycięte drzewa, krzewy i kwiaty, których barwy i zapachy były o poranku bardzo świeże. Nathan podniósł wzrok. Przed nim wznosił się główny budynek średniowiecznej biblioteki.

Obszerna, jasna sala była niezmiernie wysoka. Wąskie wykuszowe okna wpuszczały blade światło wschodzącego słońca, prześlizgujące się po gładkich brązowych, dębowych pulpitych, które ustawione były po obu stronach głównego przejścia. Z podłogi wyrastały dwa rzędy lekkich, żłobkowanych pilastrów, które wydawały się dźwigać cały ciężar budowli. Ciszę przerwał głos Nathana:

- Gdzie jesteśmy?

- W samym sercu Malatestiany... Jej historia sięga 1452 roku. Nazwę wzięła od Novella Malatesty, księcia Ceseny. Człowieka wyjątkowego. Ofiarując to sanktuarium franciszkanom, stworzył jeden z pierwszych modeli biblioteki publicznej. Jego barwami przyozdobione są ekrytuary. Proszę spojrzeć na misterność rozety, gotyckie łuki... to architektoniczny klejnot. Człowiek, który to stworzył, nazywał się Matteo Nuti. Inspirował się konstrukcją biblioteki San Marco, należącej do zakonu dominikanów we Florencji, której twórcą, kilka lat wcześniej, był Michelozzo.

Cały czas uważnie słuchając, Nathan posuwał się wolnymi krokami po dużych, terakotowych płytach. Rozliczne okna, utworzone z bezbarwnych szyb, wpuszczały do sali czyste, rozproszone światło, które odbijało się w wygięciach mlecznych sklepień. Niemal słyszał tchnące wiarą szepty i modlitwy mnichów.

- Zbiór jest imponujący, ponad czterysta tysięcy woluminów. Bezcenne skarby: inkunabuły, zbiory formuł farmaceutycznych, rzadkie manuskrypty. Poczynając od „In Evangelium Johannis tractatus” świętego Augustyna, przez „Vitae” Plutarcha, „Liber Marescalciae” Rusio czy najrzadsze biblie, na **De república** Cycerona kończąc. Jest tu wszystko.

Biorąc do rąk wspaniałe dzieło leżące na jednym z pulpitych - „Naturalis Historia” Pliniusza Starszego - Nathan ze zdziwieniem usłyszał metalowy stukot. Zobaczył, że pierwsi mnisi przymocowywali łańcuchem każdy z tomów, aby uchronić zbiór przed kradzieżami.

- Znajdujemy się w skrytorium, które służyło jednocześnie za czytelnię. Mnisi wielu pokoleń spędzili tu całe swoje życie. Najlepiej

oświetlone miejsca przeznaczone były dla iluminatorów, kronikarzy i kopistów, którzy pracowali bez wytchnienia; inni przychodzili, by po prostu poczytać lub zrobić jakieś notatki. Niech pan dotknie tego wypolerowanego drewna, materii, na której wyciśnięte jest boskie piętno i spokój. Widać tu jeszcze ślady pozostawione przez wykonane z rogu kałamarze, zadrapania zrobione przez pióra moczone w złotych barwnikach i przez pumeks używany do wygładzania pergaminów. Jean d'Epinal, Francesco da Figline, Annibal Caro, jego przyjaciel Paolo Manuzio to najznakomitsi ludzie, którzy pozostawili na tych sękatych ławach ślady swojej pasji. Woods sprawiał wrażenie opętanego przez to miejsce. Rozsadzał go entuzjazm. Jego życie, sama istota jego egzystencji tkwiły w tych murach.

- A co pana tutaj sprowadziło? - spytał Nathan. Anglik wstrzymał oddech, jakby to, co miał właśnie powiedzieć, mogło skomplikować ich wzajemny układ.

- Nie zawsze byłem bibliotekarzem. Urodziłem się w Londynie. Mój ojciec był oficerem armii brytyjskiej, matka Maltanką. Spędziłem wspaniałe dzieciństwo w Cadogan Gardens, niedaleko King's Road. Tych szczegółów panu oszczędzę. Gdy skończyłem siedemnaście lat, wstąpiłem na uniwersytet, do King's College w Cambridge, gdzie przez cztery lata studiowałem łacinę, grekę i język etruski. We wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku spotkałem człowieka, który całkowicie zmienił moje życie - Johna Chadwicka, mego profesora greki. Byłem wzorowym studentem i bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy. Powoli otwierał przede mną swój świat.

Podczas wojny służył jako kryptoanalityk w Bletchley Park, w tajnej jednostce wojskowej, stworzonej do przechwytywania i łamania szyfrów wrogich wojsk. Później, w pięćdziesiątym trzecim, Chadwick, razem ze swoim młodym przyjacielem, architektem Michaeliem Ventri-sem, przeniknął tajemnicę pisma linearnego B, nieodczytanego pisma kreteńskiego, znalezionej na początku wieku na glinianych tabliczkach. We dwóch stworzyli to, co Chadwick zwykł nazywać „kryptologiem doskonałym”: tandemem naukowca i erudyty. W porównaniu z moim ojcem, który dzielił swój czas między sztab i towarzyskie wieczorki, John wznosił się w moich oczach niczym pomnik na piedestale.

Sądzę, że chęć zgłębiania tajemnic jest głęboko zakorzeniona w duszy ludzkiej, nawet najmniej ciekawski umysł rozpala się na myśl o dotarciu do informacji, które dla innych są niedostępne. W moim wypadku ta ciekawość stała się chorobliwa. Powiązania z Johnem Chadwickiem wywołały u mnie zachłanną żądzę badawczą tajnych szyfrów, starych rękopisów. Odkrył przede mną cel życia.

To on wprowadził mnie w dziedzinę kryptoanalizy. W pierwszym okresie, by ćwiczeniami wyrobić we mnie odpowiednie umiejętności, dawał mi do rozszyfrowania teksty historyczne już poznane, ale skomplikowane. Rozwikłałem kilka legendarnych zagadek, jedna z nich to tajemnica cyfry używanej przez Marię Stuart w jej spisku

przeciwko Elżbiecie Angielskiej, druga dotyczyła dodatkowych notatek traktatu „Astrolabium” Geoffreya Chaucera, jeszcze inna, uważana za nierozwiązywalną, słynnego kwadratu Vigenère'a. To były moje pierwsze sukcesy. Cyfry miałem we krwi. W miarę upływu czasu moja więź z Chadwickiem umocniła się do tego stopnia, że byliśmy dla siebie niczym ojciec i syn. Nigdy o tym otwarciu nie rozmawialiśmy, ale wiedziałem, że odnalazł we mnie to, co uważał za bezpowrotnie stracone. Jego przyjaciel, Ventris, zginął tragicznie w wypadku, zaledwie kilka miesięcy po ich wspólnym odkryciu.

Wkrótce zrozumiałem, jaki ukryty cel przyświecał temu staremu człowiekowi. Chciał ze mnie uczynić znanego, doskonałego kryptologa. Miałem uosabiać sumę talentów, którymi obdarowana była ich dwójka, on i Ventris. Pewnego dnia, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, uznał moją wiedzę literacką i historyczną za wystarczającą. Zrobiłem więc radykalny zwrot i zacząłem specjalizować się, za jego radą, w teorii liczb, jednej z najczystszych form matematyki. Kontynuując naukę, dostałem się do zamkniętego kręgu kryptologów, z którymi Chadwick utrzymywał bliskie kontakty. Wprowadził mnie do GCHQ, Government Communications Headquarters, założonego na ruinach Bletchley Park, wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej. Sam wiedziałem, kiedy zostałem zwerbowany. Cztery lata później wstąpiłem do niewielkiego zespołu w ramach GCHQ, w Cheltenham. Był to szczęśliwy okres, ślęczeliśmy nad różnymi pomysłami, opracowywaliśmy zasady stosowane w szyfrowaniu... Aż do dnia, w którym przyszło rozczarowanie i wszystko się zawaliło...

- Co za rozczarowanie może pchnąć człowieka do porzucenia tak ekscytującego życia?

- Przez długie lata pracowaliśmy nad bardzo poważnym problemem, dręczącym specjalistów od wielu wieków: bezpiecznym sposobem wymiany, między nadawcami a adresatami, często przejmowanych przez wroga kluczy szyfrowych, umożliwiających rozszyfrowanie tajemnych, zakodowanych informacji. Nasz pomysł polegał na stworzeniu kryptosystemu z ogólnodostępnym kluczem szyfrowym, w którym ten do zaszyfrowywania nie byłby identyczny z tym do rozszyfrowywania. Rewolucyjny pomysł, przeciwieństwo wszystkich systemów stosowanych przed latami siedemdziesiątymi ubiegłego wieku. Odkryliśmy jednokierunkową funkcję matematyczną, ale w owym okresie nie było jeszcze komputera mogącego przetworzyć tego typu dane. Wyprzedziliśmy swoje czasy i, związani tajemnicą wojskową, zostaliśmy zmuszeni przez rząd do zawieszenia działalności.

- Co się potem stało?

- Trzy lata później trójka amerykańskich badaczy, Rivest, Shamir i Adelman, odkryła funkcję matematyczną i opatentowała kryptografię z ogólnodostępnym kluczem szyfrowym, pod nazwą RSA. Zniechęcony i rozżalony porzuciłem GCHQ i przeszedłem do prawdziwego wywiadu w departamencie zbliżonym do Foreign Office. Stałem się człowiekiem czynu i po kilku latach kierowałem w terenie różnymi tajnymi operacjami. Dopiero znacznie później zrozumiałem, jak bardzo oddaliłem się od swojej drogi. Lata spędzone u boku Chad-wicka pozostały daleko i mimo wyraźnych upodobań do takiego tajnego życia pojawiło się we mnie z wąpienie. Z wąpiłem w słuszność pewnych akcji rządu brytyjskiego, najpierw w walce przeciwko IRA w Irlandii Północnej, potem w czasie wojny na Falklandach-Malwi-nach.

W dziewięćdziesiątym roku nawiązałem kontakt z jednym z dawnych przyjaciół z Cambridge, który był wówczas wysokim urzędnikiem we włoskim Ministerstwie Kultury. Bez wahania zaproponował mi stanowisko, które do dziś zajmuję w Malatestianie.

Nathan przyglądał się Woodsowi, nie wiedząc, co powiedzieć. Niemal zazdrościł Anglikowi bujnej przeszłości, tak różnej od przerażającej pustki, panującej w jego własnym życiu...

- Musi być pan bardzo zajęty... pewnie ma pan mało wolnego czasu?

- Żeby co robić?

- Nooo... nie wiem... zająć się rodziną, na przykład... Nigdy nie był pan żonaty? Nie ma pan dzieci?

- Dzieci? Nie. Wielokrotnie byłem w związkach, bardziej lub mniej poważnych, ale moja praca wymaga dyskrecji, dochowania pewnych tajemnic i takie życie staje się ciągiem niezdrowych kłamstw. Na początku udaje się unikać niewygodnych pytań, potem wzajemne zaufanie słabnie i... jednym słowem, nie mam nikogo.

- Ale prowadzi pan teraz normalne życie...

- Żyjąc samotnie, ma się niestety skłonności do nabierania złych przyzwyczajeń.

- Żałuje pan tego?

- Chyba nie. Odgradzam się od uczuć, zamykam je w sobie jak najgłębiej. Na razie daję sobie z tym radę, ale kiedyś prawdopodobnie wszystko gwałtownie wypłynie na powierzchnię i mnie wykończy. Mam tylko nadzieję, że dojdzie do tego możliwie najpóźniej... na łożu śmierci.

Nathan żałował, że okazał się wścibski. Czuł, że Woods odpowiedział mu wyłącznie z czystej grzeczności. Pragnął przeprosić, ale Anglik kontynuował, zamykając temat swojego prywatnego życia.

- Moja praca polega na dokładnym przejrzaniu i przeanalizowaniu, pod wszystkimi względami, każdego dzieła. Niektóre, zniszczone tak jak pański manuskrypt, trzeba poddać konserwacji, żeby móc je odczytać. Inne stanowią kryptogramy, które muszą rozszyfrować, żeby z nich wyciągnąć rzeczywisty sens. Pójdziemy teraz do mojej pracowni.

Na swoje laboratorium Ashley Woods wybrał olbrzymią piwnicę. W przyćmionym świetle plafonier stały oddalone od siebie cztery drewniane biurka. Wszędzie panował nienaganny porządek. Na każdym blacie umieszczony był monitor komputera i mała lampka. Podłogę wyłożono szarym linoleum, betonowe ściany miały szarozielony kolor. W głębi pomieszczenia Nathan zauważył metalowe drzwi z pionowym uchwytem, które wyglądały mu na wejście do skarbcza.

Anglik stanął przed nimi i dał znak Nathanowi, żeby podszedł bliżej. Oparł się na drążku, przekręcił drzwi wokół osi i wszedł do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Podał Nathanowi biały kombinezon i lateksowe rękawiczki, po czym, mijając następne drzwi, razem weszli do długiej, wyłożonej białymi kafelkami sali. Po obu jej stronach zgromadzono imponujący arsenał nowoczesnej techniki: podwieszane monitory, klawiatury podłączone do gigantycznych aparatów, kamery cyfrowe, mikroskopy optyczne i elektronowe, sprzęt do wywoływania zdjęć, lampy ultrafioletowe. Oszklone drzwi oddzielały niewielką pracownię przepelnioną szklanym sprzętem, pipetkami, aparatami destylacyjnymi, tygielkami, palnikami, pojemnikami, lodówkami - prawdopodobnie przeznaczonymi do analiz chemicznych i biologicznych.

- Większość używanych przeze mnie przyrządów stosowana jest w najnowocześniejszych technikach badawczych, począwszy od obrazowania w dziedzinie medycyny po metody geologiczne, stosowane do określenia rodzajów gleby i jej różnych warstw. Widzi pan tutaj CT Scan: fotonowy skaner tomograficzny. Ta mała kamera, o tutaj, dzięki dużej czułości spektralnej pozwala dostrzec dwie warstwy pisma, to znaczy pierwotny usunięty tekst i nałożony zamiast niego drugi. Zdarza się nam w ten sposób odtwarzać rzadkie, wytarte teksty i wykorzystywać dostarczane przez nie informacje. Są to szczególnego rodzaju rękopisy, zwane palimpsestami. Posługujemy się również promieniowaniem nadfioletowym, jak to pan może zobaczyć tam dalej.

Szybkim ruchem palców na urządzeniu identyfikującym linie papilarne Woods otworzył niedużą oszkloną gablotę wypełnioną starymi księgami, ustawionymi jedna koło drugiej i szczelnie zamkniętymi w plastikowych obwolutach. Bibliotekarz wyjął jedną z nich i podszedł do Nathana.

- Proszę, to jest manuskrypt Eliasa.

Nathan zdrętwiał. Na sam widok księgi wzrok mu się zmacił. Serce przyspieszyło w piersi. Dotykał już przedtem tych stronic, należały do niego...

- No niechże pan go weźmie!

Nathan ujął manuskrypt dwiema rękami i pogładził czubkami palców okrytych rękawiczkami. Był to niewielki tom, zwarty i ciężki, niedużego formatu. Zewnętrzna skórzana obwoluta pomarszczyła się i zniszczyła przez setki lat używania.

- To welin, skóra zdjęta z cielaka, który urodził się martwy, dokładnie wyprawiona i wygładzona, aż stała się tak cienka i elastyczna, że w trakcie pisania pióro nie zahaczało o żadne nierówności.

Pragnąc jak najszybciej poznać pierwsze słowa Eliasa, Nathan niezmiernie ostrożnie uniósł obwolutę. Z upływem czasu skórę stoczyły mikroorganizmy i pokryły brunatne, okrągłe plamy pleśni. Widoczne były nawet maleńkie otwory wydrążone przez robaki. Tekst był całkowicie nieczytelny. Mimo to rozpoznał na pierwszej stronie ślady naszkicowanej piórem twarzy. Najpewniej przedstawiała Eliasa.

- Uprzedzałem, że to kolosalna praca. Pierwsze badania pozwoliły mi w miarę dokładnie ustalić miejsce i czas powstania dokumentu. Użyty atrament jest mieszaniną sadzy z dodatkiem lepkiej substancji, gumy arabskiej. Odnalazłem tu również ślady miodu. Dawniej korzystano bardzo często z tej techniki.

- Rzeczywiście udało się panu wydobyć coś z tych stronic?

- Tak, ale wątpię, czy uporam się z całością dzieła, niektóre fragmenty są całkowicie zniszczone. Widać tu ślady wielu poważnych zdarzeń. Proszę spojrzeć, niektóre części są przypalone. Lello pobrał próbki pleśni, żeby zbadać, czy nie stanowi ona dalszego zagrożenia dla manuskryptu. Na szczęście okazało się, że przestała już być aktywna. Ogólny bilans jest pozytywny, co oznacza, że będę w stanie zinterpretować większość tekstu.

- To imponujące!

Woods włączył kamerę i powiedział Nathanowi, żeby położył otwartą księgę na metalowej płycie ograniczonej dwiema białą-czarnymi podziałkami metrycznymi. Następnie małym pilotem zgasił światło i laboratorium pogrążyło się w ciemności. W tej sztucznie wy-

wołanej nocy jarzyły się tylko purpurowe światełka czujników magnetowidu.

- W pierwszej kolejności użyłem tej kamery na podczerwień. Umożliwia ona rozpoznanie pisma na przypalonym welinie - objaśniał Anglik. - Nastawiam przysłonę na maksymalną ilość światła... Trzeba regulować z wyczuciem. Jeszcze trochę zwiększę kontrast... Tak, teraz dobrze!

Na monitorze powstał negatyw obrazu, zmieniający się w miarę ruchów wędrującej wzdłuż pergaminu kamery. Grube i cienkie linie, drobniutkie litery, prawdziwa magia... Nathan zdołał odczytać:

... W maja... rok... 1694

- Rodzaj gramatyczny wskazuje, że tekst został napisany przez mężczyznę. Niestety następne linijki trudno odcyfrować. Jeśli ma się jakieś informacje na temat tekstu, na przykład jeśli wiadomo, że to dawny testament, można odtworzyć puste miejsca. Tutaj jest to znacznie trudniejsze. Już na obecnym etapie nie potrafiłem odcyfrować kilku brakujących fragmentów. Zorientuje się pan, o które chodzi, bo zaznaczyłem je wielokropkami. Lepiej nie spekulować, bo może to doprowadzić do błędnych interpretacji.

Woods wyłączył kamerę, zapalił światła i podszedł do komputera. Wsunął do niego płytę CD. Na monitorze wyświetlił się pasek ikon. Kliknął na „Elias”.

- Na tym etapie użyliśmy mikroskopu o zmiennej ogniskowej. Taka metoda jest często stosowana w obrazowaniu w medycynie, w celu badania budowy ludzkich komórek. Pozwala zamienić obraz płaski na trójwymiarowy. Najpierw w naszym wypadku należy sfotografować każdą stronicę, kawałek po kawałku, potem wgrać dane do komputera, który wszystko poukłada i umożliwi poruszanie się po księdze tak jak po ludzkim ciele. Teraz już można właściwie zrobić niemal wszystko, pod warunkiem że tekst nie jest zbyt uszkodzony. W naszym manuskrypcie wystarczy zwiększyć kontrast atramentu. W innych fragmentach, w których barwniki uległy zatarciu, można dostrzec ślady zadrapań pozostawione przez pióro. W ten właśnie sposób mogłem zrekonstruować zdania.

Nathan zobaczył trójwymiarowy obraz manuskryptu, wirujący wokół własnej osi. Welinowe stronice, sprawiające wrażenie, z wyglądu i w dotyku, niezmiernie delikatnych i miękkich, były tu pokryte plamami. Obraz się powiększył. Duże ornamenty pochodzenia organicznego rozciągały się na powierzchni, która wydawała się

wzlatywać, by za chwilę pograżyć się w różnych warstwach badanej materii. Ruchy Woodsa były szybkie i precyzyjne.

- Można je obracać we wszystkich kierunkach. Przerobiłem dotąd trzydzieści początkowych stron. To zupełnie nieźle. Niech pan spojrzy...

Nacisnął na klawiaturze jakiś klawisz i na monitorze ukazała się nowa stronica. Płaska i wielobarwna, posiatkowana fioletowymi, podobnymi do krwiaków, żyłkami. Znowu ukazał się tekst. Nathan mógł rozróżnić zawijasy napisane ręką Eliasa, ale odcyfrowanie ich graniczyło z cudem. Litery miały dziwny wygląd, były pocieniowane, jakby kreślone drżącą ręką.

- Czy nie uważa pan, że pismo jest trochę... - zaczął niepewnie Nathan.

- Zniekształcone?

- Właśnie, zniekształcone...

- Zwróciłem na to uwagę. Powody mogą być różnorakie. Autor, pisząc ten dziennik, mógł być chory lub wzburzony. Miejmy nadzieję, że dalszy ciąg manuskryptu nam to wyjawia.

- Czy może pan jeszcze bardziej powiększyć tekst?

Anglik przytaknął. W miarę jak przybliżał obraz, obaj mężczyźni pograżali się w przeszłości.

**Pra5»ic, n ...zbArzetiiA, ...świAt>kiem i sotną pożAłowAMiA ofwą. Młot>...
twarz, MAKreślona mw,m ni... 1nv<m piórem MA pierwszej stronie te5o
bziwika. przebstAwiA mnie, ELIASA be Ts-MOMAm, szla... icA z SAmt-MAlo-ew-
Hle, korsAr... tA... tnflęm. Ot> teso CZASU moja DUSZA t>oświAt>... ślepej furii...
rtAWAł... jeśli... łtowMość wicherów oszczcfcZA... MA... stromym brzesw
morskim, ml... przeszłości.**

Nathan wyteżył umysł, próbując posklejać w całość odczytane fragmenty. Działo się z nim coś niezrozumiałego. Jakieś dziwne doznania rodziły się w umyśle, na twarzy czuł, zupełnie realnie, drobiny smagającego piasku. Potem obrazy zaatakowały go seriami: dziecko... kot... zarysy pustyni, postać w dziwnych zawojach, która coś szeptała... Zakręciło mu się w głowie, uczeplił się blatu stolika. Czuł, że nadchodzi jeszcze coś innego. Uczucie gwałtownego gorąca, oparzenie... Chciał coś powiedzieć, z ust wyrwał się okrzyk:

- Przestańcie!

Krzyknął, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Woods zamknął program i obraz zgasł na ekranie równie szybko, jak wcześniej się na nim pojawił.

- Wszystko w porządku?
- Tak, myślę, że tak... manuskrypt... on budzi we mnie jakieś reminiscencje.
- Wspomnienia?
- Nie. Wrażenia, obrazy, ale kiedy się konkretyzują, wszystko niknie. Zupełnie jakby dostęp do tej części mnie samego był mi zabroniony...

Woods potarł twarz rękami, sprawiając wrażenie, jakby obserwował Nathana, ale jego myśli były zupełnie gdzie indziej, o wiele, wiele dalej.

- Kim pan jest? - wymamrotał.
- Myślę, że powiedziałem panu wszystko, co wiem.
- Nie o to chodzi. Właśnie coś mi przyszło do głowy. Może będę mógł panu pomóc.
- Ma pan jakiś pomysł?

- Tak, dotyczy to pańskich różnych tożsamości. Zachowałem trochę kontaktów z dawnych czasów. Z przyjaciółmi. - Woods zerknął na zegarek. - Która godzina? Dziewiąta, a więc w Londynie ósma... powinno się udać. Ma pan przy sobie dokumenty?

Nathan wsunął rękę do tylnej kieszeni dzinsów i wyjął paszport i portfel. W tej chwili w jego umyśle zrodziło się tysiąc ewentualności. Jakim człowiekiem był w rzeczywistości? Niewiele informacji, które udało mu się zebrać, wydawały się wskazywać, że nie był zwykłym obywatelem. Poczuł, że zalewa go fala niepokoju.

- Niech pan zaczeka! Czy to, co zamierza pan zrobić, nie obróci się przeciwko mnie? Nie wiem, niech pan sobie wyobrazi, że jestem... że mam kłopoty?

- Tylko bez paniki, chodzi o bliskiego przyjaciela. Niech mi pan wierzy, razem robiliśmy o wiele gorsze rzeczy niż pozostawienie przestępcy na wolności. Może pan liczyć na dyskrecję.

Nathan podał mu swoje dokumenty, potem obaj przeszli do gabinetu.

Anglik usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

- Halo? Z panem Jackiem Staël, tak... mówi Ashley Woods. Jego rozmówca kazał mu chwilę poczekać. Potem szeroki uśmiech wygładził twarz Woodsa.

- Jack? Witaj, stary pijanico... świetnie, a ty... jaka pogoda w Londynie? Kiedy mnie tu odwiedzisz? Tak, tak... Dobrze, słuchaj, chciałbym wiedzieć, czy MI 5 mógłby mi zrobić dyskretną przysługę... tak... ustalenie tożsamości...

Pozostało im tylko czekać. Odciski palców, zeskanowany paszport, numery kart kredytowych... Kilka godzin wcześniej Woods wysłał wszystkie te dane do siedziby MI 5 w Thames House. Wysoki urzędnik, z którym rozmawiał, zobowiązał się do udzielenia odpowiedzi przed siedemnastą. Według zapewnień Woodsa miał potem zniszczyć wszystkie zebrane informacje, nie pozostawiając najmniejszego śladu w kartotekach brytyjskich służb wywiadowczych i bezpieczeństwa wewnętrznego. Kilka następných godzin Nathan wykorzystał, by się przespać. Zarezerwował też sobie bilet na lot do Brukseli, skąd następnego dnia miał polecieć do Antwerpii. Ze ściągniętą twarzą Woods porządkował na biurku dokumenty. W drugim kącie pokoju Lello kończył odtwarzanie fragmentu manuskryptu Eliasa. Nathan siedział milcząco, usiłując ukryć nerwowe drżenie.

Za kilka minut miał się dowiedzieć.

O szesnastej pięćdziesiąt siedem rozległ się dzwonek telefonu. Nathan podskoczył nerwowo. Dając mu spojrzeniem do zrozumienia, że to Stael, Anglik szybkim ruchem sięgnął po słuchawkę. Wymienił ze swym rozmówcą kilka grzecznościowych formułek, natomiast w kwestii zasadniczej ograniczył się do słuchania i notowania. Odłożywszy słuchawkę, zwrócił się po włosku do swego asystenta.

- Lello? Byłby pan uprzejmy zostawić nas samych...

Dwaj mężczyźni pozostali sam na sam.

- No więc Stael wolał nie prowadzić poszukiwań, opierając się na pańskich dokumentach tożsamości, co obudziłoby podejrzenia władz, które systematycznie kontrolują tego typu wnioski. Przejrzał natomiast rejestr osób zaginionych. Nie figuruje w nim ani Nathan Falh, ani Pierre Huguier. Mogę pana zapewnić, że nikt nie niepokoje się pańską nieobecnością, nikt pana nie poszukuje.

- A poszukiwania prowadzone na podstawie kart kredytowych... Czy to coś dało?
- Otóż tak. Karta Visa Premier została wydana w Paryżu przez bank CIC dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące pierwszego roku, to znaczy tydzień po otwarciu pańskiego konta w oddziale przy bulwarze Montparnasse, co nastąpiło dwunastego grudnia. Pierwsza wpłata wynosiła czterdzieści pięć tysięcy euro, częściowo gotówką, częściowo czekiem banku brytyjskiego, wystawionym osobiście przez pana. Dokonał pan wielu operacji, głównie wypłat gotówkowych na poważne kwoty. Obecnie saldo jest dodatnie i wynosi pięć tysięcy euro. Przejdźmy teraz do American Express. Ta karta dotyczy konta otwartego siódmego stycznia dwa tysiące drugiego roku w oddziale City Banku na Regent Street w Londynie. Na koncie jest dwadzieścia siedem tysięcy sześćset osiemdziesiąt cztery funty. Znaczna część tej sumy pochodzi z przelewu dokonanego za pośrednictwem banku w Szwajcarii przez przedsiębiorstwo Hydra Ltd, mające siedzibę w Singapurze.
- Wiem, to towarzystwo, które zorganizowało ekspedycję...
- Tak też pomyślałem. Zgadza się z sugestią mojego znajomego, żeby już nie kontynuować sprawdzania autentyczności pańskich papierów, bo mogłoby to spowodować na pana kłopoty. Pańskie dokumenty są prawdopodobnie skradzione i podrobione lub od początku do końca sfabrykowane. Jestem pewien, że są fałszywe.

Wiadomość ta sparaliżowała Nathana.

- Co pozwala panu tak sądzić?
- To oczywiste. Przyjeżdża pan do mnie dwukrotnie, za każdym razem inaczej się przedstawiając. Pańskie konta bankowe zostały założone zaledwie kilka miesięcy temu, wpłacone zostały na nie poważne sumy, a większość operacji to wypłaty gotówkowe, których wysokość wynosi minimum piętnaście tysięcy euro. Unika pan, kiedy to tylko możliwe, używania kart kredytowych, jakby usiłował pozostawić po sobie jak najmniej śladów. Umie się pan bić jak szatan i posługuje bronią palną lepiej ode mnie. W środowisku służb specjalnych istnieje określenie, odpowiadające co do joty pańskiej postaci.

Każdą kolejną wiadomość Woodsa odbierał jak silny cios otrzymany prosto w żołądek. Czuł się coraz bardziej zdezorientowany i oszołomiony.

- Jakże?

- Jest pan „duchem”. Pańskie życie jest „legendą”, każdy jego szczegół został starannie wymyślony.

Duch... tak, dokładnie takie wrażenie miał od czasu, gdy powrócił do świata w zimowym Hammerfest.

- Stael przekazał pańskie odciski palców do scentralizowanych rejestrów szeregu państw europejskich. Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Niemiec i Belgii. Wszystkie odpowiedziały negatywnie, poza Francją i Belgią, które potrzebują więcej czasu na dodatkowe poszukiwania, nie podając jednak żadnego terminu ich zakończenia. Na razie nie jest pan nigdzie notowany.

Nathan zachwiał się... Nadzieje na rozwiązanie zagadki spełzły na niczym. Teraz dowiadywał się, że nie istnieje...

- Czy domyśla się pan, czym mógłby parać się człowiek zadający sobie tyle trudu, by ukryć swoje istnienie? - spytał Woodsa.

- Gdybym nie znał szczegółów pańskiej historii, wziąłbym pana za zbłąkanego agenta rządowego albo za doskonale zorganizowanego, ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości przestępcę. Ale istnieje pewien kontekst: ekspedycja polarna, manuskrypt Eliasa, czatujący w szpitalu zabójcy. To wszystko szalenie gmatwa te domysły. Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

- Co mi pan teraz radzi?

- Niech pan niczego nie zmienia w swoich planach. Niech pan jedzie do Antwerpii, spotka się z szefem Hydry, postara się wyciągnąć z niego maksimum informacji na temat misji, w której pan uczestniczył. Musi się pan wykazać olbrzymią ostrożnością. Absolutnie nie ma pan wyobrażenia, ku czemu podąża ani co go czeka. Wszystko jest nieprzewidywalne. Jeśli chodzi o mnie... nie zostawię pana samego, będzie mógł pan zawsze na mnie liczyć. Pozostaniemy w kontakcie. Dam panu telefon komórkowy i przenośny komputer, specjalnie skonfigurowany, z zainstalowanym programem szyfrującym mojego pomysłu, który jest nie do złamania. Będziemy mogli kontaktować się za pośrednictwem poczty elektronicznej, mając pewność, że nasza korespondencja nie zostanie przechwycona. Nie chcę dopuścić do tego, by ktoś wtykał nos w nasze sprawy. Będę panu przekazywał tłumaczenie kolejnych partii manuskryptu Eliasa w miarę postępujących nad nim prac. Bardzo możliwe, że odgrywa on jakąś rolę w całej tej historii.

- Jestem wzruszony pańskim zaufaniem, Ashleyu. Z jakiego powodu pan to robi? W spojrzeniu Anglika rozbłysła iskierka:

- Powiedzmy, że lubię swoje życie w Malatestianie, ale zimy bywają tu czasami stanowczo zbyt długie.

Wieczór spędzony w towarzystwie Woodsa przyniósł Nathanowi pierwsze chwile odprężenia i spokoju od momentu przebudzenia się

ze śpiączki. Poszli do malej restauracyjki w Cesenie, w której Anglik był stałym bywalcem... zjedli niewyszukaną, ale smaczną kolację. Wsparcie ze strony Woodsa, który dawał mu konieczny impuls do działania, dodawało Nathanowi odwagi w dążeniu do wydobycia się z pustki. Ostatnia noc spędzona w książęcym apartamencie była spokojna. Lello dokonywał ostatnich poprawek na odtworzonych pierwszych stronach manuskryptu, które miał mu wręczyć następnego dnia z samego rana.

Mimo że jego przeszłość pozostawała na razie zamknięta i niedostępna, Nathan ujrzał promyk nadziei. Musiał teraz zanurzyć się w sam środek tajemniczego, otaczającego go świata, rozpoznać każdą wskazówkę, każdy napotkany znak, unicestwić swoją obecną tożsamość, by na nowo stworzyć człowieka, którym był przed wypadkiem.

Uśmiercić Nathana, by zrobić miejsce komuś innemu.

Samolot do Brukseli wystartował z mediolańskiego lotniska Malpen-sa punktualnie o trzynastej. Siedząc wygodnie w fotelu, Nathan rozpiął pasy, otworzył zamek błyskawiczny nylonowej torby, wyjął z niej otrzymany od Woodsa komputer i położył go na stoliku. Uniósł ekran i wciśnięciem kciuka włączył urządzenie, które natychmiast zapytało go o kod dostępu. Wystukał siedem, ustalonych z Anglikiem liter: N-O-V-E-L-L-O, imię księcia Ceseny. Następne hasło było konieczne, by wejść w interesujący go plik: C-H-A-D-W-I-C-K. Chwilę później wyświetlił mu się tekst. Przetłumaczony przez Leila manuskrypt Eliasa ujawni za chwilę swoje pierwsze tajemnice.

18 maja roku 1694

Pragnę opisać na tych kartach zdarzenia, których byłem świadkiem i godną pożałowania ofiarą. Młodzieńcza twarz, nakreślona mym nieudolnym piórem na pierwszej stronie tego dziennika, przedstawia mnie, Eliasa de Tanouarn, szlachcica z Saint-Malo-en-I'île, takiego, jakim byłem kiedyś. Od tego czasu moja dusza doświadczyła ślepej furii wielu nawałnic, toteż jeśli nawet gwałtowność wichrów oszczędza mnie jeszcze na tym stromym morskim brzegu, należę już do przeszłości.

W roku pańskim tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym trzecim, w noc dwudziestego szóstego listopada, seria wybuchów wyrwała mnie ze snu. Deszcz kartaczy spadł na moje domostwo w Puits de Rivière. Tysiąc okien rozprysło się w ogromnym huku i moje drogie miasto, Saint-Ma-lo-en-I'île, zachwiało się aż do fundamentów wałów obronnych.

W największym pośpiechu wyskoczyłem z łoża i, ledwie czymś przykryty, zbiegłem ze schodów na uliczkę. Dzwony biły jak oszalałe, wybuchy nastąpiły z nową siłą, zrzucając na miasto grad ćwieków, dybli i żelaznych łańcuchów. Płomienie lizały dachy domów. W powietrzu unosił się smród prochu i nafty. Nad miastem zawisła luna ognia. Kryjąc przed

bliźnimi niezmierną radość, która mnie opanowała, torowałem sobie drogę wśród przerażonej ciżby ludzkiej i wyjących psów.

[...] potężna morska fala kipiącej, błyszczącej piany przelatała się przez mury i zwała na mnie. W półmroku noga moja zahaczyła o jakąś przeszkodę i rozciągnąłem się jak długi, twarzą do ziemi. Podnosząc głowę, dostrzegłem powód mojego upadku. Nosił nieprzyjacielski angielski mundur. Z rozerwanego brzucha wylewały się wnętrzności. Ten parszywy pies miał całkowicie zmasakrowaną twarz, widać było tylko straszną bezkształtną masę z kawałków kości, strzępów ciała i zakrwawionych włosów.

[...] złowróźbny, pięćsettonowy statek, o czarnym ożaglowaniu, z ładowniami wypełnionymi prochem i wszelkiego rodzaju pociskami, żeby zatopić nasze miasto. Doprowadzony przez wroga pod nasze mury obronne, straszliwy statek miał dokonać swej zabójczej misji. Prądy morskie zdecydowały jednak inaczej i rozbił się o niebezpieczne podwodne skąty, broniące Fort Royal. Ekspłodował w dużej odległości od naszych murów, tracąc swoich marynarzy, lecz oszczędzając życie niewinnych mieszkańców, za co dzięki składajmy Bogu Wszchemogącemu...

Podążyłem w szalejącym wietrze na ulicę Między Dwoma Rynkami i wrzeszcząc jak opętany, załomotałem do ciężkich drzwi rezydencji Marzeliere, żeby mnie wpuszczono. Rozległ się suchy trzask judasza. Tęga służąca uchyliła drzwi i oświetliła mi twarz łuczywem [...] przeciąłem podwórzec i wspiąłem się po prowadzących na piętro schodach.

Przeszedłem przez wielką komnatę, o ścianach pokrytych boazeriami, z nielicznymi ciemnymi meblami. Na dębowych przepierzeniach rozpięte były drogocenne kurdybany oraz wspaniałe wełniane makaty, na których mogłem podziwiać uczniów Chrystusa, przedstawionych pod postacią dziwnych zwierząt, psa, węża i jakby ptaka z cienkim, zakrzywionym dziobem. Ledwie moja ręka dotknęła miedzianej gałki, drzwi, skrzypiąc, otworzyły się przede mną. W mroku stał Roch, z szablą u boku i pistoletami u pasa. Odblaski płomieni tańczyły jak świetliki w jego źrenicach.

Zaledwie poinformowałem go o moim znalezisku [...] Wyciągnęliśmy ze stajni ciężki wóz, ukryliśmy twarze i zapuściliśmy się w labirynt uliczek.

[...] dopchaliśmy wóz aż do mokrego piachu. Żołnierze milicji jeszcze tu nie dotarli, najpewniej w obawie, że nieprzyjaciel ostrzela ich powtórna salwą armatnią. Pomyślałem o innym niebezpieczeństwie, o patrolowych psach, dzikich dogach, które, by odstraszyć rabusiów okrętowych, wypuszczane były na nadbrzeżną część miasta po sygnale wieczornym na gaszenie światel i ognia, a zamykane o świcie. Musiały

gdzieś uciec w chwili detonacji, ale wkrótce powrócą, zwabione odrażającą wonią śmierci.

Chodziliśmy między trupami, szukając najmniej okaleczonych zwłok. Niektórym brakowało rąk, innym głów. Kamienna twarz Rocha błyszczała w blasku płomieni. Wybraliśmy jednego. Grubego jak wieprz oficera, z wywalonym z gęby językiem i wytrzeszczonymi oczami. Był na pewno martwy. Wepchnęliśmy go na wóz, po czym, jakby ogarnięci szaleństwem, zebraliśmy jeszcze pół tuzina trupów, ułożyliśmy je jeden na drugim i wróciliśmy do domu Rocha.

[...]

Rozłożyliśmy trupy na ustawionych w piwnicy szerokich, drewnianych, powalanych krwią stołach. Wykute w litej skale pomieszczenie oświetlały zawieszane na ścianach pochodnie. Los się do nas uśmiechnął, pod samym nosem milicji udało nam się dokonać prawdziwego wyczynu. Mimo że okoliczności nie były wesołe, bardzo chciało nam się śmiać. Ponieważ jednak czas naglił, musieliśmy od razu zabrać się do pracy.

Włożyłem skórzany fartuch i podążyłem za Rochem, między trupami. Piwnica wypełniła się odorem krwi i ciepłych jeszcze ciał. Zanim rozebraliśmy je z mundurów, obejrzałem bardzo dokładnie po kolei każde z nich. Roch, po swojej stronie, robił to samo. Nasze zadanie wymagało, by wybrane ciało było w jak najlepszym stanie.

Zakrzętnęliśmy się, by wytrzeć ohydny, lepki, pokrywający je całun z piachu i krwi. Wycierałem okaleczone mięśnie, torsy, twarze, wyciskałem ociekającą mazią gąbkę.

Ponure myśli, które dawniej mnie opanowały, wówczas kiedy znalazłem się w obliczu tak brutalnej śmierci, opuściły mnie. [...] Byliśmy jednak naukowcami, medykami, i jedynie te zajęcia z anatomii pozwalały nam zrozumieć złożoność ludzkiego ciała i posuwać się do przodu w labiryncie wiedzy.

Postanowiliśmy zacząć od imponującego Murzyna, odzianego w prostą, Inianą koszulę, który, wydawało się, nie zginął bezpośrednio od wybuchu.

Roch wziął skórzaną torbę, w której trzymał swoje instrumenty chirurgiczne i w płytkiej rynience rozłożył narzędzia. O dziesięć lat starszy ode mnie, był drugim z kolei synem bogatego armatora. Początkowo kształcił się do stanu duchownego, lecz z powodu swej słabości do kobiet często przeskakiwał chyłkiem przez mur seminarium. Zanim ostatecznie został chirurgiem we flocie, bardzo zresztą biegłym w swym zawodzie, nie mając najmniejszego zamiłowania do interesów, brał udział w wielu zbrojnych wyprawach, pływając na najznakomitszych żaglowcach po wszystkich niemal morzach świata.

Właśnie powrócił z kolejnej,

tym razem nieudanej kampanii na „Furii”, osiemnastodziałowej fregacie. Jej dowódca łaskawie przyjął go wraz z załogą na pokład i wypłynęli na dalekie krańce Morza Śródziemnego. Tam zostali pojmani przez pewnego wschodniego księcia, wrzuceni do lochów, w których przebywali przez cały rok, zanim zostali szczęśliwie oswobodzeni.

Noże, piły, nożyce, rozwieracze, wszystko było gotowe. Ja z kolei przygotowałem welin, pióra i atrament do szkicowania. Roch położył rękę na klatce piersiowej Murzyna i zanurzył skalpel w napiętą skórę brzucha, z którego wytrysnęła czarna, gęsta krew. Wykonał najpierw podłużne cięcie, od gardła do mostka, potem dwa ukośne, w kształcie litery Y. Kiedy zajęty był piłowaniem i wyłamywaniem kości i chrząstek, ja, siedząc na drabinie, kreśliłem pierwsze szkice.

Po ukończeniu tych wstępnych czynności uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, na co odpowiedziałem tym samym. Wtedy, unosząc rękami dwa szerokie płyty skóry i mięśni, otworzył klatkę piersiową niczym rozłożoną księgę.

W tym momencie kolana pod nim się ugięły. Obrócił się, zakręcił wokół własnej osi, a ja spostrzegłem, że twarz mu niezmiernie pobladła, jakby zobaczył coś przerażającego, jakby czegoś ogromnie się przestraszył. Spytałem, co się stało, ale nie mógł wydobyć z siebie dźwięku. Nachyliłem się więc nad ziejącą raną, ociekającym krwią mięsem i osłupiałem ze zgrozy. Jego płuca... jego płuca znikły.

To mogło być tylko dzieło samego diabła.

Zanurzyłem ręce w trzewiach i zrozumiałem, że organy zostały wycięte. Owe okaleczenia na pewno nie powstały w wyniku ataku Anglików, lecz najpewniej jakiegoś demona, który wynurzył się prosto z piekielnych ogni. Pragnąc poznać tajemnicę, odwróciliśmy ciało, obracając je na stole. Przysadzisty i mocny jak dąb, osobnik ten musiał ważyć dobre sto pięćdziesiąt funtów. Jego twarz spoczywała na boku, spomiędzy wykrzywionych warg zwisał język. Na ramieniu odkryliśmy wypukłość przyżeganej skóry, niewolnicze piętno. Roch przesunął światło pochodni wzdłuż pleców, przyglądając się powierzchni skóry. Potem skierował je ku czaszce i zatrzymał w zagłębieniu karku. W tym miejscu skóra sprawiała wrażenie przywiedłej, mniej jędrnej. Zbliżył płomień, w migoczącym blasku ognia owłosiona skóra wydawała się pulsować. Nagle poczułem, że jego dłoń zaciska się na moim przedramieniu.

Tył głowy był tylko jedną czarną dziurą, okoloną brudnymi strzępami skóry i włosów. Owładnęła mną przeraźliwa trwoga, w głowie wyło mi oszalałe brzęczenie podobne do dźwięku wydawanego przez tysiące owadzich skrzydeł. Czaszka była otwarta.

Mózg został również skradziony...

Trwoga. Pierwszym uczuciem, które owładnęło Nathanem, był dławiący strach. Poczuł potrzebę wyrwania się ze stalowej kabiny unoszącego go do Belgii samolotu. Krew, trupy, zgroza...

Ta zbrodnia popełniona została przed ponad trzystu laty! Dlaczego więc czuł się nią tak głęboko wstrząśnięty? Poza tym powinien odnieść się do relacji z pewną dozą sceptycyzmu. Choć w głębi duszy uznał te zdarzenia za autentyczne, wydawały mu się niewiarygodne. Złodzieje trupów, niewolnik... śmiertelnie okaleczony... 1694 rok... Potrzebował czasu. Powinien odłożyć to wszystko na później, żeby wyzbyć się paraliżującego niepokoju, który ogarnął go w czasie lektury manuskryptu. Wszystko skrupulatnie zanotował na oddzielnej kartce, wypełnionej całą masą znaków zapytania umieszczonych na marginesie poszczególnych faktów. Później, znacznie później, spróbuje uzmysłwić sobie ich sens, złożyć poszczególne fragmenty w jeden logiczny obraz. Na razie zadowoli się zgromadzeniem strzępków wskazówek, którymi usiane były ślady tego wydobytego na światło dzienne koszmaru.

Po niecałej godzinie jazdy wynajętym volvem minął Amerikalei, ostatni odcinek drogi prowadzącej z Brukseli do Antwerpii. Wkrótce dotarł do tego flamandzkiego miasta z brukowanymi ulicami i starymi domami, których frontony zdobiły koronki gotyckiego muru z manieri stycznymi wolutami. Zbyt pochłonięty szukaniem drogi w labiryncie uliczek, Nathan zaledwie zauważał otaczające go cuda architektury. Tuż przed wylotem z Mediolanu zadzwonił do Hydry i używając podstępów, upewnił się, że Roubaud jest u siebie w biurze znajdującym się o dwa kroki od dworca kolejowego. Parę minut poszukiwań w Internecie pozwoliło mu rozwiązać kolejny problem: w jaki sposób rozpoznać człowieka, którego ponoć znał, ale absolutnie nie pamiętał. Wszedł na stronę przedsiębiorstwa robót podwod-

nych i znalazł tam fotografię Roubauda. Przedstawiała ona sześćdziesięcioletniego, mocno zbudowanego mężczyznę o surowej twarzy i szpakowatych, ostrzyżonych najeża włosach. Drobny deszcz zaczął tłuc o przednią szybę samochodu. Nathan gwałtownie przyhamował, żeby przepuścić młodą dziewczynę na rowerze, po czym wcisnął się za nią w sznur pojazdów. Przyglądając się drżącym kształtom jej ciemnej plastikowej peleryny, przyrównywał ją w wyobraźni do amazonki popędzającej swego narowistego wierzchowca po skalistej ścieżce. Podążał za jej smukłą postacią aż do samego wjazdu na dworzec. Tam popatrzył, jak odjeżdża ulicą na wprost, podczas gdy sam, zgodnie ze wskazaniem mapy, skręcił w lewo. Po kilku minutach wjeżdżał w elegancką ulicę, oddzieloną od miejskiego zgiełku. Offerandestratt. Był na miejscu.

Budynek Hydry, nowoczesny blok o łamanych liniach, ukazał mu się w niespokojnym, drgającym świetle przebijającym się przez czerń nieba. Wzdłuż fasady ciągnęła się gablota przedstawiająca, niczym nimb świetności Hydry, zdjęcia mężczyzn ubranych w skafandry, pod wodą, na statkach, okrętach podwodnych, platformach naftowych.

Nie zatrzymując się, Nathan minął budynek, chcąc najpierw drobiazgowo obejrzeć okolicę. Wyglądało na to, że firma nie posiada własnego parkingu. To mu ułatwiało sprawę. Okrzył budynek, **sprawdzając, czy nie ma drugiego wyjścia, zawrócił i zaparkował** w niewielkiej odległości od bramy. Miejsce było doskonałe. Mógł stąd swobodnie obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących pracowników. Otarł rękami twarz, jakby chciał usunąć z niej maskę zmęczenia. Postanowił czekać. Tylko w ten sposób będzie mógł otrzymać odpowiedź na dręczące go pytania. Dokładnie o dziewiętnastej otworzyły się automatyczne drzwi, ukazując dwie postacie. Jedną była kobieta w ciemnym kostiumie, owinięta białym wełnianym szalem, drugą zaś przysadzisty mężczyzna, ubrany w kaszmirowy granatowy płaszcz, spod którego widoczny był golf w tym samym kolorze. Nathan przyjrzał się z zainteresowaniem mężczyźnie, przypominając sobie fotografię, na którą natknął się w Internecie. Z całą pewnością był to Roubaud, choć nosił teraz małą siwą bródkę. Mężczyzna i kobieta wymienili kilka słów i każde poszło w swoją stronę. Nathan wyslizgnął się ostrożnie z samochodu i podążył za prezesem Hydry, który szybkim krokiem szedł w kierunku dużego placu

widocznego na końcu ulicy. Oslaniając się przed porywami wiatru, jedną ręką przytrzymał kołnierz płaszcza. Zatrzymał się przed czarnym mercedesem. Otworzył drzwi auta. W chwili gdy miał zamiar wsiąść, Nathan zatrzymał go stanowczym ruchem. Mężczyzna nie mógł powstrzymać drżenia.

- Co to... - odwrócił głowę do Nathana - Falh?

- Chciałbym z panem porozmawiać.

- To nieodpowiedni moment. Muszę... Nathan zatrzęsął drzwiami samochodu.

- Niestety, nie pozostawił mi pan wyboru. Roubaud mierzył go zimnym jak stal wzrokiem.

- Czego pan chce?

- Dowiedzieć się, dlaczego tak usilnie mnie pan unika.

- Jestem niezmiernie zajęty.

- Niech pan da spokój. Zajęty tak bardzo, że nie znalazł pan chwili, żeby zadzwonić do mnie i dowiedzieć się, co się ze mną dzieje?

- Myli się pan co do mnie, bardzo mnie obchodzi to, co się panu zdarzyło, rozmawiałem kilkakrotnie z lekarzami, którzy się panem zajmowali, to wybitni specjaliści, wiem również o pańskiej...

- Pomówmy raczej o misji HCD02 - przerwał mu Nathan.

- Otrzymał pan raport, prawda?

W tej chwili odezwał się dźwięk telefonu. Roubaud sięgnął do wewnętrznej kieszeni palta, przeprasząc.

- Wybacz pan... Halo? Tak. Albert... potwierdzenie z kapitanatu... Leopolddok. Tak, poprosiłem... Van Den Broke, dwóch ludzi, mechanicy... Załoga będzie na miejscu o siódmej... Proszę do mnie jutro zadzwonić.

Ledwie Roubaud się rozłączył, Nathan wypytywał go dalej.

- To, o czym pan mówi, jest sprawozdaniem z wypadku, nie ma tam nic innego.

- Bo nie ma nic innego do dodania. Ekipa miała za zadanie odzyskać ładunek kadmu. I zrobiła to. Koniec kropka! Co pan chce jeszcze ode mnie usłyszeć?

- Pan kłamie, Roubaud. - Na moment zaległa cisza. - Co zdarzyło się w lodach?

- Ostrzegam pana, Falh...

- Co się stało? Robi pan wszystko, żeby zataić pewne szczegóły ekspedycji?

- Jakie szczegóły? Zupełnie nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Te, które skłoniły dwóch łajdaków do próby uprowadzenia mnie nocą ze szpitala w Hammerfest.

- Niech pan posłucha, nie chciałem poruszać tego tematu, ale posunął się pan za daleko. Musi pan wiedzieć, że doktor Larsen poinformowała mnie o przebiegu pańskiej rzekomej... amnezji. Przekazała mi swoje obawy co do pana. Halucynacje, ataki paranoi i cała reszta. Jest pan chorym człowiekiem. Nikt nie chciał pana porwać. Wykorzystał pan ciemności, by uciec stamtąd nocą. Tak było. Ale teraz dosyć już tego. Proszę mnie więcej nie nachodzić.

Roubaud wszedł do samochodu.

Nathan miał ogromną ochotę zatrzymać go i zmusić do mówienia. Ale to tylko skomplikowałoby sytuację. Zdawał sobie z tego sprawę. Roubaud włączył silnik swojego mercedesa i zniknął w ulicznym ruchu.

Nathan wrócił do volva i z dużą prędkością pojechał Gemeente-straat w kierunku l'Escaut. Był wściekły. Roubaud nic mu nie powiedział, kompletnie nic. Jednak ta sytuacja utwierdziła go w przekonaniu, że napaść w Hammerfest łączyła się z misją Hydry. Tylko w jaki sposób? Tego nie wiedział, ale był pewien, że Roubaud coś przed nim ukrywa. Coś, co on zamierzał odkryć.

Dojechawszy do nadrzecznej skarpy, Nathan przyjrzał się mapie, po czym skręcił na prawo, ku dzielnicy Merksem. Nad miastem zapadała noc. W oddali, pomiędzy wierzchołkami drzew, Nathan widział już zarysy bomów ładunkowych i wystrzeliwujące ku mrocznemu niebu błyszczące światła ogromnych statków.

Wjeżdżał do dzielnicy portowej.

Dręczyła go jedna myśl. Nie był pewien planowanego przez siebie posunięcia, ale sądził, że warto spróbować... Przejechał jeszcze kilkaset metrów i zatrzymał się przed oświetloną wystawą sklepu. Od grubego, rudego sprzedawcy kupił latarkę, nożyce, czapkę i sweter w ciemnym kolorze. Potem pojechał dalej, do Ekeren. Stąd mógł dostać się do nadbrzeży portu. Przejechał jeszcze jakieś dziesięć kilometrów wzdłuż niekończących się krętych uliczek, minął tablicę z napisem „Multipurpose Port” i znalazł się na szerokim rondzie. Na fosforyzujących wywieszkach kompleksu portowego widniały nazwy flamandzkie i angielskie: Hansadok, Kanaal Dok, Werde Haven, Churchill Dok, Leopolddok...

Leopolddok.

To była nazwa, którą Roubaud wymienił w swojej rozmowie telefonicznej. Nathan skręcił w prawo i ze zgaszonymi światłami wjechał w pustą drogę dojazdową. Mgła tłumiła blask latarni. Wyjeżdżając z zakrętu, dostrzegł słabe światełko budki wartowniczej straży przemysłowej. Zatrzymał się i ukrył samochód za stosem żelastwa i drew-

nianych, zużytych palet. Chłód morskiego powietrza dawał się coraz bardziej we znaki. Włożył sweter i czapkę, do plecaka wsunął latarkę.

Wejście do doków zamykała dwuskrzydłowa brama, nad którą jeżył się drut kolczasty. Wspinanie się na nią wydawało się zbyt ryzykowne. Nathan przykucnął więc i zabrał się do cięcia krat przy samej ziemi. Zrobił w nich najpierw niewielki otwór, który stopniowo powiększył. Kiedy uznał, że jest wystarczająco szeroki, skulił się, ściągnął ramiona wzdłuż ciała, wsunął się w niego i przeczołgał na drugą stronę. Potem podniósł się i nie czyniąc hałasu, zanurzył się w mrok.

Przemykał pomiędzy nieruchomymi kontenerami, zwracając uwagę, by nie dostać się w zasięg światła padającego kaskadami ze strażniczych wieżyczek. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie skrzypieniem szkieletów statków. Zbliżył się do podłużnego hangaru, w którym między jaskrawożółtymi fenwickami leżały stosy pętli linowych i karabińczyków. Złapał po drodze żelazny pręt, okrążył budynek i wszedł między dwie blaszane ścianki. Chwilę później w mrokach nieba i wody dojrzał nadbrzeże.

Zauważył go niemal natychmiast.

Ciemnoczerwonego i lśniącego tysiącem świateł. Kilka metrów przed nim wznosiła się olbrzymia stewa dziobowa statku. Nie musiał czytać liter, odcinających się na stalowej wypukłości. Znalazł „Pole Explorera”.

ACCESS STRICLY PROHIBITED, oznajmiał napis umieszczony wzdłuż linii wodnicy. Lodołamacz musiał mieć sto dwadzieścia metrów długości. Kolosalna pływająca masa, najeżona łodziami, ciężkim sprzętem, nadbudówkami. Kryjąc się za hangarami, Nathan przyglądał się tej osobliwości, szukając sposobu dostania się na pokład. Sam niewidziany, mógł obserwować większość okien na trzech poziomach pokładu. Wszystkie były ciemne. Na mostku kapitańskim też się nie świeciło. Z wyjątkiem jednego słabego światełka w części, gdzie mogły się znajdować pomieszczenia mechaników, „Pole Explorer” wydawał się pogrążony we śnie. Jak wynikało ze słów Roubauda, załoga miała przybyć dopiero nazajutrz rano, więc prawdopodobnie na pokładzie był tylko jeden lub dwóch marynarzy. Dokładnie na wprost siebie zauważył jakąś kołyszącą się w powietrzu linę. Wyglądało na to, że jest umocowana z boku prawej burty stewy dziobowej, którą opasywała, a dalej zanurzała się w wodzie. To była cuma małej, unoszącej się na powierzchni platformy remontowej. Inna lina konopna łączyła ją ze stałym lądem. Za jej pomocą mógłby wdrapać się niezauważony na statek, od strony kanału. Nathan w okamgnieniu podjął decyzję. Podszedł do brzegu. Musiał działać szybko. Miękkim ruchem ześlizgnął się po murawie nadbrzeża do unoszącego się na wodzie pontonu. Zeskakując, ugiął kolana, by zamortyzować wstrząs. Uchwycił jedną ręką linę, poddał ją próbie, dwukrotnie mocno i gwałtownie pociągając. Potem owinął ją sobie wokół nogi. Podciągając się na niej, rozpoczął wspinaczkę. Wysiłek był ogromny, ale w ciągu paru minut pokonał połowę drogi. Otchłań, nad którą był zawieszony, nie wywierała na nim żadnego wrażenia, koszmarem natomiast wydawała się konieczność przebycia dwudziestu metrów, które mu jeszcze pozostały. Posuwał się do góry jak w amoku, czepiając się liny i wciągając na rękach. Mimo pewnej łatwości, którą był niemal zaskoczony

w początkowej fazie, ciało zaczynało go zawodzić. Ramiona paliły, kurcze skręcały coraz bardziej mięśnie... Na krótką chwilę zatrzymał się i odetchnął, po czym podjął ostatni wysiłek przed dotarciem do poręczy nadburcia. Był już tuż, tuż... wczepił się w poręcz jedną ręką, drugą zaś po omacku szukał punktu zaczepienia. Natrafił na jakiś kawałek żelaza, chwycił go i wspiął się. Ostatkiem sił przerzucił całe ciało do przodu i spadł kilka metrów od wielkiej osi kabestanu.

Z trudem łapiąc oddech, skacząc po dwa stopnie, wbiegł po schodach prowadzących na mostek kapitański. Tutaj miał największą szansę znalezienia tego, czego szukał. Szczelne drzwi były zamknięte na kłódkę. Chwycił zabrany ze sobą żelazny pręt, wsunął go do metalowego pałaka w kształcie litery U i z całych sił się natężył. Przez moment myślał, że narzędzie zegnije mu się lub złamie, ale w końcu kłódka ustąpiła. Przekręcił dwa podłużne, zgrzytające uchwyty...

Blade światło księżyca oświetlało sterownię. Po jednej stronie znajdowały się przyrządy i urządzenia do kierowania statkiem: ekrany radarowe, pokładowe komputery, GPS... wszystkie wyłączone i zabezpieczone przezroczystymi, plastikowymi plandekami. Po drugiej stronie widać było wąskie przejście, wiodące zapewne do pomieszczeń mieszkalnych kadry oficerskiej. Nathan wszedł do korytarza. Mimo że statek nie obudził w nim żadnych wspomnień, nie czuł się tu zagubiony, zupełnie jakby zachował w sobie ślady tych miejsc.

Mała oksydowana tabliczka na drzwiach pierwszej kabiny informowała, że należy ona do drugiego oficera. Następna, na której widniał napis: Chief Officer, do kapitana. Nathan przekręcił mosiężną gałkę, wślizgnął się i zamknął drzwi od środka. Zapalił małą lampkę, która wypełniła pomieszczenie bursztynowym światłem.

Kapitańska kwatery składała się z dużej sypialni, w której znajdowało się proste łóżko, szafa ubraniowa, oraz z łazienki. Wąskie drzwi w głębi prowadziły do gabinetu. Nathan usiadł za prostokątnym, przylegającym do ściany drewnianym biurkiem na tyle szerokim, żeby jednocześnie służyć za stół do map. Nad nim umieszczona była etażerka wypełniona segregatorami i książkami o tematyce morskiej: almanach, tablice podające położenie gwiazd na każdy dzień roku, oraz dwie inne, dotyczące nawigacji w obszarach polarnych. Błat stołu podtrzymywały dwie kolumny szuflad. Nathan otworzył jedną z nich i znalazł plik kartek. Pierwsza zatytułowana była „Wykaz prądów powierzchniowych / Morze Barentsa”

Przekartkował papiery... nic nie znalazł. Druga szuflada okazała się tą właściwą. Zawierała „Log Book”, dziennik pokładowy z 2002 roku. Oficerowie mieli obo-

wiązek zapisywać w nim każde zdarzenie, nie pomijając żadnego szczegółu. Sprawozdanie z ekspedycji musiało więc w nim być umieszczone. Nathan wyciągnął zeszyt oprawiony w czarną skórę, otworzył go na pierwszej stronie, potem na drugiej...

Białe kartki. Nic, tylko białe niezapisane kartki. Oznaczało to, że zeszyt został... podmieniony. Odłożył go, po czym drobiazgowo przeszukał pozostałe szuflady: mapy, długopisy, cyrkle, materiały biurowe... wszystko bez znaczenia. Niczego tu nie znajdzie.

Roubaud maczał w tym palce, jego zachowanie o tym świadczyło. Coś się zdarzyło w Arktyce. Coś na tyle ważnego, że kierownictwo Hydry podjęło ryzyko usunięcia oficjalnych dokumentów. Może przetrzaszając pozostałe pomieszczenia lodolamacza, będzie miał więcej szczęścia. Łatwo było wyczyścić kabinę oficerską, Nathan miał jednak nadzieję, że gdzie indziej znajdzie jakąś wskazówkę, jakiś ślad.

Oglądany z góry, „Pole Explorer” przypominał upiorne miasto, w którym roiły się robaczki świętojańskie. Trzeci pokład był pusty. Wiatr wzmógł się i Nathan słyszał teraz plusk spienionych fal rozbijających się o kadłub statku.

Od czego zacząć? Pomieszczenia dla załogi znajdowały się na rufie. Było to niebezpieczne. Zaczeka, aż marynarz sprawujący wachtę przyśnie albo zajmie się oglądaniem telewizji, co przytępi jego czujność. Wtedy tam pójdzie. Na razie przeszuka kolejno ładownie, komorę hiperbaryczną i pracownię nurków.

Posuwał się między zamkniętymi lukami, wdychając obrzydliwe wyciewy benzyny. Raptem, kilka metrów przed sobą, zauważył zapa-dowe drzwi prowadzące na ślimakowate, strome schody. Ubroił się w latarkę i pogrążył w atramentowej czerni szybu.

Wewnętrzne przegrody ładowni ciągnęły się w dół przez trzy poziomy pokładów. Oby tylko nikt go nie zauważył... Najdłużej jak to możliwe nie będzie zapalał latarki. W miarę jak schodził, wyężając wzrok, by przeniknąć ciemności, czuł rozszerzające się maksymalnie źrenice. Głuche podmuchy wiatru cichły, ustępując miejsca metalicznym odgłosom stopni pod twardymi butami. Wkrótce dostrzegł dno ładowni.

Olbrzymią cementową płytę. Dotarł do poziomu zerowego.

Przeciął ciemność wiązką światła: wewnątrz „Pole Explorera” było zniszczone, trawiona przez rdzę i wilgoć farba odpadała całymi kawałkami. Podłogę zawałono paletami, metalowymi pojemnikami, zwiniętymi kablami. Minał pęk stalowych prętów przytwierdzonych pasami do podłoża, przesadził stos przeżartych przez sól morską przewodów elektrycznych. Nagle, jakieś dziesięć metrów przed sobą, spostrzegł drabinkę. Prowadziła do otworu znajdującego się kil-

ka metrów wyżej. Wsadził latarkę między zęby i wspiął się po szczelach. Korytarz.

Po lewej stronie dostrzegł drzwi, nad którymi zawieszona była oprawka bez żarówki. Za nimi znajdował się magazyn. Do ścian przytwierdzone były skrzynie i haki z wyposażeniem alpinistycznym: zwoje nylonowych lin, czerwonych, niebieskich, pomarańczowych, uprząże, czekany, haki, klamry. Otworzył metalową szafkę. Na półkach leżały czerwone kaski z acetylenowymi lampkami. Na długim wieszaku, poniżej dużych żółtych worków na sprzęt do nurkowania, wisały kombinezony... Nic nadzwyczajnego.

Uwagę Nathana przyciągnął warkot dmuchawy.

Istniało więc połączenie między ładowniami, przez które będzie prawdopodobnie mógł przedostać się na rufę. Opuścił magazyn i wszedł w korytarz kończący się jeszcze jedną, mniejszą ładownią. Przy ścianach zainstalowano urządzenia elektryczne, które wydawały suche trzaski. Omiatające ciemność światło latarki trafiło na grubą płytę z chromowanego metalu z ciężką sztabą. Podniósł wzrok: rząd luminescencyjnych diod wskazywał temperaturę: - 72 ° C. Komora chłodnicza. Położył latarkę na ziemi i całym ciężarem naparł na sztabę. Ustąpiła dopiero po kilku solidnych szarpnięciach. Drzwi otworzyły się z głuchym skrzypnięciem.

Otoczyła go chmura szronu. Zaklinował drzwi w pozycji otwartej i wszedł do środka. Pokryte białym, sykim szronem stalowe przegrody mieniły się perliście. Kłęby mlecznej pary opadały z sufitu i owijały się wokół nóg. Nathan zadrzał i postąpił kilka kroków do środka komory. Bardzo uważnie badał każdy jej zakamarek. Była pusta. Dławiące zimno paliło mu płuca, skóra pokryła się kryształkami podobnymi do drobnego alabastrowego pyłu. Odwrócił się i potknął o kawałek przezroczystego plastiku, wyłaniającego się z kłębow pary. Skierował pod stopy światło latarki. Jakiś szczegół przyciągnął jego uwagę... coś tam było, mały brunatny przedmiot, przymarznięty do ziemi. Pochylił się. Pomyślał, że to kawałek gumy. Wyciągnął po niego rękę...

W tej samej chwili usłyszał jakieś szmery.

Zgasił latarkę, odwrócił się i skulił za obramowaniem drzwi. To już nie były szmery. Wyraźnie słyszał głosy dwóch zbliżających się mężczyzn. Rozróżniał strzępki słów... Szli za nim. Szepty jeszcze bardziej zbliżyły się, potem nastąpiła cisza. Mężczyźni byli niewidoczni, ale znajdowali się gdzieś tam, w ciemnościach. Czuł niemal namacalnie ich obecność.

Przypomniat sobie rozmowę telefoniczną Roubauda... mechanicy. Odkryli jego obecność.

Unieruchomiony w tej przeklętej lodówce, zostanie wysledzony przy najmniejszej próbie ruchu. Ci faceci skoczą na niego, zanim ich dojrzy. Zachwiał się. Żeby odzyskać równowagę, chciał podeprzeć się ręką o ścianę. W ostatniej chwili uświadomił sobie, że dłoń przywrze do zmarzniętego metalu. Jeszcze bardziej się skulił i czekał, mając nadzieję, że tamci zdradzą swoją pozycję.

Chłód coraz bardziej paraliżował mu mięśnie. Kończynami wstrząsały coraz mocniejsze dreszcze. Był to dobry znak: drzenie pozwalało ciału utrzymać temperaturę. Ale co kilka minut wychładzał się o jeden stopień. Wiedział, że wytrzyma jeszcze najwyżej kwadrans. Potem dygotanie ustanie, a to będzie oznaczało, że nie będzie już miał sił do walki. Wpadnie w śpiączkę i w bardzo krótkim czasie serce się zatrzyma. Koniec będzie fatalny. Baterie latarki także wkrótce się wyładują. Wszędzie panowała kompletna cisza, słyszał tylko swój urywany, zamieniający się w lodowe kryształki oddech. Mężczyźni nie uczynili żadnego ruchu. Czekali, aż padnie. Wtedy dopiero po niego przyjdą. Nathan czuł się jeszcze na siłach dać im radę, ale musi działać szybko.

Najpierw wydostać się z tej pułapki. Natychmiast.

Wysunął nogę na zewnątrz. Kątem oka zdołał dostrzec, że stalowe drzwi zostały z ogromną siłą gwałtownie pchnięte w jego kierunku. Napiął mięśnie nogi i z całych sił odepchnął je w przeciwną stronę.

Trzymając w ręku latarkę, wynurzył się z komory chłodniczej. Jeden z mężczyzn leżał nieruchomo na ziemi z zakrwawioną twarzą.

Zaskoczyło go silne uderzenie i fala promieniującego bólu w ramieniu.

To ten drugi.

Skierował światło latarki na chromowane drzwi i dostrzegł mężczyznę gotującego się do ponownego ciosu solidną pałką. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i z ogromną siłą kopnął tamtego w kolano, które, z chrupnięciem wiązadeł, wykręciło się w drugą stronę. Mężczyzna chciał krzyknąć, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Bez słowa zwałił się na ziemię. Nathan przestąpił przez niego i rzucił się przed siebie.

Biegł do utraty tchu, ścigany przeraźliwym wyciem rannego, odbijającym się od ścian metalowego labiryntu niczym cierpiętniczy, obłąkańczy lament. Po chwili był już na pokładzie załadowczym i przebiegał przez trap, prowadzący na stały ląd.

Nie zwolnił kroku. Organizm odczuwał skutki wychłodzenia spotęgowane otrzymanym ciosem. Mięśnie powoli wracały do życia, ale ból stawał się coraz bardziej dotkliwy. Z każdym krokiem miał wrażenie zagłębiania się po kostki w smole. Płuca z trudem napełniały się powietrzem. Nie mógł się zatrzymać. Nie teraz. Przyciskając do tułowia lewe ramię, przyspieszył, by dobiec do bramy. Zdrową ręką utorował sobie przejście w wyciętej kracie i wydostał się na zewnątrz portu. Sądząc po stanie, w jakim zostawił obu mężczyzn, nie byli na razie zdolni wezwać pomocy. Miał więc przed sobą kilka minut. Dotarł do samochodu, szybko wsiadł do niego, zdjął z ramion plecak, włączył światła postojowe. Teraz mógł obejrzeć to, co troskliwie cały czas zaciskał w pięści. Przełożył to coś do zagłębienia dłoni. Przedmiot mierzył mniej więcej centymetr na dwa i wydawał się skręcony, zakrzywiony. Przez chropowatą, nierówną powierzchnię przebiegały drobniutkie smużki w kolorach od brązowego po zielonkawy. Kształt przypominał mu... nie, to niemożliwe...

Nathan ujął przedmiot w palce i zrozumiał, że pierwsze spostrzeżenie było prawidłowe: to była tkanka organiczna.

Paznokieć.

Był to ludzki paznokieć.

Skąd mógł się tam wziąć?

Z pełną prędkością Nathan jechał drogą szybkiego ruchu w kierunku miasta. Mgła zmieniła się w bębniący o asfalt deszcz. W komorze chłodniczej było przechowywane jakieś ciało. Kiedy je wynoszono, paznokcie trupa musiały przywrzeć do zamrożonego metalu... miał dziwny kolor, brzeg płytki wydawał się nosić ślady zgorzeli... Nathan pomyślał o de Wildzie. Tylko lekarz okrętowy może wyjawić mu, co stało się wśród lodów Arktyki. A Nathan będzie umiał zmusić go do mówienia. Pogmerał jedną ręką w kieszeni, wyjął telefon i na świecącej klawiaturze wybrał numer. Jeden sygnał... Dwa... Podnieś, psiakrew, słuchawkę! Trzy... Wjechał w tunel, miedziane światła przesuwały się z ogromną prędkością. Serce waliło mu jak młotem. Cztery... W słuchawce rozległ się zmęczony głos. Nathan niemal krzyknął.

- Doktor Jan de Wilde?

- Nie... Kto mówi?

Facet mówił po francusku z silnym flamandzkim akcentem.

- Nathan Falh, pracowaliśmy razem, mam do niego bardzo pilną sprawę!

- Bardzo pilną... Nic pan nie wie?

- O czym?

- Jan... nie żyje.

Żołądek podszedł mu do gardła. Skręcił gwałtownie na pas awaryjny i włączył światła awaryjne.

- Co pan powiedział?

- Zginął na morzu, w wypadku...

- Bardzo mi przykro, z kim mówię?

- Z jego ojcem, byłem... Mężczyzna wydał zdławiony szloch.

- W jaki sposób... co się stało?

- W czasie ekspedycji polarnej, w lutym...

- Na „Pole Explorerze“?

- Skąd pan wie?
 - Bratem udział w tej ekspedycji... Wie pan, to zbyt długa historia, żeby wszystko panu wyjaśnić przez telefon. Czy możemy spotkać się dziś wieczorem?
 - Pan wybaczy, ale ostatnie tygodnie ciężko mnie doświadczyły...
 - Panie de Wilde, poza śmiercią pańskiego syna w czasie tej misji doszło prawdopodobnie do innych wielce niepokojących zdarzeń. Koniecznie muszę z panem porozmawiać, bardzo proszę...
- Stary człowiek głęboko odetchnął i chwilę się zastanowił.
- Gdzie pan jest?
 - W Antwerpii, w okolicach portu.
 - W jakim czasie może pan do mnie dojechać?
 - Będę za pół godziny, może krócej...
 - Zna pan adres mieszkania mojego syna?
 - St Jacobstratt 35?
 - Czekam tam na pana.

- Nie rozumiem. Czyż nie wspominał pan, że również uczestniczył w tej ekspedycji? Dries de Wilde był starym, wysokim człowiekiem o powolnych ruchach. Zniszczona cera, naciągnięta na kościach twarzy pergaminowa skóra kontrastowały z mocnym jeszcze ciałem. Choć głos zdradzał głęboki smutek, siedemdziesięcioletek skrywał się pod maską nieufności. Nathan zrozumiał, że musi zdobyć jego zaufanie, by otrzymać interesujące go informacje.

- Już mnie tam nie było, gdy zginął pański syn. Wcześniej uległem wypadkowi i zostałem stamtąd ewakuowany.

De Wilde z niedowierzaniem obserwował Nathana, lecz w jego wzroku pojawił się błysk zainteresowania.

- O jakich zdarzeniach wspominał pan w czasie naszej rozmowy telefonicznej?

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Dzisiaj po południu spotkałem się z Roubaudem w siedzibie Hydry. Chciałem dostać od niego informacje na temat przebiegu misji. Nie puścił pary z ust. Mam wrażenie, że coś ukrywa, coś na tyle ważnego, że posunięto się do sfalszowania oficjalnych dokumentów.

- O czym pan mówi? - spytał starzec znużonym głosem.

- Dziennik pokładowy został podmieniony.

- Co pozwala panu tak sądzić?

- Powiedzmy, że wiem o tym. I to wszystko.

- Przez czterdzieści lat byłem oficerem marynarki handlowej i nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym...

- Zapewniam pana, że w dzienniku, który obecnie znajduje się na statku, ani jedna kartka nie jest zapisana.

Mężczyzna machinalnie potarł ręką łysinę usianą brunatnymi plamami.

- Myśli pan, że to może mieć związek ze śmiercią Jana?

- Nie mam pojęcia. Jeśli zgodziłby się pan opowiedzieć mi wszystko, co pan wie... Zaległo milczenie.

- Nawet pana nie znam... Roubaud prosił mnie o dyskrecję. Nie... nie wiem...

- W chwili obecnej wszystko wskazuje na to, że to on właśnie zataił przed panem prawdę. Ja usiłuję jedynie ujawnić, co zdarzyło się na statku i rzucić światło na sprawę śmierci pańskiego syna.

De Wilde milczał przez chwilę, gładząc policzki opuszkami palców. Kołysał się na rozstawionych szeroko nogach.

- A więc dobrze... Kiedy to się stało, byli jeszcze na północy, w Arktyce. Jan z trzema innymi ludźmi wystartował z lodołamacza lekkim helikopterem na lot rozpoznawczy. Mieli się rozeznac w terenie i wytyczyć szlak dla „Pole Explorera” poprzez lody. Rozbili się jakieś trzydzieści mil od niego. System odblokowujący drzwi częściowo funkcjonował, przeżył tylko pilot, który został zlokalizowany dzięki swojej pławie alarmowej. Kapitan natychmiast wysłał drugi helikopter na poszukiwania. Niestety, bez skutku. Na miejsce tragedii przyplłynął następnie statek, spuszczone pod pławę roboty, ale poszukiwania okazały się bezskuteczne. Nie odnaleziono ani ciała, ani maszyny.

- A sam helikopter nie był wyposażony w pławę alarmową?

- Ależ oczywiście, że tak, są to pławy pływające, namierzane satelitarnie, które otwierają się automatycznie, jeśli maszyna nabiera dużego przyspieszenia. Z relacji uratowanego pilota wynika, że przestał pracować jeden silnik i łagodnie osiedli na lodzie, po czym maszyna poszła prosto na dno. To tłumaczyłoby, dlaczego pława nie zadziałała.

- Było przeprowadzone śledztwo?

- Bardzo pobieżne. Policjanci weszli na pokład lodołamacza, przesłuchali kapitana, kilku członków załogi, w tym ocalałego pilota helikoptera. A potem sprawa została umorzona.

- Kto zawiadomił pana o śmierci Jana?

- Roubaud.

- Czy wspomniał coś na temat szczegółów ekspedycji? -Nie.

- Panie de Wilde, zapytam wprost. Wierzy pan w tę wersję wydarzeń?

- Bardzo rzadko wychodzi się cało z katastrofy helikoptera, lecz nie wyjaśnia to, dlaczego Jan znajdował się na jego pokładzie.

- Ca ma pan na myśli?

- Na morzu obowiązują bardzo ściśle procedury, zgodnie z który-

mi lekarz w żadnym wypadku nie powinien był znaleźć się w helikopterze rozpoznającym trasę.

- Rozmawiał pan na ten temat z Roubaudem? -Nie.

- Zgodzi się pan ze mną, że jest co najmniej dziwne, że podczas takiej ekspedycji nie przestrzegano obowiązujących procedur?

-Tak.

- Poinformował pan kogoś o swoich wątpliwościach? De Wilde skulił się.

- Chwileczkę, młody człowieku! Nigdy nie mówiłem, że mam wątpliwości. Ani pana, ani mnie tam nie było i nie ma żadnego dowodu na to, że wypadki potoczyły się inaczej.

Nathan zastanawiał się przez chwilę, czy ujawnić fakt znalezienia paznokcia w komorze chłodniczej. Ostatecznie rozmyślił się i spytał:

- Czy pozwoli pan, żebym rzucił okiem na rzeczy syna?

Gabinet lekarski podzielony był na dwie części. Po jednej stronie zgromadzono wyposażenie medyczne przeznaczone do badań nurków: rower do przeprowadzania testów wysiłkowych, zwoje przewodów, elektrody, oksydowany blak, różne aparaty oddechowe. Po drugiej mieściło się szklane biurko, pod którym stały pudła z dokumentacją i wyłączony komputer. Na blacie leżało kilka celofanowych koszulek na dokumenty.

- Czy Roubaud zwrócił panu osobiste rzeczy syna?

- Są tam odpowiedział Dries, wskazując palcem kartonowe pudło.

Nathan przykucnął i zanurzył w nim rękę. Portfel z cielęcej, glan-sowanej skóry zawierał kilka kart: Visa affaires, Skymiles, legitymację członkowską flamandzkiej federacji wioślarstwa... Zdjęcie legitymacyjne, na którym lekarz leciutko się uśmiechał. Drobnny brunet, oczy ukryte za okularami w metalowej oprawie, niczym niewyróżniająca się twarz. Gdy pozował do tego zdjęcia, nie przypuszczał, że umrze przedwcześnie. Nie wyobrażał sobie własnych ust otwartych do ostatniego, bezgłośnego krzyku, swego rozkładającego się ciała, pożeranego od środka przez kraby, rozgwiadzy...

Czy na pewno w ten sposób zmarł?

Nathan czuł się jak sęp profanujący wspomnienia.

Wziął do ręki terminarz, przekartkował pobieżnie i odłożył. Te rzeczy przeszły już przez ręce Roubauda, jeśli miał coś do ukrycia, usunął każdy kompromitujący przedmiot, zanim je zwrócił ojcu. Tutaj nic już nie znajdzie.

Powinien zidentyfikować pozostałych członków załogi.

- Będę musiał przejrzeć karty pacjentów i kalendarz wizyt.
- Wszystko jest w komputerze. Potrzebny jest kod dostępu, a ja go nie znam.
- Syn nie miał sekretarki?
- Nie, pracował sam.

Nathan nie nalegał i skupił uwagę na następnym kartonie, zawierającym dokumentację różnych ekspedycji organizowanych przez Hydrę. W fioletowej celofanowej koszulce z napisem HCD02 było kilka kartek. Wśród nich e-mail od Roubauda, przesłany 7 stycznia 2002 roku.

od: roubaud@Hydra. com do: jan-dewilde@tiscali. be

Janie,

Zgodnie z umową przesyłam Ci pierwsze informacje dotyczące ekspedycji. Wrak, którym mamy się zająć, został uznany za zaginiony w 1918 roku. Według komandytariusza cywilna ekipa glaciologów natknęła się na niego zupełnie przypadkowo. Postawili pławę Argos na górze lodowej. Dzięki temu jesteśmy w stanie określić pozycję co do metra.

Komandytariusz odnalazł ślady statku i potwierdza, że znajduje się na nim tlenek kadmu (szacunkowo około dwustu beczek, według archiwalnych dokumentów). Jest w formie sześciennych kryształów, które służyły do wyrobu ogniwo elektrochemicznych. Mający je wydostać nurkowie będą mieli stały kontakt z kontenerami. Proszę, żebyś ocenił ryzyko i wziął je pod uwagę przy planowaniu sprzętu, jaki zabierzesz. Nie chcę żadnej wpadki. JPR

Glaciolodzy... zatonięcie w 1918 roku... Tlenek kadmu... Jak dotąd tożsamość komandytariusza nie została ujawniona. Nathan pozbiierał drobne wskazówki i zanotował je w swoim notesie. Inne dokumenty, w języku angielskim, wymieniały liczby dotyczące toksyczności metalu, naukowe dane na temat gleb nieprzepuszczalnych i słabych żywych organizmów. Nathan uważnie je przeczytał i pospiesznie przejrzał resztę papierów. Na luźnej kartce znalazł opis tragicznego losu mieszkańców Tateyamy, górniczego japońskiego miasteczka, którego zasoby wodne, pola ryżowe zostały skażone odpadami z fabryki kadmu. Seria starych

fotografii ilustrowała tragedię. Mężczyźni, kobiety, noworodki: błędny wzrok, sterczące kości, obumierające, zeszywniałe pod kątem prostym kończyny. Były to badania antropometryczne. Ciało, czaszki, twarze wyglądały jakby wyrzeźbione przez samego diabła. Nathan miał już dosyć. Złożył papiery i zrobił szybkie notatki z zebranych informacji.

Mimo wszystkich okropności, które wywoływał, tlenek kadmu był niebezpieczny tylko wówczas, gdy miało się z nim długi bezpośredni kontakt. W związku z tym, nawet jeśli jego kryształy wydostały się na zewnątrz beczek, członkowie misji nie byli zbyt zagrożeni, ewentualne ryzyko zdawało się minimalne. Metal nie mógł więc być przyczyną śmierci Jana de Wilde...

Nathan z drobiazgową dokładnością przeszukał pozostałą część mieszkania, otwierając szuflady, przetrząsając meble, dużą bibliotekę. Dries stał milczący w kącie pokoju. Jego oczy wyglądały jak dwie szklane kule, pęknięte od środka. Zdał się na łaskę losu, śmierć syna załamała go.

Po chwili jednak wymamrotał:

- Chyba mam pomysł... W jaki sposób dotrzeć do informacji o tym, co się zdarzyło na statku...

- Jaki pomysł?

- Manifesty.

- Co to są manifesty?

- Deklaracje celne. Każdy statek musi się podporządkować pewnym ścisłym przepisom. W urzędzie celnym należy złożyć szczegółowy wykaz ładunków i następnie poświadczyć w każdym porcie, do którego statek zawija. Urząd celny w Antwerpii powinien posiadać egzemplarz tego wykazu.

- Można go przeczytać?

- Raczej nie, ale mam znajomego, który w zamian za mały banknot będzie mógł to załatwić...

- Kiedy będzie można dotrzeć do tych dokumentów?

- Nie wiem - odrzekł de Wilde, wpatrując się w podłogę. - Jutro... Kiedy podniósł głowę, Nathan stał przed nim, z kurtką w ręku.

- Teraz, jedziemy tam teraz!

Ulewa przybrała na sile. Rozpościerające się we wszystkich kierunkach chmury pędziły po nocnym niebie, wylewając na doki czarne, lodowate strumienie. Nathan siedział za kierownicą swojego volva, zaparkowanego naprzeciwko urzędu celnego. Minęło już prawie pół godziny, odkąd de Wilde wszedł do betonowego budynku. Niedługo powinien wyjść.

Co wykaże manifest? A jeśli Roubaud też go sfałszował? To mało prawdopodobne, bo zdaniem de Wilde'a kontrole są bardzo surowe. Jeśli można teoretycznie w jakiś sposób wytłumaczyć utratę dziennika pokładowego, najmniejsza próba przemytu stanowiłaby ogromne ryzyko dla kierownictwa Hydry. Zapalił papierosa.

Jednocześnie ukazała się zalewana strugami deszczu sylwetka Driesa. Nathan wyciągnął rękę i otworzył drzwi samochodu. Starzec wszedł, przemoczony do ostatniej nitki. Po samochodzie rozniosła się woń mokrej wełny.

- Udało się, dostałem odpis zupełny dokumentów - wysapał, zdejmując czapkę i płaszcz.

- Co to nam da?

De Wilde rozerwał wilgotną kopertę i wyciągnął z niej plik papierów, zadrukowanych małą, szarawą czcionką.

- Nie miałem czasu, żeby dokładnie się temu przyjrzeć, ale już teraz mogę panu powiedzieć, że pańscy przyjaciele zawinęli po drodze do portu przeładunkowego, którego nie było w programie. Proszę bardzo, niech pan sam zobaczy.

Nathan zapalił wewnętrzne światło i wziął dokumenty. Ceduła przewozowa określała jasno, że lodołamacz miał udać się za koło polarne i wrócić bez zawijania do żadnego portu.

- Teraz niech pan spojrzy na stemple, na dole strony. Antwerpen. Urząd celny w Antwerpii ostemplował dokument

dwukrotnie, w przeddzień podniesienia kotwicy i w dniu powrotu. Były jednak jeszcze dwa inne stemple, noszące daty 22 i 23 lutego. Nathan na głos odczytał nazwę portu:

- Longyearbyen...

Nazwa ta była mu zupełnie nieznana, ale rozpoznał skandynawskie brzmienie.

Spojrzał na Driesa:

- Zawinęli do portu w Norwegii?

- Dokładniej na Spitsbergenie, największej wyspie archipelagu Svalbard. Najdalej wysunięty łód przed wielkim lodem. Głównym jego miastem jest Longyearbyen.

Uśmiech rozjaśnił twarz Nathana, stary trafił w dziesiątkę.

Przejrzawszy w świetle lampki samochodowej pierwszą część dokumentów, postanowili wrócić do mieszkania zmarłego Jana. Na-then zaparzył kawy i już niemal od godziny ślęczeli nad kartkami, rozłożonymi na kuchennym stole. Manifest dzielił się na dwie wyraźne części. Pierwsza stanowiła wykaz wszystkiego, co przewoził statek, od elektronicznych urządzeń nawigacyjnych zaczynając, na kuchennych kranach kończąc. Druga przeznaczona była na spis towarów ewentualnie załadowywanych lub wyładowywanych w trakcie rejsu. Mężczyźni rozdzielili pracę między siebie. Każdy miał zbadać po równej części dokumentów, systematycznie porównując stan ładunków.

Bardzo prędko odkryli, że „Pole Explorer” wcale nie przewiózł beczek załadowanych szkodliwymi substancjami, po które został wysłany z misją. W całym dokumencie kadm nie pojawił się. Nigdzie.

- Co oni narozrabiali... - mruknął pod nosem Nathan. - Może w ogóle nie mogli dotrzeć do wraku. W sprawozdaniu z wypadku napisano, że jego część została zgnieciona przez lody... Mogli więc próbować dotrzeć do beczek, a potem zrezygnowali. Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego zatrzymali się na Spitsbergenie.

- Jeśli o to chodzi, myślę, że można wykluczyć konieczność zaopatrzenia się w olej napędowy. Taki statek z łatwością może przebyć całą trasę, w obie strony, bez pobierania po drodze paliwa. Być może miało to związek z rozbiciem się helikoptera albo może mieli jakieś problemy techniczne...

Postanowili jeszcze raz przewertować papiery. Zadanie ich polegało na ponownym, gruntownym przejrzaniu spisów, przeanalizowaniu wszystkiego, wyśledzeniu najdrobniejszego szczegółu. Zbadanie całości ładunku naprowadzi ich, być może, na właściwy trop.

- Znalazł pan coś? - spytał Nathan po piętnastu minutach.

- Nic - westchnął de Wilde.

- Tracimy tylko czas... Liczenie garnków nie doprowadzi nas do

niczego. Trzeba się inaczej do tego zabrać. Ukierunkujmy poszukiwania. Ma pan spis sprzętu medycznego?

Dries poślinił palec, przekartkował plik, oddzielił z niego część kartek, podał je Nathanowi, który sprawdził fragmenty dotyczące komory hiperbarycznej i wyposażenia lekarza okrętowego. Nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. Prawdziwy szok przeżył dopiero, kiedy znalazł nieduży plik kartek stanowiących załącznik, przypięty do ostatniej strony. Jedną z nich była kopia protokołu sporządzonego przez antwerpski Urząd Morski. Po przeprowadzeniu kontroli sprzętu ratowniczego stwierdzono, że na „Pole Explorerze” było tylko siedem worków na zwłoki. Tymczasem zgodnie z obowiązującymi międzynarodowymi przepisami na każdym statku handlowym powinno ich być dziesięć.

Trzech brakowało.

Nathan był przekonany, że nie wchodziła tu w grę nieuwaga. Zerknął na zegarek. Dwudziesta trzecia pięć.

- Dries, nie ma pan czasem prywatnego numeru Roubauda?

- Mam na komórkę... Co się stało?

- Proszę mi go podać.

Starzec poszperał w portfelu, wyciągnął wizytówkę, podał ją Nathanowi, który natychmiast na swojej komórce wybrał numer.

- Co się stało... Niechże pan mówi!

- Chwileczkę...

W słuchawce usłyszał głos.

- Roubaud?

Szef Hydry odezwał się dopiero po krótkiej chwili:

- Falh?

- Co się stało z workami na zwłoki?

- To pan zrobił cały ten burdel na lodołamaczu?

- Tak, ja. I ostrzegam, że to dopiero początek, jeśli nie powie mi pan, co stało się z tymi cholernymi workami na ludzkie mięso.

- Niech pan się zajmie swoimi sprawami, dobrze?

- Z jakiego powodu był ten postój na Spitsbergenie?

- Gdzie pan jest?

- Co się przydarzyło lekarzowi okrętowemu? Skąd wziął się ten paznokciec, który znalazłem w komorze chłodniczej?

- Falh... gdzie pan jest? - chłodno powołał pytanie Roubaud.

W jego głosie wyczuwało się groźbę. Nathan się rozłączył. De Wilde złapał go za ramiona. Miał zaczerwienione oczy, głos mu drżał.

- O co tu chodzi? Co to za historia z paznokciem?

- Nic nie wiem.

Starzec trząsł się cały, nie próbując już powstrzymać łez, spływających mu po zapadniętych policzkach. Wzmocnił słabutki uścisk na ramionach Nathana.

- Jest mi pan winien wyjaśnienie. Muszę wiedzieć, jak zmarł mój syn.

- Niechże się pan uspokoi. Jest jeszcze zbyt wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków.

- Posłużył się pan mną, Janem...

- Nikim się nie posłużyłem. Po prostu lepiej, żeby pan nie był w to wszystko zamieszany.

- Ja... ja zawiadomię policję.

- Nie robi pan tego. Jak sam pan powiedział, nie ma żadnego dowodu na to, że Jan zmarł w innych okolicznościach niż te, o których mówił Roubaud. Nie może pan nic zrobić.

- Łajdaku! Jest pan niegodziwcem.

Jednym ruchem ramienia Nathan oswobodził się z uścisku. **Wyszedł** na korytarz i szybko zbiegł schodami w dół.

Deszcz ustał i w wilgotnym asfalcie zaczynały odbijać się światła miasta. Idąc do samochodu, Nathan spoglądał na ulicę rozpalającą się tysiącami drżących złotych kropelek. Zachował się brutalnie, nie czuł się z tym dobrze, ale zrobił to w konkretnym celu: nie mógł wziąć sobie na kark tego starca, a tym bardziej uwikłać go w historię, z którą tamten nie byłby w stanie sobie poradzić. W duchu poprosił go o wybaczenie.

Śledztwo, na które się zdecydował, całkowicie opanowało jego myśli. Zatrzymał się, wznosił oczy ku niebu.

Nic tu nie pasowało. Brak metali ciężkich na statku... Katastrofa helikoptera...

Zniknięcie worków na zwłoki... Zawinięcie do portu na Spitsbergenie...

Same niejasności. Nathan nie wierzył w ani jedno słowo oficjalnej wersji wypadków.

Jego zdaniem trzech ludzi zmarli w zupełnie inny sposób, a ich ciała nie zaginęły.

Niezbitym tego dowodem był ludzki paznokieć znaleziony w komorze chłodniczej.

Roubaud i załoga ukryli prawdę.

Co jednak chcieli zataić? Co się takiego stało, że podjęli ryzyko wymyślenia całej tej historii?

Istniał tylko jeden sposób, by rozwikłać tę zagadkę.

Puszyste chmury otulały świat niczym pierzaste całuny. Świat tajemnic i śmierci. Analizując ostatnie wydarzenia, Nathan odniósł wrażenie, że pogrąża się coraz bardziej: każde kolejno otwierane drzwi zawierały nową, niezrozumiałą zagadkę. Poprzedniego dnia wieczorem pojechał do Brukseli, spędził noc w hotelu położonym niedaleko lotniska i o świcie wsiadł do samolotu lecącego do Oslo. Stamtąd udał się na samą północ, do Tromsø, gdzie z kolei przesiadł się na samolot regularnej linii, łączącej kontynent z archipelagiem Svalbard.

Zajął swoje miejsce, zgodnie z poleceniem stewardesy zapiął pas i niemal natychmiast dwusilnikowy samolot linii Baarhens wzniósł do góry dziób, zanurzając się w mglistych oparach. Przez chwilę widać było jedynie łopaty śmigieł tnące gęste kłęby mgły...

Po niedługim locie widoczność się poprawiła i w dole ukazały się szare wyspy o ostrych kształtach, wyglądające jak kamienne korony dumnie wznoszące się ku niebu. Wokół nich, rozczłonkowana, pływająca ławica lodowa okrywała czern oceanu. Widok ten skojarzył się Nathanowi z alabastrowym dziedzińcem kościelnym. Samolot krążył jeszcze dziesięć minut nad archipelagiem, potem wylądował na wąskim pasie.

Hala przylotowa znajdowała się w bloku z surowego betonu i była oblepiona kolorowymi plakatami reklamowymi, przedstawiającymi rodzinne wycieczki kajakowe, skiboardy i okazy miejscowej flory i fauny. Koło siedemnastej Nathan odebrał swój bagaż i wsiadł wraz z innymi pasażerami do minibusu, kursującego między lotniskiem a zamarzniętym miastem.

Wciśnięte między nadbrzeże i góry, Longyearbyen w rzeczywistości nie miało w sobie nic z miasta. Była to w gruncie rzeczy nieduża, przypominająca stację badawczą osada. Jej drewniane, kolorowe domy, rozsiane w przyprawiającej o zawrót głowy dolinie, przypominały różańcowe paciorki.

Kierując się wskazówkami kierowcy, Nathan wysiadł przy Radis-son Polar Lodge. Luksusowy hotel o drewniano-metalowej konstrukcji, usytuowany był na szlaku wszystkich arktycznych ekspedycji. Nathan dostał jasny, przestronny pokój z widokiem na dolinę i morze. Najprościej byłoby pójść teraz do urzędu celnego lub administracji portu, lecz ze względu na to, że jego śledztwo musiało być tajne, jakikolwiek kontakt z władzami nie wchodził w grę. Tutaj, wmieszany **w tłum pierwszych w sezonie** turystów, **miał największe szanse, by pozostać** niezauważony. Wyjdzie później, pod osłoną ciemności, która będzie jego najlepszym sprzymierzeńcem. Będzie mógł się swobodnie poruszać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Teraz miał godzinę dla siebie.

Przejrzał szuflady biurka i natknął się na prospekt, stanowiący jednocześnie spis telefonów i przewodnik po archipelagu. Wyciągnął się na łóżku i zaczął go przeglądać. Na pierwszej stronie wymienione były bary, sklepy, kościół i instytucje publiczne, na odwrotnej natomiast znajdował się plan miasta. W ciągu dwudziestu minut wbił sobie w pamięć wystarczającą ilość informacji o rozmieszczeniu bloków mieszkalnych, głównych ulic i portu, by móc bez problemu poruszać się w tym nowym dla siebie miejscu.

Zbliżała się dziewiętnasta. Podniósł się z łóżka i spojrzął w okno. Nad zatoką zapadała noc. Nadszedł czas, by wyjść na łowy.

Czternaście stopni Celsjusza poniżej zera. Tarcza elektronicznego termometru umieszczonego na fasadzie hotelowego budynku przez całą dobę wskazywała zewnętrzną temperaturę. Nathan nasunął czapkę na uszy, włożył rękawice i wcisnął ręce do kieszeni kurtki. Postanowił zejść szlakiem przeznaczonym dla skuterów śnieżnych, łączącym się na dole z drogą dla pieszych, która z kolei prowadziła do centrum miasta.

Potężny wichur przegnał chmury i niebo stało się czyste i połyskliwe. Nathan jak we śnie maszerował przed siebie rażnym krokiem. Piaszczyste, szare wybrzeże przesycone było zapachami jodu, morskiej **piany i wodorostów. Przechodząc przez most na Longyear-eiva**, zamrożonej rzeczce dzielącej dolinę na dwie części, omiół spojrzeniem strome morskie brzegi i grzywiaste fale rozbijające się w księżycowym świetle. Spod topniejącego śniegu ukazywały się czarne plamy trawy, usianej pierwszymi białymi pączkami arktycznych kwiatów. Doznał wspaniałego uczucia, gdy tak w samotności stanął twarzą w twarz z pierwotną surowością żywołów, z poszarpanymi, nagimi skałami, pustą przestrzenią, czuł na policzkach delikatny powiew wiatru... Było to głęboko zakorzenione wrażenie, cząstka jego samego, pulsująca w ciele w rytm bijącego serca.

Od wyjścia z hotelu, kiedy to minęła go mała grupka turystów, nie spotkał na swej drodze żywej duszy. Domy były puste, miasto sprawiało wrażenie opuszczonego. Czuł, jakby był tu jedynym żywym człowiekiem. Dopiero po dojściu do skrzyżowania Skjoeringa znowu dostrzegł obecność ludzi. Okna domów były rozświetlone, salwy śmiechu odbijały się z daleka szerokim echem. Przyspieszył kroku. Po dziesięciu minutach znaleźli się nad wodą.

Portowe baseny składały się z trzech pogłębionych dokami nabrzeży, w których unosiły się ogromne fragmenty pływającej ławicy lodowej. Mroźna bryza smagała Nathanowi twarz. Poszedł wzdłuż doków. Naprzeciw oświetlonych barów i sklepików ciągnęła się linia drewnianych i aluminiowych statków. Wszystkie były zakotwiczone do pontonów. Nieco dalej, z tyłu, kołysały się w mroku dwa wodno-płaty. Wszystkie budynki skierowane były frontem do portu i pełnego morza. Kiedy „Pole Explorer” zawinął do tego portu, ktoś musiał go widzieć, nie było możliwości, by pozostał niezauważony. Postanowił rozpocząć swoje indagacje od kawiarni.

Znalazł ją naprzeciwko nieczynnej stacji Sheila. Oba budynki, oddalone od siebie o jakieś piętnaście metrów, były długimi, blaszanymi, sinopopielatymi ruderami, z rozsuwanymi drzwiami i oknami. Nathan pchnął automatycznie zamykające się drzwi i przeszedł przez salę. Po prawej stronie dwóch mężczyzn o lekko skośnych oczach, z wyrazem skupienia na twarzach, grało w szachy. Rosjanie, pomyślał Nathan, siadając przy wyłożonym beżową ceratą drewnianym stoliku. Przy bufecie, pod zbyt jasno świecącą, neonową lampą, hałasując i wybuchając co chwila głośnym śmiechem, zarośnięci olbrzymi pili piwo prosto z butelek. Poza kelnerką, która już szła w jego kierunku z bloczkiem zamówieniowym w ręku, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Była bardzo jasną blondynką, o bladej cerze i policzkach niemal tak czerwonych, jak szminka, którą miała umalowane usta.

- Mówi pani po angielsku? - spytał Nathan, kiedy wilgotną gąbką przecierała ceratę.
 - Daję sobie radę, co panu podać?
 - Kawę z ekspresu.
 - Nie mamy ekspresu. Rozpuszczalna?
 - Może być... Dawno tu pani pracuje?
 - Trzy lata. Dlaczego pan pyta?
 - Zastanawiam się... Widziała pani tu w porcie statek... Idoła-macz „Pole Explorer”?
- Nathan zauważył, że u wskazującego palca prawej ręki brakowało jej paliczka.

- Kiedy?
- Pod koniec lutego. Namyslała się przez chwilę.
- Nie, żałuję, nie przypominam sobie.
- Może pani przyjaciele przy barze coś będą pamiętali? Po krótkiej chwili spytała:
- Jest pan gliną?
- Nie, dziennikarzem - wymyślił na oczekaniu Nathan.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do olbrzymów.

Machinalnym ruchem zsunęła tacę na bar i szturchnęła największego z nich, który wykonał w jej kierunku sprośny gest. Pozostali wybuchnęli hałaśliwym rechotem. Raptem wszyscy ucichli, tylko dziewczyna coś mówiła. Mężczyźni uważnie jej słuchali. Jeden z nich spojrział w kierunku Nathana, który odwrócił wzrok w kąt sali. Potem wznowili rozmowę, jakby nic się nie stało.

Kelnerka wlała do filiżanki jasnobrązowy płyn, z kartonowego pudełka wyjęła jeden biszkopt, wszystko ustawiła na tacy i wróciła. Postawiła przed nim namiastkę kawy i powiedziała.

- Nic nie wiedzą.

Jasne było, że od tamtych niczego się nie dowie. Jednym haustem wypił letni płyn i postanowił kontynuować gdzie indziej swoje poszukiwania.

Przechodząc przez salę do wyjścia, zauważył, że stolik Rosjan jest pusty. Nawet nie zauważył, kiedy się ulotnili. Zapłacił rachunek i wyszedł w ciemną noc.

Większość lokali była jeszcze otwarta. Nathan wszedł do następnego i postawił te same pytania. Napotkał te same ponure spojrzenia, te same negatywne odpowiedzi. Wrogość w stosunku do obcego, który zboczył z utartych ścieżek, była wyczuwalna. Marynarze nie lubią pytań ani kłopotów. W każdym barze było tak samo. Półtorej godziny później był już po siedmiu kawach i czterech herbatach, dwa razy okrążył cały port, ale nie uzyskał najmniejszej nawet informacji.

Będzie musiał wymyślić inny sposób działania.

Było już koło dwudziestej pierwszej, kiedy zdecydował się na powrót do hotelu.

Przyjdzie tu jeszcze nazajutrz rano, może pracownicy Shella okażą się bardziej rozmowni. Szedł wąską, wijącą się między domami uliczką, aż doszedł do Highstreet. Główna arteria Longy-earbyen górowała nad doliną. Drżące światła miasta przypominały konstelacje gwiazd, przytulonych do siebie jakby dla ochrony przed mrozem. Podziwiając rozpościerający się przed nim widok, Nathan

zwolnić kroku. Nagle jakiś dochodzący z tyłu szelest kazał mu odwrócić głowę. Dokładnie skontrolował wzrokiem ulicę i ukryte w mroku zaułki. Nie doszedł go żaden dźwięk, nie zobaczył nikogo ani nic podejrzanego. Musiał to być odgłos jego własnych kroków. Spróbował się odprężyć i poszedł dalej, ale instynkt wysyłał mu ostrzegawcze sygnały.

W nocnej ciszy ponownie usłyszał skrzypnięcie lodu. Ktoś się poruszał za nim w ciemnościach, dostosowując swój oddech do jego oddechu. Nie przyspieszając kroku, Nathan skręcił w prawo i wszedł w małą uliczkę. Po kilku metrach zatrzymał się i zawrócił. Cofając się krok po kroku po pozostawionych przez siebie śladach, dotarł do ogrodzenia i ukrył się za nim.

Obce kroki zbliżały się.

Nathan wstrzymał oddech i zza nierówno zbitych desek starał się wzrokiem przebić ciemności. W odległości kilku metrów przed sobą dostrzegł zarysy potężnej sylwetki, rozpoznał czapkę i unoszący się wokół niej obłoczek pary. Postać szła po wijących się wzdłuż ogrodzenia śladach. Nathan odczekał, aż podejdzie bliżej, i wyłonił się z mroku tuż przed nią.

- Szukasz mnie?

Mężczyzna wdrygnął się, Nathan chwycił go i przycisnął do ogrodzenia.

Ta twarz... to był jeden z Rosjan z kawiarni.

- Czego ode mnie chcesz?

- Jaja słyszeć słowa... od ciebie do kelnerki - odpowiedział Rosjanin łamanym angielskim. - Ja... ja widzieć duży lodołamacz...

- „Pole Explorer“?

Mężczyzna przytaknął. Nathan rozluźnił chwyt.

- Wiesz, dlaczego zatrzymał się tutaj?

- Ile zapłacisz?

Nathan sięgnął ręką do kieszeni i podał mu banknot pięćdziesięciu euro.

- Na zodiacu... Oni jechać do Horstland. Ludzie zejść na ziemię.

- Horstland?

- Wyspa wielorybnicza opuszczona.

- Coś ty tam robił?

- Rybak, ja idę szukać kosze do łowienia.

- Wiesz, co oni tam robili?

- Oni pójść do stara wieś. Ja nie wiedzieć dlaczego.

- Ile trzeba czasu, żeby tam dopłynąć?

- Cztery godziny.

- Możesz mnie tam zabrać?
- Nie, zabronione.
- Trzysta euro.
- Ty przychodzisz jutro do port. Piąta godzina. Mój statek to „Stromoi”.

Trawler prześlizgiwał się czarnym kanałem, który utworzył się w samym środku pękniętej ławicy lodowej. Oczy Nathana stopniowo przyzwyczajały się do ciemności i mógł teraz odróżnić stalową stwę dziobową, która lawirowała pomiędzy wielkimi, gładkimi jak marmur, lodowymi blokami.

Choć na pierwszy rzut oka trawler Sławy Minenki nie wydawał się niczym szczególnym, po wejściu do środka Nathana zdumiała osobliwość statku. Każdy znajdujący się tam drobiazg tchnął nadzwyczajnym urokiem. Wyłożone bladoniebieską boazerią ściany kabiny ozdobione były bursztynowymi różańcami, krzyżami i ludowymi ikonami przedstawiającymi prawosławnych świętych, namalowanych bezpośrednio na drewnie. Pod każdym ze świętych obrazów umieszczone były, zapisane cyrylicą, teksty psalmów. Nathan przyglądał się chwilę wciśniętemu w gruby sweter kapitanowi, jego zniszczonej, spierzchniętej, noszącej piętno samotności twarzy, otoczonej długimi, czarnymi pasmami włosów zebranych w kucyk z tyłu głowy, jego spojrzeniu utkwionemu w połyskującym z dala horyzoncie... Żył w świecie żarliwości i zabobonów. Prawdopodobnie była to cena, którą musiał zapłacić za swą wolność.

Wstawał dzień i na wybrzeżu ukazały się połacie świeżego śniegu. Od czasu wypłynięcia z portu, to znaczy od dwóch godzin, mężczyźni zamienili ze sobą zaledwie parę słów, jakby w obliczu przytłaczającego świat smutku mowa przestała być użyteczna. Nathan zszedł do kambuza, nalał sobie mocnej herbaty z ciężkiego samowara ustawionego na podwieszanej kuchence i wrócił do nadbudówki.

Wycierając zaparowany luk, zauważył, że ziemia przybrała czarną barwę; wielkie pióropusze gryzącego dymu biły w lodowate niebo. Z dala wyłoniły się kontury miasta, które wyglądało, jakby pochodziło z koszmarnego snu: przeżarte rdzą hangary, zarysy budynków przyprawiające o zawrót głowy, zawieszane nad zboczem brzegowej stromizny betonowe budowle. W niczym nie przypominało Longyearbyen i jego pa-

stelowej zabudowy, całość kojarzyła się raczej z miasteczkami tworzonymi przez Sowietów w latach pięćdziesiątych.

- Co to jest? - spytał Nathan.

- Barentsburg, rosyjska enklawa. Własność kompanii górniczej Trust Arktikugol. Lata pracy, żeby powstało miasto. Sprowadzić beton, dźwigi, a potem kopać fundamenty. Bardzo trudno robić fundamenty z powodu wiecznej zmarzliny. Ta ziemia tutaj, zamrznięta przez okrągły rok, trzeba rozsadzać dynamitem. Są tu tylko Rosjanie i Ukraińcy. Szukają węgla. Dziewięćset mężczyzn i dwadzieścia kobiet. Tam żyłem w pierwszym moim życiu.

- W twoim pierwszym życiu?

- Tak. Ja urodzony bardzo daleko od Spitsbergen, w Chabarow-sku, nad rzeką Amur. Ojciec Rosjanin, matka Chinka. - Gestem ręki pokazał na swoje migdałowe oczy. - Jak miałem lat dwadzieścia, pojechałem do Barentsburg zarabiać pieniądze. Jem, śpię, pracuję tutaj lat dziesięć. Kiedyś, dziewiętnastego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego, świder przedziurawił pod ziemią kieszeń metanową. Był wybuch metanu. Było nas trzydzieści cztery górnicy, na dole, dwadzieścia trzy z nich martwi, kaput, koniec. Następnego dnia ja zjechałem z ratownikami do szybu po ciała. Moja dusza została tam na dole, w grobie, razem z moimi towarzyszami.

- A twoje drugie życie to ten statek?

- Tak, „Stromoi” to po norwesku „wyspa w morskim prądzie”, nie chcę już mówić po rosyjsku. Żyję z połowów: krewetek zimą, pod lodem, a soli latem.

Sława ucichł na chwilę, po czym spytał:

- A ty? Mieszkasz w Paryżu? -Tak.

- Masz żonę paryżankę?

- Nie. Nie mam żony.

- Ja też nie mam, tutaj lepiej być psem niż Rosjaninem - powiedział z grymasem zniechęcenia na twarzy. - Wczoraj słyszałem, że ty jesteś dziennikarz. Czego szukasz na tamtym statku?

- Sądzę, że przewoził materiały zanieczyszczające środowisko.

- Myślisz, że złożyli to na wyspie?

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

- Dlaczego ty robisz to?

- Chcę znać prawdę.

- Prawdę, dlatego przychodzisz z Francji aż tutaj? - spytał niedowierzająco Rosjanin.

- Tak - skłamał Nathan.

- Dziwne - powiedział Sława.
- Co jest dziwne?
- Ty, dziwny facet, też trochę... **stromoi**. Popatrz tam - powiedział, wskazując palcem w kierunku skalistej wysepki, wynurzającej się z mgły. - To tam, na tamtej wyspie widziałem ludzi z lodołamacza.
Byli już blisko.

Wokół ruiny Horstlandu wznosiły się wzgórza pokryte grubym dywanem traw. Nie było natomiast ani jednego drzewa, żadnych roślin, których wysokość przewyższałyby krzewy. Wiejący wiatr ożywiał roślinność, przez co teren przypominał olbrzymie zielone, falujące morze. Za skalistym cyplem ukazało się opuszczone miasteczko, przycupnięte nad małą, usianą brudnym śniegiem zatoczką, pełną ogładzonych przez wodę kamieni, zawalonej żelastwem i ogromnymi miedzianymi kotłami, w których dawniej gotowano tłuszcz wielorybów. Dalej jeszcze, po drugiej stronie zatoki, sterczały wraki statków niczym unieruchomione na mieliźnie wielkie szkielety lewiatanów.

- Holendrzy, Baskowie... tysiące ludzi przybywa tu w osiemnastym wieku. Wtedy łowcy wielorybów szaleją na wodach Arktyki. Ćwiartują zdobycz. Morze jest czerwone od krwi...

Kiedy tylko ukazało im się molo, Sława włożył pomarańczową pelerynę i powiedział:

- Bliżej nie można podejść, bo podwodne skały. Zawiozę cię tam szalupą. Ty brać ster i być pod wiatr. Ja rzucić kotwicę. Żaden gwałtowny ruch!

Nathan podporządkował się poleceniom, lecz na widok zbliżającego się wybrzeża utracił nagle całą siłę ducha. Jakby właśnie dotarło do niego, co za chwilę odkryje. Już poprzedniego dnia po rozmowie z rybakiem domyślił się, dlaczego zawinął tu lodołamacz. Wiatr otworzył z trzaskiem drzwi sterówki, wpuszczając do niej zapach ziemi. Tym razem nie była to woń wiosny, rodzącego się życia, lecz gryzący fetor przypominający odór rozkładających się ciał. Zapach śmierci.

Potężnymi ruchami wiosel Sława posuwał naprzód swoją łódź, która z trudem torowała sobie drogę wśród fal. Po minięciu cypla prześlizgnęli się między olbrzymimi skałami pokrytymi ptasimi odchodami i obwieszonymi czarnymi glonami. W odległości kilku metrów od brzegu Rosjanin zwolnił tempo, pozwolił łodzi dryfować aż do skalistego wybrzeża, po czym wskoczył do wody i wyciągnął ją na kamienie. Ustalili, że Nathan sam pójdzie na zwiady do miasta, a Sława będzie na niego czekał na pełnym morzu, by nie zwrócić uwagi patrolu straży powietrznej. Przyptywając na zakazaną wyspę,

rybacy narażali się na poważne kłopoty. Nathan chwycił torbę, w której miał lornetkę, cyfrowy aparat fotograficzny, parę dodatkowych rękawic i dwie rakietę sygnalizacyjne otrzymane wcześniej od Sławy.

Już miał odchodzić, kiedy Rosjanin złapał go za rękaw.

- Czekaj!

Wsunął rękę pod poręcz nadburcia i wyciągnął stamtąd czarny karabin z krótką kolbą.

- Shotgun toz-194. Rosyjska produkcja. Naboje Brenekę, kaliber 12/70, specjalnie na białe niedźwiedzie. Dużo ich tutaj. - Załadował broń z cichym trzaskiem i podał ją Nathanowi. - Masz siedem strzałów. Jeśli zobaczysz jednego, nie biegnąc, dać mu podejść na trzydzieści metrów. Wtedy wycelować i strzelić. Ja przyjechać po ciebie za dwie godziny.

Z kamienistego brzegu biegł szlak, który dochodząc do wymarłego miasta, rozwidłał się na dwie drogi. Jedna prowadziła do baraków, druga wspinała się zakosami do starego kościoła z na wpół zrujnowaną dzwonnica. Nathan skupił się na chwilę.

Musiał myśleć szybko, przewidzieć wszystkie możliwości.

Był pewien, że ludzie z „Pole Explorera” przywieźli tutaj ciała lekarza i dwóch pozostałych ofiar, ukryte w workach na zwłoki. Coś się jednak nie zgadzało. Jeśli katastrofa helikoptera była oczywistym kłamstwem, Nathan nie umiał znaleźć wytłumaczenia, dlaczego Hydra podjęła ryzyko pozostawienia śladów, dlaczego ludzie Roubauda po prostu nie pozbyli się ciał, wrzucając je do morza. Posuwając się naprzód, badał wzrokiem okolicę w poszukiwaniu jakiegoś zapomnianego przez marynarzy śladu, jakiejś mogącej naprowadzić go na trop wskazówki. Wokół widział jednak tylko lód, trawę i skały. Zatrzymał się przed przecznica, która kiedyś musiała być tu główną ulicą, rozdzielającą miasto na dwie wyraźne części. Z jednej strony, skupione były budynki mieszkalne - małe, obrosnięte porostami, zrujnowane domki, noszące ślady żółtawej i czerwonej farby - z drugiej, około dwudziestu opuszczonych budynków - z rozwalonymi murami, powybijanymi szybami, powyrywanych wieżbami, wszystko jakby unieruchomione przez stulecia. Od bardzo dawna nie było już tu żadnego śladu ludzkiej obecności. Nathan minął miasto i poszedł ścieżką biegnącą wzdłuż urwistego brzegu, kierując się ku niewielkiemu, skrzypiącemu w podmuchach wiatru kościołowi. Przechodząc koło niego, rzucił okiem do środka przez szparę w bocznej części. Promienie bladego światła odbijały się od wyrwanego dzwonu. Ponad ołtarzem

wznosił się jeszcze krzyż, ale wewnątrz świątyni było całkowicie zrujnowane. Ziemia między powywracanymi ławkami pokryta była piórami i ekskrementami ptaków. Ze wszystkich stron dobiegał łopot skrzydeł i przytłumione pogwizdywania rybitw. Nawet sam Bóg opuścił to sanktuarium.

Nathan obszedł kościół, posuwając się po stromym morskim brzegu, i zobaczył pagórek, na którego szczycie wznosiły się drewniane krzyże, tak krucho i delikatne, że wydawały się roztopiać w świetle poranka. Cmentarz liczył około trzydziestu grobów. Nathan przeskoczył wąską barierkę wytyczającą terytorium umarłych. Wejście zawałone było kilofami, łopatami, zbutwiałymi linami, szaflikami do wywożenia ziemi. Koślawe krzyże, wyblakłe i popękane od mrozu, sterczały z utrzymującego się ciągle jeszcze na wyspie lodu. Nathan dużymi krokami przemierzył żałosne alejki, szukając śladów pozostawionych przez ludzi Hydry. Van der Boijen, Smith, Kowalski. Na niektórych grobach widniały nazwiska holenderskie, angielskie, polskie. Większość jednak była bezimienna. Nathan dokładnie im się przyjrzał, żaden nie wyglądał na świeży. Ziemia nie została skopana, nie było tu marynarzy z lodołamacza. Niemożliwe jednak, żeby się pomylił. Ciała musiały znajdować się gdzieś na wyspie. Nadal pozostawało zagadką, gdzie zostały ukryte. Przypominając sobie słowa Rosjanina na temat panującej tu wiecznej zmarzliny, Nathan wpadł na nowy pomysł. Było mało prawdopodobne, by ludzie Roubauda drążyli groby, posługując się ładunkami wybuchowymi. Znaczyło to, że musieli znaleźć jakiś teren z miękką ziemią. Postąpił kilka kroków w kierunku klifu. Stąd rozciągał się widok na miasto, zatokę i całe północne wybrzeże wyspy. To na pewno do tego brzegu przybił zodiak. Jeszcze raz się rozejrzał. I z prawej, i z lewej strony, jak okiem sięgnąć, rozciągało się kamieniste wybrzeże i urwisko.

Wybrzeże.

Oczywiście... to idealne miejsce, nie trzeba było kopać, wystarczyło odrzucić kamienie, a potem przykryć nimi trupy.

Nagle jego uwagę zwróciła jasna ruchoma plama.

Wziął lornetkę, skierował ją na horyzont, wyregulował ostrość.

Niedźwiedź polarny. Kilkaset metrów od brzegu zwierzę wściekle drapało kamienisty grunt. Nathan zbadał wzrokiem teren w bezpośredniej jego okolicy. Podłoże przekopano na powierzchni czterech lub pięciu metrów kwadratowych. Odległość była jednak zbyt duża, by dostrzec, czym zwierzę jest tak zainteresowany. Co on tam wyrabiał?

Bestia wyprostowała się na moment, jakby wyczuła obecność intruza. Wtedy Nathan dojrzał wystającą z dołu czarną tkaninę, zamek błyskawiczny wyrwany do połowy długości... Widok ten go sparaliżował. Niedźwiedź znalazł worki ze zwłokami. Właśnie pożerał ciała.

Nathan wskoczył na skalistą ścieżkę, przebiegł doliną aż do kamienistego brzegu. Kiedy znalazł się w odległości pięćdziesięciu metrów od zwierzęcia, wziął głęboki oddech, naładował broń i wystrzelił raz w powietrze. Ociężałym, niezgrabnym ruchem bestia zwróciła się w jego kierunku, podniosła na tylne łapy, zmierzyła intruza ślepiami, potem, jakby nic się nie stało, znowu zanurzyła pysk w grobie. Ponieważ nie miała zamiaru odejść od zwłok, Nathan postanowił, że ją do tego zmusi.

Przygotował broń do kolejnego strzału i zaczął podchodzić do zwierzęcia. Kroki stukały o kamienie w rytm pulsującej mu w żyłach krwi.

Zbliżywszy się na dwadzieścia metrów, przystanął i oddał drugi strzał w powietrze. Przeciągły ryk rozdarł ciszę. Nathan zobaczył, jak bestia gramoli się z dołu, odwraca w jego stronę, unosi na tylnych łapach i orze powietrze olbrzymimi pazurami. W wyprostowanej pozycji zwierzę mierzyło niemal dwa i pół metra, między obwisłymi wargami błyskały ostre jak noże kły. Nathan głośno przełknął ślinę, nie miał prawa spudłować, wystarczy jedno uderzenie potężnej łapy, by go zabić. Powoli okrążył niedźwiedzia, chcąc stanąć przodem do wiatru, by zwierzę nie zwęszyło potu, którym oblewał się ze strachu.

Pięć.

Tyle naboju mu pozostało. Wystrzelił jeszcze dwa i podszedł trochę bliżej. Gdy znalazł się w odległości sześciu metrów, sparaliżował go gorący oddech bestii. Skierował broń w parujący pysk. Od kolejnego wściekłego ryku omal nie popękały mu bębenki. Niedźwiedziem wstrząsnęły drgawki i rozeszły się wzdłuż grubego futra na karku. Nathan jeszcze raz załadował broń, jeszcze raz wystrzelił, mierząc tym razem między ogromne łapy. Ani przez chwilę nie ugiął się pod mrocznym spojrzeniem dzikich ślepiów, nie pokazał po sobie dławiącego go strachu.

Nagle zwierzę wykonało głową wahadłowy ruch, opadło ciężko na łapy i nieoczekiwanie zaczęło się wycofywać.

Dało za wygraną.

Nathan ledwo w to wierzył. Zwyciężył.

Z drżącymi jeszcze kolanami, cały czas złożony do strzału, obserwował oddalającego się niedźwiedzia. Dopiero gdy odszedł odpowiednio daleko, odłożył broń na ziemię i zbliżył się do rowu.

Niebo zakrywały ciemne chmury, wicher chlastał po kamieniach wybrzeża wyglądającego jak stalowe morze. Nathan wsunął się do rowu pomiędzy zeszywniałe worki ze zwłokami, częściowo przysypane kamieniami.

Pierwszą rzeczą, która go zaskoczyła, był całkowity brak odoru. Tutaj śmierć była czysta, bez robaków toczących ciało, bez jego rozkładu. Z wierzchniej, rozszarpanej części pierwszego worka, wycierała karminowa gmatwanina odłamków kości, posiwiałych włosów i płatów skóry. Pochylił się, by dojrzeć zniekształcone rysy twarzy. Padlinożerca zaczął pożerać już twarz nieboszczyka, więc identyfikacja była niemożliwa. Resztki siwych włosów wskazywały jednak, że nie mógł to być lekarz. Schylił się do następnych worków, gołymi rękami wydobył je spod zamarzniętych kamieni, drapiąc paznokciami, kawałek po kawałku usuwając lodową zaprawę wciśniętą w najmniejszą nawet szczelinę. Teraz dopiero rozsunął na całą długość suwak drugiego worka. Jednym zdecydowanym ruchem rozchylił brzegi ciemnej, zeszywniałej na mrozie tkaniny.

Poczuł skurcz serca.

Dwoje szklistych oczu w ciemnej oprawie spoglądało na niego zza przezroczystej plastikowej błony. Pokryta cienką warstwą szronu płachta otulała trupa niczym diamentowy całun. Ta śmierć nie przypomina snu, pomyślał Nathan, pochylając się, by przyjrzeć się zastygłej twarzy. Włosy pokryte były lodowymi perełkami, wykrzywione w makabrycznym grymasie czarne wargi ukazywały obrzmiałe, jeszcze bardziej czarne dziąsła, z wystającymi z nich fragmentami pożółkłych zębów.

Coś tu się nie zgadzało.

Skóra miała dziwne zabarwienie. Wydawała się chropowata i wysuszona, jakby zmumifikowana. Nathan rozpruł zgrabiętymi palcami zimną plastikową płachtę. Od razu dostrzegł metalową plaketkę z wizerunkiem cesarskiego orła przyczepioną do wełnianej kurtki w kolorze khaki... Pochylił się nad trzecim workiem, odstłonił ciało. Taki sam mundur, skamieniała twarz, wyschnięte, poznaczone czarnymi żyłami ręce, wystające ścięgna...

Żołnierze.

To byli niemieccy żołnierze z pierwszej wojny światowej...

100

Wszystko się pogmatwało. Nathan podniósł się, zataczając, i przyjrzał fakturze worków. Były nylonowe, bez wątplenia pochodziły z „Pole Explorera”. Nagle coś przyszło mu na myśl. Dłonie... Wyjmował je, jedną po drugiej, oglądając poszczególne palce każdego nieboszczyka. U drugiego z nich na kciuku u prawej ręki ziała otwarta rana. Znaczyło to, że paznokieć znaleziony na podłodze komory chłodniczej „Pole Explorera” nie został wyrwany ani lekarzowi, ani innemu członkowi załogi. Należał do tej mumii...

Jedna część tajemnicy została wyjaśniona.

Penetrując wrak w poszukiwaniu kadmu, nurkowie natknęli się na te ciała. Z jakiego jednak powodu wydarli je ze stalowego grobowca? Dlaczego postanowili pochować je na tym kamienistym wybrzeżu? W głowie miał mętlik, cała ta historia wydawała się bez sensu. Podniósł się i przystąpił do grzebania ciał, kiedy dostrzegł długie, wyraźne rozcięcie, rysujące się na bluzie jednego z żołnierzy.

Oblał go zimny pot.

Upadł na kolana, drżącymi rękami uniósł strzępy wilgotnego materiału, odsłaniając fioletowawe ciało i sterczące kości. Klatka piersiowa była brutalnie rozcięta od obojczyka po kość łonową. Płuca zostały usunięte. Wiedziony instynktem, uchwycił rękami głowę nieboszczyka, przekręcił ją gwałtownie, łamiąc kręgi... czaszka z tyłu była rozplątana, wyskrobana wewnątrz do samej kości... pusta.

Te okaleczenia... były identyczne z tymi opisanymi w manuskrypcie Eliasa.

Powiązania, których poszukiwał, znajdowały się tutaj, dowodziły tego ciała nieboszczyków.

Paryskie lotnisko Charles'a de Gaulle'a 27marca 2002 godzina 20.00

Nathan szedł w tłumie pasażerów, próbując utorować sobie drogę do strefy bagażowej. Od dzisiejszego ranka, kiedy opuścił Spitsbergen, usiłował poustawić sobie elementy tej zagmatwanej układanki. Niemal bezustannie miał przed oczami koszmarne obrazy z wybrzeża na Horstlandzie. Kiedy ochłonął z pierwszego wrażenia, jakie wywarło a nim odkrycie, którego dokonał, z zimną krwią obejrzał trupy, usiłując zrozumieć, jakimi technikami się posłużono, usuwając z nich organy. Potem aparatem cyfrowym porobił zdjęcia. Wyżłobienia na kościach czaszki i klatki piersiowej świadczyły o użyciu piły. Aby odciąć ' wyjąć tkanki miękkie - skórę, mózg, płuca - trzeba było użyć jakiegoś narzędzia krojącego w rodzaju skalpela. Co do jednego nie miał wątpliwości: to była robota profesjonalistów.

Wrak nigdy nie przewoził tlenku kadmu, ludzie Hydry pojechali specjalnie po te ciała. Nathan odkrył prawdziwy cel misji „Pole Explorera” i ciemne sprawy Roubauda, ale do rozwiązania tajemnicy było jeszcze daleko.

Koszmar trwał od dawna. Zabójcy od wieków pozostawali nieznanymi, a upływ czasu nie przerwał bezkarnych działań ich następców. Co nimi powodowało? Jaki był ukryty sens okaleczeń? Trzeba natychmiast skontaktować się z Woodsem.

Odtworzenie dalszego ciągu manuskryptu powinno pomóc w ustaleniu nowych powiązań między przeszłością i teraźniejszością.

Zerknął na wiszące monitory i skierował się do wyjścia numer 4, w którym odbierali swoje bagaże pasażerowie przybywający z Wiednia, Malty i Oslo. Tłum rozdzielił się już na grupy stojące wzdłuż taśmowych transporterów. Nathan włączył swój telefon komórkowy i od razu wybrał numer Malatestiany. Dwa dzwonki, potem głos:

- Ashley...
- Nathan! Co się z panem działo?
- Właśnie wróciłem do Paryża. Dużo podróżowałem.
- Dowiedział się pan czegoś?
- Wielu rzeczy.
- To znaczy?
- Jeszcze tkwię na lotnisku, wokół jest mnóstwo ludzi, zadzwonię z domu.
- Z domu? Niech pan nie zapomina, że pana szukają.
- Doskonale pamiętam, ale w tej sytuacji ja sam nie będę musiał ich szukać, sami do mnie przyjdą.
- Niech pan będzie ostrożny.
- Proszę się nie martwić. Czy prace nad manuskrypcem posunęły się do przodu?
- Tak. Czekałem na wiadomości od pana, żeby przekazać dalszy ciąg.
- Co w nim jest?
- Tekst jest bardzo zniszczony i nie byłem w stanie odtworzyć w całości wszystkich fragmentów. Z czytelnych urywków udało mi się jednak wywnioskować, że Roch, dzięki koneksjom swego ojca, armatora, odnalazł ślad Afrykanina na podstawie wypalonego na jego ramieniu piętna. Był to niewolnik nazywający się Barrack, który uciekł od swojego właściciela, a potem się przedostał z Nantes do Saint-Ma-lo, utrzymując się dzięki swym magicznym zdolnościom...
- Czarownik?
- No właśnie. Teza przedstawiona w manuskrypcie, że człowieka tego nie było na pokładzie piekielnego statku, wydaje się potwierdzać. Nie miał prawdopodobnie nic wspólnego z Anglikami. Przypuszczalnie jego ciało zostało podrzucone przez mordercę, tuż przed lub po ataku, w celu ukrycia go pomiędzy innymi trupami. Z kolei Elias pisze, że przeprowadził sekcję i znalazł w kolanach coś w rodzaju płytek kostnych. Jego zdaniem takie zwyrodnienie mogło być wynikiem długotrwałego unieruchomienia. Niewolnik był prawdopodobnie więziony przez wiele miesięcy w ciasnym pomieszczeniu. Te informacje pozwoliły Eliasowi i Rochowi dotrzeć do niejakiego Alei-stera Ewena, Szkota zwanego Badaczem. Był łowcą czarownic. Dotarłem do fragmentu, w którym szykują się, żeby złożyć mu wizytę. Reszta tekstu jest zrozumiała i bardzo interesująca.
- Może mi pan coś przysłać na wieczór?
- Zaraz to załatwię.
- Wspaniale, a więc do usłyszenia.

Taśmowy transporter ruszył o dwudziestej trzydzięci. Stojąc w tłumie innych podróżnych, Nathan śledził przesuwane się pierwsze bagaże. Spieszno mu było do domu, by jak najprędzej zapoznać się z tekstem z manuskryptu. Szybko rozpoznał swoją walizkę. W chwili gdy schylał się po nią, poczuł w karku coś jakby ukłucie. Zachwiał się, zawadził o czyjeś ramię.

- Źle się pan czuje?

- Tak... to chwilowe... przepraszam.

W pierwszej chwili pomyślał, że to zmęczenie, potem, że reakcja na rewelacje Woodsa... Ale nie. Powód był inny. Zareagował w ten sposób na jakiś sygnał, na kogoś lub coś, co zobaczył lub usłyszał, co mózg podświadomie zarejestrował. Co to mogło być? Omiótł spojrzeniem halę, przypatrując się twarzom, walizkom, ubraniom... chciał ponownie sprowokować u siebie dziwną reakcję. Jakaś barwna plama przyciągnęła jego wzrok. Biały znak... umieszczony na niebieskim płótnie: ptak o wykrzywionym dziobie i przytulone do niego dziecko... widok czterech identycznych toreb podróżnych odjeżdżających na wózku wywołał nową falę mrowienia w karku. Należały do grupy podróżnych kierujących się ku wyjściu. Z prawej strony, trzymając w ręku tabliczkę, zbliżał się do nich kierowca w liberii. Nathan podążył w tamtym kierunku.

Spojrzał na czarne litery wypisane na tabliczce: żydowskie nazwiska, należące prawdopodobnie właśnie do tych podróżnych... Nazwa hotelu, Sofitel Paryż.

Podszedł jeszcze bliżej i spytał:

- Bardzo panów przepraszam, co przedstawia ten znak na bagażach?

Niewysoki, przysadzisty mężczyzna, zapewne jedyny spośród nich władający francuskim, uśmiechnął się leciutko i po chwili odpowiedział:

- To logo organizacji humanitarnej, do której wszyscy należymy. Nazywa się ona One Earth.

Dopiero teraz Nathan zauważył towarzyszącą grupie młodą kobietę: delikatna twarz o matowej cerze, blond loki w popielatym odcieniu opadające kaskadami na ramiona.

- A ptak - spytał Nathan - co to za ptak?

- Ibis - powiedział mężczyzna.

- Aha, ibis... Dziękuję.

Zanim Nathan się oddalił, jego wzrok jeszcze raz napotkał spojrzenie kobiety. Jej oczy były wilgotne od łez. Instynktownie podążył za nią.

Proszę pani... Nie usłyszała, więc przyspieszył kroku.

- Proszę pani - powtórzył, dotykając lekko jej nadgarstka.

- Czego pan chce?

Jej francuski był bezbłędny.

- Moje pytanie może się pani wydać dziwne, ale... czy pani nie spotkała mnie już kiedyś?

Nie zatrzymała się.

- Nie, nie wydaje mi się.

- Wygląda pani na... zaniepokojoną. Proszę spróbować sobie przypomnieć, to bardzo ważne.

Przystanęła i wbiła w niego chmurne spojrzenie. Widać było, że jest wstrząśnięta.

- To nie chodzi o pana. Proszę zostawić mnie w spokoju. Terminal przepelniony był podróżnymi, pozostali z tyłu za jej grupą. Jeden z mężczyzn odwrócił się:

- **Machlomka, Rhoda?**

- **Ken, ani magio*.**

Nathan chwycił ją za ramię. Dłoń zamknęła się jak szpon na gładkiej skórze.

- Niech mnie pan puści!

- Nie wierzę. Dlaczego tak dziwnie patrzyła pani na mnie?

- Nigdy w życiu pana nie widziałam! Dość tego! Niech się pan ode mnie odczepi.

Jest pan kompletnie pomyłony!

Wyzwolili się gwałtownym szarpnięciem i krzyknęła coś po hebrajsku do swoich towarzyszy.

Niewysoki, przysadzisty mężczyzna odwrócił się i zawrócił do nich, torując sobie drogę pod prąd wśród wychodzącego tłumu.

Przestraszony Nathan cofnął się szybko.

To właśnie jego się bał.

Dlaczego tak się zachowywał? Odwrócił się jeszcze raz, szukając wzrokiem młodej kobiety, ale zniknęła gdzieś w tłumie. Zrzucił torbę na ramię i cały czas będąc pod mocnym wrażeniem niedawnego incydentu, poszedł w kierunku postoju taksówek. Zupełnie zwariował. Kompletnie mu odbiło.

* - **Wszystko w porządku, Rhoda? -Tak, już idę (hebr.).**

Kiedy Nathan dotarł do domu, dochodziła dziesiąta. Zostawił bagaże w przedpokoju i sprawdził automatyczną sekretarkę - nie było żadnej wiadomości ani faksu. Nie przyszła też żadna poczta. Wyglądało na to, że nikt na niego nie czekał. Odniósł wrażenie, że mieszkanie zachowało ślad jego poprzedniej bytności. Po raz pierwszy od chwili przebudzenia w szpitalu czuł, że wraca do siebie. Uczucie to trochę go uspokoiło, choć jeszcze cały czas był pod wrażeniem niemiłej przygody na lotnisku. Zaparzył sobie mocnej herbaty, spróbował pierwszy łyk, wyczuł charakterystyczną goryczkę. Dopiero potem rozsiadł się na podłodze. Przez moment zastanawiał się, czy od razu zadzwonić do Woodsa. Odłożył to jednak na później. Porozmawia z Anglikiem dopiero po zapoznaniu się z treścią e-mailu.

Ręce mu się trzęsły na myśl, że manuskrypt wkrótce ujawni nowe informacje. Włączył komputer i podłączył go do gniazdka telefonicznego. Połączenie uzyskał bez najmniejszego problemu. Po kilku sekundach na ekranie wyświetliła się skrzynka pocztowa.

Miał nową wiadomość.

Śmiertelnie okaleczony niewolnik Barrack... Aleister Ewen, zwany Badaczem... nazwiska, obrazy kłębiły się w głowie, mieszając ze wspomnieniem sprofanowanych na Spitsbergenie grobów...

Kliknął na załącznik, wprowadził hasło i pogrążył się w lekturze manuskryptu Eliasa.

Opuściliśmy Saint-Mało, [...] naprzeciw osad Portes Rouges. Za jednego sola bezzębny żebrak powiedział nam, że Badacz od trzech dni nigdzie się nie ruszał, i poprowadził nas do niego przez ruchome piaski, które z pewnością pochłonęłyby nas żywcem, gdyby nie jego przewodnictwo.

Budowla, mały fort o rogach ostrych jak szable, wznosiła się na krańcu pionowej, wynurzającej się z mulistego brzegu skały. [...]

Załomotałem we wrota kołatką i głośno wykrzyknąłem swoje nazwisko.

Sama myśl o spotkaniu z tym człowiekiem, o którym mówiono, że jest największym na świecie katem, napełniała mnie trwogą. Opowiadano nawet, że nie zadowalał się samym mordowaniem swych ofiar. Jednemu ze swych sługusów, który był rzeźnikiem, kazał potem ćwiartować ciała, piec je, po czym przyrządzał sobie z nich posiłki.

Nikt się nie pojawił. Wszędzie panowała cisza. Przez pewien czas wahaliśmy się z Rochem, co czynić, ostatecznie postanowiliśmy wkroczyć do jaskini tej dzikiej bestii.

Strzałem z pistoletu otworzyłem ukryte drzwiczki i pchnąwszy je, pierwszy zszedłem do podziemi budowli.

W nozdrza uderzył nas metaliczny, doskonale nam znany odór.

Odór krwi.

Krew była na ścianach, krwią nasiąknięte były rozrzucone na ziemi trociny. Przypadek sprawił, że dotarliśmy do samego źródła zła, w sam środek piekła, do sali tortur.

Widok, jaki ukazał się naszym oczom, dobitnie świadczył, że pogłoski krążące na temat Szkoła nie były czystym wymysłem. Narzędzia tortur wydały nam się przerażające. W półmroku połyskiwały obręcze najeżone ostrzami [...] pogrzebaczce, cęgi, uchwyty, brzeszczoty. Pod granitowym sklepieniem kołysały się żelazne klatki, niewiele większe od baryłek wódki. Pchany jakąś niewidzialną siłą, posuwałem się w głąb tego tajemnego miejsca. Dotarłem do ciemnej, okrągłej sali. Wzniosłem oczy i dojrzałem szeroki przewód paleniskowy, z którego zwieszały się grube, szerniałe od ognia łańcuchy. Stos, zaimprovizowany stos. Pod nogami ujrzałem szarawy okrąg z wygaśniętych, spalonych węgli, wymieszanych ze spopielonymi ludzkimi szczątkami. Pośrodku tego makabrycznego dywanu dostrzegłem otyłe zwłoki Ewena.

Razem z Rochem przykucnęliśmy przy tym potworze, przy tej sflaczałej bryle pozbawionej owłosienia, bardziej cuchnącej niż zanieczyszczony odchodami wieprz. Okrutnik upadł twarzą w palenisko. W chwili gdy zbliżałem dłoń, by go odwrócić, całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Żył.

Chwyciliśmy go we dwóch i wspólnym wysiłkiem udało się nam przekręcić go na plecy. Twarz miał upapraną wymiocinami i pianą wymieszanymi z popiołem. Otworzył oczy, z których wyzierało przerażenie.

Chciałem jak najspieszniej dowiedzieć się, co się stało. Wydawane przez Ewena dźwięki sprawiały wrażenie, że chce mówić, ale z jego gardła wydobywały się tylko strużki jasnej żółci. Z kolei Roch zapytał o Murzyna, czy spotkał się już z nim, czy wie, jak się nazywa... Te sło-

wa spotęgowały jeszcze przerażenie Ewena, zatrzęsł się znowu niczym galareta, z gardła wydarło się ostatnie rżenie, ciało wygięło się do góry i opadło, wznosząc dławiący tuman kurzu i popiołu. Tym razem to był już koniec.

Uczyniliśmy nad nim znak krzyża, po czym nie przestając myśleć o pomszczonych nieszczęsnych ofiarach tego okrutnika, zaczęliśmy szukać przyczyn śmierci. Obejrzałem język, uniosłem powieki, by zbadać oczy. Sądząc po ich ołowianej barwie i braku na ciele zmarłego jawnych śladów przemocy, którymi naznaczone było to miejsce, przyjęliśmy prawdopodobieństwo rozległego procesu chorobowego.

Przez całą powrotną drogę [...] usiłowaliśmy [...] zrozumieć [...] zebranych dowodów.

Było oczywiste, że nasz Murzyn dostał się w ręce Ewena, który znał zabójcę. Wyobrażałem ich sobie połączonych jakimś diabelskim paktem, toteż instynkt podpowiadał mi, że w tym wszystkim nie chodziło o zwykłe uprawianie czarów, ale o zupełnie inną tajemnicę, znacznie okropniejszą i niezgłębioną.

Do miejskich rogatek dotarliśmy tuż po zapadnięciu nocy. Miasto zalewały strugi deszczu, pędzone gwałtownymi porywami północno-zachodniego wichru. Pożegnałem Rocha i udałem się do domu mego przyjaciela; Pierre Jugan był naczelnym aptekarzem i mieszkał przy ulicy Micauds.

W otwartych przede mną drzwiach ukazała się niezmiernie brzydka, dziobata twarz, należąca do mężczyzny o nikłej posturze. Obdarzył mnie mocnym i serdecznym uściskiem. Wszedłem i bez ogródek wyłożyłem cel swojej wizyty. Znałem dobrze Jugana, opowiedziałem mu więc wszystko, począwszy od historii niewolnika, na śmierci Badacza kończąc. Jeśli, jak dałem mu do zrozumienia, wszystko wskazywało na to, że umarł na jakąś chorobę, nie mogłem powstrzymać się od myśli, że być może został otruty. Tylko Jugan mógł mi pomóc ustalić przyczynę śmierci. Z torby wydobyłem płachtę materiału, w który, zanim opuściłem zmarłego, zawiązałem szklane fiołki i cieniutkie kartki pergaminu, zawierające próbki pobrane ze zwłok. Była tam krew, cuchnące mazie żółci i śluzu, odchody i kosmyk rzadkich włosów. Na widok tych preparatów niejedyn dostałby mdłości, lecz twarz aptekarza rozjaśniła się w uśmiechu. Wiedział, że badanie tego, co przyniosłem, może pomóc zidentyfikować osobę, która tę truciznę sporządziła. Nie było czasu do stracenia.

[...]

Laboratorium apteczne, umieszczone na pierwszym piętrze szpitala, było wspaniałą salą wyłożoną dębową boazerią, zastawioną szajkami i re-

gałami, na których ustawione były pojemniki z żegadłami, maściami, odwarami i różnymi składnikami farmaceutycznymi. Gdzieś tam poniewierały się recepty, przywodząc na myśl niewtajemniczonym rebusy wypełnione kabalistycznymi, nieczytelnymi znakami. Pośrodku, na długich stołach oświetlonych przez kandelabry, rozmieszczono aparaty destylacyjne, węzownice, moździerze i różne szklane naczynia używane przez aptekarzy. Pierre włożył obszerną bluzę z czarnego lnu, przygotował kilka buteleczek, których zawartość, jak podejrzewam, stanowiły różnorakie eliksiry reagujące na wszelkiego rodzaju trucizny. Następnie, niczym alchemik, zabrał się do pracy.

Kiedy w końcu zwrócił się w moją stronę, a była już niemal północ, wiedziałem, sądząc po szerokim, malującym mu się na twarzy uśmiechu, że wyizolował naszą substancję.

Była to trucizna zwana cantarella, opisana przez Paolo Jovio w jego dziele „Historia sui temporis”. Do jej sporządzenia konieczny był bezwodnik arsenowy który, zdaniem Jugana, można było kupić wyłącznie od weneckich kupców zaopatrujących się na Wschodzie i w Indiach. Następnie trzeba było wziąć zdechłą świnię, rozpruć jej brzuch i obsypać trucizną trzewia. W dalszej kolejności należało zwierzę powiesić na haku na tak długo, aby najpierw mięso uległo rozkładowi, a następnie dokładnie wyschło. Kiedy już osiągnęło taki stan, wystarczyło oskrobać szerniałe, zmacerowane tkanki i ubić je w moździerzu na mialki proszek. Był on słabo znany przez ekspertów, a jednocześnie niezwykle skuteczny, jeśli wsypało się go do wina lub pożywienia tego, kogo chciało się wyprawić na tamten świat.

Morderca musiał być bogatym człowiekiem, który spotykał się z podróżnikami lub sam podróżował. W takim jednak mieście jak Saint-Malo, gdzie połowa mieszkańców wypływała na morza szukać fortuny, te wskazówki do niczego nie prowadziły. Musiałem przyjąć inny tok rozumowania. Zastanowiło mnie, że ten człowiek nie wybrał przypadkowej trucizny. Niektórzy uważają stosowanie tortur za sztukę, jest nią również zatajenie zbrodni popełnionej za pomocą trucizny. A w tej dziedzinie mój zabójca był niezrównany. Miałem do czynienia z wirtuozem, człowiekiem niezwykle wykształconym, wyrafinowanym i oryginalnym. Toteż by do niego dotrzeć, musiałem wślizgnąć się w jego skórę, działać w taki sam sposób jak on. Zacisnę wówczas wokół niego pętlę i cała prawda wyjdzie na jaw.

Na tych nowych stronach manuskryptu Eliasa nie było żadnej wskazówki, która umożliwiłaby Nathanowi ustalenie jakiegoś związku z trupami odnalezionymi w lodach Arktyki. Na pewno nie chodziło

0 zbrodnię będącą wynikiem praktyk magicznych. Ekspedycja „Pole Explorera” dowodziła, że okaleczenia kryły znacznie dziwniejszą tajemnicę. Innym ciekawym punktem była historia trucizny. Proces sporządzania jej dobitnie świadczył o zamiarze ukrycia zbrodni przez jej sprawców. Chociaż szczegół ten w chwili obecnej nie był Nathanowi przydatny, zanotował go i na nowo odczytał cały dokument. Trudno mu się jednak było nad nim skupić.

Coś innego bowiem zaprzętało jego myśli: młoda kobieta z lotniska.

Włożył kurtkę i zbiegł ze schodów. Z Woodsem porozmawia po drodze.

Ulice były puste. Zapalił papierosa i ruszył w kierunku bulwaru Raspail.

Rhoda... Miała na imię Rhoda.

W czasie lektury tekstu z manuskryptu wielokrotnie przymykał oczy, przypominając sobie twarz nieznajomej, usiłując przekonać się, czy wywołuje w nim jakieś skojarzenie. Na próżno. Za każdym razem rysy zlewały się, tworząc mglisty obraz, który po chwili rozpadał się w filigran pośmiertnej maski. Wolałby wrócić teraz do siebie, pośledzić nad tekstem, ale zrodziły się w nim dręczące podejrzenia, że on i nieznajoma już kiedyś gdzieś się spotkali.

Musiał ją odnaleźć.

W gwałtownych podmuchach wiatru dotarł do placu Denfert-Ro-chereau. Jadąc z lotniska, dowiedział się od taksówkarza, że hotel So-fitel znajduje się w dzielnicy Glacière, o kwadrans drogi spacerem od jego domu.

Zbliżywszy się do bulwaru Saint-Jacques, wyciągnął komórkę

1 wybrał numer Malatestiany.

Instynktownie odwracając głowę, zauważył dwóch mężczyzn po- ! dążających szybkim krokiem w tym samym co on kierunku. Wejście na stację metra Saint-Jacques zarysowało się w odległości pięćdziesięciu metrów przed nim. Ulicami przejeżdżały nieliczne samochody.

W telefonie odezwał się sygnał połączenia.

Spojrzał jeszcze raz na sylwetki dwóch osobników rysujące się pomiędzy niemymi zarysami platanów. Pierwszy to ciemny olbrzym

o wychudzonej twarzy, w swetrze z golfem, w dżinsach i butach z cholewami. Drugi, mniejszy, nosił ciemny płaszcz, ale Nathan nie mógł dojrzeć jego twarzy, ukrytej pod czapką z daszkiem. Skręcając w prawą stronę, zbliżył się do nich niepostrzeżenie na odległość, z której mógł ich kontrolować...

W słuchawce rozległ się głos Anglika. - Nathan?

Od tych dwóch typów szedł odór śmierci.

Nathan gwałtownie przerwał połączenie. Na wprost przed nim rozciągał się parking pod gołym niebem. Żołądek podszedł mu do gardła. Jeszcze jeden rzut oka na prawo. W tym samym momencie spostrzegł, jak mniejszy powoli odwraca się w jego stronę, a z ciemności wyłania się czarny wylot tłumika. Zdążył rzucić się między dwa zaparkowane samochody, kiedy w kierunku jego nóg została posłana seria głuchych strzałów. Rozciągnięty na ziemi, przeczołgał się między zderzakami do zatłuszczonego podwozia naczepy.

To byli oni. Nathan popełnił błąd, śledzili go od samego domu

1 tym razem sprawiali wrażenie zdecydowanych. Mieli za zadanie zlikwidować go.

Powinien ruszyć się stąd. I to szybko. Jeden fałszywy krok i będzie po nim.

Wybuch śmiechu kazał mu odwrócić głowę. Dwie pary przechodniów nadchodziły od prawej strony. Dalej, z tyłu, dostrzegł szereg grubych, połączonych metalowymi zwornikami i zwieńczonych stalowymi łukami słupów. Z ziemi wyłaniały się tory metra. To była linia nadziemna.

Ma szansę wyjść z tego. Czuł to.

Wyskoczył ze swojej kryjówki, rozepchnął grupę przechodniów i rzucił się w kierunku słupów. Przeróżliwe wrzaski kobiet rozdarły ciszę jednocześnie z kolejną serią dziewięciomilimetrowej broni. W ciemnościach błyszcząły jak rubiny dwa malusieńkie świetne punkciki. Te łotry używały laserowych systemów celowniczych. Nathan rzucił się gwałtownie do kraty, złapał obiema rękami za pręty i przerzucił ciało na drugą stronę.

Zeskoczył na tory.

Biec, nie zatrzymywać się. Następna seria pocisków grzmotnęła wokół niego. Kątem oka zerknął za siebie. Tylko jeden z morderców go ścigał. Przyspieszył. Kroki dudniły po drewnianych podkładach w rytm wzburzonego serca. W pobliżu następnej stacji zwolnił. Blask neonów ślizgał się po nim, wystawiając go na doskonały cel uzbrojonemu prześladowcy.

Wydostać się stąd...

Nagle wszystko wokół niego zaczęło drżeć i brzęczeć. Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył oślepiające światła pociągu, pędzącego na niego z ogromną prędkością. Zawyla syrena.

Uskoczył na bok... chwila wydała mu się wiecznością... uchwycił się stalowej belki. Graniczyło to z cudem, lecz dosięgnął drugiego brzegu torowiska. Zdrowszy i cały, kurczowo uczepiony stalowego rusztowania, odzyskiwał siły, spazmatycznie łapiąc powietrze. Gdy pociąg go minął, skulił się i zaczął przedzierać między metalowymi konstrukcjami.

Znajdował się dobre piętnaście metrów ponad bulwarem. Zza drżącej linii platanów rosnących wzdłuż torowiska przez moment przyglądał się samochodom widocznym w dole. Prześladowcy wkrótce się tu pojawią.

Coś mu się nie zgadzało. Dlaczego po prostu nie czekali na niego spokojnie w domu, żeby go dyskretnie wyeliminować? Dlaczego teraz tyle ryzykowali, żeby podejść na bliższą odległość, choć bez problemu mogli zabić go z daleka? Te spostrzeżenia przeanalizuje później. Obecnie musi skupić się na innym problemie: jak uratować własną skórę.

W niedużej odległości zauważył solidnie wyglądające drzewo, sięgające do napowietrznej linii metra. Musi tam dotrzeć i ześlizgnąć się po nim na dół, żeby wydostać się na chodnik. Posuwał się bokiem, z plecami przyciśniętymi do kamiennego fdaru. Już był niemal u celu, gdy usłyszał metaliczny trzask.

Olbrzym znajdował się kilka metrów za nim. Nathan opuścił wzrok i spostrzegł wiązkę laserowego celownika, prześlizgującą się po nodze do góry, po ramieniu... za późno.

Za późno dla mordercy.

Nathan rzucił się w otchłań. Spadając, chwycił się gałęzi, które łamały się pod jego ciężarem i zostawały w garści.

Spadał... Plecami odbił się od czegoś jednocześnie twardego i sprężystego.

Przeszyła go ognista kula bólu. Skurczył się, wczepił palce w zesłaną przez opatrność nylonową siatkę i szorując rękami po jej okach, zjeżdżał w dół, ścierając sobie łokcie niemal do kości... Kiedy wylądował na ziemi,

przyglądało mu się trzech facetów w szortach i z piłką w ręku. Ogrodzenie boiska do koszykówki ocaliło mu życie.

Schylił się i potoczył wokół wzrokiem. Z lewej strony, trzydzieści metrów dalej, zabójca zbiegał po schodach stacji Glacière. Naprzeciwko zielona aleja prowadziła do dużego osiedla bloków mieszkalnych o niewysokim standardzie. Idealne miejsce, by kogoś zgubić... lub dopaść.

Gnając w stronę bulwaru, Nathan nie zauważył pędzącego prosto na niego samochodu. Zazgrzytały przeraźliwie hamulce, a potem był tylko huk. Przetoczył się po masce, uderzył o przednią szybę i spadł na jezdnię. W całym ciele eksplodował potworny ból. Kiedy oprzytomniał, leżał na ziemi ze skrzyżowanymi ramionami, mając nad sobą bezgwiazdne, nierealne niebo.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. Pochyliły się nad nim jakieś cienie, dłoń w rękawiczce złapała go brutalnie za włosy i grzmotnęła jego głową w asfalt.

Jednocześnie otrzymał w brzuch potężnego kopniaka okutym butem. Miał wrażenie, że pęka mu wątroba. Gorzka fala wymiocin podeszła mu do gardła i gwałtownymi skurczami trysnęła z nosa i zakrwawionych ust. Wciśnięta do gardła, nasyczona benzyną szmata zmusiła go do przełknięcia drugiej fali wymiocin. Po chwilowej przerwie ponownie spadł na niego grad ciosów, na nerki, genitalia, żebra.

Wsadzono mu głowę do worka z jakiegoś szorstkiego materiału. Czuł, jak łapią go czyjeś ręce, taśmą samoprzylepną okręcają mu nadgarstki, sznurem obwiązują nogi, potem ciągną po ziemi. Skrzypnęły drzwi, stoczył się po stopniach schodów.

Ramiona, barki, kolana obijały się o ostre kanty. Poza odgłosami ocierania się własnego ciała o cement nie słyszał żadnego dźwięku. Wrzucono go do piwnicy. Zdechnie tu.

Przez worek co chwila przenikał rażący blask latarki. Dusił się. Rzucono go w kącie na podłogę usłaną resztkami potłuczonego szkła. I pozostawiono samego.

Nie namyślając się, Nathan chwycił duży szklany odłamek i manipulując dłońmi, przeciął krępującą je taśmę. Uwolniwszy ręce, rozwiązał sznur mocno zaciśnięty wokół stóp. Następnie oswobodził głowę z worka i wyciągnął szmatę z ust. Słaniając się, wziął głęboki oddech, poczołgał kilka metrów i dopiero wtedy zdołał się podnieść. W odległości dwudziestu metrów dojrzał błysk zwróconej w jego stronę latarki. To było jak sygnał.

Teraz albo nigdy.

Przesuwając po omacku rękami po ścianach, skrył się w labiryncie korytarzyków. Banda prześladowców zbliżała się z dużą prędkością. Cofnął się i rozpląszczył na ścianie wnęki.

Będzie musiał stawić im czoło.

Kolano Nathana wylądowało prosto na podbrzuszu olbrzyma, natychmiast zatrzymując go w miejscu. Wyposażony w latarkę karabin wyleciał w powietrze, po czym z chrzęstem spadł na ziemię. Mimo potężnej siły uderzenia olbrzym utrzymał się na nogach. Chwiejąc się, patrzył na Nathana z niedowierzaniem.

W rękach załśnił mu metal.

Nathan uchylił się od ciosu nożem i nieoczekiwanym uderzeniem głowy strzaskął przeciwnikowi nos. Podskoczył bliżej, jedną ręką złapał ogoloną czaszkę, gwałtownie szarpnął do siebie, a jednocześnie kciuk drugiej ręki zagłębił w gałce ocznej.

Nie pociekła nawet jedna kropla krwi. Krwotok był wewnętrzny, koniec definitywny.

Nathan zwolnił uścisk i kiedy kolos bezwładnie zwałił się mu do stóp, podniósł latarkę i obejrzał broń. Karabin maszynowy z tłumikiem. W komorze naboje małego kalibru. W kieszeniach trupa nie znalazł ani dokumentów, ani kart kredytowych. Opróżnił magazynek, wytarł swoje odciski palców i odrzucił broń. Podniósł leżący na ziemi nóż. Ostry sztylet z czarną rękojeścią. Zręcznie obrócił nim wokół własnych palców.

Był doskonale przystosowany do walki wręcz.

Nathan zaczął po ciemku posuwać się przed siebie. Powoli powracał ból, rozchodził się, pulsując po całym ciele. Musiał jak najszybciej się stąd wydostać.

Najwidoczniej szukający go prześladowcy rozdzielili się i poszli w różnych kierunkach. Ilu ich faktycznie było?

Dwóch? Trzech?...

Zgrzytnięcie szkła zatrzymało go. Znieruchomiał.

Ktoś szedł w jego kierunku, Nathan usłyszał kilka powolnych kroków, potem nastąpiła cisza, i znowu kroki. Nie było natomiast najmniejszego punktu świetlnego. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: człowiek ten posługiwał się noktowizorem.

Ta kanalia widzi tu wszystko jak za dnia!

Nathan nie miał żadnych szans... Kroki zbliżały się. Wtedy przyszedł mu do głowy zbawienny pomysł. Najlepszą obroną będzie latarka. Jeśli uda mu się ją zapalić w dostatecznie bliskiej odległości od prześladowcy, oślepi czujniki noktowizora i spali siatkówkę w gał-

kach ocznych mordercy. Wziął latarkę do ręki i czekał na odpowiedni moment...

Cios kolbą w kark powalił go na ziemię.

Wyciągnął rękę, żeby złapać się ściany, ale drugie uderzenie w klatkę piersiową pozbawiło go tchu. Leżał na boku z zamkniętymi oczami, czując w ustach smak krwi.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył tylko wiązkę laserowego celownika, tańczącą mu przed źrenicami. Morderca bez twarzy miał go w swoich rękach. To już koniec.

Zginie tutaj, nawet nie wiedząc dlaczego. Ściśnięte wargi lekko się rozchyliły.

- Powiedz mi... powiedz mi, kim jestem...

Cisza. Morderca pozostał niemy jak cień. Nagle w ciemności rozległo się dziwne zawodzenie, jakaś brzmiąca jak skarga inkantacja. Dziwny język. Gardłowe sylaby nabierały coraz większej mocy, docierały, niezrozumiałe, do świadomości Nathana.

Morderca przycisnął kolaniem pierś swojej ofiary, podniósł sztylet, uderzył... Nathan zablokował cios, zanim sztylet pograżył się w jego sercu. Chwytał uzbrojone ramię, wykręcił je i rozplątał przeciwnikowi staw łokciowy do samej kości. Ranny zawył, szarpnął się, spróbował wyrwać, ale Nathan już go nie puścił. W ułamku sekundy zagłębił ostrze sztyletu w jego gardle.

Krew zabulgotała... I było po wszystkim.

Do Nathana nie docierał teraz żaden odgłos. Wdychając lepkie powietrze, jeszcze przez chwilę pozostał nieruchomy na ziemi. Potem zepchnął leżące na nim ciało. Po omacku zdjął z głowy trupa noktowizor i umocował na swoich oczach. Ujrzał jasny zielonkawy obraz. Ziemia pokryta była jakimiś odpadkami, śmieciami i odłamkami szkła z wybitych szyb. U jego stóp leżał trup z powykręcanyimi członkami i rozplątanym gardłem.

Nathan podniósł sztylet i zapuścił się w podziemne korytarze. Pęknięty łuk brwiowy krwawił obficie, dolna warga była rozcięta. Musiał się spieszyć, zanim osłabnie.

Wyszedł na duży, prostokątny, pusty dziedziniec otoczony zabudowaniami. Osiedle spało. Wyrzucił do kosza na śmieci noktowizor i oświetlając sobie drogę latarką, podszedł do fontanny. Nie żałując wody, obmył swoje krwawiące rany. Chłód wody przyćmił trochę ból. Ubranie miał w strzępach. Szybko przeszukał kieszenie marynarki i zorientował się, że zgubił pożyczony mu przez Woodsa telefon komórkowy. Natychmiast pomyślał o komputerze pozostawionym w domu, w przedpokoju.

Tym razem nie mógł już ryzykować powrotu do siebie. Spojrzał na zegarek, była dwudziesta trzecia dwadzieścia siedem. Ciśniej otulił się kurtką i pasażem między domami wyszedł na ulicę Gla-

cière. Otaczający go nieliczni przechodnie zmienili się w zbiorowisko niewyraźnie zarysowanych sylwetek i bezkształtnych form. Dygotał na całym ciele, od rąk aż po szczęki. Błąkał się po opustoszałych ulicach, aż doszedł do bulwaru Saint-Jacques. Trzepocząca na wietrze flaga zwróciła jego uwagę. Otarł zalewający oczy zimny pot i odcyfrował białe litery na falującej tkaninie. Hotel Sofitel. Dotarł do celu. Podniósłszy oczy, spostrzegł wznoszącą się przed nim wieżę. Łamane linie, nachylone płaszczyzny, budynek przypominał pszczeli ul. Rhoda była gdzieś w jednej ze szklanych komórek tego wielkiego plastra miodu. A może gdzieś wyszła? Przeszedł obok oszklonego wejścia; nastrój panujący w holu, jasna boazeria, marmury i kolorowe freski odcinały się kontrastowo od ponurej szarości dzielnicy, która dawno utraciła świeżość. Z taką pokiereszowaną twarzą nie mógł wejść do środka i tam na nią zaczekać. Ochrona od razu by go wyrzuciła. Przeszedł na ukos przez ulicę i schował się za słupem ogłoszeniowym, między dwoma zaparkowanymi przy chodniku samochodami. Stąd, niezauważony, mógł obserwować wejście do hotelu, recepcję i drzwi wind, z których musiała korzystać, żeby dostać się na górę. Trwał w bezruchu. Czas dłużył się, godziny, minuty, sekundy mieszały się w niekończącą ciągłość. Stracił czucie, był tylko wstrząsanym dreszczami duchem, ze zmaconym wzrokiem utkwionym w złocistych światłach. I wtedy pojawiły się zielone oczy, kaskada popielatych pukli. Była sama na tle jasnego marmuru. Nathan podniósł się i przeszedł przez jezdnię. Wiatr owiał mu twarz. Wszedł do hotelu, przeciął hol. Wszystko toczyło się jakby w zwolnionym tempie. Białe twarze, zaniepokojone woskowe maski, odwracające wzrok przed jego spojrzeniem. Świat wokół niego coraz bardziej się rozmazywał i mącił. Stała przy recepcji oparta o kontuar, ubrana w jasną tunikę. Pomieszczenie zaczęło wirować wokół niego. Potknął się, podniósł. Dwóch mężczyzn ruszyło w jego kierunku, zatrzymali się bez słowa, jakby dotarło do nich, że coś było nie tak, że chodziło o zwykłe wtargnięcie łachmaniarza do lokalu. Pałący ból wciskał się w każdą najmniejszą cząstkę ciała. Jego lodowate dłonie zacisnęły się na przedramionach. Już nie czuł ziemi pod nogami, jego kroki były tak lekkie jak sama śmierć. Wtedy ona odwróciła się, dostrzegła go i wszystko znieruchomiło. Pozostały tylko nefrytowe oczy tańczące w mroku. Czyjeś ramię objęło go w pól. Stracił świadomość.

Kiedy Nathan odzyskał przytomność, leżał na czerwonej sofie, otulony szlafrokiem. Przytłumione dźwięki, bursztynowe światła, nieruchome białe kwiaty... czuł się jak we śnie. Na niskim stoliku zauważył kartę magnetyczną z numerem 915. To pokój Rhody.

Do tej pory unosił się w nicości, bezwolnie poddając biegowi rzeczy. Rhoda delikatnie go rozebrała, cały czas przemawiając do niego leciutko drżącym, kojącym głosem. Potem obejrzała całe ciało pokryte krwawymi wybroczynami, żeby upewnić się, że nie ma żadnego złamania. W końcu przyszedł czas na wyjaśnienia. Nathan wspomniał o swojej amnezji, spowodowanej wypadkiem w czasie podwodnego nurkowania, ale pominął milczeniem napad i próbę zamordowania go. Rhoda uważnie słuchała, nie odzywając się ani słowem. Milczenie jej Nathan uznał za oznakę szacunku i zaciekawienia. Jeden szczegół jednak bardzo go zaintrygował... Młoda kobieta, zwracając się do niego kilkakrotnie, nazwała go Alexandre. Czyżby było to nowe zwierciadełko w kalejdoskopie jego tożsamości?

Wkrótce się tego dowie.

Rhoda stanęła w drzwiach łazienki.

- Jak się Czujesz?

- Lepiej.

Ciągle miała na sobie tę samą białą tunikę, w której zobaczył ją przy recepcji.

Zrzuciła skórzane sandały i podeszła do niego, machając małą walizeczką, na której pokrywie widniał czerwony krzyż.

- Boj hotelowy przyniósł wszystko, czego teraz potrzebujemy. Otworzyła podręczną apteczkę, zwilżyła sterylną gazę środkiem

antyseptycznym i zaczęła przemywać Nathanowi pęknięty łuk brwiowy.

- Nie stawiali ci w hotelu żadnych pytań?

- Oczywiście, że bez tego się nie obyło. - Rhoda rozerwała następne opakowanie gazy. - Jesteś moim chłopakiem, zostałeś napadnięty,

kiedy szedłeś na spotkanie ze mną. Wiedzą, że jestem lekarzem, specjalnie nie drażyli tematu.

- Dziękuję... Jesteś lekarzem?

- Psychiatrą dziecięcym, pracuję dla One Earth... Pamiętasz? Niebieskie torby podróżne.

Nathan spróbował się wyprostować, ale ból go unieruchomił.

- Dlaczego przyjechałeś do Paryża?

- Na kongres psychiatrii humanitarnej. Zaległa cisza.

- Skłamałeś wczoraj na lotnisku, już się kiedyś spotkaliśmy, prawda? Lekko skinęła głową.

- Powiedz mi... gdzie?

- Cierpliwości.

Kiedy skończyła dezynfekować rany, nałożyła na nie kilka przylepców.

- No, teraz powinieneś poczuć się lepiej.

Podniosła się i przyniosła mu małe lusterko do makijażu. Ujrzał opatrunki, olbrzymi krwiał rozciągający się od lewej skroni aż po szczękę, ale rana na wardze była powierzchowna. W głowie kłębiły mu się obrazy zdarzeń z poprzedniego dnia.

Ciemne pomieszczenia piwniczne, martwe ciała, mordercza walka... Skulił się na wspomnienie sztyletu. Zasłaniając się przed wzrokiem Rhody, sięgnął ostrożnie ręką do kieszeni kurtki leżącej na sofie. Palcami poszukał zimnego metalu... Sztylet zniknął.

- Jeśli szukasz swojej broni, to włożyłam ją razem z twoimi papierami do sejf - powiedziała spokojnie.

- Jak...

- Zwykła rewizja osobista.

Zamilkła, zbliżyła swoją twarz do jego twarzy i zapytała tym samym tonem.

- Kim jesteś?

Nathan zaklął w głębi ducha. Przeszukując jego ubrania, odkryła, że nie jest tym Alexandre'em, którego już kiedyś spotkała. Potem zrobiła wszystko, żeby zdobyć jego zaufanie i łatwiej przyprzeć do muru.

- Lepiej, żebyś się w to nie mieszała.

Rhoda spoglądała na niego z kamienną twarzą. Jej zielone oczy pociemniały.

- Albo mi powiesz, kim jesteś i co się stało ostatniego wieczora, albo natychmiast się stąd wynosisz.

Nathan zastanawiał się gorączkowo, co robić. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby ją stracić. Powinien ją jeszcze powypytywać, na pew-

no posiadała informacje, które mogły mieć dla niego znaczenie. Rozpaczliwie potrzebował tej kobiety, która była jedynym łącznikiem z jego przeszłością.

- No więc?

- Zgoda... wszystko ci wytłumaczę, ale pod warunkiem że najpierw ty mi powiesz, gdzie i w jakich okolicznościach się spotkaliśmy.

Wpatrywała się w niego przez moment, jakby próbując odgadnąć, co knuje w swojej głowie. Potem opadła na fotel.

- Dobrze. To było w Zairze, obecnej Demokratycznej Republice Konga, w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku... w czasie największego nasilenia bratobójczych walk w Ruandzie. Pracowałam w obozie dla uchodźców w Katala, na północ od Gomy, w strefie przygranicznej. Ty nazywałeś się Alexandre Dercourt i byłeś młodym dziennikarzem szwajcarskim, zagubionym w okropnościach dokonującego się tam ludobójstwa. Przyjechałeś do obozu, żeby uciec od tych potworności. Zostałeś trochę ponad dwa tygodnie i pewnego ranka zniknąłeś. Wszyscy bardzo się niepokoiли, myśleliśmy, że zostałeś porwany, zamordowany... Poszukiwały cię władze Zairu i wojsko francuskie stacjonujące na tym terenie. Bez rezultatu, ślad po tobie zaginął. Dlatego tak gwałtownie zareagowałam na lotnisku, kiedy pojawiłeś się przede mną cały i zdrowy, z niefrasobliwą miną. Najpierw pomyślałam, że kpisz sobie ze mnie... że to zbieg okoliczności, że jesteś kimś innym... ale poznałam cię po białej bliznie na policzku, po oczach... To musiało być ty... Potem, wieczorem, pomyślałam, że miałeś może jakieś kłopoty... Byłam na siebie zła... Czekałam na ciebie... Miałam nadzieję, że... Wystarczy już. Teraz twoja kolej!

Bez wahania Nathan zwierzył się jej, opowiadając w głównych zarysach całą swoją historię.

- Po spotkaniu z tobą na lotnisku - dodał na zakończenie, wróciłem do siebie, a potem postanowiłem wyjść i cię odnaleźć. Wtedy właśnie te typy napadły na mnie, pobiły i porzuciły na ulicy. Chcą mnie zastraszyć... żebym zaniechał poszukiwań... Zagrał w otwarte karty, wyznał niemal wszystko. Bał się jednak, że się zdyskredytuje w jej oczach, ujawniając podwójne morderstwo, które popełnił, nawet jeśli był w sytuacji obrony koniecznej. W miarę jak snuł swoją opowieść, twarz Rhody zmieniała się, aż stała się trupio biała.

- Nie przyjechałbyś w tym stanie, raczej wygląda to na poważny atak paranoi...

- Jesteś mi potrzebna, mam do ciebie jeszcze wiele pytań na temat naszego spotkania, mojego pobytu w Afryce...

Podniosła się, wzięła z koszyka owoc, wróciła i usiadła w kręgu światła. Miała drobne, ale wspaniale wyrzeźbione ciało. Każdy jej ruch odznaczał się nadzwyczajną lekkością. Nie była taka ładna, jak to mu się początkowo wydawało, ale rysy ujawniały jej właściwy charakter i osobliwy urok.

Podzieliła grejfruta na części.

- Masz ochotę?

Nathan wyciągnął rękę i wziął kawałek cytrusa. Noc była cicha. Słodko-gorzki smak mięszu rozpląnął się w nim niczym fala świeżości.

- Co chcesz wiedzieć? - spytała.

- Opowiedz mi jeszcze o Ruandzie, o Katalu, zarysuj okoliczności tego wszystkiego... Odśwież mi pamięć.

- To dosyć złożone... W dużym skrócie wyglądało to tak. Po latach nienawiści rasowej i walkach na tle czystek etnicznych między Hutu i Tutsi Ruanda pogrążyła się okrucieństwami wojny. Stało się to zaraz po szóstym kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, dniu, w którym samolot prezydenta Hutu, Juvenala Habyarima-na został zestrzelony pociskiem raketowym. Hutu, historyczni wasale seniorów Tutsi, postrzegają ten zamach jako ostateczną zniewagę i decydują, że wybiła godzina „ostatecznego rozrachunku”. Wezwanie do rozlewu krwi spotyka się z powszechnym odzewem: Tutsi oraz ci, którzy ich popierają, wszyscy, którzy przeciwstawiają się czynnie lub biernie ustalonymu reżimowi, mają zostać zgładzeni. To jest rzeź. Po trzech miesiącach wojny domowej, która pochłonęła milion ofiar, armii Tutsi, to znaczy Ruandyjskiemu Frontowi Patriotycznemu*, udaje się opanować kraj i przejąć władzę. Sytuacja ludności jest dramatyczna: setki tysięcy Tutsi znalazło już schronienie w sąsiednich państwach, Tanzanii, Ugandzie... Około półtora miliona Hutu uciekło do Zairu, obecnej Demokratycznej Republiki Konga.

- A więc obóz w Katalu był obozem Hutu.

- I ten, i wszystkie inne w strefie Gomy.

- Opisz mi ten rejon.

- Jeden kilometr wszerz i dwa kilometry wzdłuż, między wulkanem a dżunglą. Dwieście hektarów błota, nędznych ruder i robactwa, gdzie panuje przestępczość, dyzenteria i cholera... Pięćdziesiąt tysięcy uchodźców, około sześćdziesięciu organizacji humanitarnych...

- Sześćdziesięciu?

- To nie jest wcale tak dużo, często zdarza się, że jest nas jeszcze

* **FPR - Front Patriotique Rwandais.**

więcej. Tylko jedna organizacja, najczęściej wyspecjalizowana w działalności społecznej, zarządza obozem we współpracy z przedstawicielem wysokiego komisarza do spraw uchodźców Narodów Zjednoczonych, wszystkie inne zaś wnoszą praktyczne umiejętności.

- Czy wiesz, dlaczego przyszedłem do was, do One Earth?

- Wiem. Paolo Valente, szef zespołu psychiatrycznego, zabrał cię z drogi. Wokół panowała apokalipsa: mordy, rabunki, regulowanie porachunków... Zaproponował, żebyś schronił się u nas.

- Znałem go?

Wydaje mi się, że wcześniej spotkaliście się w samolocie albo na lotnisku w Gomie, ale nie jestem pewna...

- A ty widziałaś mnie wcześniej?

- Nie, nigdy.

- Mówiłaś, że byłem dziennikarzem. Wiesz może, czy pracowałem dla jakiegoś konkretnego magazynu?

- Wydaje mi się, że z żadnym nie byłeś związany, sprzedawałeś swoje reportaże różnym czasopismom.

- A mogłabyś opisać mnie takim, jakim byłem wtedy, zrobić portret Alexandres Dercourt?

- Profd psychologiczny?

- No właśnie.

- Alexandre był człowiekiem wesołym, wykształconym, eleganckim, trochę... agresywnym... czasami zbyt gwałtownie reagował. Wszystkich oczarował, byłeś jak powiew świeżego powietrza. Mnie najbardziej urzekł w tobie twój stosunek do dzieci...

- Co masz na myśli? :

- W bardzo krótkim czasie po przyjeździe do nas zrezygnowałeś ze swojego reportażu i całkowicie poświęciłeś się dzieciom. Ci malcy byli wyniszczeni... Widzieli, jak ich rodzice ucinali głowy, ręce, nogi swoim sąsiadom, jak masakrowali przyjaciół i nauczycieli swoich własnych dzieci... Niektóre z nich, za namową rodziców, same maczały ręce we krwi. Wiele z nich nigdy nie doszło do siebie, zamknęły się we własnym wewnętrznym świecie... Uderzające było to, że intuicyjnie kierowałeś się do tych, które były w najgorszym stanie. Przypominam sobie doskonale jednego szkraba... historia wyjątkowo ohydna... W szkole, do której chodził, nauczyciel przyniósł pewnego razu worek pełen maczet, motyk, kilofów i rozkazał uczniom Hutu wymordować własnych kolegów z klasy, należących do plemienia Tutsi. Dzieciak odmówił, próbował uciec, nauczyciel złapał go, zbił i zagroził wybiciem całej rodziny... Żeby dać przykład, wcisnął mu w ramiona niemowlę... Zmusił go, by je zatłukł w mózdzierzu do manioku. Potem matka uciekła z nim z Kiga-

li i opowiedziała nam, tobie i mnie, jego historię. Dzieciak był przeraźliwie chudy, nie mówił, nie chciał jeść. Spędziłeś z nim jeden dzień, potem drugi, potem jeszcze następny i przez cały czas mały nawet na ciebie nie spojrzął. Jednak nie dałeś za wygraną i każdego ranka wracałeś do niego, aż w końcu wyrwałeś go ze świata milczenia. Dzieciakom opowiadałeś o pustyni, oceanie, wiecznych śniegach, można by powiedzieć, że próbowałeś sam im zbudować inny świat, stworzyć im nowe życie, pełne obietnic i nadziei.

Dzieci... Nathan zanotował w pamięci tę szczególną informację i zapytał:

- Czy wiesz, dlaczego mnie to tak wciągnęło? -Nie.

- Czy opowiadałem ci o swoim życiu, o rodzinie, czy pamiętasz jakieś nasze rozmowy?

- To było tak dawno... nie, byłeś bardzo tajemniczy, chyba nie lubiłeś mówić o sobie ani zresztą nie chciałeś, żeby ci zadawać pytania. Natomiast pamiętam, że często dyskutowaliśmy o ideologii ludobójstwa. To było coś, co cię... dręczyło.

- Znałem ten temat?

- Tak. Kiedyś wdałeś się nawet w burzliwą dyskusję z jednym facetem... Christianem Brun, dosyć pretensjonalnym lekarzem medycyny ratunkowej, karykaturą człowieka humanitarnego w najgorszym wydaniu, facetem, który wiedział zawsze wszystko na każdy temat. Zagłębił się w porównaniach między milicją Hutu a hitlerowskim i stalinowskim systemem denuncjacji. Grzecznie przywołałeś go do porządku, tłumacząc, że zbrodnie popełnione przez nazistów i komunistów były wynikiem działania służb specjalnych, typu SS czy NKWD, podczas gdy w Ruandzie system działał w taki sposób, żeby ludobójstwo stało się czynem zbiorowym, powszechnym i niepohamowanym, w którym uczestniczyli wszyscy.

- Czy w moim zachowaniu było coś, co mogło zwrócić uwagę?

- W zachowaniu... tak, rzeczywiście było coś dziwnego. -Co?

- Z zasady personel przysłany przez organizacje pozarządowe nie mieszka w obozach i każdego wieczoru wraca do swojej bazy. W tym wypadku mieliśmy wynajęty dom w wiosce Kibumba. Było to miejsce strzeżone, gdzie spotykaliśmy się we własnym gronie i spędzaliśmy razem kilka godzin dziennie, odseparowani od przemocy i nieszczęść. Był to jedyny sposób, żeby przetrwać i zapobiec grabieży naszego sprzętu...

- No i co?

125

- Pamiętam, że najczęściej wracałeś z nami, ale zdarzało się, że zostawałeś w obozie z sierotami. Mówiłeś, że potrzebują ciebie, że nie chcesz ich opuścić...

Nathan zamilkł na chwilę, potem zapytał:

- Czy pamiętasz, żeby w samym obozie doszło do jakichś szczególnych zdarzeń, które wykraczały poza ramy ogólnej sytuacji?

- Nie. Nie przypominam sobie niczego poza okrucieństwami, wymuszaniem haraczy, prostytutką, gwałtami, zabójstwami, które były na porządku dziennym...

Nathan zaryzykował ostatnie, delikatne, pytanie:

- Jaka relacja nas łączyła? Czy byliśmy...

- Ze sobą? Kiwnął głową.

Rhoda zaśmiała się chłodno i bez cienia radości, w jej głosie Nathan usłyszał nutę nostalgii, która ścisnęła mu serce.

- Byliśmy sobie bardzo bliscy... byłeś tam bardzo krótko...

- Bliscy... w jaki sposób?

Rhoda znowu milczała przez chwilę.

- Byłam już niemal mężatką... Stanowiliśmy parę z Paolo Valente. Podniosła się i spojrzała mu w oczy.

- Krępują mnie te twoje pytania.

- Przepraszam... usiłuję po prostu zrozumieć, co tam robiłem. Nie wierzę, zresztą tak samo jak ty, w swoją dziennikarską przeszłość... Musiałem znaleźć się w tym obozie z jakiegoś innego powodu...

Odniosł wrażenie, że Rhoda zamknęła się w sobie. Jednak zapytała:

- Uważasz, że może istnieć jakiś związek między twoimi obecnymi poszukiwaniami i pobytem w Zairze?

- Nie wiem, ale mam przeczucie, że za moją tożsamością kryje się bezmiar przerażenia.

- Po co to robisz? Dlaczego po prostu nie zawiadomisz policji?

- Policji? Poza trzema martwymi od osiemdziesięciu lat żołnierzami i zakurzonym manuskrypcem nie mam na nic żadnego dowodu. A zresztą wydaje mi się, że nie rozumiesz jednej rzeczy.

- Czego?

- Ja nie istnieję.

Kiedy Nathan się obudził, był sam w pokoju. Przez okna wnikało dzienne światło. Rhoda wymknęła się o świcie, nie budząc go. Bezmyślnie wpatrywał się przez chwilę w biały sufit, potem zerknął na zegarek: dziesiąta trzydzieści. Wstał i wszedł pod prysznic.

W wiszącym nad umywalką lustrze obraz obrzękniętej twarzy mieszał się ze wspomnieniami nocy spędzonej u młodej kobiety. Rozmawiali jeszcze długo, potem, już zasypiając, zaproponowała, że następnego dnia rano pójdzie do jego mieszkania na ulicę Campagne Première i zabierze stamtąd komputer i jego rzeczy osobiste. Początkowo gwałtownie zaprotestował, mówiąc, że mordercy pewnie tam na niego czekają. W końcu jednak ustąpił wobec jej nalegań.

Nathan długo jeszcze czuwał w ciemności, przyglądając się leżącemu obok niego, znużonemu ciału unoszonemu leciutkim oddechem. Pieścił je wzrokiem, aż poczuł rodzące się w nim zadowolenie z życia, jakby dojrzał świecąca gwiazdkę w otaczającym go mroku.

Kiedy wrócił do pokoju, na niskim stoliku znalazł wiadomość zostawioną przez Rhodę.

Nathanie, biorę udział w kongresie.

Będę wolna koło trzynastej. Spotkajmy się na placu des Vosges, w cieniu ogromnych kasztanowców.

Zegar na ulicy wydzwonił jedenastą. Miał jeszcze czas, żeby uporządkować myśli. Zamówił kawę, usiadł przy biurku i zaczął spisywać wszystko, co dotychczas udało mu się ustalić:

Listopad 1693: Elias odkrywa ciało okaleczonego niewolnika. Wycięto mu płuca i mózg.

Lipiec 1994: Jestem w Zairze, w czasie największego nasilenia bratobójczych walk w Ruandzie. Zajmuję się dziećmi po traumatycznych przeżyciach. Spędzam kilka nocy sam w obozie... Dlaczego?

Wydaję się szczególnie wyczulony na dyskusje dotyczące masowych mordów.

Luty 2002: „Pole Explorer” wypływa do Arktyki z misją wydobywania ciał niemieckich żołnierzy z czasów pierwszej wojny światowej i pozbycia się ich na wyspie Horstland. Ciała okaleczone są w identyczny sposób, jak to zostało opisane w manuskrypcie Eliasa.

W czasie misji giną lekarz okrętowy i dwóch niezidentyfikowanych mężczyzn. Oficjalny powód śmierci: katastrofa helikoptera.

Marzec 2002: po raz drugi w ciągu ostatnich trzech miesięcy mordercy próbują mnie porwać lub zabić.

Żeby nie pozwolić mi dalej prowadzić poszukiwań? Z powodu informacji, które ukrywa moja pamięć?

Mordercy czekali u mnie w domu.

Kto ich przysłał?

Nathan dokonał przeglądu wszystkich osób, z którymi się zetknął po przebudzeniu ze śpiączki. Tylko jedna mu groziła i wydawała się mieć powód, żeby go usunąć. Podniósł słuchawkę telefonu i machinalnie wykręcił numer Hydry. Po dwóch sygnałach odezwała się sekretarka. Bez namysłu kobieta połączyła go z Roubaudem, który natychmiast odpowiedział.

- Falh?

- Dziękuję za komitet powitalny wczoraj wieczorem. Na nieszczęście dla pana mieli oni mniej szczęścia niż w Hammerfest.

- O czym pan mówi?

- Niech mnie pan nie traktuje jak dupka. Banda profesjonalistów próbowała mnie sprzątnąć i tylko pan mógł ich na mnie naśląć.

- Ja nie...

- Niech pan przymknie gębę i posłucha! Zasady się zmieniły. Przeprowadziłem własne śledztwo, odnalazłem worki ze zwłokami żołnierzy...

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

Wpadając we wściekłość, Nathan przeszedł na „ty”.

- Zebrałem przeciw tobie wystarczająco dużo dowodów, kretynie. Teraz opowiesz mi o prawdziwym powodzie ekspedycji, o tym, jak zginęli de Wilde i pozostali, o tym, kto jest komandytariuszem...

- Niech się pan ode mnie odpieprzy!

- Posłuchaj mnie uważnie! Albo zaczniesz gadać, albo zawiadamiam gliny.

128

Roubaud gwałtownie spuścił z tonu. Groźby odniosły swój efekt.

- Nikogo na pana nie nasłałem. Nie rozumiem, o co panu chodzi. Natomiast co do misji...

- Wszystko mam obfotografowane, bardzo szczegółowo. Spodoba im się to, nieczęsto dostają takie gotowce!

- OK, OK, jestem gotów złożyć panu dokładną relację... Po chwili przerwy Roubaud westchnął głęboko.

- To... to było totalne fiasko...

- Wyduś to z siebie!

Mężczyzna po drugiej stronie zawahał się przez chwilę, potem rozpoczął swoją opowieść.

- Kiedy „Pole Explorer” dopływa ósmego lutego w strefę działania, wszystko jest w najlepszym porządku. Inżynierowie pokładowi lokalizują wrak w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin. Wysłane są roboty, bok wraku jest rozerwany, co umożliwia nurkom dostęp do jego wnętrza. Wszystko gra. Na nieszczęście, w dniu poprzedzającym rozpoczęcie operacji, nad ten rejon nasuwa się ciepły front, który narusza strukturę lodowej ławicy. Cała ekipa pozostaje w pogotowiu przez niemal tydzień, brane jest nawet pod uwagę odwołanie akcji. Potem przychodzi fala mrozu i wszystko z powrotem zamarza. Piętnastego lutego kapitan, a jednocześnie szef ekspedycji podejmuje decyzję o rozpoczęciu akcji wydobywania kadmu.

- Co to za człowiek?

- Malignon, wróć do niego, teraz niech mi pan pozwoli dokończyć. Dochodzi do pierwszego incydentu: pański wypadek. Pańskiemu partnerowi udaje się cudem pana wyciągnąć. Następnie zostaje pan przetransportowany do Norwegii. Ja wówczas łączę się ze statkiem drogą radiową i wydaję polecenie natychmiastowego przerwania misji, ale Malignon naciska, żeby jej nie wstrzymywać. Glacjolog należący do ekipy dokonał nowych pomiarów... Malignon zapewnia mnie, że tym razem zarówno lodowa ławica jak i konstrukcja wraku są stabilne. W tej sytuacji ustępuję i zezwalam na kontynuowanie misji.

Osiemnastego lutego nurkowie ponownie schodzą do wraku i lokalizują pierwsze kontenery. Okazuje się jednak, że zawierają one tylko zapasy żywności i konserwy rybne. Schodzą kolejny raz, przeszukują wszystkie możliwe miejsca. Bez rezultatu. Na pokładzie nie ma nawet jednej beczki kadmu. Dwa dni później, dwudziestego lutego w południe, znowu łączę się przez radio z „Pole Explorerem”. Wtedy dowiaduję się, że nurkowie natrafili na uwięzione w zamrożonym wraku ciała marynarzy i że trzy z nich wydobyli na powierzchnię.

Chory z wściekłości, każe kapitanowi jak najszybciej się ich pozbyć i wracać do Antwerpii. W tym momencie sprawa zaczyna się komplikować. Na statkach obowiązują pewne reguły, a marynarze są przesądni. Ten, który znajdzie zagubione w morzu ciało, ma obowiązek pochować je na lądzie, w grobie, zapewniwszy religijny obrządek. Dopiero wtedy bowiem dusza odnajdzie spokój wieczny. Dla załogi martwi marynarze pozostają potępieni dopóty, dopóki nie zostaną pogrzebani w ziemi. Pod ogólną presją kapitan ulega i decyduje zawinąć do portu na Spitsbergenie, by potajemnie pochować ciała. Żeby nie wzbudzić podejrzeń miejscowych władz, pozorują awarię. Dwudziestego trzeciego lutego rano podnoszą kotwicę i wyruszają z Lon-gyearbyen. Po trzech godzinach rejsu Malignon, de Wilde i marynarz Penko Stojków dyskretnie odpływają zodiakiem w kierunku opuszczonego miasta Horstland, żeby pogrzebać tam żołnierzy. Godziny mijają, a trzech ludzi nie dają znaku życia. Po wielu bezowocnych próbach nawiązania z nimi kontaktu radiowego kapitan wysyła na ich poszukiwanie helikopter, mający zlustrować przybrzeżną strefę wyspy. Dwugodzinny lot patrolowy nie wnosi nic nowego. Trzech ludzi zniknęło z ładunkiem bez śladu.

Nathan bez trudu wyobraził sobie dalszy ciąg zdarzeń.

- Żeby uniknąć w Antwerpii śledztwa - powiedział - które z jednej strony wpakowałoby pana w niezłą kabałę, bo musiałby pan złożyć zeznania na temat znalezienia zwłok, a z drugiej, unieruchomiłoby na długie miesiące marynarzy na lądzie, usunął pan dziennik pokładowy i wymyślił historyjkę o wypadku helikoptera. A co pan z nim zrobił?

- Wypchnęliśmy go za burtę...

- Dlaczego na termin tej ekspedycji wybraliście sam środek zimy? Warunki są wtedy okropne...

- To prawda, zwykle tego typu misje wyznaczamy w czasie ark-tycznego lata... Klimat jest wówczas mniej ostry i dzień trwa niemal dwadzieścia cztery godziny. Ale w tym konkretnym wypadku, biorąc pod uwagę fakt, że wrak był uwięziony w lodach, musieliśmy zapewnić sobie wytrzymałość i stabilność otaczającego środowiska.

- Niech mi pan opowie o szefie misji - zażądał Nathan.

- Jacques Malignon zgłasza się do mojego biura w sierpniu dwa tysiące pierwszego. To nasze pierwsze spotkanie. Mówi mi, że zwróciła się do niego kancelaria adwokacka - Pound & Schuster z Lozanny - występująca z upoważnienia pewnego człowieka interesu, działającego na rzecz ochrony środowiska. Opowiada mi o wraku niemieckiego okrętu wojennego, przypadkowo odnalezionym przez

ekipę kanadyjskich glaciologów latem dwutysięcznego roku, którego położenie oznaczyli boją Argos. Dodaje, że po otrzymaniu tej wiadomości natychmiast zainteresował się sprawą i znalazł ślad tego okrętu w archiwach Kaiserliche Marine, czyli cesarskiej marynarki niemieckiej, w Hamburgu. Był to „Dresden”, wojskowy statek towarowy, który płynął na Spitsbergen, żeby tam zaopatrzyć się w towar. Chodziło o kadm, a w tamtych czasach jego pierwsze fabryki znajdowały się właśnie na Spitsbergenie. Metal ten używany był do produkcji ogniwi elektrochemicznych. W dokumentach niemieckiej marynarki znalazł informację o tym, że „Dresden” zatonął w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w wyniku zderzenia z górą lodową, niedaleko archipelagu Svalbard, gdzie w miejscowości Ny-Alesund wydobywany był ten metal. Zdaniem Malignona został uwięziony w lodach i przez ponad osiemdziesiąt lat dryfował po morzu z lodową ławicą. To tłumaczyłoby, dlaczego znalazł się tak daleko na północ za kołem podbiegunowym. Sprawa wydaje mi się interesująca, tym bardziej że facet proponuje okrągłą sumę miliona dolarów, płatną z góry. Jest tylko jeden warunek. Komandytariusz dokonujący w tym rejonie swej pierwszej operacji życzy sobie zachować anonimowość, by w wypadku niepowodzenia misji uniknąć złej sławy.

- Wszystko to wydaje się panu normalne, a jako że sam jest pan miłośnikiem natury, przyjmuje pan ofertę!

- Nauczyłem się nie stawiać pytań... powyżej pewnej kwoty pieniężnej.

- Przeglądał pan dokumenty archiwalne?

- Mam ich kopię. I zapewniam pana, że ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego na wraku nie było kadmu. W moim przekonaniu są dwa możliwe rozwiązania: albo metal był składowany w ładowniach, do których dostęp stał się niemożliwy po tym, jak góra lodowa zmiażdżyła wrak...

- Albo dał się pan nabrać komandytariuszowi, który oszukał pana, utrzymując, że statek przewoził metale ciężkie, podczas gdy w rzeczywistości jedyną rzeczą, która go interesowała, było pobranie organów od tych żołnierzy.

Zaległa cisza.

- Po... pobranie czego? - wybełkotał Roubaud.

Nathan tylko przez chwilę wątpił w szczerłość swojego rozmówcy. Przypomniał sobie e-mail, znaleziony w gabinecie lekarskim w Antwerpii, w którym Roubaud zwracał się do de Wilde'a z prośbą o oszacowanie ryzyka dla ekipy w wypadku długotrwałego kontaktu z kadmem. Jaki miałyby interes, żeby fabrykować taką historię, gdyby znał

rzeczywisty cel ekspedycji? Nie, zdecydowanie Roubaud nie podjąłby takich działań. Był tylko małym pionkiem, dał się nabrać i wciągnąć nieświadomie w wielką aferę.

- Ciała, które znalazłem na wybrzeżu Horstlandu były okaleczone, rozprute, czaszki rozłupane... Ktoś pobrał z nich mózgi i płuca...

- Och! cholera... Niemożliwe...

- Niech mi pan oszczędzi swoich reakcji psychicznych i opowie, co działo się po powrocie z ekspedycji!

Roubaud utracił całą pewność siebie, głos zaczął mu drżeć jak u przestraszonego dziecka.

- No... więc... Próbowałem skontaktować się z adwokatami w Lozannie, ale kancelaria się ulotniła, pod tamtym adresem nie było już nikogo. Jeśli chodzi o przelewy, zostały dokonane z anonimowego konta banku offshore na Kajmanach...

- Nie mógł się więc pan dowiedzieć, kto jest komandytariuszem.

- Mając na uwadze rozmiar katastrofy, nie byłem specjalnie zaskoczony ich zniknięciem. Malignon mnie uprzedzał.

- Czy ten Malignon zabezpieczył się w jakiś sposób, poczynił jakieś kroki w razie wypadku, katastrofy?

- Kancelaria Pound & Schuster tym się zajęła. Ewentualne odszkodowania miały być przekazane na indywidualne konta bankowe, otwarte dla każdego członka ekspedycji. Było to dodatkowe zabezpieczenie, by komandytariusz pozostał anonimowy. My zajmowaliśmy się wyłącznie honorariami załogi.

- A więc to jednak pan wypłacił mi odszkodowanie!

- Po tym jak adwokaci zniknęli, nie mogłem ryzykować, że pan...

- W porządku, rozumiem. Czy ma pan jeszcze jakieś inne dokumenty, które mnie dotyczą?

- Nic poza bankowymi danymi identyfikacyjnymi i zaświadczeniem lekarskim, podpisanym przez de Wilde'a.

- Gdyby coś sobie pan jeszcze przypomniał, nawet jeśli byłby to w pana mniemaniu nic nieznaczący szczegół, proszę się ze mną skontaktować. Zostawię panu swój adres e-mailowy, ma pan na czym zapisać?

- Tak, słucham.

Roubaud zanotował adres poczty elektronicznej Nathana i spytał:

- Co pan teraz zrobi?

- Spróbuję ustalić, co pcha ludzi do tego, by wyrzucić przez okno milion dolarów w zamian za wydobycie trzech zwłok z lodów Arktyki.

- Falh, chcę pana o coś zapytać.

- Odczep się pan ode mnie!

Nathan odłożył słuchawkę i wykręcił numer Woodsa, który odezwał się niemal natychmiast. -To ja... Nathan.

- Co się z panem działo? Myślałem... sam nie wiem... że pan nie żyje...

- Niewiele brakowało.

- Gdzie pan teraz jest?

- W hotelu, w Paryżu. Jakież typy próbowały mnie wykończyć. Dwóch się pozbyłem.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „pozbyłem”?

- Zabiłem ich, Ashleyu, to był jedyny sposób, żeby się uratować... Miał pan rację, czekali na mnie pod moim domem.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku?

Nie chcę o tym myśleć. Poza tym jestem cały poobijany, dali mi cholerny wycisk.

- Rozpoznał ich pan? -Nie.

- Gdzie są ciała?

- Zaciągnęli mnie do jakiejś piwnicy i tam sami pozostali.

- Zostawił pan odciski palców?

- Usunąłem wszystko, co mogłem, ale straciłem dużo krwi.

- Nawet jeśli policja ma już próbkę pańskiego DNA w swoich rejestrach, co jest mało prawdopodobne, szansa, że dotrą do pana, jest jak jeden do miliona.

-Zgubiłem też telefon komórkowy, który mi pan pożyczył. Chyba wysunął mi się z kurtki, jeszcze zanim tamci mnie dopadli.

- To już jest gorsza sprawa. Zgłoszę jego zaginięcie. Proszę mi opowiedzieć, czego się pan dowiedział.

Nathan streścił wydarzenia z ostatniego tygodnia, przemilczając spotkanie z Rhodą i epizod ruandyjski. W charakterze konkluzji szczegółowo przytoczył swoją rozmowę z szefem Hydry. Zaszokowany tymi rewelacjami, Anglik spytał:

- Ma pan pewność co do Roubauda?

Tak. Kiedy powiedziałem mu o trupach, spanikował. Próbował się przede mną wymądrzać, ale prędko go usadziłem, to naiwniak...

Powiedział mu pan, żeby przysłał kopię archiwalnych dokumentów dotyczących wraku?

- Nie, myślę, że są sfalszowane. Sam przejrzę archiwa Kaiserliche-Marine, dowiem się, czy istnieją oryginały, może znajdę sprawozdanie z zatonięcia statku i jakieś szczegóły na temat tego, co miał w ładowniach...

- Niech mi pan pozwoli się tym zająć. Łatwiej mi będzie dotrzeć do dokumentów za pośrednictwem Malatestiany. Wystąpię z formalnym wnioskiem, jako instytucja do instytucji.

- Zgoda.

- Jaki dalszy rozwój wydarzeń pan przewiduje?

- Sprawa Hydry to ślepa uliczka. Muszę szybko zdecydować, jaki obrać kierunek działań... Nie ma pan jeszcze informacji z Francji i z Belgii na temat moich odcisków palców?

- Jeszcze nie, zadzwonię do Staela.

- To, co panu powiedziałem, pozostaje tylko między nami.

- Ma pan moje słowo. Czy ostatnie wydarzenia nie wywołały jakichś wspomnień?

- Żadnych.

- Jest pan tego pewien?

Nathan wyczuł, że Woods nie do końca mu wierzy. Nadał swemu głosowi możliwie najbardziej przekonujący ton:

- Absolutnie.

Nastąpiła chwila milczenia. Teraz utwierdził się w przekonaniu, że Woods zwierzył jego sztuczkę, domyślił się, że coś przed nim ukrywa. Po kilku sekundach Anglik podjął:

- Ledwo pan uszedł z życiem. Na pewno nie chce pan zrezygnować?

Pytanie zdezorientowało Nathana.

- Jak to?

- Obawiam się, że zasięg tej sprawy może przerosnąć pana możliwości.

- Co się z panem dzieje, Ashleyu?

- Niech się pan tak nie najeża, po prostu martwię się o pana. Ci, na których pan poluje - zabił pan dwóch ich ludzi - niech pan mi wierzy, nie poprzestaną na tym.

- Obiecuję, że będę ostrożny.

- Niech pan na siebie uważa. No dobrze, skoro ustalił już pan powiązania między zbrodniami, ja wracam do pracy nad manuskrypcem. Muszę szczegółowo zbadać tekst, myślę, że to bardzo ważne. Mimo dzielących zbrodnie wieków może ujawni nam jakieś wskazówki i rzuci inne światło na naszą historię. Zdzwonimy się, jak będzie coś nowego.

Nathan pożegnał Woodsa, obiecując, że niedługo się do niego odezwie. Nie chciał zastanawiać się nad tym, jaki impuls kazał mu przemilczeć sprawę Rhody. Wypił łyk kawy i spojrzął na zegarek. Musiał już wyjść, żeby się nie spóźnić na spotkanie, które mu wyznaczyła.

W hotelowym butiku kupił białą koszulę, dżinsy i ciemne okulary, żeby zasłonić pokiereszowaną twarz. Potem zatrzymał się przed kioskiem i kupił najnowsze wydanie „Le Monde’a”. Otworzył gazetę, przejrzał artykuły i depesze. Nic. Nie było nigdzie żadnej informacji

0 zwłokach. Należało sobie zadać pytanie, ile czasu upłynie, nim zostaną odnalezione. Im dłużej to potrwa, tym lepiej dla niego. Jeśli policja je znajdzie, obejmie śledztwem całą dzielnicę, będzie przesłuchiwać potencjalnych świadków, w tym personel hotelu Sofitel. Wtedy wpadną na jego trop.

Złożył gazetę, wcisnął ją pod pachę i ruszył przed siebie.

Paryż przypominał łańcuch urwistych gór. Łagodne, jasne słońce oświetlało szczyty domów, ześlizgiwało się wzdłuż dachowych połaci, wciskając się w najmniejsze zagłębienie. Przymknął oczy i łowił uchem wibrujące odgłosy wiosny.

Czekała tam, gdzieś pomiędzy czarno-złotymi kopułami, między świeżą zielenią liści a jasnością zabudowań. Pomyślał o jej imieniu, tak dziwnie brzmiącym, o popielatych kosmykach włosów, o głosie

1 oczach.

Miał teraz tylko jedno pragnienie: znowu zobaczyć Rhodę.

Ostatnie metry Nathan wolał przejść pieszo. Z taksówki wysiadł przy ulicy Saint-Antoine, tuż przy stacji metra Saint-Paul. Minął ulicę de Birague, przeszedł pod dużym łukiem placu des Vosges, rzucił okiem na wystawy pod arkadami, potem wzrok przesunął ku ogrodowi. Ujrzał ją w cieniu wielkich drzew.

Zwolnił kroku, przyglądając się smukłej sylwetce Rhody. Stała z twarzą zwróconą ku ziemi, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, przyciskając do nich dużą kopertę. Tym razem loki miała zwinięte w ciężki, spięty klamrą węzeł odsłaniający ramiona i kark, których śniada skóra kontrastowała ze złamaną bielą sukienki, idealnie dopasowanej do drobnego ciała.

Nathanowi gwałtownie zabiło serce. Nie miał pojęcia, co odczuwał w stosunku do niej w Zairze, w stosunku do innych kobiet, pod innym niebem. Ale to, co czuł w tym właśnie momencie, wydawało mu się chwilą prawdziwej łaski. Takiego doznania, był tego pewien, nigdy przedtem nie doświadczył.

Chciałby zapomnieć... o lodach Arktyki, o Woodsie, o manuskrypcie, o ścigających go mordercach, o zranionej i umarłej pamięci.

Chciałby po prostu być kimś innym.

Chciał w pełni wykorzystać czas, który mu miała poświęcić, więc odpędził natrętne myśli i przeszedł przez ulicę.

- Dzień dobry pani!

Opanowała leciutkie drgnienie, po czym twarz jej się rozjaśniła.

- Spóźniłeś się...

- Miałem coś do załatwienia. Przepraszam.

- Żartowałam. Zobacz, jest tu wszystko.

Pod pnem kasztanowca Nathan ujrzał swoją torbę podróżną i pokrowiec komputera. W tym samym momencie w jego mózgu zapalił się sygnał alarmowy. Dyskretnie rozejrzał się wokół.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?

- Prawie. Usiadłam na tarasie baru naprzeciwko twojego domu. Nic się nie działo, więc weszłam do budynku, wsiadłam do windy, wjechałam na trzecie piętro, a dalej weszłam po schodach. Ponieważ na zamku nie było śladów włamania, weszłam do środka.

- Wspaniale.

- Muszę jednak przyznać, że nastraszyłeś mnie tymi swoimi historiami. Z powrotem wzięłam taksówkę, dojechałam do bulwaru Hauss-manna, tam wysiadłam, weszłam do dużego magazynu, żeby zgubić się w tłumie, wyszłam i wsiadłam do tej samej taksówki. Przedtem powiedziałam kierowcy, żeby czekał na mnie na sąsiedniej ulicy.

- Jesteś cudowna. Bez twojej pomocy nigdy bym nie odzyskał tych rzeczy. W jaki sposób mogę ci podziękować?

- Cudowne jest to, że cię odnalazłam. Zostań trochę ze mną.

Szli obok siebie aż do wyspy Saint-Louis, przeszli na drugi brzeg Sekwany i doszli do placu Maubert, gdzie usiedli na tarasie wietnamskiej restauracji i zjedli prosty, ale smaczny posiłek.

Potem opowiedziała mu swoje życie: urodziła się w 1966 roku w Jerozolimie. Ojciec był jemeńskim Żydem, matka Rumunką. Do dwunastego roku życia mieszkała w Izraelu, potem w Bukareszcie. Wróciła do Autonomii Palestyńskiej, żeby odbyć służbę wojskową. Nie powodował nią patriotyzm, uważała tę szkołę życia za niezbędną dla swoich późniejszych planów. Studiowała wtedy medycynę. W 1992 roku, po upadku reżimu Ceausescu, została zaangażowana przez organizację One Earth do pracy w rumuńskim szpitalu psychiatrycznym dla sierot. To były dwa lata grozy. W obliczu grożącego konfliktu ruandyjskiego przyjechała do Kigali, potem została przeniesiona do Gomy, po linczu dokonany na błękitnych hełmach przez Ruandyjskie Siły Zbrojne. Następne dwa lata spędziła w Ruhengeri, na północy Ruandy, w innym ośrodku organizacji One Earth, zapewniającym schronienie i opiekę medyczną dzieciom Tutsi i Hutu po traumatycznych przejściach. Potem była Czeczenia, obsunięcie się ziemi w Kolumbii, trzęsienia ziemi w Turcji... Przez dwa ostatnie lata przebywała w Dżaninie, zajmując się palestyńskimi dziećmi. Jej egzystencja wyzbyta była przywiązania do ludzi i rzeczy. Życie Rhody koncentrowało się na wojnach domowych, kataklizmach, podróżach na krańce ludzkiego bólu, przemocy i okaleczonych sumień.

Z upływem godzin zaczęła tworzyć się między nimi głęboka więź, uczucie, którego żadne z nich nie ośmieliłoby się wyrazić, z obawy by nie zgasło, kiedy życie potoczy się dalej. Nathan myślał jedynie o tych ulotnych chwilach, które pragnął zatrzymać na zawsze.

Same nogi zaprowadziły ich wkrótce do hotelu.

Kiedy znaleźli się w pokoju, Nathan otworzył torbę i wyłożył na łóżko swoje rzeczy. Na widok dużych kopert ze szpitala w Hammer-fest Rhoda podeszła bliżej i zapytała:

- To twoje dokumenty ze szpitala? -Tak.

- Jeśli pozwolisz, chciałabym rzucić na nie okiem. Nigdy nie spotkałam się z tak zupełną amnezją jak twoja, chociaż często mam z tym do czynienia. Ciekawi mnie opinia wystawiona przez leczącego cię psychiatrę.

- Proszę bardzo.

Rhoda usadowiła się na sofie ze skrzyżowanymi nogami. Nathan patrzył, jak otwiera każdą kopertę i dokładnie bada jej zawartość. Zabrało jej to kwadrans.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

- Wszystko jest poprawne, ale widać, że nie jest to ulubiona dziedzina tej Lisy Larsen. Jaką terapię ci zaleciła?

- Uczęszczanie na zajęcia terapeutyczne w ośrodku zajmującym się leczeniem zaburzeń osobowości za pomocą różnych metod, w tym hipnozy.

- Nieźle. Znalazłeś taki ośrodek?

- Poleciała mi jeden, ale leczenie miało być tak długie, że mnie to trochę zniechęciło.

- Rzeczywiście może ono trwać kilka lat. Może jest inny sposób... Czy miewasz sny, odkąd przebudziłeś się ze śpiączki?

- Kiedy przyjechałem do Paryża, miałem koszmar, który później powrócił...

- Aha... Czy prześladują cię jakieś obrazy, czy reagujesz na pewne sytuacje, znaki, słowa?

- Kiedy odnalazłem we Włoszech manuskrypt Eliasa, doznałem dziwnego wrażenia, jakby piasek chłostał mnie po twarzy... A potem jeszcze był ten ptak na waszych torbach, wczoraj wieczorem na lotnisku.

- Nic poza tym?

- Nie, nic innego.

Nie odzywała się przez kilka chwil, potem powiedziała:

- Mam dla ciebie propozycję. Spojrzeniem zachęcił ją do mówienia.

- Nie mogę ci zagwarantować, że to się uda, ale pomyślałam, że możemy spróbować czegoś nowego. Muszę cię przestrzec, że nie jest to przyjemne, często bywa wręcz przykre dla pacjenta. Zanim spróbujemy, chciałabym z tobą o tym porozmawiać.

- Słucham cię.

- No więc... od trzech lat zajmuję się nowymi metodami terapii, mało znanymi w Europie, które okazały się szczególnie skuteczne w leczeniu psychiatrycznym osób po traumatycznych przejściach, w przeciwieństwie do psychoterapii i leczenia farmakologicznego, trwających zbyt długo, a więc nieprzydatnych w sytuacjach doraźnych, z którymi mam do czynienia. W twoim wypadku chodzi mi o metodę znaną pod amerykańskim skrótem EMDR, co w naszej terminologii oznacza de-sensytyzację za pomocą ruchu gałek ocznych. To dosyć nowatorska metoda, polegająca na wyzwaniu się z traumatycznych doznań. Wodząc oczami za świecą lampką lub pałeczką poruszaną przez lekarza, pacjent przywołuje swoją przeszłość, aż do całkowitego pogrążenia się w dramatycznej sytuacji, którą kiedyś przeżył. Tę technikę odkryłam w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w Groźnym, w Czaczeniu. Pewien młody lekarz z amerykańskiej misji humanitarnej stosował ją w leczeniu dzieci, które były ofiarami lub świadkami tragicznych sytuacji, gwałtów, zabójstw. Stan niektórych z nich był poważny, odmawiały przyjmowania pokarmów, nie chciały wracać do domu...

Szczerze mówiąc, byłam nastawiona dosyć sceptycznie i nie bardzo wierzyłam w skuteczność takiego leczenia, ale rezultaty okazały się nadzwyczajne. Po zaledwie kilku seansach stan tych dzieci znacznie się poprawił, wróciły do normalnego niemal życia. Przekonałam swoich przełożonych, żeby wysłali mnie na szkolenie, na którym uczono tej nowej metody. Zgodzili się i spędziłam kilka miesięcy na specjalnym oddziale uniwersyteckiego szpitala Shadyside w Pittsburgu, w Stanach Zjednoczonych. Niestety nie ma precyzyjnego wyjaśnienia oddziaływania metody EMDR, ale najprawdopodobniej ruchy gałek ocznych wykonywane przez pacjenta w czasie seansu, zbliżone do tych, które wykonywane są w czasie snu, w trakcie marzeń sennych, są pomostem prowadzącym bezpośrednio do tych obszarów mózgu, które są odpowiedzialne za emocje.

- To bardzo interesujące, ale nie widzę związku między tego rodzaju patologią a moją amnezją...

- Objawy wydają się różne, co do tego masz rację, ale moim zdaniem utrata pamięci autobiograficznej jest, bez wątpienia, twoim sposobem reagowania na jakiś szok emocjonalny, którego nie jesteś w stanie pokonać. Pozwól sobie wytłumaczyć mechanizm działania: traumatyczne przeżycie powoduje zaburzenie w funkcjonowaniu układów neurologicznego i psychologicznego. W normalnym stanie rzeczy, kiedy myśl reaguje na jakiś umiarkowany szok, zostaje uaktywniona pewna część mózgu, by pomóc zażegnać wstrząs. Jest to

znany od dawna mechanizm samoleczenia. Nawet Freud pisał o nim w swoich pracach na temat żałoby. Przykład: pewnego ranka, przechodząc przez jezdnię, w ostatniej chwili uskakujesz spod kół pędzącego z wielką szybkością samochodu. Wieczorem, gdy wracasz po pracy do domu, przypomina ci się ta sytuacja i zastanawiasz się, co by się stało, gdybyś szedł trochę szybciej. Zginąłbyś? Został do końca życia sparaliżowany? Zaczynasz rozpamiętywać zdarzenie i jest to najzupełniej normalne. W ten właśnie sposób twój mózg emocjonalny przyswaja traumatyczne przeżycie. Następnego dnia wyjdiesz z domu i znowu przejdiesz przez jezdnię, nie odczuwając niepokoju, ale twoja czujność wzrośnie. Przez pewien czas zachowasz w pamięci ten samochód, potem o nim zaczniesz zapominać. Natomiast jeżeli dotknie cię poważne nieszczęście, przeżyjesz silny wstrząs emocjonalny, na przykład utratę bliskiej osoby w wypadku samochodowym, ta naturalna funkcja samoleczenia może zostać zaniechana i twoja świadomość nadal pozostanie w szoku. Nawet jeśli pacjenci znają przyczynę swego traumatyzmu, w wielu przypadkach reagują przykrymi, czasem wręcz nieznośnymi dolegliwościami lub potwornymi atakami lęku na banalne sytuacje codziennego życia, jakiś zapach, jakiś dźwięk, nie rozumiejąc, co się z nimi dzieje.

- Do czego zmierzasz?

- Chodzi mi o to, że wielu pacjentów nie zna przyczyn swojego traumatyzmu, bo pozostaje on ukryty głęboko w nich samych. EMDR pozwala wyizolować go i potraktować zupełnie inaczej. W ten sposób człowiekowi udaje się uwolnić spod jego wpływu. Wypadek jest być może źródłem twoich problemów, ale istnieje możliwość, że wzbudził on tylko reakcję, że twój mózg odpowiedział amnezją na inny traumatyzm, znacznie wcześniejszy.

- Ludzie, o których mówisz, odwołują się do swoich wspomnień, mogą opowiadać o swoim dzieciństwie, o różnych epizodach ze swojego życia... ja nie mam nic...

- Mylisz się. Tak jak powiedziała ci twoja lekarka w Norwegii, a badania skanerowe, którym cię poddała, potwierdzają to bez wątpienia, bo nie wykazują żadnych uszkodzeń, pamięć autobiograficzna ciągle jest w tobie. Dowodem na to jest twoja wczorajsza reakcja na lotnisku na logo organizacji One Earth: to podświadomość nie dopuszcza do wyjawienia ci wspomnień. Musimy po prostu znaleźć klucz, żeby się do nich dostać.

- Ach tak? A jak masz zamiar zabrać się do tego?

- Przez twoje sny, Nathanie. Postaramy się zgłębić twoje sny.

Był to prosty, sękaty, szary patyk, przypominający laskę szamana. Zanurzony w sztuczny półmrok pokoju, Nathan wodził oczami za końcem pałeczki, którą Rhoda energicznie wymachiwała mu przed twarzą...

- Wszystko w porządku? - upewniła się.

Nathan potwierdził, siedząc na krześle, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

Doznawał osobliwych uczuć. Na początku potraktował to jak zabawę, ale im dłużej wodził oczami za pałeczką, tym wyraźniej odczuwał leciutkie pieczenie rozchodzące się wzdłuż nerwów wzrokowych. Dochodziło do mózgu i tam, w samym jego środku, coś jakby wybuchało. Stopniowo, w niewytłumaczalny sposób wyłączał się z rzeczywistości.

- No dobrze, teraz chciałabym, żebyśmy przywołali obrazy z twojego snu - powiedziała spokojnym głosem Rhoda.

Nathan namyślił się przez chwilę i zaczął mówić:

- Jestem w jasnym pokoju. Jest ze mną dziecko... Wokół niego porzrucane są zabawki.

- Powoli, Nathanie, nie spiesz się... Widzisz coś jeszcze?

- Nie, nic.

- Rozejrzyj się dokładnie, czy jest coś, może jeszcze ktoś inny z wami w tym pokoju...

Wielkie, oślepiające okna, gładka podłoga. Zapach jodu. To morze? Mógł dosłownie poruszać się w swoim śnie, odkrywać najdrobniejsze jego szczegóły, które zawierała pamięć, a których nie był świadomy. *Dostrzega czyjąś obecność.*

- Mężczyzna i kobieta... Obserwują nas.

- Jak wyglądają? - spytała Rhoda.

- Nie wiem, ale czuję ich obecność. Teraz wychodzą.

Silna fala gorąca uderzyła mu do głowy.

- Nie spuszcza z oczu pałeczki. Co teraz się dzieje? - ciągnęła spokojnym głosem.
- Drzwi są uchylone, pręgowany kot przygląda się dziecku... Zbliża się do niego.
- A co ty robisz?
- Patrzę... Kot mówi do dziecka.
- W jakim języku? Wymawia wyrazy?
- Tak, można powiedzieć, że to język ludzki. Znam go dobrze, a jednak nie rozumiem.
- Co robi dziecko?
- Bawi się.
- Opisz je.
- Brązowe, bardzo krótkie włosy, śniada cera.
- Znasz je? Wiesz, jak się nazywa?
- Nie. Kot podchodzi, ociera się, mruczy. Jest zły.
- Zły? Co to znaczy?
- Nie wiem... To zdrajca... - Wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze, ale przemógł się i mówił dalej. - Dziecko bierze coś do ręki, to jest... nóż do papieru. Ono... ono uderza nim kota w głowę. Jeszcze raz... ostrze przebija oko, zagłębia się w czaszce. Zwierzę krwawi, miauczy, zwija się z bólu. Próbuje uciec, ale dziecko przygwaźdza je do ziemi.

Nathan poczuł pierwszą strużkę łez ciekącą po policzku.

- Dobrze, bardzo dobrze. Co dzieje się dalej?

Tumany palącego piasku zasypują mu oczy, smagają twarz, wciskają się w usta. Dusi się. Sceneria się zmienia. Jest sam nocą na pustyni.

- Pustynia, jestem na pustyni, wszędzie piasek.
- Jak nazywa się ten rejon?
- Nie wiem.
- Opisz mi, co widzisz.
- Panują ciemności, ale dostrzegam wydmy, a wśród nich czarne, poszarpane skały. Przede mną wznosi się ogromna góra. Są też małe ształas.
- Jesteś ciągle taki sam? Nie zmieniłeś się?
- Tak... ubrany jestem w powiewną, brunatnoczerwoną szatę. Idę ***przed siebie, ludzie oglądają się za mną.***
- ***Jak wyglądają?***
- Nadzy, zgarbieni, w zagłębieniach dłoni osłaniają małe, chybottliwe płomyki.

- Co słyszysz?
- Zawodzenie wiatru i coś, co mnie zasmuca. Lament, ludzie... Chyba płaczą.
- Dlaczego?
Nathan skupił się na przesuwających się obrazach.
- Nie... nie wiem, chyba jak mnie widzą, ale nie jestem pewien.
- Co jeszcze?
- Zgubiłem się, pytam ich o drogę, ale nie odpowiadają. Niektórzy wskazują na coś palcem.
- Co wskazują?
- Odwracam się, patrzę w ciemność, ale niczego nie widzę... Nagle gwałtownie załkał, potem płacz przeszedł w spazmy...
- Moja pierś! Coś dzieje się w moich piersiach...
Jęczał jak dziecko, słowa zmieniły się w rozdzierającą skargę.
- Co się dzieje?
- Zrywam owijające mnie prześcieradło. Jest tylko ziejący otwór, krwawa, czarna otchłań i pulsujące wnętrze. Odarta ze skóry zwierzęca głowa, głowa kota... pożera mi serce.
- Patrz, obserwuj dokładnie, co dzieje się wokół ciebie. Co teraz widzisz?
***Wicher przybiera na sile. Postacie stają się kruchymi, mętnymi, roz-
pływającymi się kształtami...***
- Odwracam się, jakaś postać wyłania się z zawieruchy. Boli... To boli.
- Idź za nią, Nathanie, nie zgub jej.
- Nie mogę!
- Idź za nią! To twoja świadomość, która cię opuszcza, zatrzymaj ją, nie pozwól jej znowu odejść. Ona jest kluczem do wszystkiego.
Przymknął oczy.
- Leżę rozciągnięty na ziemi... nie... nie mogę się podnieść. Kot wyżera mi wnętrze... postać... jej twarz... ona chce... nie! Nie!
Nathan zniechęcony zerwał się na równe nogi, zachwiał, potracił stolik i zwałił na podłogę. Całym ciałem wstrząsały gwałtowne drgawki, w ustach czuł metaliczny smak krwi, wymieszany ze słonymi łzami. Zobaczył pochylającą się nad nim zmienioną twarz Rhody.
- Nathanie! Co się stało? Nigdy coś podobnego mi się nie przytrafiło! Mój Boże, co ja ci zrobiłam?
Przyklękła, podniosła mu głowę i ułożyła na swoich kolanach, otaczając delikatnie ramionami.

- Wybacz mi... wybacz...

- Ja... ja nie...

Nathan czuł jej krótki oddech na swoich włosach. Z czułością wzmocniła uścisk, by móc dzielić jego lęk, by tworzyć z nim jedną, przepelnioną bólem istotę.

Poczuł dłonie gładzące mu kark, włosy, delikatne pocałunki na swej wilgotnej twarzy... Potem nagle eksplodowało w nim gwałtowne pożądanie. Podniósł się. Jego ręce poszukały ciała Rhody, jej bioder, które jak fala głębinowa, jak zmysłowy fluid, potężny i uległy, przywarły do niego. Ich usta spotkały się w pierwszym łapczywym pocałunku. Trwali tak, zagubieni jedno w drugim, nie mogąc się rozłączyć. Wreszcie ona odsunęła się nieco i rozpięła bluzkę, ukazując drobne piersi, jedwabistą skórę. Nathan przez chwilę przyglądał się jej zarumienionej twarzy, zielonym oczom, na które opadały jasne kosmyki... potem, zamykając oczy, zanurzył się w otchłani. Nachyliła się nad nim, pieszcząc delikatnie językiem jego skórę, wślizgując się między wargi, niczym miodowy, pełen słodczy podarunek. Po chwili do pieszczot dołączyły jej ręce, lekkie jak dwa bursztynowe kwiaty, potem nagle wsunęły się między jego uda. Nowe doznania zawładnęły Nathanem, słodki zapach owoców, ciepło jej piersi na jego piersiach. Otworzył oczy, by widzieć, jak ona przeżywa rozkosz. Odrzuciła twarz do tyłu, jednym ruchem ujęła go w dłoń i wsunęła delikatnie w zagłębienie własnego ciała, na sam brzeg...

W tym samym momencie jego czaszka wypełniła się przeraźliwym wrzaskiem. Pokój zalała czerwień. Gwałtownie odepchnął Rhodę i jednym ruchem poderwał się na nogi:

- Odejdź... odejdź... nie dotykaj mnie!

- Co ci się stało?

Zbliżała się do niego z wyciągniętą ręką.

Próbował się opanować, ale cały pokój tańczył, kołysał się wokół niego. Zalała go następna fala lodowatej i brutalnej wściekłości:

- Nie dotykaj mnie... zostaw mnie!

- Jak to?

- Czuję... wynoś się, nie zbliżaj się...

- Co się z tobą dzieje?

Rhoda patrzyła na niego z bólem i strachem w oczach.

- Nie stój tak, ubierz się!

Z oczu trysnęły jej łzy. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale głos załamał się w rozpaczliwym szlochu. Przycisnęła do piersi swoje ubranie, pobiegła do łazienki i zamknęła się w niej na klucz.

Pijany z nienawiści przemierzał pokój wielkimi krokami. Stopniowo odzyskiwał spokój. Usiadł na sofie, podciągnął kolana pod brodę i zamknął oczy.

Co go napadło? Od czasu przebudzenia ze śpiączki kilkakrotnie zdarzyło mu się paść ofiarą przemocy, sam nawet dopuścił się zabójstw, ale jak dotąd panował nad sobą. Nigdy jeszcze do tego stopnia nie stracił samokontroli, nigdy nie wyładował na nikim agresji, do nikogo nie czuł zwierzęcej niemal odrazy. Skąd wzięła się taka reakcja? Czy to było wspomnienie snu? Może Rhoda coś przed nim ukrywała, coś, o czym jego ciało teraz sobie przypominało?

Nie... To brednie. To nie chodziło o żadne sny, lecz o niego samego, wyłącznie o niego. Tym razem nabrał przekonania, że traci rozum.

Metaliczny zgrzyt, przemykający się cień... Nathan podniósł powieki. Minęło kilka godzin. Milcząc, Rhoda wyślizgnęła się z łazienki.

Podniósł się, zbliżył do niej i milcząc, znieruchomiał w mroku. Otworzyła torbę i zaczęła do niej wrzucać swoje ubrania.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało... Sam nie wiem, co mnie napadło. Rhoda milczała.

- Co robisz? - zapytał Nathan.

- Wyjeżdżam. Wracam do Izraela.

- Proszę, wybacz mi. Naprawdę mi przykro.

- Zapomnijmy o wszystkim, ja też ponoszę częściową odpowiedzialność.

- O czym mówisz?

- Naruszyłam zasady... Zostałeś moim pacjentem. Nigdy nie powinno było do tego dojść.

- Zapewniam cię, że nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia. Ja ponoszę całą odpowiedzialność.

- Nie wiesz, co mówisz. To było z mojej strony poważne uchybienie zawodowe.

Zamknęła torbę i wyprostowała się przed Nathanem.

- Każde z nas pójdzie w swoją stronę. Tak będzie lepiej, uwierz mi.

Po raz ostatni spojrzął w rozmyślnie nieczułe, ale ciągle jeszcze pełne bólu oczy.

Zadrwił sobie z niej, głęboko ją upokorzył, a przecież wyciągnęła do niego rękę. To, co zrobił, przyprawiało go o mdłości.

Nie było nic do dodania.

Rhoda zamknęła torbę, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Zawahała się, po czym zawróciła.

- Nathanie... Ja... -Tak?

- Zastanawiałam się nad tym, co działo się w obozie w Katala. Pytałeś o zdarzenia, wykraczające poza ramy normalności... Coś mi się przypomniało, wówczas nie wydawało mi się to ważne, ale...

- O co chodzi?

- Pamiętam, że kierownictwo strefy kilkakrotnie składało skargi na ręce przydzielonego do obozu przedstawiciela wysokiego komisarza do spraw uchodźców.

- Skargi... z jakiego powodu?

- Z powodu powtarzających się przypadków zaginięcia uchodźców... Nigdy ich nie odnaleziono. Władze zamknęły sprawę, tłumacząc, że chodzi o porachunki między Hutu... ale pamiętam, że kiedyś przyszła do mnie mała dziewczynka. Była przerażona. Powiedziała mi, że jej ojciec został zabrany... Spytałam, czy zna lub widziała tych, którzy go zabrali. Zaprzeczyła, nie widziała ich... bo nie można było widzieć... Mieli zamaskowane twarze... Pomyślałam... że to zły sen... Mówiła... Och! mój Boże, cała ta historia to jeden wielki koszmar...

- Co? Co mówiła? Błagam, powiedz!

- Ze to były demony... demony o białych rękach...

Lotnisko Heathrow w Londynie 2 kwietnia 2002 godzina 22.00

- Ashley, tu Nathan.
- Co słyszeć?
- Nieźle.
- Gdzie pan jest?
- W Londynie. Jadę do Gomy, w Demokratycznej Republice Konga. Co pan tam będzie robił?
- Natrafiłem na pewien ślad, opowiem o tym w odpowiednim czasie.
- Jest pan sam?
- Oczywiście. Z kim miałbym być?
- A trupy morderców?
- Nic na ten temat nie słyszeć. Kusiło mnie, żeby rzucić okiem na piwnicę.
- To niedobry pomysł.
- Też tak mi się wydawało. Przeniosłem się do innego hotelu, żeby być dalej od tego miejsca. Czytałem gazety, od deski do deski. Nic, nawet krótkiej notatki. Najwidoczniej nie zostały jeszcze znalezione. Albo ktoś zatroszczył się o to, żeby zniknęły.
- Gdyby ciała wpadły w ręce policji, mogłoby to okazać się niewygodne dla kogoś, kto nasłał ich na pana.
- Tak, to możliwe.
- No dobrze, skontaktowałem się z archiwum Marynarki Niemieckiej w Hamburgu.
- Z jakim rezultatem?
- „Dresden” figuruje w ich centralnym katalogu, ale nie mogą znaleźć dokumentów. Powiedzieli mi, że zniknęły. Żadne inne archiwum nie posiada nic na temat tego statku.

- Zostały skradzione...
- Jeśli chce pan znać moje zdanie na ten temat, to nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.
- Roubaud dał się oszukać.
- Na to wygląda...

Zaległa cisza, po czym Woods zapytał wprost:

- Co pan przede mną ukrywa?
- Nic ważnego, Ashleyu. Na razie nic nie mogę panu powiedzieć, ale jeśli okaże się to ważne...
- Nathanie, naprawdę chce pan, żebym panu pomógł? Kolejna chwila ciszy.
- No więc niech mi pan opowie, co rzeczywiście zdarzyło się w ciągu tych ostatnich dni.

Głos Woodsa brzmiał sucho, stanowczo. Nathan nie próbował już dłużej tłumaczyć sobie niezrozumiałych powodów, które pchnęły go do zatajenia przed nim spotkania z Rhodą. Nie mógł się obejść bez Anglika, obecnie jedyne swojego sprzymierzeńca. Jednocześnie w głębi duszy czuł wzrastającą potrzebę zawierzenia komuś. Obdarzenia kogoś bezgranicznym zaufaniem. Czyż Ashley nie dał mu wystarczających dowodów na to, że jest właśnie takim człowiekiem? Nathan nie wahał się już dłużej i opowiedział mu o swoim spotkaniu z Rhodą, starannie jednak pomijając okoliczności ich rozstania.

Woods słuchał, nie przerywając.

- Niech pan uważa, w co się pan ładuje, Nathanie. W głosie Anglika dał się słyszeć niepokój.

- Niech się pan nie obawia.

Obaj mężczyźni czuli wzrastające napięcie, które przerwał Nathan.

- Ma pan wiadomości od Staela?
- Jeszcze nie - odpowiedział Woods, odzyskując całą swoją zwykłą flegmatyczność.
- Wysłałem monity do władz francuskich i belgijskich, ale obawiam się, że na niewiele się to zda.
- Ja też miałem wątpliwości. A manuskrypt? Na jakim jest pan etapie?
- Z trudnością się posuwam, jak znajdę coś ważnego, powiadomię pana.

W holu terminalu rozległ się dźwięk dzwonka, po którym kobiecy głos wezwał pasażerów lotu BA 107.

- Muszę kończyć, Ashleyu. Zadzwoń wkrótce.
- Szczęśliwej podróży, mój stary, i proszę na siebie uważać.

Nathan rozłączył się i podążył z tłumem pasażerów w kierunku wejścia, przy którym odprawiano pasażerów Boeinga 747 brytyjskich linii lotniczych, udających się do Nairobi. To kenijskie miasto - afrykański węzeł komunikacji lotniczej - był pierwszym etapem jego podróży. Stamtąd poleci do Kigali w Ruandzie, a do Gomy dojedzie drogą lądową.

Czterdzieści osiem godzin, które nastąpiły po wyjeździe Rhody, spędził na przygotowaniach do podróży. Otrzymanie wizy do Ruan-dy nie stwarzało trudności; wizę do Demokratycznej Republiki Kongo lepiej będzie kupić już na miejscu. Wschodnia część kraju, ogarnięta wojną domową od wyjazdu Mobutu, była w rękach rebeliantów RCD*, którzy nie uznawali oficjalnych dokumentów wydawanych przez władze w Kinszasie.

Nathan wcześniej już zarezerwował sobie pokój w hotelu w mieście - Starlight - wybranym przypadkowo z listy, którą otrzymał w ambasadzie. Dyrektor obiecał „pchnąć wysłannika”, który będzie na niego czekał na granicy i w jego imieniu załatwi formalności związane z wjazdem do kraju. W dniu odlotu biegał po sklepach, kompletując ekwipunek. Kupił pelerynę, środki przeciw komarom i całą torbę farmaceutyków: lekarstwo przeciw malarii, apteczkę pierwszej pomocy, tabletki chloru do uzdatniania wody i pastylki przeciw biegunce. Wymienił również trzy tysiące euro na dolary i kupił dodatkową kartę pamięci do swojego cyfrowego aparatu fotograficznego.

Samolot był wypełniony do ostatniego miejsca. W nieprawdopodobnie radosnym i hałaśliwym tłumie przeplatały się wszystkie rasy, ocierali się o siebie turyści, biznesmeni, dyplomaci, ludzie z Zachodu i Afrykanie. Zderzenie światów, które się wymieszały, kompletnie nie znając się nawzajem. Nathan zajął swoje miejsce i zasnął wkrótce po starcie.

Otworzył oczy o piątej trzydzieści rano. Samolot zbliżał się do lotniska. Pasażerowie zajmujący sąsiednie fotele budzili się jeden po drugim, oszołomieni, jakby walczyli z gigantycznym kacem po uciechach poprzedniego dnia. Odwrócił głowę. Za oknem ledwie budził się dzień, ukazując długie pasma mgły ścielące się jak duchy na ogromnych równinach Afryki. W oddali migotało kilka małych światełek. Mieli godzinne opóźnienie.

Nathan w ostatniej chwili zdążył się przesiąść do następnego samolotu.

*** RCD - Rassemblement congolais pour la démocratie - Kongijskie Zgromadzenie na rzecz Demokracji.**

Zaledwie pasażerowie rozlokowali się na swoich miejscach, maszyna wzbiła się w powietrze, wzięła kurs na zachód, a Nairobi pozostało w tyle, w szarości poranka. W dole rysowały się ogromne pustynne, brunatne przestrzenie, skalne grzbiety, kilka rzeczułek z odznaczającymi się pasmami ciemnej roślinności. Po jakimś czasie samolot wszedł w wielką, różowawą, postrzępioną chmurę.

Po upływie niecałej godziny pilot wykonał skręt w lewo, zmniejszył prędkość obrotową silników i nachylił maszynę do pięćdziesięciu stopni ku ziemi. Oczom Nathana ukazał się zupełnie inny świat. Pustynię zastąpiły zielone wzgórza, małe rzeczułki zamieniły się w migoczący, cudowny labirynt. Świat dynamiczny, tętniący życiem, zdumiewającą mocą. W miarę jak zbliżali się do ziemi, Nathan czuł coraz silniej dręczący lęk rodzący się w okolicach żołądka i rozchodzący po całym ciele. Nie był to strach przed wylądowaniem na tej zbezczeszczonej ziemi. Nie, on rozpoznawał te tereny. Był już tu kiedyś. W pamięci pozostał ślad.

I to właśnie napawało go obawą.

Samolot wylądował w strugach deszczu płynącego potokami po nawierzchni lotniska. Była pełnia pory deszczowej. Nathan przemoczony do suchej nitki wszedł do hali przylotowej lotniska w Kigali. Bagaż przyjechał kilka minut później, równie mokry jak jego właściciel. Nathan bez żadnych problemów przeszedł przez komorę celną i skierował się ku wyjściu, gdzie kilku taksówkarzy czekało na klientów. Było południe, gdy wsiadł do rozpadającej się toyoty land cru-iser, która powiozła go w kierunku granicy z Demokratyczną Republiką Konga.

Afrykańska ziemia ukazała teraz inną twarz. Pod czarnym, przepętnionym wodą niebem nierówności terenu przybrały ciemne barwy, ziemia stała się krwistoczerwona, a powietrze, początkowo przytłaczające upałem, nabierało świeżości w miarę, jak oddalali się od miasta. Kręta droga zalewana potokami deszczu prowadziła do spokojnych zielonych wzgórz i uczepionych do nich plantacji manioku, bananów i przeludnionych wiosek. Mijali konwoje samochodów terenowych Narodów Zjednoczonych z napisem UN, pędzące na złamanie karku taxi-vany z napisem na przedniej szybie: „Jezus jest wielki”. Najbardziej rozpowszechnionym środkiem lokomocji był rower; po ulicach poruszały się setki rowerów, które ich właściciele, niczym akrobaci, lekceważąc prawa ciężenia, załadowywali górami bananów. Było też wielu pieszych. Tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci szły po ulicach, po polach, niektórzy byli wysocy i gibcy, inni niscy i przysadzi-

ści. Nieśli łopaty, maczety, widły... Patrząc na te stalowe narzędzia, Nathan nie mógł pozbyć się myśli, że byli to ci sami ludzie, którzy w 1994 roku użyli ich jako broni i wyrznęli niemal milion swoich bliźnich.

Koło trzynastej dojechali do Gisenyi. Nathan kazał kierowcy zatrzymać się przy stacji benzynowej, z której, zgodnie z informacjami dyrektora hotelu, miał zabrać swego przewodnika. Wszedł z samochodu i pierwszego napotkanego pracownika stacji spytał o niejakiego Billy'ego. Pracownik wskazał mu palcem skuloną na stercie opon postać. Billy załatwił Nathanowi formalności związane z wjazdem na terytorium Konga. Nathan poprosił, żeby wsiadł z nim do samochodu, po czym ruszyli w dalszą drogę. Po niecałej półgodzinie w oparach mgły ukazała się im Goma.

Położone na wschodnim brzegu jeziora Kiwu miasto wydawało się stopniowo pełzać, wspinać się, pochłaniając ziemię okolicznych wzgórz, jak żarłoczna roślina, która wyłoniła się z roślinnego piekła. Było to takie samo afrykańskie miasto, jakich jest wiele na tym kontynencie, z wyjątkami klaksonami samochodów, chaotycznym systemem bitych dróg, betonowymi budynkami i barakami pokrytymi falistą blachą. Ziemia była tutaj czarna jak noc, a powietrze gęste, wypełnione ciężkimi woniami, rojące się od milionów maciupeńkich muszek. Zwracając twarz w kierunku gór, Nathan dostrzegł malującą się w oddali ciemną, majestatyczną sylwetkę.

Zrozumiał, że te miliony fruujących kłaczków to nie były owady, ale pył z popiołów wydobywających się z ogromnego wulkanu Nyira-gongo.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem Starlight. Był to budynek

o biało-zielonej fasadzie, otoczony gęstym ogrodem, w którym rozmieszczono małe bungalowy. Nathan zapłacił za kurs i wszedł do holu. W recepcji wymienił sto dolarów na franki kongijskie, następnie wskazano mu pokój w lewym skrzydle budynku. Pokój był skromny

1 czysty, z biurkiem, podwójnym łóżkiem i małym tarasem, z którego rozciągał się widok na jezioro Kiwu. Wziął prysznic, zmienił ubranie i zabrał się do pracy.

Należało porozmawiać z każdym, kto mógłby cokolwiek wiedzieć na temat obozu w Katala. Zebrać maksymalną liczbę informacji, zróżnicowanych opinii, żeby wyrobić sobie własny, obiektywny pogląd na całą sytuację.

Minęło osiem lat od tych zdarzeń, ale kilka organizacji pozarządowych pozostało jeszcze w mieście i być może niektórzy ich pracownicy uczestniczyli w akcji ratunkowej w czasie masowej ucieczki Hu-tu. Przydatni mogli okazać się także obywatele francuscy i belgijscy, zamieszkali w tym rejonie. Musiał jednak wymyślić

jakiś solidny pre-

tekst, żeby swobodnie lawirować pośród tych różnych społeczności, nie ujawniając prawdziwego celu swych poszukiwań. Miał już pewien pomysł.

W książce telefonicznej znalazł dane miejscowego oddziału Światowej Organizacji Zdrowia. Tam się uda, żeby poszukać pierwszych kontaktów.

Siedziba Światowej Organizacji Zdrowia znajdowała się w cywilnej bazie kanadyjskiej, w niedużej odległości od luksusowego hotelu Karibu. Wybrał się tam piechotą, co zajęło mu około dwudziestu minut. Szedł cały czas prosto, jedyną wyasfaltowaną drogą w mieście, łączącą przyjemnie wyglądające dzielnice z lotniskiem. Deszcz ustał, ale na każdym kroku widać było skutki ulewy. Ulice Gomy były dosłownie zalane ogromnymi błotnistymi kałużami, w których pływały góry odpadków, trupy kóz i bezpańskich psów.

Biura sąsiadowały ze skromnym szpitalikiem i pełniły funkcję pensjonatu, magazynu i garażu. Nathan przedarł się przez tłum oblegający wejście do ambulatorium i zgłosił się do recepcji. Minutę później został wprowadzony do „szefowej”.

Doktor Phindi Willemse była potężną kobietą, dobrze po czterdziestce, o bardzo czarnej skórze i króciutko ostrzyżonych włosach. Miała na sobie kolorową, sięgającą do kostek suknię. Jej szlachetna, kanciasta, ciemna twarz wyglądała jak wykuta z bazaltowego bloku. Przywitała Nathana silnym uściskiem dłoni i poprosiła, żeby usiadł.

- W czym mogę panu pomóc, panie...

- Nathan Falh. Dziękuję, że znalazła pani dla mnie chwilę czasu. Rozglądając się po gabinecie, w którym znajdowało się fornirowe

biurko z komputerem, tabliczką z jej nazwiskiem i grubymi stosami dokumentów, Nathan zaczął opowiadać wymyśloną po drodze historię:

- Jestem dziennikarzem, zajmuję się procesem, toczącym się przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym. Interesują mnie ludobójcy z plemienia Hutu, przebywający dotychczas na wolności.

Mimo że nieco ryzykowne, takie tłumaczenie zapewniało mu doskonałe alibi, by móc kręcić się po interesujących go miejscach i wypytywać ludzi.

- Dla jakiej gazety pan pracuje?

- Nie jestem związany z żadnym wydawcą. Sprzedaję reportaże temu, kto więcej zapłaci.

- To ryzykowny sposób na życie.

- Nie szkodzi... Zapewnia mi to też pewną wolność wypowiedzi.

- Rozumiem... Czy szuka pan kogoś konkretnego?

Nathan wstrzymał oddech. Powinien łagodnie nakierować rozmowę na interesujący go temat. Ta kobieta posiadała władzę i kontakty, które pozwolą mu doprowadzić do końca śledztwo w tym ogarniętym wojną domową kraju. Nie mógł popełnić żadnego błędu.

- Znajduję się dopiero w początkowej fazie poszukiwań. W związku z tym nie mogę wymienić żadnych nazwisk. Szukam ideologów i przywódców milicji, którzy, poza zbrodniami dokonanymi na Tutsi, na terytorium Ruandy, prześladowali i mordowali również Hutu o umiarkowanych poglądach w **obrąble** obolów **tekowi** GOTCYNJ.

- Jest ich bardzo wielu, część wyjechała do Europy lub do Kanady, inni pozostali w okolicach Kiwu. Ale muszę pana ostrzec, że ci zbrodniarze są świadomi zagrożenia i bezustannie **pozostają w stanie** pogotowia. Penetrując to środowisko, **ściągnie pan na siebie poważne kłopoty.**

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Mam jednak pewne doświadczenie w tego rodzaju sytuacjach.

Phindi Willemse uniosła brwi i uśmiechnęła się znacząco:

- W to nie wątpię.

Nathan pominął milczeniem aluzję do krwiaka i blizn, którymi naznaczona była jeszcze ciągle jego twarz.

Kobieta wstała i oparła się o otynkowaną ścianę, której niemal całą powierzchnię zajmowała fotografia roześmianego dziecka.

- Sądzę, że to interesujący zamysł. Ci ludzie wykorzystali zamęt panujący w kraju i należałoby ich ujawnić. Jestem skłonna udzielić panu wszelkiej pomocy, ale to pan musi mi powiedzieć, w jaki sposób mogę to zrobić.

Teraz należało ją przekonać, żeby skontaktowała go ze sprawcami tragedii. W ten sposób pierwsza runda byłaby wygrana. Odpowiedział więc natychmiast:

- Chciałbym spotkać się z każdym, kto pracował w obozach w lipcu 1994 roku.

- W których obozach? Było ich dziesiątki.

- Miałem na myśli największy...

- Kibumba, Katale, Mugunga?

- Katale.

- Ekipy humanitarne się wymieniają i nie sądzę, żeby w Gomie lub okolicach został choć jeden członek jakiejś organizacji pozarządowej obecny tu również w 1994 roku.

Jeśli chodzi o miejscową siłę roboczą zatrudnioną w obozach, wraz z wyjazdem organizacji, większość została bez pracy. Prawdopodobnie są cały czas tutaj, ale Goma liczy prawie trzysta tysięcy mieszkańców i odnalezienie ich wydaje mi się trudne. Natomiast...

-Tak...

- Nie wiem, co to może dać, ale są jeszcze inni Hutu, nie mówię o tych, których pan poszukuje, lecz o tych, którzy wszystko stracili, o tych, którzy nigdy nie powrócili do siebie dlatego, że albo nie mieli do czego wracać, albo obawiali się prześladowań Ruandyjskiego Frontu Patriotycznego. Dwa obozy w rzeczywistości nigdy nie zostały opuszczone. Dziś są ogromnymi dzielnicami dla ubogich, zamieszkanymi przez ludzkie cienie... jednym z nich jest właśnie ten w Kata-le. Tam znajdzie pan tych nieszczęsnych nędzarzy.

- Myśli pani, że mogą okazać się przydatni?

- Moim zdaniem bardzo wiele stracili w tych masakrach. Stali się narzędziem w rękach samego diabła, słuchając doradców wzywających do ostatecznego rozwiązania i obiecujących raj na ziemi, który miał nastąpić po zlikwidowaniu Tutsi. Myślę, że zachowali do nich pewną urazę.

- Jak mogę tam się dostać?

- Będzie pan potrzebował przepustki. Cała okolica aż roi się od milicji. RCD, rebelianci Mai Mai... to młodzi ludzie, całkowicie zagubieni, często odurzeni alkoholem i narkotykami, którzy mają na sumieniu najgorsze bestialstwa. Jeśli stwierdzą brak zezwolenia na poruszanie się wydanego przez ich władze, nie zawahają się zamordować za paczkę papierosów.

- Gdzie mogę otrzymać taki dokument?

Phindi Willemse znowu uniosła brwi, tym razem ze zdziwienia.

- Chce pan powiedzieć, że nikogo pan tu nie zna?

- Nikogo.

- Kiedy ma pan zamiar wyjechać?

- Najszybciej jak to możliwe... jutro?

- OK, zobaczę, co się da zrobić. To około trzydziestu kilometrów na północ, ale musi pan sam znaleźć sobie jakiś środek lokomocji, nie mam żadnej ekipy, która planowałaby wyjazd w tamte rejony.

- Niech się pani o to nie kłopotuje.

- Jeśli pan tam dotrze, to w wiosce Kibumba jest belgijska misja katolicka prowadzona przez ojca Spriet. To stary człowiek, wyniszczony trzydziestoma latami życia w Afryce, ale na pewno będzie mógł panu pomóc, zwłaszcza jeśli chodzi o zakwaterowanie i załatwienie przewodnika. Proszę się na mnie powołać.

- Świetnie.

- A więc, panie Falh, do zobaczenia jutro.

- Jeszcze tylko jedna rzecz...

- Słucham.

- Czy ma pani jakieś dokumenty dotyczące masowej ucieczki z kraju?
- Musieliśmy zachować raporty naszej kadry obecnej w tamtym czasie.
- Mógłbym je przejrzeć?
- Nie sądzę, żeby stanowiło to jakiś problem. Muszę jednak je odszukać, a w tych dniach jestem bardzo zajęta. Wszystko przygotuję na pański powrót.
- Pani doktor... jak mam pani podziękować?
- Nie ma za co. Niech pan do mnie zadzwoni jutro rano, punktualnie o dziewiątej.

Cztery wielkie czarne pieczęcie przystawione u dołu przepustki wręczonej Nathanowi przez doktor Willemse stanowiły jedynie bardzo względną gwarancję, że nie zostanie zmasakrowany podczas podróży do Katali. Bo choć dokument chronił go przed rządową milicją, nie zabezpieczał absolutnie przed morderczym szaleństwem uzbrojonych band grasujących na tym terenie...

Złożył starannie dokument, wsunął go do plecaka koło paszportu i spojrzał na zegarek: jedenasta. Jedynym środkiem transportu, który udało mu się znaleźć, by wyruszyć w pierwszy etap swej podróży, była ciężarówka powracająca do misji katolickiej ojca Spriet. Wyruszała za pół godziny. W sklepie zaopatrzył się w dwie butelki wody mineralnej, tabliczkę czekolady, herbatniki i kilka cienkich świec. Potem udał się w kierunku cywilnej bazy belgijskiej, skąd odjeżdżał konwój. Na niebie kłębiły się ciężkie, ołowiane chmury, z których w każdej chwili mógł lunąć deszcz. Żaden lekki pojazd nie zapuszczał się w tamte rejony o tej porze roku. Droga prowadząca do Kibumby była wydrążona w górskim zboczu i tylko ciężarowe wozy terenowe mogły pokonać trasę, bez ryzyka porwania przez potoki błota. Do jednego z nich miał za chwilę wsiąść.

Nathan odszukał kierowcę, a ten wskazał mu wielki kontener przykryty płócienną plandeką w kolorze khaki. Najwidoczniej nie był jedynym, który chciał wyruszyć w podróż. Wśród kartonów wypełnionych lekami, worków z ryżem, żywych zwierząt i tłumoków z wszelkiego rodzaju towarami Nathan dojrzał stłoczonych pasażerów, czarny, milczący zbity tłum. Mężczyźni i kobiety, niektórzy odziani w kolorowe stroje, ściśnięci, przyklejeni jedni do drugich, tworzyli bezkształtną, ruchomą masę; wycieńczone twarze, pełne bólu spojrzenia, nędzne ubrania. Nathan wepchnął się do skrzyni ładunkowej samochodu i wykorzystując ruch tłumu, zdobył dla siebie miejsce między rozpalonymi ciałami. Dziesięć minut później konwój ruszył w drogę.

Do Kibumby dotarli o siedemnastej trzydzieści.

Nathan wyskoczył z ciężarówki i spoglądając w rozświetlone błyskawicami niebo, poszedł w kierunku osady składającej się z chat zbudowanych z gliny i słomy. Mała wioska, zagubiona wśród wulkanicznych zboczy, leżała na szerokiej, skalistej równinie rozpościerającej się u wylotu drogi. Pod obstrzałem beznamiętnych spojrzeń dorosłych zagłębił się w labirynt chat. Dziesiątki dzieciaków i podrostków cisnęło się wokół niego, tworząc szepczący, szemrzący krąg. Najmłodsze walczyły między sobą o prawo niesienia mu torby. Kiedy okrag wokół niego się zamknął, Nathan przystanął i spytał o drogę do misji katolickiej. Pytanie to wywołało wybuch ogólnej wesołości.

Z tyłu doszedł go grzmiący głos:

- Odczepcie się, banda makaków!

To był biały. Na głowę miał nasadzony zdeformowany kapelusz. Usta tworzyły wąską, czerwoną szparkę, a zarys oczu sprawiał wrażenie tatuażu. Twarz była blada i wyniszczona.

Nathan dostrzegł mały drewniany krzyżyk zawieszony na rzemyku na chudej piersi.

Tłum rozstąpił się i przepuścił nowo przybyłego.

- Rozsuńcie się! Kim pan jest? - spytał.

- Nathan Falh, jadę z Gomy. Doktor Willemse... czy ojciec Spriet?

- Pan pozwoli ze mną, w kościele będziemy mogli swobodnie porozmawiać - powiedział mężczyzna, nie uznając za stosowne odpowiedzieć na pytanie.

Gwałtowny grzmot wstrząsnął powietrzem.

Szli przez osadę, klucząc wśród chat. Zatrzymali się przed skromnym budynkiem z sinobiałego cementu, nad którym górował gigantyczny krzyż. Misjonarz rozchylił poły wiszącej tkaniny zastępującej drzwi. Weszli do świątyni.

- Słucham pana - powiedział, sadowiąc się między ławkami swoich parafian.

Nathan zastanawiał się przez chwilę. Nadszedł czas na postawienie właściwych pytań.

- Jestem dziennikarzem, zbieram informacje dotyczące zaginięcia uchodźców ruandyjskich, do którego doszło w obozie w Katala w lipcu dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Co pan rozumie przez zaginięcie?

- Mówię o ludziach: mężczyznach, kobietach, dzieciach, którzy zapadli się pod ziemię i po których ślad zaginął. Mogli zostać uprowadzeni.

Ojciec Spriet słuchał uważnie, ze złożonymi na piersiach rękami i lekko pochyloną w bok głową.

- Mówi pan, uprowadzeni?
- Początkowo myślałem o porachunkach między Hutu, ale odrzuciłem tę hipotezę, skłoniłbym się raczej ku...
Przed oczami stanął mu obraz małej dziewczynki szlochającej w ramionach Rhody.
Demony o białych rękach...

- Ku czemu?
- Powiedzmy, że pewne szczegóły wskazywałyby na to, że te zaginięcia nie musiały mieć związku z aktami ludobójstwa.
- Co ma pan na myśli?
- Był naoczny świadek tych zdarzeń. Pewna mała dziewczynka.
- Mała dziewczynka... i cóż to dziecko widziało?
- Powiedziała, że jej ojciec został porwany przez demony, przez białe demony.
- Białe demony... bardzo ciekawe... a dlaczegoż to miałyby one porwać jej ojca?
Ironiczny ton misjonarza zaczął irytować Nathana.
- Gdybym to wiedział, ojczcie, nie byłoby mnie tutaj.
- Chce się więc pan tego dowiedzieć...
- Chcę popytać tych, którzy zostali w Katalu.

Ponowny grzmot zatrzęsł ścianami kościoła. Gdy pierwsze krople deszczu zadudniły o blaszany dach, ojciec Spriet wstał i podszedł do ołtarza. Jego wzrok spoczął na moment na wznoszącym się w cieniu ogromnym krucyfiksie, wyobrażającym Chrystusa o afrykańskich rysach, potem odwrócił się.

- Czy ma pan pojęcie, z iloma historiami o diabłach, demonach i duchach przychodzą do mnie ludzie każdego roku? Afryka to kraj legend i jej mieszkańcy są wręcz przesiąknięci wszelkiego rodzaju zabobonami, z którymi muszą codziennie walczyć.

Nathan nie mógł powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie przez chwilę ojca Spriet jako wątłej postury świętego Michała, powalającego smoka.

- Faktem jest, że ludzie zniknęli i nie sądzę, aby osoba, która mi to zrelacjonowała, była podatna na te zabobony, by wierzyła w rzeczy nadprzyrodzone.
- Niech będzie, odłóżmy te rozważania. Teraz ja chciałbym pana o coś zapytać. Czy wie pan, co się tutaj działo w dziewięćdziesiątym czwartym roku? Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co przeżyli ci ludzie, zarówno ocalałe ofiary jak i ich oprawcy, winni i niewinni? Wszyscy, którzy wieczorem, trzynastego lipca, niczym rozlana, czerwona rzeka, znaleźli się na lawowej pokrywie naszych wulkanów, z ciałami i duszami zbrukanymi krwią własnych braci? Wszyscy ci,

którzy przybyli i umarli? Czy przymykając oczy, zdoła pan sobie wyobrazić twarze, zagubione spojrzenia, w których tańczą demony, śmierć i nienawiść?

Przerwał na chwilę. Ulewa się nasiliła.

- Ja, młody człowieku, byłem tam, widziałem horror rodzący się za tymi wzgórzami, które dawniej nazywano rajem na ziemi. W ciągu kilku dni cała okolica pogrążyła się w niewyobrażalnym chaosie, tysiąc razy gorszym od tego, który istnieje tu dzisiaj. Bestialskie rzezie miały miejsce i tutaj, i tam. Agonie, grabieże, gwałty, zabójstwa były na porządku dziennym. A myśli pan, że na tym się skończyło? Nie, panie Falh, w niecały tydzień później spadła na nich epidemia cholery, jak plaga żywcem wyjęta ze Starego Testamentu. Padali jedni po drugich, zasilając ziemię swymi mizernymi ciałami. Mogliśmy tylko na to bezsilnie patrzeć. Chcę panu uświadomić, że my tutaj obcujemy ze śmiercią. Nawet w okresach względnego spokoju ona tu jest, przycupnięta w mroku, gotowa w każdej chwili kogoś zabrać. Jedna trzecia ludności tego kraju choruje na AIDS, rebelianci mordują każdego dnia dziesiątki osób, najokrutniejsi zmuszają Twas, mniejszość pigmejską, do zabijania, ćwiartowania i zjadania własnych dzieci, nie mówiąc o zwierzętach, krokodylach, węzach, hipopotamach czatujących w ukryciu... Niech się pan przejdzie wzdłuż naszych rzek, zobaczy pan śmierć w odrąbanych kończynach, wzdętych brzuchach, pustych oczach trupów unoszonych przez ich wody. Zapewne kraje kolonizujące są w pewnym stopniu współodpowiedzialne za to wszystko, nie negują tego, ale musi pan wiedzieć, że tutaj znajduje się pan przede wszystkim w świecie dzikich, w świecie, w którym zachodni sposób myślenia nie ma racji bytu. Kostucha nie pozostawia po sobie śladów, wszystko pochłania ziemia, razem z sumieniem. Zaginięcia, o których mi pan tu opowiada, młody człowieku, są kroplą wody w bezmiarze potworności, które rozdarły i dalej rozdzierają te ziemie, na których Bóg jest martwy. Proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że traci pan tylko czas i że zagubione dusze z obozu Katala w niczym panu nie pomogą...

Najwidoczniej w umyśle starego człowieka ciągle szamotały się duchy, ale Nathan przeszedł do porządku dziennego nad kolonialną i rasistowską świadomością tego biedaka. Nie interesowało go jego szaleństwo. Zrozumiał, że Spriet mu w niczym nie pomoże.

Gdy duchowny rozwijał dalej swoją napastliwą przemowę, Nathan mu przerwał.

- Jeśli rzeczywiście zdarzały się takie zaginięcia, jeśli popełnione zostały zbrodnie, a mam powody tak sądzić, sprawcy muszą zostać

wykryci. Rozumiem, że wyniesione przez ojca doświadczenia mogą prowadzić do fatalistycznych poglądów, ale nie godzę się na to, żeby do śmierci odnosić się z zubożeniem. Przemierzyłem tysiące kilometrów, żeby zrozumieć, co się stało, pod żadnym pozorem się nie wycofam. Jutro pojedę do obozu. Mogę liczyć na pańską pomoc?

- Niech pan robi, co uważa za stosowne. Teraz wzywają mnie obowiązki. Dobranoc - zasyczał starzec, kierując się do wyjścia.

Nathan pomyślał, że misjonarz jest może po prostu obłąkany, ale jego pogardliwy wzrok i wyniszczony wygląd dobitnie świadczyły o życiu przepełnionym goryczą i o postępującym zniedołężnieniu. Nathan zmienił ton.

- Zadałem ojcu pytanie!

- Może pan spać w ambulatorium, na końcu wsi, dzieci wskażą panu drogę. Jeśli chodzi o pańskie poszukiwania, mam pewne zobowiązania wobec doktor Willemse. Ktoś jutro rano przyjedzie po pana samochodem, benzyna i kierowca na pana koszt. Niech pan będzie gotowy o szóstej.

Nathan obudził się tuż przed wschodem słońca.

Umył się pod stróżką wody kapiącej z rury w łazience, włożył płócienne spodnie, koszulkę, buty przystosowane do marszu, potem zapakował plecak: aparat fotograficzny, latarka, pieniądze, notes i sztylet. Zamknął na klucz pokój i wyszedł z ambulatorium.

Wszystko wokół było sine, w tak niezmiernie bladym odcieniu, że ziemia i niebo wyglądały jak połączone na jednym, doskonałym, wykonanym akwarelą rysunku. Tylko roślinność, rozwibrowana krzykami małp i ptaków, rysowała się ciemnymi kształtami zza oparów mgły. Nathan odetchnął ciężkim już powietrzem i udał się na przechadzkę po wsi. Nie dało się zauważyć żadnego ruchu, usłyszeć żadnego odgłosu. Wszyscy jeszcze spali. Szedł po grząskiej ziemi, omijając nieruchome kałuże, aż znalazł się przy skalistym wzgórzu sterczącym nad doliną.

Poprzedniego wieczoru, po rozmowie z duchownym, poszedł prosto do swego tymczasowego lokum, maciupieńkiej klitki o pożółkłych ścianach, w której było rozstawione łóżko polowe i stała emaliowana miska. Przed budynkiem cały czas czatowały na niego dzieci i to one zaprowadziły go później do niedużego baraku przy wjeździe do wioski, gdzie zjadł kozie szaszłyki, ciasto z manioku, smażone banany, wszystko obficie polane ostrym, paprykowym sosem. Mieszkańcy Kibumby podchodzili do niego uśmiechnięci, ciekawi powodu jego przyjazdu albo tylko żeby sobie popatrzeć. Koło dziewiątej znużony Nathan podziękował za gościnę i usunął się do swego pokoju. Noc miał bardzo niespokojną. Dwa razy zrywał się na równe nogi, cały zlany potem, obudzony przez jakiś osaczający go oddech. Zapalił świeczkę, ale w pokoju było pusto i cicho. Położył się więc z powrotem i znowu nawiedziły go złe sny. Morały prawione poprzedniego dnia przez ojca Spriet niewątpliwie przyczyniły się do ogarniającego go niepokoju... Duchy misjonarza przybyły, by zakłócić mu nocny wypoczynek.

Ojciec Spriet nie pokazał się już więcej. To był wzbudzający litość człowiek, ale pod jednym względem miał rację: szansa, że uchodźcy z Katala coś sobie przypomną, była niewielka. Przed oczami stanął mu obraz okaleczonych trupów na Spitsbergenie... Niemal dziesięć lat dzieliło wyprawę „Pole Explorera” od masowej ucieczki Hutu z kraju. Choć w swym nowym śledztwie poruszał się jeszcze po omacku, czuł już, że między tymi dwiema tajemnicami istniał jakiś niedostrzegalny związek.

Jakiś głos zaszeptał:

- Cześć.

Nathan odwrócił się szybko. Młody mężczyzna, o wydłużonych, migdałowych oczach, stał z założonymi na piersiach rękami w cieniu ogromnej poincjany królewskiej, której rozłożysta korona przypominała kopułę.

- Czego chcesz? - spytał Nathan.

- Ojciec Dionizy kazał mi jechać z tobą...

Nathan przez chwilę mu się przyglądał: nieśmiały wyrostek, zaledwie osiemnastolatek, długa, drobna sylwetka przypominająca dziwnego brodzącego ptaka. Delikatne rysy, gładka skóra wychudzonej twarzy wydawała się równie sina jak wstający świt. Ubrany był w białą, doskonale wyprasowaną koszulę, czarne spodnie i sandały.

- Jak się nazywasz?

- Jurna.

- Witaj, Jurno. Jestem Nathan.

- Chcesz jechać do Katala, chcesz rozmawiać z ludźmi? -Tak.

- Trzeba zapłacić za benzynę.

- Wiem, ojciec Dionizy mnie uprzedził.

- Trzeba też zapłacić kierowcy.

- Nie martw się o to. Jedźmy!

Czerwono-biały jeep willis, do którego wsiedli, toczył się powoli błotnistą drogą. Doktor Willemse mówiła, że Kibumba oddalona jest od obozu Katala o pół godziny jazdy. Nathan domyślił się jednak, że ten czas odnosił się do pory suchej, natomiast w porze deszczowej należy go pomnożyć przez dwa. Młody przewodnik siedział za kierownicą, po lewej stronie, milczący i całkowicie obojętny. Po godzinie jazdy i dwóch milicyjnych zaporach, na których Nathan wyzbył się kilku zwitków franków kongijskich, dotarli do drugiej wsi, znacznie większej i rozleglejszej niż Kibumba. Nathan myślał, że miną ją w drodze do obozu, ale kiedy dojechali do przesyconego przenikliwymi zapachami rynku rojącego się od ludzi i zapchanego towarami, Juma skręcił w prawo i zagłębił się w labirynt bocznych uliczek.

- Co my tu robimy?
 - Jedziemy po zezwolenia.
 - Jakie zezwolenia?
 - Na wjazd do obozu. Są potrzebne.
- Nathan sięgnął do torby i wyciągnął ostemplowany papier.
- Mam je. Niczego już nie musimy załatwiać. Zawracaj! Jurna uważnie obejrzał dokument i powiedział:
 - Te są z Gomy. Potrzebne jest jeszcze jedno, wystawione przez naczelnika strefy.
 - Zaczekaj! Chyba źle mnie zrozumiałeś. Mam gdzieś te zezwolenia i twojego naczelnika strefy! Stracimy na to cały dzień. Zawracaj!
 - To zezwolenie jest obowiązkowe. A poza tym dobrze by było, gdybyś zobaczył się z naczelnikiem strefy.
 - Ach tak? A to dlaczego?
 - Bo to dawny wojskowy, był kapitanem w armii. To on dowodził patrolami granicznymi w lipcu dziewięćdziesiątego czwartego roku. Kapitan Hermes. On dużo wie...

Juma zaparkował koło połyskującego jeepa stojącego przed jedynym w dzielnicy murowanym gmachem, blokiem ze zbrojonego betonu, z ogromną anteną satelitarną na dachu. Po obu stronach drzwi wejściowych ułożone były worki z piaskiem, które nadawały całości wygląd obwarowanego obozu. Zatrzasnęli drzwiczki swojego jeepa i weszli do bunkra.

Hermes Kahekwa, otyły, szpetny mężczyzna, siedział wygodnie rozparty w towarzystwie dwóch kobiet na wytartej czerwonej, welurowej kanapie. Telewizja na okrągło pokazywała klipy z muzyką afrykańską. Na widok rozstawionych na niskim stoliku dużych, ciemnych butelek miejscowego piwa Nathanowi przeszło przez myśl, że był tu oczekiwany. Zmienił zdanie, gdy zauważył, że już wcześniej zostały opróżnione.

- Witam panów, proszę usiąść.

Nathan i Juma odwzajemnili powitanie i usiedli w fotelach, z których każdy pochodził z innego kompletu.

- Czym mogę służyć? Juma wyjaśnił cel wizyty.
- Skąd pan przybywa? - spytał naczelnik, zwracając się do Nathana.
- Jestem Francuzem.
- Aaaach! Francja! Znam Francję, byłem tam na ćwiczeniach wojskowych w dziewięćdziesiątym szóstym roku. W Poitiers. Odwiedzi-

lem park rozrywki Futuroscop, przywiozłem sobie stamtąd wspaniałą trykotową koszulę. Był tam pan?

- Nie miałem okazji. Proszę wybaczyć, kapitanie, ale bardzo się spieszymy.

Z lekkim, pijackim uśmieszkiem olbrzym wypił resztę piwa ze swojej szklanki.

- A więc chodzi panu o zezwolenie... Region jest niebezpieczny, wie pan... Są tam teraz Mai Mai...

- Jesteśmy tego świadomi, kapitanie, i będziemy umieli okazać wdzięczność - wtrącił Juma.

- Świetnie, czy podać coś do picia?

- Nie, dziękujemy - odparł Nathan.

- A więc za wasze zdrowie!

Patrzył, jak Hermes Kahekwa pochłania alkohol wielkimi łykami. Afrykanin był okropnie szpetny. W jego prawym oczodole tkwiła żółta, lepka, niewidząca gałka oczna, a z ogromnego nosa pozostała tylko grudkowata, kulfoniasta bryła.

- Kapitanie - podjął Nathan. - Jest pan wojskowym...

- Tak jest, byłem oficerem w armii nieboszczyka Mobutu Sese Seko.

- Podobno pan i pańscy ludzie stacjonowaliście na granicy Ruan-dy w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku?

Kahekwa mlasnął językiem i czknął na cały głos.

- Jest pan dobrze poinformowany.

- Zna pan lasy i okolice Katale.

- Tam straciłem wzrok w jednym oku... pasożyt.... Takie maleńkie muszki, które gryzą i...

- W takim razie chciałbym postawić panu kilka pytań na temat tego, co się wtedy zdarzyło - przerwał mu Nathan, kładąc na stole dwudziestodolarowy banknot.

- Ha, ha, ha... - zarechotał Kahekwa.

- Czy pamięta pan przypadki zaginięcia ludzi z samego obozu i jego okolic, które nie były bezpośrednio powiązane z aktami ludobójstwa? - Myśląc o złowróżbnej treści manuskryptu Eliasa, Nathan dorzucił: - Coś bardziej tajemniczego, co mogło mieć związek z miejscowymi wierzeniami.

Mężczyzna rozchylił usta w perwersyjnym uśmiechu i zapytał półgłosem:

- Historie z duchami... -Tak.

- Pozwoli pan, że zapytam... Czy to prawda, ciekaw jestem tego od dawna... że Francuzi grają w filmach pornograficznych?

- Ile? - przerwał Nathan.

- Jeszcze dwadzieścia dolarów.

Bez mrugnięcia okiem Nathan przesunął nowy banknot w kierunku Afrykanina, który podjął przerwany wątek.

- Krążyły wówczas na ten temat pogłoski. Mówiło się, że to przeklęty obóz.

Otoczające Gome wulkany uważane są przez nasz lud za święte. Tam żyją nasze bóstwa. Powiada się, że Hutu zhańbili sanktuarium, osiedlając się na zboczach wulkanu Katala. Żeby ukarać ten nieszczęsny lud, rozgniewani bogowie wysłali armię duchów--mścicieli...

- Nathanie - szepnął mu Juma do ucha. - Ten człowiek jest pijany... Opowiada ci bzdury...

Nathan wyciągnął rękę w kierunku chłopaka.

- Daj mu mówić. Niech mi pan opowie o tych duchach, w jaki sposób zaspokajały żądzę zemsty?

Kahekwa czknął jeszcze raz, tym razem ciszej, i ciągnął swoją historię, urozmaicając ją żywą gestykulacją.

- Wieść niesie, że mieszkali pod ziemią i pod osłoną nocy wychodziły na powierzchnię, żeby porwać Hutu. Potem ich ćwiartowały i połyły się ich krwią.

Nathan zadrżał, słysząc tę nową rewelację.

- Czy odnaleziono jakieś ciała porwanych?

- Nie, chyba nie, zostały pożarte przez dzikie zwierzęta.

- A ktoś widział... te duchy?

- Och nieeeee... Duchów nigdy się nie widzi, dopiero po śmierci. Natomiast... zdarza się je usłyszeć...

- Jak to? Zaległa cisza.

Nathan wyjął z kieszeni kolejny banknot i wsunął go do kieszeni koszuli swego rozmówcy.

- Pod koniec masakry, czwartego lipca, kiedy wojsko Tutsi, to znaczy Ruandyjski Front Patriotyczny, przejęło kontrolę nad Kigali i Butare, obawiający się surowych represji Hutu zaczęli masowo uciekać. Część wmieszała się w falę uciekinierów Tutsi kierującą się na południowy zachód kraju, przechodzącą przez strefę humanitarną wyznaczoną przez międzynarodowe siły interwencyjne, ale większość uciekła do siebie. Niektórzy wojenni wodzowie Tutsi nie mogli się pogodzić z sytuacją, że oprawcy się wymykają, nie ponosząc odpowiedzialności za swoje czyny. Utworzyli więc specjalne komando i wysłali je helikopterami na zachód, na granicę z Zairem, żeby wyłapały uciekinierów i ukarały za popełnione zbrodnie. A tam na miejscu by-

to tylko kilku tajniaków, żołnierze z francuskich oddziałów specjalnych i kapitan Hermes ze swoimi ludźmi. Pierwsze grupy uchodźców dotarły tam trzynastego lipca. Czując się już bezpiecznie, rozlokowali się wzdłuż granicy, mając nadzieję na szybkie przejście do Zairu, ale na drogach i w lasach czekały na nich prawdziwe szwadrony śmierci. Tysiące wyczerpanych Hutu zostały zdziesiątkowane. Bez tortur, tylko natychmiastowe egzekucje. Niektórym, zwłaszcza bogatym, udało się jednak uratować.

- Bogatym... Co ma pan na myśli?

- W lasach można było wpaść na komandosów Ruandyjskiego Frontu Patriotycznego albo na... pośredników pomagających w nielegalnym przekraczaniu granicy. Liczyli sobie słono. Oczywiście mogli im zapłacić tylko najbogatsi.

- Czym zajmowali się ci ludzie, kim byli?

- Na początku lat sześćdziesiątych w Ruandzie dokonała się rewolucja społeczna i polityczna, w wyniku której Hutu obalili monarchię, przejęli władzę i kraj odzyskał niepodległość. To wtedy doszło do pierwszych masakr. Zginęło ponad dwadzieścia tysięcy Inyenzis, czyli karaluchów, jak już w tym czasie nazywano Tutsi. Ci, którzy ocalili albo pozostali na miejscu, albo uciekli do sąsiednich państw, do Burundi, Ugandy i Zairu. Podobnie jak w wypadku Ruandyjskiego Frontu Patriotycznego ówczesna milicja Hutu czatowała na uchodźców na granicach. Zaczął więc działać system eksfiltracji, zastosowany poprzednio przez Wietkong w czasie wojny w Wietnamie. Tutsi zaczęli kopać podziemne korytarze, żeby wydostać się nimi na teren Zairu. Mieszkańcy Kiwu byli dobrze zorientowani w ich rozmieszczeniu i w dziewięćdziesiątym czwartym roku ci najbardziej przebiegli dostrzegli w tym sposób na wzbogacenie się. Przepuszczali bez problemów tych, którzy mogli zapłacić. Większość tuneli się zapadła, ale pozostały jeszcze ze trzy czy cztery, o których istnieniu było wiadomo. Wejście do jednego z nich znajduje się w pobliżu obozu w Katalu.

- Co to ma wspólnego z duchami?

- Mówiłem już panu, że duchy mieszkały pod ziemią. Zdarzało się niejednokrotnie, że niektórzy z moich ludzi musieli schodzić do tych korytarzy. Słyszeli tam krzyki, potworne wycie duchów pożerających ludzkie ciała.

Nathan przesunął ręką po swych krótko ostrzyżonych włosach i zapytał:

- Niech pan mi powie, kapitanie... Co robili pańscy ludzie „niejednokrotnie” w tych tunelach?

- No... przeprowadzali rozpoznanie...

- I nie zapuszczali się głębiej? Nie interesowało ich, skąd pochodzą te krzyki?
- Nie, okropnie się bali.
- Gdzie znajdują się te tunele?
- To są informacje poufne. Tajemnica państwowa - próbował wywinąć się od odpowiedzi Kahekwa.

Nathan zamilkł i wlepił wzrok w twarz kapitana. Teraz rozumiał: dom, samochód terenowy, antena satelitarna, imponujący telewizor, zajmujący honorowe miejsce w pokoju. Znienacka zmienił ton:

- Niech pan powie, kapitanie, skąd miał pan pieniądze na to wszystko tutaj. Narkotyki? Złoto? Szlachetne kamienie? Co jeszcze?
- Nathanie... - zaprotestował Jurna.
- Nie wtrącaj się!

Nathan zbliżył się do Kahekwy i powtórzył ciszej:

- Co jeszcze?

Pijak nie odpowiedział. Patrzył na Nathana swym jednym okiem, drugie, żółte, lekko cofnięte, wyglądało, jak przestraszony ślimak chowający się w swojej muszli. Nathan poderwał się z fotela, chwycił Afrykanina za sflaczałe tłuste podgardle i przyciągnął do siebie. Poczł jego pijacki, odrażający oddech.

- Wszystko rozumiem, kapitanie, ty... ty i twoi ludzie byliście tymi przewodnikami. Kto poza wojskiem odważyłby się zapuścić w te rejony? Czekaliście na uchodźców na granicy, po stronie ruandyjskiej, i wymuszaliście na nich haracz. Jeśli nie płacili, zostawialiście ich na pastwę szwadronów FPR. Powiedz mi, mam rację?

- Mam rację?

- My... my im pomagaliśmy. Sami też dużo ryzykowaliśmy... Byli nam wdzięczni.

- Jesteś śmieciem, ale to twoja sprawa. Teraz słuchaj, potrzebuję tej informacji i nie ma mowy o tym, żebym więcej bulił. Odpowiesz mi, a ja się zmywam. Ale jeśli dalej będziesz zgrywać głupka, źle to się skończy.

- Jeśli... jeśli chcesz wiedzieć, trzeba jeszcze płacić... pięćdziesiąt dolarów...

Nathan spostrzegł, jak ręka Kahekwy znika między poduchami kanapy.

Jego pięść wylądowała na twarzy kapitana, zanim ten zdołał chwycić broń. Ze zdeformowanego nosa sikhnęła krew. Nathan wyciągnął pistolet i przystawił mu do zdrowego oka.

- Gdzie jest ten tunel?

- Jestem ka... kapitanem armii...
- Jesteś niczym, jesteś zapijaczonym łajdakiem! A teraz zaczniesz mówić albo przysięgam, potrzebna ci będzie jakaś cholerna biała laska, żebyś mógł się poruszać
- wyrzucił z siebie Nathan, wciskając głębiej pistolet w oczodół kapitana.
- W zeszłym... w zeszłym roku ci z Katala... przyszli do mnie... -wybełkotał Kahekwa między strużkami krwawego śluzu, zalewającego mu usta. Chcieli wiedzieć, gdzie on jest...
- Dlaczego?
- Nie wiem... pokazałem go młodemu...
- Nazwiska. Szybko!
- Jeden z nich, taki duży... nazywał się... Jean... Jean Baptiste... pewnie się tam jeszcze kręci po okolicy...

Obóz leżał na zboczu wulkanu, szerokim, błotnistym, szarym stoku, zarzuconym odpadkami. Pomiędzy pionowymi warkoczami dymu unoszącego się z małych palenisk ściśnięte były walące się rudery, chaty zbudowane z gałęzi i nylonowych, turkusowych plandek, z widniejącymi jeszcze na nich inicjałami organizacji pozarządowych, które już od dawna opuściły te tereny.

W przeciwieństwie do innych okolicznych wsi, w których toczyło się ruchliwe życie, to miejsce wyglądało na pozbawione ludzkiej obecności. Tylko dzikie, poranione psy i nieliczne, pozbawione cech człowieczeństwa, skulone, blade postacie odcinały się od tego rozpaczliwego krajobrazu, gdzie nawet ptaki przestały śpiewać.

Nathan i Jurna szli w kierunku chat, brnąc po kostki w obrzydliwym błocie.

- Trzeba znaleźć naczelnika - szepnął Juma, jakby bał się obudzić ukrytą w czeluściach ziemi zjawę.

Jakieś małe, szare, okryte łachmanami stworzenie biegło w ich kierunku. Dziecko. Jego krótkie włosy były pobielale od grzybicy, a wokół błyszczących jak małe, wilgotne perełki oczu roiło się od czarnych much. Zatrzymało się kilka metrów od nich i zaczęło wyrzucać z siebie słowa w jakimś dziwnym dialekcie, z którym Nathan zetknął się po raz pierwszy od przyjazdu do Afryki.

- Co on mówi?

- Ubliża nam, każe się wynosić.

- On jest Hutu?

- Chyba tak, mówi kinyarwanda, to nasz język...

- Jesteś Ruandyjczykiem?

- Przez matkę...

- Jesteś...

- Ani Hutu, ani Tutsi. Nie chcę więcej słyszeć o tych bzdurnych podziałach, one spowodowały te wszystkie okropności... Nie, Natha-nie, jestem Ruandyjczykiem, tak jak i inni...

Juma przerwał. Dzieciak zaczął na nich pluć. Młody przewodnik podniósł kij i zaczął nim wywijać. Nathan złapał go za rękę.

- Chodź, zostaw go w spokoju!

Wyglądający jak upiór mężczyzna, który utrzymywał się na nogach chyba tylko dzięki długim, drewnianym kulom wsuniętym pod pachy, zaprowadził ich do baraku z falistej blachy. Juma zastukał w chwiejącą się ściankę. Po chwili w obramowaniu drzwi ukazała się stara twarz naczelnika. Podczas gdy przewodnik wyjaśniał ostrym, rwącym głosem cel ich wizyty, Nathan zajrzał do wnętrza chaty. Był to cuchnący odchodami chlew, w którym wisiał tylko hamak z brązowego włókna. Najbardziej uderzające było jednak to, że na tej maleńkiej powierzchni mężczyzna mieszkał razem z krową.

Gwałtowny jazgot głosów zmusił Nathana do spojrzenia za siebie. Mieszkańcy obozu, wszyscy cherlawi i ponurzy, otoczyli ich kołem. Naczelnik miotał się na wszystkie strony, wydając z siebie krótkie, podobne do zawodzenia okrzyki, które stopniowo przejmował tłum.

- Co się dzieje? - spytał Nathan.

Juma mocno potarł rękami twarz, w jego oczach czaił się niepokój.

- On mówi, że nie można zejść pod ziemię.

- Gdzie jest Jean Baptiste?

- Poprosiłem, żeby go zawołali, ale i tak najpierw trzeba załatwić z naczelnikiem.

- Powiedziałeś mu, że ten, który zgodzi się nam pomóc, dostanie pieniądze?

- Tak, ale...

- Ile obiecałeś?

- Dziesięć dolarów.

- Zaproponuj czterdzieści.

- To za dużo.

- Rób, co ci mówię.

Juma zwrócił się do starca i przekazał mu tę nową propozycję. Nie rozumiejąc ani jednego słowa z rozmowy, Nathan odgadł z gestów dezaprobaty naczelnika, że powstał nowy problem.

- To nie jest kwestia pieniędzy - powiedział coraz bardziej zaniepokojony Juma. - Oni mówią, że jeśli zejdziemy do tunelu, obudzimy duchy, które powrócą, by porywać ludzi. Oni są rozdrażnieni, Natha-nie, to się niedobrze skończy.

- Cholera! Powiedz im, że nie ma już duchów, że już dawno sobie gdzieś poszły, że nigdy nie wrócą... Wymyśl coś...

Miody mężczyzna o długich kończynach i krótkim tułowi, z opaską na szyi, zbliżał się wielkimi krokami, wymachując w powietrzu maczetą, by utorować sobie przejście. Kiedy podszedł bliżej, zwrócił się po francusku do "Nathana:

- Jestem Jean Baptiste! Pokażę ci wejście do tunelu. Daj pieniądze.

- Kiedy mnie tam zaprowadzisz? Gdzie to jest?

- Tam, na skraju lasu - powiedział, pokazując palcem podnóże wzgórza. - Ale ostrzegam cię, ten, który zejdzie pod ziemię, na zawsze straci duszę...

Nathan uśmiechnął się lekceważąco.

- Prowadź mnie tam.

To, co tutaj nazywano lasem, nie było taką dżunglą, jaką wyobrażał sobie Nathan, z wielkimi pniami drzew, gęstwą roślin, mchami, plątaniną lian. Tutaj była ogromna przestrzeń zarośnięta trzciną o wąskich i ostrych liściach, które raniły ramiona, rozdzierały ubranie; cuchnące bagnisko, na którym chmary much i komarów opijały się krwią intruzów.

Jean Baptiste szedł przodem, wycinając drogę potężnymi ciosami maczety.

- Czy ktoś schodził już na dół?

- Nie, tam nikt nie chodzi. To niebezpieczne.

- Czego chciałeś od Kahekwy?

- W ubiegłym roku wielu tutejszych ludzi zachorowało, przyjechał belgijski lekarz i powiedział, że woda jest niedobra, że w górze rzeki są zdechłe antylopy i dlatego woda została zatruta. Ale tutaj ludzie myśleli, że to z powodu dziury w ziemi duchy powróciły. Dlatego poszliśmy do kapitana Hermesa, żeby nam pokazał, gdzie jest ta dziura, żeby ją... zatkać, żeby duchy już nigdy nie mogły się wydostać.

- Zamknęliście wejście do tunelu?

- Prawie, ścięliśmy wielkie drzewo, którego gałęzie przykryły dziurę.

- A duchy porywają jeszcze ludzi?

- Nie, już nie, uspokoiły się.

- Od kiedy?

- Od dawna, wiem to z pewnego źródła.

Po tym ostatnim zdaniu nastąpiło długie milczenie. Jean Baptiste z coraz większą pasją atakował roślinność, która gęstniała, w miarę jak zanurzali się w to zielone piekło. Roślinność na nowo rozbrzmiewała mnóstwem stłumionych odgłosów, jakby w tej odległości od obozu życie dochodziło znowu swoich praw. Po półgodzinnym uciążliwym marszu, podczas którego posunęli się zaledwie o kilkaset me-

trów, dotarli do wąskiej polany. Jean Baptiste oznajmił, że są na miejscu i on już dalej nie pójdzie. Ukucnął w wysokiej trawie koło Jumy i wskazał ogromny pień wystający ponad roślinność. Nathan dał obu przestraszonym Ruandyjczykom jedną trzecią obiecaną sumy i zaczął zbliżać się powoli do wierzchołka obalonego wielkiego drzewa.

Toczone przez robaki olbrzymie gałęzie, pokryte jeszcze mchem i suchymi liśćmi, tarasowały częściowo dostęp, ale za nimi dostrzegł mroczny otwór. W ciemnościach niknęła drabinka zrobiona z okorowanych gałęzi powiązanych ze sobą kawałkami szmat. Poszukując przejścia, przyjrzał się gęstwinie. Bez trudu uda mu się tam prześlizgnąć. Sięgnął ręką do torby, wyciągnął latarkę, potem włożył pelerynę i zapuścił się w labirynt sękatych gałęzi, prowadzący do wejścia do tunelu.

„Ten, który zejdzie pod ziemię, na zawsze straci duszę...”.

Słowa Jeana Baptiste'a, które poprzednio go rozśmieszyły, teraz zmroziły mu krew w żyłach. Silny dreszcz wstrząsnął całym ciałem. Po raz pierwszy, odkąd zaangażował się w swoje śledztwo, Nathan poczuł ogarniający go strach.

Dławiący strach.

Ściskając w zębach latarkę, Nathan ześlizgnął się po ścianie mrocznej studni, usiłując jak najmniej korzystać z drabinki, której będzie potrzebował w drodze powrotnej, by wydostać się na powierzchnię. Znalazłszy się na gąbczastym gruncie, w świetle latarki przyjrzał się tunelowi.

Jego początek miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt średnicy; ściany pokryte wilgotną zaprawą z brunatnego błota i kawałków lawy wyłożone były źle obciosanymi deskami. Całość wydawała się wystarczająco solidna, by nie stwarzać ryzyka zawalenia. Nasunął na głowę kaptur, po raz ostatni spojrzął na posępne niebo i ruszył w ciemność.

Przygarbiony posuwał się powoli, odpędzając niepokojące myśli, skupiony na niebezpieczeństwach czyhających w tej czeluści, czując ciepło bijące od belkowania, omijając drewniane, zgniłe bale leżące na ziemi, wystające ze wszystkich stron obślizgłe korzenie i sterczące konary. Po chwili dzienne światło całkowicie zniknęło, a przenikliwe krzyki zwierząt ustąpiły miejsca całkowitej ciszy.

Właśnie przekroczył następną granicę. Granicę otulającego go swymi czarnymi skrzydłami nocnego świata, odległego od Konga i aktów ludobójstwa.

Nawet tu, pod ziemią, ciągle padał deszcz. Światło latarki chwiało się jak płomień pod spływającymi z sufitu strumykami wody i skroplonej pary. Nathan uparcie posuwał się naprzód, czasem na kolanach, czasem przeskakując rozpadliny. Trupy małych i dużych gryzoni w stanie rozkładu, które nie wiadomo dlaczego przyszły tu, by zdechnąć, wydzielały drażniący odór.

W miarę jak się posuwał, powietrze wypełniało się niepokojącym brzęczeniem, dobiegającym jakby z głębi ziemi. Nadstawił ucha. Brzęczenie mieszało się z pomrukiwaniami i dalekimi szeptami przypominającymi jakiś sadystyczny chichot. Poczł się nieswojo.

Nasłuchawszy się absurdalnych historii o nadprzyrodzonych mocach, zaczynał mieć omamy, popadać w ogłupienie...

Zmusił się do dalszej drogi, kierując pod nogi światło latarki. Odgłosy się wzmagaly. Dopiero teraz dostrzegł brązowe pająki, białawe larwy, olbrzymie karaluchy z wilgotnymi pokrywami skrzydeł. Roiło się wszędzie naokoło od tego paskudztwa, skaczącego po bocznych ścianach, zwisającego mu nad głową i spadającego na ramiona. Tutaj ziemia nie była cichym sanktuarium, lecz przerażającą, drgającą masą zgnilizny, gdzie życie i śmierć przenikały się nawzajem, tworząc jedność bezkształtną i odrażającą, nieustannie się odnawiającą.

Wytań rękawem pot zalewający mu oczy i ruszył dalej. Tędy ten łajdak Kahekwa i jego zbiry prowadzili konwoje przerażonych uciekinierów, tutaj słyszeli wrzaski... Jeśli nic nie widzieli w tym wąskim tunelu, znaczy, że istnieje tu gdzieś przejście prowadzące do sieci innych korytarzy.

Przeszedł już trzysta lub czterysta metrów, dokładnie przyglądał się ścianom, kiedy w świetle latarki zauważył otwór między deskami oszalowania. Pochylił się, wsunął ręce w szczelinę i pociągnął z całej siły. Przegniłe deski puściły. Usunął płyty i zajrzał.

Nowy korytarz.

Wejście było częściowo zawałone i zalane kałużami wody. Droga wydawała się dalej ginać w ciemnościach. Wyrzucał sobie, że nie zabrał ani kasku, ani latarki czołowej, ani nawet czegoś, co posłużyłoby za nic Ariadny. W każdej chwili mógł stracić orientację, zostać uwięziony w wyniku zawałenia się tunelu. A miał pewność, że tutaj nikt po niego nie przyjdzie.

Otwór miał najwyżej pięćdziesiąt centymetrów szerokości. Położył się na brzuchu, uchwycił skalnego bloku i jedną ręką przeciągnął się, przeciskając ramiona na drugą stronę. Reszta przeszła już łatwo. Przez jakieś trzydzieści metrów skakał jak węgorz przez błoto, potem zanurzył się po pas w czarnym grzęzawisku, za którym otwierała się większa przestrzeń.

Halogenowa latarka zamigotała, zgasła i na nowo rozbłysła, wydzierając ciemności metaliczne odbłyski.

Zesztywniały, z nerwami napiętymi do ostateczności, Nathan podszedł wolnym krokiem, mocno ściskając latarkę, której światło stawało się coraz słabsze.

Wyściełane stoły operacyjne, stalowe łańcuchy, skórzane pasy do krępowania ramion, nóg... zadrżał na widok stosu wymiętych i poczerniałych tkanin... Ściany pokryte były żółtymi plastikowymi plandekami, połączonymi na każdym rogu nadmuchiwanymi stelażami. Światłem latarki omiółł podłogę: między nędznymi strzępami ubrań walały się brązowe skorupy, w lepkich kałużach nurzały się skalpele,

nożyce i inne narzędzia tortur, jeszcze cały czas błyszczące, mimo niszczącej je korozji. Laboratorium...

Nathan zadrżał, ale strach już minął, zupełnie jakby umysł oderwał się od ciała, żeby znieść horror tego, co właśnie odkrywał. Wyjął aparat fotograficzny i zaczął fotografować miejsce męczarni, kawałek po kawałku.

W zagłębieniu zauważył coś przypominającego komorę przylegającą do plandek. Ominął przewrócony siennik i jednym susem znalazł się przed szerokim, półokrągłym wejściem, zasuniętym na zamek błyskawiczny.

Zablokowany.

Jednym uderzeniem sztyletu rozciął plastik, potem rękami poszerzył otwór. W świetle latarki ukazał się korytarz, który łagodnie schodził w dół. Nathan najpierw przełożył głowę, potem, pomagając sobie łokciami, przesunął się cały.

Tym razem podłoże wyglądało na bardziej suche, bardziej sypkie; w miarę jak czołgając się, posuwał się do przodu, dostrzegł smugi piasku, które wysypywały się zza szalunku, podobne do wylewającej się drobnymi strużkami wody.

Zawahał się, czy nie zawrócić z drogi, kiedy nagle poczuł, że piasek, po którym się czołga, zaczyna wyślizgiwać mu się spod brzucha i wyprzedzać go długimi potokami.

Ziemia w tunelu się obsuwa!

Podłoże falowało, zapadało się, tworząc pod jego ciałem piaskowe wiry, pociągając go coraz szybciej z toczącym się gruntem. Było zbyt ciasno, żeby odwrócić się bez ryzyka nadwerężenia stropu.

Za wszelką cenę musiał się zatrzymać.

Zdecydowanym ruchem naprężył całe ciało i wbił się w ściany tunelu rękami i nogami, jak hakami podczas wysokogórskiej wspinaczki, grzebiąc wściekle po omacku w umykającym gruncie, szukając jakiegoś korzenia, kamiennego bloku, w który mógłby się wczepić. Udało mu się zahamować spadanie, ale następna fala obsuwu znowu go porwała. Tym razem ześlizgiwał się, nie mając żadnych szans na zatrzymanie. Z zamkniętymi oczami, ściskając mocno latarkę, zwolnił uchwyt i dał się nieść w dół pochyłości. Zatrzymał się łagodnie, kilka metrów niżej, na miękkiej, chrzęszczącej powierzchni.

W twarz buchnął mu gryzący odór.

Zerwał się na równe nogi i zanim jeszcze rozejrzał wokół, zrozumiał, gdzie wylądował po tej szaleńczej jeździe. Z gardła wydarł mu się przeraźliwy krzyk.

W bladym świetle dostrzegł gmatwaninę okaleczonych zwłok, wyglądających jak skamieniałe na skutek upływu czasu. Dorośli, dzieci, z pustymi oczodołami, rozłupanymi czaszkami, z szeroko otwartymi ustami w ostatnim niemym krzyku. Z gardła chlusnął mu strumień żółci. Spróbował się podnieść, ale przy każdym kroku coraz głębiej grzął w czarnej masie zmumifikowanych ciał, z rysującymi się białawymi ścięgnami. Wykrzywione, wyciągnięte ręce wydawały się czepiać go w ostatnim zrywie rozpacz. Utworzona z lawy i popiołów wulkanicznych podziemna kieszeń uchroniła ciała przed robactwem i rozkładem...

Zdołał przeczołgać się po trupach, dotarł do pochyłości, po której przed chwilą stoczył się do tej kostnicy, i z ogromnym wysiłkiem wczepił się palcami w ziemię. Siedlisko demonów okazało się laboratorium niehumanitarnych eksperymentów medycznych... Mordercy wykorzystali potworności ludobójstwa, żeby zataić czyny po stokroć bardziej przerażające, odznaczające się bezgranicznym okrucieństwem. Nie wiedział, czy był winny, czy niewinny... Co do jednego nie miał wątpliwości: każda ze zbrodni, której ślady wygrzebał z ziemi, z lodu lub z przeszłości, była czynem tych samych potworów.

Jeszcze tego samego dnia, o zachodzie słońca, Nathan i Juma wrócili do Gomy. Każdy pochłonięty swoimi własnymi koszmarami, w czasie drogi nie zamienili ani jednego słowa. Gdy wjeżdżali do miasta, awaria instalacji elektrycznej pograżyła całą okolicę w ciemnościach. Ulice były opustoszałe, a atmosfera rozgrzana do białości. Rebelianci RCD porozstawiali w każdej dzielnicy zapory i systematycznie kontrolowali wszystkie pojazdy, by zapobiec grabieżom i próbom przejęcia władzy przez regularną armię z Kinszasy. Nathana uderzył rażący kontrast między nonszalancką, wręcz dobroduszną atmosferą, którą zapamiętał, wyjeżdżając na północ, a wyczuwalnym teraz niepokojem w gestach i spojrzeniach Kongijczyków. Nathan najpierw kazał zatrzymać się przy oddziale Światowej Organizacji Zdrowia, gdzie miał nadzieję odebrać dokumenty, które mu obiecała doktor Willemse. Biuro było nieczynne, ale spotkała go przyjemna niespodzianka, bo w stróżówce znalazł grubą kopertę, na której wypisane było jego nazwisko. Po przyjeździe do hotelu pożegnał Jumą i zamknął się w swoim pokoju. Wziął kąpiel, zmył z siebie błoto i długo szorował się, by pozbyć się uporczywego trupiego odoru, którym przesiąkł. Przede wszystkim należało zarezerwować miejsce na powrotny lot na następny dzień. Dyrektor hotelu, prawdziwy cudotwórca, znalazł mu miejsce w samolocie miejscowych linii lotniczych, mających raz w tygodniu połączenie z Nairobi. Nathan musiał stawić się na lotnisku nazajutrz, punktualnie o siódmej rano. Doktor Willemse zebrała dużą liczbę wstrząsających dokumentów na temat sytuacji uchodźców. Sprawozdania te nie były opracowane przez urzędników Światowej Organizacji Zdrowia, lecz przez wysokiego komisarza do spraw uchodźców Narodów Zjednoczonych. Były trzy teczki, uporządkowane w następujący sposób: 1.

Masowa ucieczka z kraju; 2. Sytuacja sanitarna; 3. Zbrodnie i wykroczenia.

Masowa ucieczka z kraju... W trakcie własnych poszukiwań dowiedział się już na ten temat wystarczająco dużo. Przeszedł do następnej teczki: Sytuacja sanitarna. Jej zawartość stanowiła zbiór podsumowań i opinii dotyczących zarządzania obozami, demografii, warunków życia, epidemii cholery i dyzenterii, które pochłonęły pięćdziesiąt tysięcy ofiar, i współpracy między różnymi organizacjami pozarządowymi. Wynotował sobie instytucje humanitarne, które w owym czasie działały w tej strefie. Było ich ponad dwieście pięćdziesiąt, rozrzuconych po całym regionie Kiwu. Jeśli chodzi o One Earth, wymieniona była zaledwie w trzech obozach w pobliżu Górny, pozostała część jej pracowników znajdowała się na terenach położonych bardziej na południe, w kierunku Bukavu i na terytorium Ruandy.

Zabrał się do trzeciej teczki, zawierającej opisy zbrodni i wykroczeń, mając nadzieję znaleźć tam jakiś ślad, wskazówkę, błąd popełniony przez morderców, niezauważony przez urzędników Światowej Organizacji Zdrowia, a który jemu uda się odkryć. Sprawozdania opisywały wypadki gwałtów, stręczycielstwa, zabójstw i tortur, dokonywanych przez samych Ruandyjczyków, jak i przez miejscową siłę roboczą, zatrudnioną przez organizacje. Znalazł także skargi dotyczące zaginięcia ludzi, złożone przez uchodźców, o których wspominała Rhoda. Dotyczyły one około piętnastu osób, jak się wydaje, zupełnie przypadkowych, wybrano je bez stosowania jakiegokolwiek kryterium - wieku, płci czy przynależności do grupy etnicznej. I na każdej kartce zawsze taka sama wzmianka: „Przypadek niewyjaśniony”, poza tym żadnych szczegółów.

Mordercy doskonale zatuszowali wszelkie ślady zbrodni. Jednak Nathan miał już dwa poważne tropy. Dysponował dowodami na to, że zbrodnicze czyny były faktycznie rezultatem eksperymentów medycznych. Poza tym jego własne śledztwo potwierdziło, że „demonami” byli prawdopodobnie biali, którzy ukrywali się pod płaszczkiem organizacji pozarządowej, idealny sposób, by sprowadzić tu ludzi i ciężki sprzęt, którego potrzebowali do prowadzenia swych przerażających badań. W dalszym jednak ciągu istniały dwie niewyjaśnione kwestie.

Nie dostrzegął elementu łączącego przeszłość z teraźniejszością. Pod koniec XVII wieku medycyna była w powijakach... Cóż więc mogli znaleźć mordercy w manuskrypcie, że zdecydowali się na podjęcie takich doświadczeń?

Pozostawała także sprawa identyfikacji sprawców.

Nie wydawało mu się prawdopodobne, by zamieszana w to była cała organizacja. Nie, Nathan sądził raczej, że w grę wchodziło kilka osób, związanych wspólną tajemnicą. Poważnie komplikowała sprawę liczebność personelu humanitarnego funkcjonującego na miejscu.

Wyłuskanie winnych spośród takiej gromady było po prostu niemożliwe.

Wyciągnął się na łóżku. Z oddali dochodziły go odgłosy strzałów z broni automatycznej. Napięcie wzrastało, najwyższy czas, by ulotnić się z tej beczki prochu, gdzie w ciągu paru godzin sytuacja mogła ulec radykalnej zmianie. Chwilę później zasnął.

Tej nocy śniła mu się Rhoda.

Spacerowali razem ulicami Paryża; muśnięcia dłoni, porozumiewawcze uśmiechy, krzyżujące się spojrzenia. Potem porwał ich huraganowy wicher i znaleźli się w głębi wypalonego lasu. Teraz Rhoda z całych sił ścisnęła rękę Nathana. Z niespokojnym wzrokiem mamrotała jakieś tajemnicze słowa, brzmiące jak magiczne zaklęcie. Potem niebo pociemniało i Nathan został sam w ciemnościach.

Dręczący sen trwał nadal.

Najpierw poczuł woń próchnicy, potem usłyszał sapanie. Ukazały mu się dwa nagie ciała. To było ciało Rhody i jego własne, lśniące, spocone, oszpecone ohydnyymi bliznami. Niczym zwierzęta kopulo-wali na grząskiej ziemi cementarza. Widział mięśnie napinające się pod pałającą skórą, słyszał wzmagający się szmer ocierających się o siebie ciał. Nagle ich oddechy połączyły się we wspólnym organicznym pomruku, blizny nabrzmiały do granic możliwości, rozerwały się, tryskając strumieniami krwi, która rozlała się czarną, krzepnącą falą i pochłonęła młodą kobietę... Krzyknął, zawył jej imię... Rhoda...

Z koszmaru wyrwało go łomotanie do drzwi. Rzucił okiem na zegarek: dwudziesta trzecia. Łomot powtórzył się.

Narzucił szlafrok i poszedł otworzyć.

W drzwiach stała Phindi Willemse.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała zażenowana.

- Miałem zły sen. Co się stało?

- Powiedziano mi, że jutro odlatuje pan do Europy. Ja dzisiejszej nocy też wyjeżdżam, z pilnym konwojem do Kigali... Dostał pan dopiero połowę przygotowanych dokumentów. Koperta, którą pan odebrał, zawiera wyłącznie dokumenty wysokiego komisarza do spraw uchodźców. Moja sekretarka, spiesząc się do domu po awarii elektryczności, zapomniała zostawić drugą kopertę, z informacjami pochodzącymi z naszych archiwów. Proszę, to są kserokopie dla pana.

Nathan sięgnął po kopertę, którą lekarka wyciągnęła w jego kierunku.

- To bardzo miło z pani strony.
- Są to dane czysto medyczne, raporty z sekcji zwłok, fotografie okaleczeń i kilka danych epidemiologicznych. Myślę, że te informacje mogą okazać się przydatne dla pańskiego artykułu.
- Tak, na pewno dużo zyska dzięki tym materiałom - skłamał Nathan.
- A jak przebiegła wyprawa?
- Zupełnie nieźle, zdobyłem parę ciekawych informacji.
- Czy ojciec Spriet był... Nathan uśmiechnął się pod nosem.
- Miała pani rację, że jest dość szczególny, ale wrósł w ten świat. Złożyła dłonie.
- Muszę lecieć. Niech się pan nie spóźni jutro na samolot, atmosfera w tym mieście nie zapowiada nic dobrego.

Ledwo zamknęły się za kobietą drzwi, Nathan niecierpliwie rozerwał kopertę. Nawet w kserokopiach zdjęć widok torturowanych ofiar i poddanych sekcji zwłok był nie do zniesienia. Otrzymał swoją porcję bestialstwa. Przerzucił fotografie i zatrzymał się nad zszytym maszynopisem zatytułowanym: „Sytuacja sanitarna - Kiwu Południowe/lipiec-wrzesień 1994.

Przekartkował go. Była tam masa liczb, bilansów, diagramów. Miał już zamiar odłożyć papiery, gdy jego uwagę przyciągnął ciąg kluczowych dla całej sprawy słów. Kartki, które trzymał w rękach, opisywały znalezienie nagiej kobiety w pobliżu obozu w Katala... Autorem relacji był jakiś doktor Derenne, Alain Derenne, oddelegowany przez Instytut Pasteura. Nathan przyciągnął sobie krzesło i zaczął uważnie czytać. 22 lipca, o 5.45 czasu miejscowego (3.45 GMT), młoda kobieta rasy czarnej została znaleziona naga, sto metrów od obozu uchodźców w Katala, przez francuski patrol żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Wezwanie otrzymaliśmy drogą radiową o godzinie 5 GMT. Z otrzymanych informacji wynikało, że ofiara była bardzo osłabiona, miała dreszcze, obficie się pociała i krwawiła z ust, co mogło wskazywać na gorączkę krwotoczną. Wraz z profesorem Lestran natychmiast udaliśmy się do obozu. Bezpośrednio po przyjeździe, o 8.05 GMT, kapitan Maurras zaprowadził nas na miejsce.

Stan ogólny:

184

Ofiara była skrajnie wyczerpana i niezdolna do nawiązania kontaktu słownego. Na naszą prośbę wojskowi, obecni przy niej od chwili znalezienia, dokładnie zrelacjonowali nam jej wypowiedzi, które wcześniej udało się im uzyskać za pośrednictwem tłumacza.

Potwierdzenie objawów przekazanych na początku. Pacjentka skarżyła im się na: gorączkę / bóle brzucha / biegunkę / obecność krwi w stolcu. Podczas rozmowy z wojskowymi ofiara wydawała się doznawać silnych halucynacji i opowiadała o ścigających ją demonach.

Serce Nathana przyspieszyło. Czy to możliwe? Chciwie czytał dalej.

Ze względu na strefę geograficzną (północny Zair, 5" szerokości geograficznej południowej), na ogólny stan (podwyższona temperatura i krwawienia) oraz szklisty wzrok chorej, przypominający „twarze-widma” opisywane w publikacjach na temat epidemii w 1976 roku, nasunęło się nam podejrzenie zarażenia wirusem typu Ebola. Po wytyczeniu strefy zagrożenia o średnicy około stu metrów, strzeżonej przez wojsko, ubraliśmy się w kombinezony ochronne i przystąpiliśmy do pierwszych badań klinicznych, których wyniki są następujące: - Poważne zaburzenia świadomości (majaczenie i halucynacje, trudności w wysławianiu się). Krótki atak konwulsji podczas przenoszenia chorej.

Ofiara majaczy, znowu opowiada o demonach.

-Temperatura: 40,5°C - Tętno 120/min - Ciśnienie 90/50 - Częstość oddechu przyspieszona do 50/min - Badanie skóry: nietypowe zmiany w postaci krost wypełnionych krwią i żółtawym płynem surowicznym, wklęsłych pośrodku i głęboko wnikających w skórę właściwą. - Krwotoki spojówkowe / dziąsłowe /. Ostry stan zapalny gardła. - Krwawe wymioty i melaena (obecność w stolcu czarnej krwi, fragmenty ścian jelit wypchnięte przez odbył). - Brak śladów wodnistej biegunki oraz wcześniejszych wymiotów. - Obrzęk i martwica sromu bez wypływu krwi. - Brak śladów aktów przemocy.

O godzinie 9.05 GMT chora została przewieziona do naszego ośrodka zdrowia w Gomie (transport odbył się przy udziale naszych odpowiednio przygotowanych pracowników),

następnie przystąpiliśmy do nawodnienia organizmu, podając jednocześnie środki wzmacniające i wyrównujące niedobory białka.

Ofiara zmarła dwie godziny później.

Bilans serologiczny:

IFI: U ofiary nie stwierdzono antyciał wirusa Ebola. Nie posiadamy odpowiedniego wyposażenia, żeby potwierdzić diagnozę.

Podsumowanie:

Chociaż większość objawów klinicznych wyraźnie wskazuje na zarażenie wirusem Ebola, stwierdzamy pewne oznaki nietypowe, w szczególności dotyczą one zmian skórnych, a wyniki badań serologicznych są negatywne.

Z danych, którymi dysponujemy, wnioskujemy, że albo pojawił się zmutowany wirus Ebola, albo jakiś zupełnie nowy, nieznany gatunek wirusa.

Pozostałe notatki informowały o środkach zalecanych przez lekarzy, zwiększeniu liczby personelu, sprzętu i ochronie ekip medycznych...

Nathan stał na skraju przepaści. Wirus.

Trupy w arktycznych lodach... Czy miały jakiś związek? Nie, to nie pasowało...

Manuskrypt... W żadnym wypadku mordercy, których tropił Elias w XVII wieku, nie mogli mieć pojęcia o istnieniu wirusów...

A jednak nękało go straszliwe przecucie.

Stojąc w obliczu śmierci, młoda kobieta zdobyła się na wskazanie demonów, oskarżyła swych oprawców w obecności kilkunastu świadków.

To był naprawdę pewny trop.

W pierwszych blaskach poranka Boeing 737 łagodnie wylądował na paryskim lotnisku de Gaulle'a. Nathan odebrał bagaż, wynajął samochód i wjechał na drogę prowadzącą do miasta.

Od czasu wyjazdu z Konga nie przestawał myśleć o sprawozdaniu lekarza. Musi znaleźć dowody potwierdzające związek między przeszłością a teraźniejszością. Miał nadzieję, że Woods przesłał mu już dalszy ciąg manuskryptu. Nowe, odkryte przez Eliasa szczegóły mogą mieć kapitalne znaczenie.

Koło dziewiątej wjechał do Paryża przez Porte d'Orléans. Pokonał Avenue du Général-Leclerc, Boulevard Saint-Michel, dotarł do Rue des Écoles, wjechał do dzielnicy Jussieu, gdzie na chybił trafił wybrał skromny hotel, naprzeciwko Jardin des Plantes.

Zapłacił za trzy dni z góry i poszedł do swego pokoju. Zamknął za sobą drzwi, podłączył komputer do gniazdka telefonicznego i otworzył swoją skrzynkę mailową. Woods czytał mu w myślach. Czekał na niego nowy e-mail z Ma-latestiany. Nathan przesunął kursor na ikonę załącznika, kliknął dwa razy. Na ekranie pojawił się tekst: **[...] Zaledwie wyszedłem od aptekarza Jugana, żeby wrócić do siebie, wpadłem na nowy pomysł.**

Jeśli morderca posłużył się świnia do sporządzenia swojej trucizny, na pewno nabył ją w Saint-Malo. Szlachcic nigdy nie kupuje sam mięsa, a tym bardziej całego zwierzaka. Jeżeli jednak to zrobił, kupcy będą pamiętali ten fakt i przypomną sobie osobę, której szukam.

Nie wiedziałem [...] zawróciłem i poszedłem w kierunku dzielnicy rzeźników. Mimo że śnieg i mróz przybierały na sile, w moje nozdrza uderzył odór zepsutego mięsa. Po obu stronach uliczek, przykrytych grubą warstwą czerwonego od krwi śniegu, ciągnęły się kramy pracujących rzeźników. [...]
Głuche uderzenia tasaków ćwiartujących mięso,

zgrzytanie pił przecinających kości docierały do mnie jak potworne echo moich własnych zajęć anatomicznych.

Zatrzymałem się [...] Gestem dłoni człowiek wskazał mi oddaloną nieco halę. Był to kamienny budynek przykryty solidnym dachem łupkowym. Wszedłem głównym wejściem do szerokiego, cichego pomieszczenia, w którym na hakach, umieszczonych na dębowych belkach stropowych, wisały dziesiątki ociekających krwią martwych zwierząt.

Złapałem pochodnię i wszedłem pomiędzy nieruchome, cuchnące, zwierzęce tusze... Zawołałem... nikt nie raczył się odezwać. Usłyszałem szmery dochodzące z głębi. Zrobiłem kilka kroków do przodu... jeszcze raz zawołałem, ale okrzyk trafił w próżnię, jakby pochłonął go las obdartych ze skóry zwierzęcych ciał.

Przede mną ukazała się postać.

Jakiś mężczyzna.

Mierzyliśmy się wzrokiem, obydwaj na równi osłupiali. Słabo widziałem twarz, ale wydawało mi się, że dostrzegam na niej nikły uśmiech. Po chwili nieznamy ruszył w moim kierunku. Ja też postąpiłem do przodu, pragnąc zasięgnąć informacji. Raptem, w ułamku sekundy, dojrzałem jego uzbrojone ramię, wyciągające się w moją stronę. Zagrała cięciwa. Ledwie zdążyłem rzucić się na ziemię, kiedy wystrzelona z kuszy strzała świsnęła mi koło ucha i wbiła aż po brzechwę w grubą, wiszącą na haku, zwierzęcą zad. Uniosłem głowę i dostrzegłem sylwetkę mężczyzny, który uciekał co sił w nogach.

Dobiegał do wyjścia.

Podniosłem się i zacząłem go ścigać, rozpychając łokciami kawały mięsa, które jak złośliwe kolosy zastępowały mi drogę, ale kiedy wyskoczyłem z hali, nieznamy zniknął jak duch.

Stałem oszołomiony, zastanawiając się, czy mi się to wszystko nie przywidziało. Ale zobaczyłem... ślady.

Mój duch pozostawił ślady na śniegu.

Biegły wzdłuż murów, potem ku Rue Sainte-Anne, le Pldcitre, przez Rue des Moeurs... Skręcając na prawo w Rue des Herbes, dostrzegłem w końcu czarną pelerynę zbiega. Przyspieszyłem i po chwili deptałem mu już po piętach, był w zasięgu mojego ramienia... kiedy gwałtownie skręcił w lewo. Chwilę się zawahałem, po czym zrozumiałem jego manewr. Kierował się ku murom miasta.

Zrozumiałem, że byłem śledzony. Na pewno od czasu, gdy zaprowadziłem swoją kłacz do stajni. Uprzedzony przez jakiegoś współnika lub sam ukryty w pobliżu siedziby Aleistera Ewena, został ostrzeżony przed niebezpieczeństwem.

Byłem bliski odkrycia prawdy.

Dyszając ze zmęczenia, biegiem za nim krok w krok, przyrzekając sobie, że go już nie zgubię. Zobaczyłem, jak wkręcił się niczym wąż między klatki psów patrolowych, wspiął po stopniach obmurowań górujących nad wybrzeżem Bon Secours. Przeskakując po kilka stopni naraz, wyskoczyłem na drogę patrolową.

Nikogo nie było.

Nieznajomy znowu rozpląnął się w powietrzu.

Uderzenie kijem pod kolana ścięło mnie z nóg i padłem w śnieg. Zdrajca był tu, przy moich stopach. Broń najeżona gwoździami znowu opadła na mnie, by rozłupać mi głowę, ale tym razem byłem na tyle chytry, że udało mi się przednią uchylić. Rozbiła się o granit w snopie iskier. Podnieśliśmy się jednocześnie i [...] rzuciliśmy do walki wręcz na samym skraju balustrady.

Zacisnąłem ręce na jego gardle i uzyskałem przewagę. Szeroko otworzyłem oczy, żeby zobaczyć jego twarz, gdy potężnym wierzgnięciem przerzucił mnie nad sobą i wyrzucił w otchłań. Upadek wydawał mi się tak długi, że miałem czas wyobrazić sobie swoje ciało porozbijane o ostre skały wybrzeża.

Z wielkim hukiem zwałem się na dywan z trawy i sypkiego śniegu.

Nie mogąc złapać oddechu, zdołałem przekręcić się na brzuch i zacząłem czołgać się w kierunku skał, mając nadzieję, że znajdę tam jakąś kryjówkę.

[■■■]

Widok skórzanego buta zatrzymał mnie w miejscu.

Podniosłem wzrok i ujrzałem nad sobą mojego przeciwnika. Zarysy postaci falowały na wietrze, lecz choć księżyc był w pełni, nie mogłem dojrzeć diabelskich rysów twarzy. Zdechną jak sznur... Wielce zdesperowany, pomyślałem o moim drogim Rochu, o małżonce, której nigdy nie poślubię... o życiowych marzeniach, które mi umykały. Pragnienie paliło mi gardło, powinienem wiedzieć... Wtedy rozniósł się w powietrzu głos zięjącego nienawiścią opętańca: „Jak śmiesz, łajdaku, wchodzić nam w drogę?”. Ja z kolei odpowiedziałem, że chciałbym wiedzieć, co to za wieprz, który podaje się za Boga, żeby wysłać mnie do piekieł.

W ciemnościach rozległ się jego potężny śmiech, po czym rzucił w formie sentencji:

„Jesteśmy nieśmiertelnymi wojownikami mroku, kroczymy przez czas, żeby dokonać zemsty... Jesteśmy strażnikami Krwawego Kręgu.

Chciałem, żeby jeszcze mówił, ale już nieduża kusza uzbrojona w ostrą strzałę wycelowana była w moje czoło, gotowa mi [...]. Zacząłem go błagać, by wyjawiał mi powody śmierci Murzyna... tajemnicę oka-

leczeń. W chwili gdy był już gotów spełnić tę moją ostatnią wolę, z boku wyskoczył jakiś płowy cień i powalił go na ziemię. Pies patrolowy. Wyczuł nas i podkradł się bezszelestnie, żeby osaczyć zwierzynę łowną, której poszukiwał. Uniosłem głowę, mój napastnik wrzeszczał przeraźliwie, bronił się ze wszystkich sił, ale wielki brytan, niekształtna masa skóry i mięśni, przyciskał go do ziemi i wyżerał trzewia. Nie zrobiłem najmniejszego ruchu, by odpędzić tego osobliwego sprzymierzeńca. Po chwili było już po wszystkim. Dog zatrzymał się jeszcze, liżąc rozszarpane rany swej ofiary i zaspokoivszy apetyt po tej wspaniałej kolacji, podszedł do mnie, warcząc jak dzikie zwierzę. Jedynym ratunkiem było udawanie nieżywego. Serce wyrywało mi się z piersi. Zamknąłem oczy, znieruchomiałem i pozwoliłem, by jego dymiący jeszcze krwią lepki nos, jeździł po mojej twarzy. Ten krótki czas wydawał mi się wiecznością, potem, jakby za sprawą cudu, pies zostawił mnie i odszedł. Osłabły z przerażenia, podczołgałem się do trupa na tyle, by zobaczyć rysy twarzy ściągnięte przerażeniem. Pies urządził niezłą jatkę, ale mogłem bez trudu rozpoznać, że to była twarz... Rocha.

Krwawy Krag...

Wojownicy mroku, nieśmiertelni...

Po raz pierwszy tajemnica przybrała ludzki kształt, śmierć przestała być anonimowa. Słowa te potwierdzały hipotezę o grasujących od wieków mordercach, którą Nathan rozważał po odnalezieniu na Spitsbergenie okaleczonych zwłok żołnierzy.

A jeśli się mylił? Jeśli te dwie historie nie miały ze sobą żadnego związku? To wydawało się tak niezmiernie... idiotyczne. Instynkt jednak podpowiadał mu, że musiało istnieć między nimi powiązanie.

Podniósł słuchawkę telefonu i spróbował połączyć się z Woodsem. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość o swoim powrocie i podał numer telefonu do hotelu.

Potem zadzwonił do informacji i poprosił o połączenie z centralą Instytutu Pasteura.

- Z profesorem Alainem Derenne'em proszę...

- Chwileczkę.

Telefonistka połączyła go z numerem wewnętrznym wirusologa.

- Profesor Derenne?

- Przy telefonie.

- Nazywam się Falh, jestem dziennikarzem - zaczął pomijając grzecznościowe formułki. - Właśnie wróciłem z Afryki, chciałbym z panem porozmawiać na pewien temat...

- Jeśli chodzi panu o wywiad, proszę skontaktować się z działem prasowym - sucho przerwał mu naukowiec.

- Nie chodzi o wywiad, muszę się z panem zobaczyć w bardzo pilnej sprawie. Mam...

- A ja, łaskawy panie, jestem bardzo zajęty. Proszę zadzwonić do mojej sekretarki, powinna być w biurze przed południem. Do widzenia...

Lekarz miał zamiar przerwać połączenie, Nathan rzucił w słuchawkę:

- Zair, dziewięćdziesiąty czwarty rok, młoda kobieta umierająca w pobliżu obozu w Katala. Mówi to coś panu?

Zaległa cisza, potem odezwał się łagodny głos:

- Co pan powiedział?

- Jadę prosto z Gomy. Mam dla pana informacje na temat przyczyn zgonu tej kobiety.

- Słucham pana...

- Nie przez telefon. Kiedy możemy się spotkać?

- Jest pan w Paryżu? -Tak.

- Za godzinę... Może być?

- Doskonale.

Alain Derenne był wysokim, szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki, z kręconymi, rudymi włosami i wypukłym czołem. Owalne okulary w stalowych oprawkach i biały kitel, spod którego wyglądał krawat w smutnych kolorach, nadawały mu wygląd zimnego pyszałka nawykłego do wydawania poleceń i ceniącego własny czas.

Nathan dostrzegł jednak we wzroku profesora gorączkowy błysk. Zrozumiał, że ma do czynienia z nieprzeciętnym naukowcem, prawdziwym badaczem, który w poszukiwaniu najstarszych i najgroźniejszych wrogów człowieka podzielił swoje życie między laboratorium i niedostępne lasy.

- Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

- Bardzo proszę, niech pan wejdzie...

Nathan wszedł do niedużego gabinetu, gdzie wśród przeładowanych książkami regałów i stosów dokumentów zalegających biurko unosił się mocny zapach dymu papierosowego. Widoczne w głębi pokoju szerokie okno wychodziło na dziedziniec uniwersytecki i pełen zieleni kompleks miasteczka studenckiego, w którym stare budynki z czerwonej cegły sąsiadowały z nowocześniejszymi, świeżo odnowionymi. Nathan poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Znalazł się w samym sercu sanktuarium wiedzy, a stojący przed nim człowiek znał na pewno racjonalną odpowiedź na zasadnicze, nurtujące go pytania.

Usiadł przy stole. Derenne odłożył słuchawkę telefonu, żeby nikt im nie przeszkadzał i od razu przystąpił do rzeczy:

- Skąd pan wie o tej sprawie?

- Przeczytałem pański raport sporządzony po śmierci tej kobiety.

- Raport... Tak... co się stało, jakie ma pan informacje? Czy były następne przypadki?

Nathan wyczuł w głosie wirusologa podniecenie, które rosło w miarę upływających sekund.

- Niezupełnie o to chodzi. Proszę o cierpliwość, profesorze. Wszystko panu wytłumaczę, ale najpierw potrzebuję pańskiej pomocy w wyjaśnieniu kilku punktów mojego śledztwa.

Na twarzy Derenne'a odmalowało się zdziwienie, potem wyciągnął rękę po paczkę gitane'ów.

- Słucham pana... Zapalił papierosa.

- Pańska ówczesna diagnoza wydawała się niepewna...

- To prawda - westchnął Derenne, wypuszczając ustami kłęby dymu. - Bardzo dobrze pamiętam ten przypadek. Symptomy występujące u pacjentki dokładnie pasowały do wirusa Ebola, zaobserwowanego w Yambuku i w Nzara w siedemdziesiątym szóstym roku. Jednak pewne nietypowe objawy kliniczne zmusiły mnie do powstrzymania się od wydania takiej diagnozy...

- W raporcie wspominał pan o dziwnych zmianach skórnych...

- Tak. Ciało tej kobiety pokryte było dużymi, wypukłymi, żółtawymi pęcherzami, podobnymi raczej do tych wywołanych przez poksy-wirusy, do których należy ospa. Jednak te pęcherze wypełnione były krwią, co wykluczało tego rodzaju infekcję, tym bardziej że została ona już wypleniona.

- Czy znajduje pan jakieś inne wytłumaczenie?

- Nie wiem, mówię panu tylko o objawach klinicznych, które same o niczym nie świadczą. Istnieje większe prawdopodobieństwo, że mieliśmy do czynienia z nową odmianą wirusa Ebola, z jego zmutowaną formą.

Nathan wkraczał w nieznaną sobie dziedzinę.

- Często to się zdarza?

- Owszem... Podobnie jak gatunek ludzki, w ciągu milionów lat wirusy podlegają stałym przeobrażeniom. Przekształcają się wciąż w dążeniu do doskonałości. Ich celem nie jest zabijanie, jakby się to mogło wydawać, lecz rozprzestrzenianie się w nieskończoność, przy wykorzystaniu swoich żywicieli. W porównaniu z wirusem HIV, który cały czas mnożąc się, utrzymuje zarażonego osobnika przez długie lata przy życiu, Ebola nie staje na wysokości zadania. Zabijając swoje ofiary tak szybko, zaledwie w parę dni, wystawia na niebezpieczeństwo własną długowieczność. Dlatego w ciągu mijających prędko pokoleń musi próbować się przystosowywać. Słuchając tych wyjaśnień, Nathan wyobraził sobie mrocznego napastnika, wyposażonego w kody, strategię, inteligencję. Prymitywna armia w marszu przeciwko ludzkości.

- Rozumiem. Czy spotkaliście jeszcze inne podobne przypadki?

- Zbieraliśmy informacje, prowadziliśmy badania w samym obozie w Katala, wydaliśmy okólnik dla wszystkich ekip medycznych, w którym opisaliśmy symptomy, ale nie otrzymaliśmy ani jednego zgłoszenia.

- Nie wydaje się to panu dziwne?

- Owszem... - przyznał Derenne, wydechając kolejny niebieskawy kłęb dymu - szczególnie przy takiej ludzkiej zbieraninie.

- Czy później udało się panu zidentyfikować wirusa?

- Bardzo ciężka sytuacja epidemiologiczna w obozach północnego Kiwu nie pozostawiła nam całkowitej swobody działania. Nie mieliśmy możliwości przeprowadzenia testów niezbędnych do wyizolowania wirusa. Udało mi się jednak znaleźć czas, by wykonać badanie antygenów przy wykorzystaniu techniki immunofluorescencji. To metoda pozwalająca zidentyfikować większość czynników chorobotwórczych. Polega ona na użyciu laboratoryjnego odczynnika zawierającego przeciwciała związane z pewną substancją fluorescencyjną, dostrzegalną pod mikroskopem ultrafioletowym. Jeżeli w tym odczynniku są przeciwciała odpowiadające szczepowi, którym został zakażony pacjent, uczeplają się one antygenów obecnych w próbce jego krwi i komórki zaczynają świecić intensywnym blaskiem. Wykonałem takie badanie, używając przeciwciał typu Ebola. Kilka cząstek uwidoczniło się, ale nie było w tym nic znamiennego.

- Więc nie był to wirus? - wywnioskował Nathan.

- To nie jest takie proste... Teoretycznie, jeśli nie ma żadnej reakcji, istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z innym wirusem. Ale doświadczenia wykazały, że negatywne reakcje mogą zostać wywołane również przez swoistość szczepów. Inaczej mówiąc, znaczy to, że reakcje mogą być fałszywie negatywne w wypadku pojawienia się zarazka zmutowanego.

- A czy wykonał pan ten sam test z użyciem przeciwciał ospy?

- Jak już wcześniej zaznaczyłem, choroba ta została wypleniona, nie dysponujemy więc żadnym materiałem, który umożliwiłby ten rodzaj badań.

Derenne rozgniół papierosa między innymi niedopałkami w popielniczce i wyprostował się w fotelu.

- Pobrałem dodatkowe próbki krwi, żeby przekazać je do badania kolegom z Center for Diseases Control w Atlancie. CDC to największy ośrodek badawczy chorób zakaźnych. Zapakowałem je do suchego lodu, który dostałem w miejscowym browarze, ale próbki źle zniosły podróż i nie udało mi się ustalić, czy chodziło o wirus Ebola.

- Żaden nowy przypadek tego typu nie został odnotowany w następnych tygodniach, miesiącach lub latach?

- Nic na ten temat nie wiem, a proszę mi wierzyć, śledziłem tego rodzaju doniesienia z największą uwagą. Nawet złożyłem podanie z prośbą o ponowne wysłanie mnie do Zairu, w celu prowadzenia nowych badań, ale ponieważ był to odosobniony przypadek, dyrekcja instytutu nie przydzieliła mi funduszków na taką misję, która wymagałaby pozostania na miejscu przez kilka miesięcy.

Wirusolog podniósł się, otworzył okno i przysiadł na rogu biurka, z którego odsunął dokumenty.

- W jaki sposób, pana zdaniem, u tej młodej kobiety doszło do zakażenia? - spytał Nathan.

- Trudno powiedzieć. Jeśli przyjmiemy, że był to wirus Ebola, a cały czas prześladuje mnie taka właśnie myśl, jest możliwych kilka wersji... Wychodząc z założenia, że była jedyną ofiarą, należy przyjąć, że być może zjadła mięso jakiegoś zwierzęcia z terenu stepowego, na przykład małpy albo innego dzikiego stworzenia, zarażone wirusem. Ale powtarzam panu, to czysta spekulacja, tym bardziej że nie wiemy, który gatunek zwierzęcy jest nosicielem filowirusów.

- Panie profesorze... To, co powiem, wyda się panu prawdopodobnie dziwne, ale czy nonsensem byłoby rozważenie możliwości zarażenia tej kobiety poprzez wszczepienie jej wirusa?

- Chce pan powiedzieć, że ktoś mógł jej go wstrzyknąć?

- Tak.

- Uważam to za czystą fikcję.

- Czy pamięta pan ostatnie słowa, które wypowiedziała?

- Nie... niedokładnie.

Nathan wyjął z kieszeni raport i podał go Derenne'owi.

- Proszę bardzo, niech pan czyta. Pan sam je zapisał. Wirusolog skupił się chwilę na dokumencie, po czym uniósł głowę.

- To chyba nie jest aluzja do tej historii o demonach?

- Owszem, tak.

- A więc proszę mi pozwolić przekonać się, że idzie pan fałszywym tropem. Ruandyjczycy są ludźmi niezwykle religijnymi... Sądzę, że to łączyło się zdecydowanie ze strachem przed śmiercią, ta kobieta modliła się o zbawienie swojej duszy. Widziałem to setki razy.

Nathan doskonale wiedział, że nie chodziło tu o żadne modły. W niewytłumaczalny sposób ta ofiara wyrwała się z piekła, które oglądała na własne oczy, uciekła oprawcom i potem ich wskazała...

Wirusolog zaczął się niecierpliwić. Spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

- Myślę, że oddalamy się od tematu. Może zechciałby pan opowiedzieć o swoich odkryciach...

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie - przynaglił go Nathan. -Obiecuję, że nie będzie pan tego żałował.

Derenne, wyraźnie nienawykły do otrzymywania poleceń, wydawał się zbity z tropu kategorięcznym tonem swego rozmówcy. Jego milczenie skłoniło Nathana do zadania kolejnego pytania.

- Czy pana zdaniem istnieje możliwość użycia wirusa jako... broni biologicznej?

- Naturalnie. W naszych czasach dysponujemy wiedzą i aparaturą, które umożliwiają nawet tworzenie wirusów „na zamówienie”. Wirusowe genomy mają zwykle bardzo małe rozmiary, ale umiemy je rozszyfrować. Tworząc ich sekwencję, można nimi manipulować, a wręcz całkowicie syntetyzować, tworząc w ten sposób biologiczne jednostki obdarzone właściwościami infekcyjnymi i zdolne do replikacji.

- Od kiedy takie manipulacje są technicznie możliwe?

- Takie, o których mówiłem... myślę, że od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ale pomysł broni biologicznej kiełkował w umysłach ludzkich od wielu już wieków.

Istnieje na to niemało przykładów znanych w historii: tatarscy wojownicy, dziesiątkowani przez epidemię dżumy w czasie oblężenia Kaffy, na obecnym Krymie, w... czternastym wieku, jeśli się nie mylę, wpadli na szatański pomysł katapultowania swoich zadżumionych trupów do oblężonego miasta. Zarazek ospy, o którym mówiliśmy, został przekazany Inkom wraz z zarażoną odzieżą, ofiarowaną im przez Hiszpanów podczas podboju. I jeszcze z nowszej historii, w czterdziestym piątym niemal trzy tysiące więźniów zmarło w przerażających japońskich laboratoriach w Mandżurii. Oprawcy wstrzyknęli im zarazki dżumy, węgliką, cholery i brucelozą. Są jeszcze dziesiątki innych przykładów...

Po tej nowej informacji serce Nathana żywiej zabiło. Nieświadomie Alain Derenne właśnie być może dostarczył mu istotny element układanki. Pozostała jednak jeszcze do wyjaśnienia najważniejsza sprawa: cel misji „Pole Explorera”.

Wtedy zaświtał mu nowy pomysł: data zatonięcia „Dresdena” musiała być jakąś wskazówką i dokądś doprowadzić.

- Już ostatnie pytanie, profesoro, co kojarzy się panu z rokiem tysiąc dziewięćset osiemnastym?

Grymas rozdrażnienia pojawił się na twarzy Derenne'a.

- Byłem nad wyraz cierpliwy, ale teraz przekroczył pan wszelkie granice. Panie Falh...

195

Nathan nie pozwolił mu skończyć.

- Proszę mi odpowiedzieć, profesorze, to ogromnie ważne, zrozumie pan...

Derenne spoglądał na niego chłodno, w jego wzroku malowało się wzrastające powątpiewanie. Nathan nalegał.

- Rok tysiąc dziewięćset osiemnasty, profesorze?

- Naprawdę nie widzę związku - westchnął wirusolog. - Niech będzie... Czy zwraca się pan do przeciętnego człowieka, czy do naukowca?

- Nie wiem... do obydwóch?

- No więc, powiedzmy, że dla przeciętnego człowieka rok tysiąc dziewięćset osiemnasty oznacza koniec pierwszej wojny światowej, natomiast dla wirusologa ma on całkowicie inne znaczenie...

Nathan głośno przełknął. Lodowate igiełki łaskotały go w kark.

- Co pan ma na myśli?

- Rok tysiąc dziewięćset osiemnasty oznacza przede wszystkim straszną epidemię grypy, zwanej hiszpanką. Plaga, która zabiła niemal czterdzieści milionów osób na całym świecie, to znaczy pięć razy więcej niż sama wojna...

Informacja ta wywarła na Nathanie takie wrażenie, jakby ktoś prysnął mu w twarz stężonym kwasem siarkowym. Sam nie pomyślał o tej epidemii.

Żołnierze w lodach... Prawda gwałtownie nabierała kształtów.

- Czy wie pan coś na temat prób odzyskania tego wirusa? - spytał zduszonym głosem.

- Próby takie rzeczywiście były... - westchnął jeszcze Derenne, nie zauważając zmiany tonu Nathana. - Do czego pan zmierza?

- Profesorze... bardzo proszę. To może mieć kapitalne znaczenie.

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku amerykańska ekipa próbowała odzyskać szczep, profanując groby Eskimosów zmarłych z powodu tego wirusa w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. Były jeszcze później inne próby...

- Z jakiego powodu usiłowano odnaleźć ten szczep? - przerwał mu Nathan.

- Uzyskując próbkę nieuszkodzonego wirusa, można by zrozumieć mechanizm jego funkcjonowania, co z pewnością umożliwiłoby opracowanie szczepionki i zapobieżenie nowej pandemii. Wbrew potocznej opinii zarazek grypy jest jednym z najgroźniejszych w dziejach ludzkości, na równi z dżumą i obecnie z HIV. Jeśli podobny pojawiłby się znowu, byłby prawdziwą plagą dla ludzkości.

- Jaki był rezultat tych misji?

196

- Spelzły na niczym. Mimo że ciała pochowane były na Dalekiej Północy, gdzie ziemia jest na stałe zamrożona, okazało się, że pogrzebano je zbyt płytko, i kolejne wiosenne ocieplenia zniszczyły wszelkie ślady grypy. Aby wirus przetrwał, zwłoki powinny być znajdować się w ziemi całkowicie zamrożonej.

- W samym lodzie?

- Na przykład...

Nathan docierał do sedna, wyczuwał to.

- A jeśli pan sam miałby uzyskać taki zarazek, jak by się pan do tego zabrał?

- Ma pan na myśli uzyskanie zarazka ze zwłok? Tak.

- Wziąłbym próbki fragmentów mózgu i płuc, bo tam występuje największe nagromadzenie wirusa.

Ta ostatnia informacja zabrzmiała w świadomości Nathana niczym dzwon.

Fragmenty układanki przylegały do siebie z chirurgiczną dokładnością...

Zrozumiał to w tym samym momencie, w którym naukowiec wspomniał o oblężeniu

Kaffy... Mimo że w XVII wieku nie potwierdzono jeszcze naukowo istnienia zarazków, mordercy opisywani w manuskrypcie dokonali tego w sposób empiryczny.

Pojęli, że zło tkwiące w płucach i mózgach osób dotkniętych chorobą, może zostać rozprzestrzenione. Podobnie jak członkowie załogi „Pole Explorera”, którzy wydobyli ciała uwięzione we wraku, potwory z przeszłości zajęły się zwłokami Murzyna, gdyż chorował na gripę lub inną podobną chorobę, o czym Elias nie mógł wiedzieć.

Wirus był kluczem do wszystkiego.

Kiedy Nathan uniósł oczy, napotkał mroczne, świdrujące spojrzenie Derenne'a i zrozumiał, że teraz on musi wyjawiać posiadane przez siebie informacje.

To straszne... wyszeptał Derenne.

Niebo pociemniało, czarne cienie pokrywających je chmur prześlizgiwały się po pobladłej twarzy lekarza. Rozluźnił krawat i przechylił się do tyłu na fotelu, jakby chciał nabrać dystansu do budzącej grozę opowieści, którą przed chwilą usłyszał. Nathan opowiedział mu o manuskrypcie Eliasa, o swojej podróży na Spitsbergen, o straszliwych odkryciach w dawnym obozie uchodźców. Popartą zdjęciami relację ograniczył jednak tylko do szczegółów dotyczących bezpośrednio sprawy wirusów.

- Czy pana zdaniem - podjął po chwili milczenia - ci ludzie mają szansę wyizolować szczep grypy?

Wirusolog nerwowo bawił się leżącym na stole piórem. Wyjął kolejnego papierosa.

- Jeśli, tak jak pan sądzi, ciała przebywały hermetycznie zamknięte w lodach przez osiemdziesiąt lat, moim zdaniem szanse powodzenia są bardzo duże. Należy jeszcze jednak wziąć pod uwagę inne czynniki. Próbkę trzeba przechować w odpowiednio przystosowanym pojemniku, utrzymującym stałą temperaturę -80°C , przetransportować je do laboratorium. Zdaje pan sobie sprawę, że ten rodzaj ładunku nie przechodzi niezauważony... Przyjmując, że cała operacja się powiedzie, należy potem poddać wirus odpowiednim zabiegom, co wymaga wykwalifikowanego personelu i właściwej technologii... Ma pan jakieś pojęcie, kim są ci ludzie? Czy są na usługach jakiegoś reżimu politycznego? A może jakiejś tajnej organizacji?

- Przychyliłbym się do tej drugiej hipotezy, chociaż pewne szczegóły do niej nie pasują.

Derenne uniósł brwi.

- O czym pan mówi?

- Sam nie wiem... Fakt, że istnieją od przeszło trzech wieków, wyklucza definitywnie przynależność do jakiegoś konkretnego państwa czy politycznej partyzantki... Nie, najprawdopodobniej chodzi o ja-

każ tajemną organizację dokonującą aktów terroru... Ale jednocześnie zebrane przeze mnie informacje wydają się podważać tę wersję. Większość grup terrorystycznych uderza w ludność w sposób brutalny, nie po to, żeby zabić, ale żeby swymi atakami wywołać potężny wstrząs psychiczny. W naszym wypadku trucizny, wirusy nie wywołują wrażenia, przechodzą niezauważone... Tu coś się nie zgadza...

- Rzeczywiście, klasyczni terroryści skłaniali się raczej ku bombom własnego wyrobu albo takim substancjom jak sarin czy anthrax, znacznie łatwiejszym w użyciu i tańszym do wyprodukowania.

Znowu zaległo milczenie, potem Derenne powiedział:

- Mam pewną hipotezę...

- Proszę mówić.

- Dysymulacja... W przeciwieństwie do materiałów wybuchowych czy broni chemicznej bardzo trudno jest dotrzeć do źródeł zarazki chorobotwórczego.

- Jak to?

- No więc, powiedzmy, że chimera, w naszym wypadku zarazek, poddany manipulacjom genetycznym może być w taki sposób zbudowany, że sprawia wrażenie wirusa zmutowanego przez samą naturę.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie ma możliwości, by stwierdzić, czy mamy do czynienia ze „sfabrykowanym” wirusem?

- W analizie istnieją różne techniki: pierwsza, poprzez reakcje antygenów lub przeciwciał, o której już mówiłem...

- A druga? - niecierpliwiał się Nathan.

- To analiza molekularna. Jeśli uda się wyizolować wirusa i odczytać jego kod genetyczny, będziemy wówczas mogli ustalić stopień jego odmienności od wirusa już znanego lub uznać, że mamy do czynienia z nową jego odmianą. I w jednym, i w drugim wypadku, chyba że manipulacja została wykonana w sposób bardzo nieudolny, nie będzie można stwierdzić, czy doszło do mutacji naturalnej, czy dokonanej w laboratorium ani nawet czy jest to zupełnie nowy gatunek, w razie gdy okaże się on całkowicie odmienny od wszystkich innych dotychczas znanych...

Nathan zastanowił się chwilę.

Teoria wirusologa wiązała się w sensowną całość. Ludzie z Krwawego Kręgu zabijali anonimowo i prawdopodobnie w ten sposób, nie będąc zdemaskowani, zdołali przetrwać przez stulecia. Już Roch i jego współpracownicy wiedzieli, że bezkarne stosowanie substancji trujących dobiega końca. Chociaż zwykłemu śmiertelnikowi trudno było odróżnić śmierć przez otrucie od choroby, lekarz lub aptekarz mógł swoim doświadczonym okiem wykryć truciznę po objawach chorego lub

we wnętrznościach ciała zmarłego. Musieli więc znaleźć jakąś inną broń, jeszcze bardziej tajemniczą. I chociaż ówczesna wiedza naukowa była jeszcze w powijakach i jej stan stanowczo wykluczał realizację pomysłu, na który mogli ewentualnie wpaść, nawet tylko w sposób empiryczny, a polegający na nagromadzeniu zabijającego zarazka, myśl taka już zaczęła kiełkować w ich umysłach. Nathan w końcu dostrzegł związek łączący manuskrypt Eliasa ze współczesnymi zabójcami. Zarówno w czasach wielkich epidemii, jak i w XXI wieku wirus pozostawał ciągle najlepszym sposobem na zabijanie, najlepszym sposobem na zbrodnię doskonałą. Jakimi jednak pobudkami kierowali się sprawcy?

- Czy jest możliwe, by jakaś tajna organizacja miała dostęp do tego typu technologii?
- spytał Nathan.

- Gdyby przyszedł pan do mnie dziesięć lat temu, prawdopodobnie odpowiedziałbym, że nie. Obecnie jedynie kilka bogatych państw dysponuje funduszami niezbędnymi do realizacji takiego przedsięwzięcia. W aktualnej sytuacji geopolitycznej istnieje jednak wiele sposobów na obejście tych przeszkód.

- Proszę mi to wytłumaczyć.

- Ogólnie wiadomo, że w czasie zimnej wojny Związek Radziecki opracował ogromny program badawczy, którego celem było zaopatrzenie się w broń biologiczną. Ponad siedemdziesiąt tysięcy specjalistów, wirusologów i genetyków zostało przydzielonych do laboratoriów rozsianych na obszarze całego kraju, od Morza Aralskiego po Syberię. Ujawnione to zostało przez dwóch dysydentów, Pasecznika i Alibeko-wa, którzy wyemigrowali, pierwszy do Wielkiej Brytanii, drugi do Stanów Zjednoczonych. Kiedy rozpadł się blok sowiecki, naukowcy pracujący nad bronią biologiczną, zarabiający zaledwie około stu dolarów miesięcznie, zaczęli oferować swoje usługi tym, którzy proponowali za nie najwyższe wynagrodzenie. Wszystko można sprzedać, i nie tylko w Rosji. Zdziwiająca jest to, że do jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku bez trudu można było nabyć najbardziej nawet niebezpieczne szczepy za pośrednictwem firm farmaceutycznych. I to w sposób jak najbardziej legalny, bo proponowane były one w katalogach lub na stronach internetowych. Wystarczyło posiadać odpowiednie fundusze. Sądzę, że tak właśnie było w wypadku pańskich domniemych terrorystów.

- Jeśli działali właśnie w taki sposób, to znaczy, że po zaangażowaniu naukowców i zdobyciu odpowiednich technologii musieli jedynie finansować produkcję chimer i testów mających na celu sprawdzenie ich skuteczności.

- Rzeczywiście, jest to możliwe.
- Derenne wyprostował się, oparł łokciami o biurko.
- Pan nie jest dziennikarzem.
- Nie. \
- Dla kogo pan pracuje?
- Dla nikogo, działam sam.
- Sam... Jak to?
- Nie mogę panu nic więcej na ten temat powiedzieć i uważam, że bezpieczniej dla pana będzie nie wnikać w tę kwestię.
- Z jakiej racji mam obdarzyć pana zaufaniem?
- Dlatego, że wszystko panu opowiedziałem... Dlatego, że wysłuchał mnie pan aż do tej chwili... Dlatego, że podałem niezbite argumenty...
- To nie jest wystarczające, panie Falh. Rzeczywiście był pan nad wyraz przekonujący. To jeszcze jeden powód, by podjąć konkretne działania. Zgodzi się pan ze mną, że najwyższy czas zaalarmować odpowiednie czynniki?
- Nadszedł czas prawdy. Nathan musiał teraz przekonać wirusologa, żeby pozwolił mu w dalszym ciągu prowadzić swoje śledztwo.
- Niech pan nie wykonuje żadnego ruchu, profesorze, bardzo proszę - odpowiedział.
- Nasi zabójcy bardzo szybko zorientowaliby się, że stali się obiektem poszukiwań. Zbrodniarze, z którymi mamy do czynienia, nie pozostawiają wielu śladów, a co ważniejsze, żaden nie prowadzi bezpośrednio do nich. Odgradzają się od wszystkiego, każdy etap mojego śledztwa zawsze kończy się w ślepej uliczce. Ich po prostu nie ma, nie istnieją, nawet dla organów bezpieczeństwa. Przy najmniejszym sygnale alarmowym spalą za sobą mosty i zawieszą całą działalność. Już od ponad trzech stuleci walczą w kompletnym milczeniu, a nie od jakichś dwudziestu czy trzydziestu lat.
- Załóżmy taki scenariusz. Ale... skąd pan się o nich dowiedział?
- To bardzo zagmatwana historia, powiedzmy, że związany jestem z nimi z przyczyn zupełnie mi nieznanymi. Popelnili błąd, który naprowadził mnie na ich ślad. W sposób, którego nie umiem wytłumaczyć, czuję... wiem, że tylko ja jestem w stanie ich zdemaskować.
- Derenne spojrział na Nathana z wyraźną niechęcią. Wstał.
- To wszystko zawiera, jak dla mnie, bardzo dużo tajemnic. Niech pan zachowa swoją, jeśli pan chce. Przypuszczam, że ma pan ku temu powody. Jeśli chodzi o mnie, nie mam w zwyczaju postępować niezgodnie z prawem. Jeśli to wszystko, o czym mi pan opowiedział, jest prawdą... Jako lekarz Instytutu Pasteura, jako obywatel, nie mam prawa milczeć w sprawie tak wielkiej wagi.

- A jednak będzie pan musiał.

- Nie dam się zaszantażować.

Ze stanowczego tonu Derenne'a Nathan wywnioskował, że należy uciec się do innej taktyki, spróbować go udobruchać.

- Doskonale rozumiem pański punkt widzenia, ale potrzebuję pańskiego milczenia i pomocy. Proszę mi uwierzyć, musi mi pan zaufać.

Coś w głosie Nathana, może akcent szczerości, niepasujący do agresywnej chwilami postawy, zrobiło wrażenie na wirusologu.

- Nikt na świecie nie byłby w stanie stawić czoła takiemu zagrożeniu. Tego rodzaju atak mógłby mieć dramatyczne konsekwencje... Nie wie pan, gdzie ani kiedy mają zamiar rozprzestrzenić swoje zarazki... Czy zdaje sobie pan sprawę, czego pan ode mnie żąda? To niemożliwe...

Wirusolog doznawał sprzecznych uczuć, wahał się przed podjęciem decyzji. Nathan dostrzegł rozterkę Derenne'a i natychmiast ją wykorzystał.

- Ile czasu potrzeba, by uaktywnić lub zmodyfikować wirus takiej grypy jak hiszpanka?

- A skąd mam wiedzieć? To zależy od stanu ich wiedzy... Od środków i możliwości, jakimi dysponują... Sądząc po tym, co od pana usłyszałem, wszystko wskazuje na to, że nie są na etapie prób. Mogli już dokonać symulacji na innych wirusach, na przykład na ptasiej grypie czy świńskiej gorączce, zarazek może być już przygotowany na przyjęcie genów hiszpanki...

- Ile czasu?

- Nie wiem... Jeśli twierdzi pan, że mają szczep od mniej więcej czterech tygodni... powiedzmy dwa miesiące, może krócej.

- Mam jeszcze czas, żeby posunąć się w swoim śledztwie i ich zatrzymać. ,

- Sam?

- Powtarzam panu, że to jedyny sposób, żeby się do nich zbliżyć.

- A potem?

- Zawiadomię organa bezpieczeństwa, jak tylko zbiorę niezbędne dowody i zlokalizuję sprawców.

Wirusolog w milczeniu przemierzał pokój wielkimi krokami. Podeszedł do okna i zawisł spojrzeniem na zabudowaniach miasteczka studenckiego.

- To czyste szaleństwo... Nie, nie mogę...

Teraz z kolei Nathan wstał i zniecierpliwiony walnął pięścią w stół.

- Panie profesorze! Jeszcze godzinę temu nie miał pan najmniejsze-

go pojęcia o całej tej historii. Gdybym tu do pana nie przyszedł, nie podejrzewałby pan nawet istnienia takich zabójców. Niechże mi pan zaufa! To jedyny sposób uniknięcia katastrofy.

Znowu zaległo milczenie. Potem Derenne odwrócił się do Nathana.

- Dobrze, gdybym zgodził się panu pomóc, na czym polegałby mój udział w pańskim śledztwie?

- Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, logika nakazuje sądzić, że już zaatakowali. Będzie pan musiał przejrzeć swoje bazy danych z ostatnich dziesięciu lat i wybrać z nich wszystkie przypadki chorobowe wywołane przez niezidentyfikowane wirusy, które wydadzą się panu podejrzane.

- Co to panu da?

- Jeśli coś znajdziemy, pozwoli mi to prawdopodobnie ustalić powiązania między ofiarami i zrozumieć mechanizm działania sprawców.

Uczony w zamyśleniu spoglądał na Nathana.

- Zobaczę, co się da zrobić i czy coś znajdę. Natomiast jeśli chodzi o pańskie śledztwo, dam panu dziesięć dni. Ani jednego dnia więcej. Potem wszczynam alarm.

Wizyta u Derenne'a okazała się znacznie bardziej stresująca, niż mógł się tego spodziewać.

Nathan włączył silnik audi, który zaryczał głośno. Wjechał w Boulevard Vaugirard, kierując się ku wieży Montparnasse.

Samochody, fasady budynków, całe miasto jakby rozpływało mu się przed oczami. Przed wyjściem z Instytutu Pasteura ustalił z Derenne'em, że zadzwoni do niego w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Uprzedził wirusologa, że gdyby przydarzyło mu się jakieś nieszczęście, „ktoś zaufany” skontaktuje się w jego imieniu. Zabezpieczył się w ten sposób, nie wymieniając jednak nazwiska Woodsa. Przewidywał, że Derenne, obecnie cenny sojusznik, może szybko stać się poważnym źródłem kłopotów.

Dziesięć dni... dwieście czterdzieści godzin... Wyścig z czasem się rozpoczął.

Kiedy Nathan wszedł do mrocznego holu hotelowego, na jego widok recepcjonista zerwał się gwałtownie i niezmiernie wzburzony pospieszył mu naprzeciw.

- Panie Falh...

- Co się stało?

- Jakiś pan z angielskim akcentem ciągle wydzwania, od czasu odkąd pan wyjechał Woods.

- Zostawił wiadomość?

- Nie chciał. Powiedział, żeby pan do niego zadzwonił od razu po powrocie.

Powiedział, że to niezwykle pilne.

Skacząc po kilka stopni naraz, Nathan wbiegł na drugie piętro, wpadł do swojego pokoju i natychmiast wykręcił numer komórki Anglika.

Trzy sygnały i lekkie stuknięcie.

- Woods przy telefonie.
- Tu Nathan... Co się stało?
- Mam nowiny... piorunujące.
- Manuskrypt? -Nie.

Głos Woodsa drżał.

- O co chodzi? Niechże pan mówi!
- Jacques Staël zadzwonił do mnie godzinę temu... Przypomina pan sobie, złożyliśmy wnioski o dokonanie poszukiwań tożsamości.

Ciałem Nathana wstrząsnął spazm.

- Oczywiście, że pamiętam. Ma pan... coś?
- Odnalazł pańskie odciski palców...
- Moje?

Fala niepokoju podeszła mu do gardła. Natychmiast przypomniały mu się trupy napastników, których zabił...

- Gdzie...?
- We Francji. Tylko bez paniki, nie ma to żadnego związku z tym, o czym pan myśli, dane są znacznie wcześniejsze.
- To znaczy?
- Chodzi o odciski palców dziecka.
- Jest pan pewien? Nie zaszła jakaś pomyłka?
- Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Jak wynika z dokumentów, które przekazał mi Stael, pobrane zostały przez żandarmerię po jakiejś bijatyce. W aktach jest wzmianka o bójce i zranieniach... Zdarzyło się to zimą siedemdziesiątego ósmego, niedaleko Saint-Etienne.
- Saint-Etienne?
- Miejscowość nazywa się Saint-Clair. A pan zwał się wtedy Ju-lien... Julien Martel.

Saint-Clair, Francja 12 kwietnia 2002

Nathan od trzech godzin był już w drodze, kierował się ku środkowej Francji. Pogoda coraz bardziej się psuła, niebo i asfalt tworzyły jedną szarą, brudną masę, przynębiającą niby całun.

Przed wyjazdem z Paryża pobieżnie zrelacjonował Woodsowi swoje afrykańskie rewelacje oraz wizytę w Instytucie Pasteura. Ostatnie nowiny mocno go zbulwersowały i **spieszno** mu było **przeniknąć nową** tajemnicę. Ustalili, że Ashley przejmie po nim pałeczkę w kontaktach z Derenne'em, żeby Nathan miał całkowitą swobodę działania w poszukiwaniach śladów swojego dzieciństwa.

W ciągu ostatnich tygodni zaczął się poważnie niepokoić osobliwościami swego charakteru, ale nie przyszło mu do głowy, że korzenie jego wyjątkowej brutalności mogą sięgać w tak odległą przeszłość.

Czy kiedykolwiek był takim samym człowiekiem jak inni? Próbował wyobrazić sobie młodego Juliana Martela: drobna sylwetka, ciemne włosy, spokojne, okolone długimi rzęsami oczy... Za każdym jednak razem obraz rozmywał się i ustępował miejsca małemu potworowi z czarnymi ślepiami i ustami zbroczonymi krwią.

Zdaniem Woodsa mieli dużo szczęścia, że udało im się natrafić na te odciski palców. Ten „cud” zawdzięczali szerokiemu programowi centralizacji i informatyzacji danych francuskiej policji, a dokładnie jej wydziałów technicznego i naukowego. Polegał on na zgrupowaniu wszystkich fiszek daktyloskopijnych z odciskami dziesięciu palców, zalegających archiwa regionalnych posterunków żandarmerii i policji kryminalnej, w celu wprowadzenia ich do komputera FAED, to znaczy informatycznego rejestru odcisków linii papilarnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kilka dni wcześniej seria starych dokumentów z prefektury w Saint-Étienne została dostarczona do FAED, który przy wprowadzaniu do niego każdego nowego obiektu automatycz-

nie przeszukuje bazę danych. Przez nieuwagę odciski Nathana przekazane przez Staëla pozostały w komputerze, który natychmiast wykrył podobieństwo do odcisków Juliëna. Fiszki zostały następnie przeanalizowane przez eksperta w dziedzinie daktyloskopii. Materiały porównawcze posiadały dwanaście cech wspólnych, to znaczy takich samych minucji, stwierdzonych w układzie linii, oczkach, haczykach, rozwidleniach i zakończeniach.

Specjaliści byli pewni swej opinii.

Oba daktylogramy dotyczyły tej samej osoby.

Anglik niezwłocznie przesłał mu dokumenty pocztą elektroniczną. Była tam kopia fiszki, na której figurowały odciski małych, ubrudzonych atramentem palców, dane osobowe - Julien, Alexandre, Paul Martel, urodzony 17 stycznia 1969 roku w Boulogne-Billancourt, syn Michela, inżyniera, i Isabelle Martel, bez zawodu - oraz zwięzły raport. Raport ów był na tyle intrygujący, że Nathan postanowił pojechać na miejsce.

Zdarzyło się to 21 października 1978 roku, w przeddzień ferii szkolnych z okazji Dnia Wszystkich Świętych. Przy wyjściu ze szkoły podstawowej w Saint-Clair wybuchła sprzeczka między Julienem i jednym z jego klasowych kolegów, Pascalem Delçger, synem mera. Chłopcy poszli na most, żeby tam załatwić ze sobą porachunki. Kłótnia bardzo źle się skończyła. Według świadków Julien, który rozłożył swego przeciwnika na łopatki, kazał mu przeprosić się za obelgi, którymi ten obrzucił jego rodziców. Kiedy chłopiec odmówił, Julien chwycił go za głowę i kilkakrotnie uderzył nią o chodnik. Mały zalał się krwią.

Po dwudziestu minutach na miejsce przyjechała karetka i żandarm z miejscowego posterunku. Ranny, nieprzytomny chłopiec leżał na ziemi. Koło niego stał przygnębiony Julien. Pierwszego zabrano na ostry dyżur do szpitala w Saint-Etienne, drugiego na posterunek żandarmerii, gdzie został potraktowany jak kryminalista. Pascal Delçger doznał pęknięcia czaszki, a rodzice Juliëna zostali zobowiązani do zapłacenia odszkodowania synowi mera...

Nathan zjechał z autostrady w drogę 104 wijącą się między czarnymi, łysymi pagórkami. Mimo pierwszych oznak wiosny krajobraz nosił jeszcze piętno zimy i głębokiego smutku. Godzinę później wjeżdżał do Saint-Clair, ponurego robotniczego miasteczka, w którym szeregowo ciągnęły się niskie domki z brudnymi, niegładzonymi tynkami i parę starych, pozbawionych wyrazu wyższych budynków. Nathan zwolnił, żeby zapytać jakąś młodą dziewczynę o drogę. Szkoła znajdowała

się naprzeciwko merostwa, niecałe pięćset metrów dalej. Przejechał przez spokojne miasteczko, zaparkował samochód niedaleko szkoły. Był to budynek zbudowany z cegieł, z wieloma oknami, usytuowany pośrodku dużego betonowego dziedzińca, na którym nie było drzew ani terenu do zabawy. Zbliżała się siedemnasta, przy odrobinie szczęścia mógł jeszcze kogoś zastać.

Przyszło mu do głowy, że nie uzyska informacji, nie posiadając żadnego upoważnienia. Zastanowił się, jaką przyjąć strategię, po czym nacisnął guzik domofonu.

Z małego metalowego głośnika rozległ się głos:

- Tak, słucham?

- Dzień dobry, jestem prywatnym detektywem, chciałbym się zobaczyć z kimś z dyrekcji.

- Prywatny detektyw? Proszę chwilę zaczekać.

Po chwili do bramy podeszła dyrektorka, niska brunetka o okrągłych kształtach, dobrze po pięćdziesiątce, z gładkimi, równo ostrzyżonymi włosami. Na ramiona miała narzucony kolorowy szal.

- Ma pan szczęście - powiedziała. - Zwykle o tej porze już mnie nie ma. Dzisiaj jest wyjątkowo spotkanie z radą rodzicielską, o siedemnastej trzydzieści... Czy sprawa, z którą pan przychodzi, zajmie nam dużo czasu?

- Nie, zaledwie kilka minut.

Przebiegli boisko i weszli do głównego budynku. Po chwili wahania kobieta postanowiła przyjąć Nathana w sali klasowej.

- Dziwne... - powiedziała, parszając śmiechem. - Nigdy nie spotkałam... Pan nie jest z policji, prawda? Jest pan detektywem? Śledzi pan ludzi... tego rodzaju sprawy?

- W pewnym sensie - lakonicznie odparł Nathan.

- No dobrze - powiedziała z rozbawieniem - co mogę dla pana zrobić?

- Moja sprawa nie jest zbyt ekscytująca. Jestem upoważniony przez pewną kancelarię prawną do poszukiwań genealogicznych w związku z prowadzoną przez nią sprawą spadkową. Konkretnie szukam spadkobiercy... prawdopodobnie uczęszczał do tej szkoły w siedemdziesiątym ósmym roku.

Dyrektorka uniosła brwi.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym! Tak **daleko sięga pańska sprawa...** Wtedy nie pracowałam tu jeszcze, zaczęłam w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym... Jak nazywa się to dziecko?

- Julien Martel.

- Martel... Martel...

Na jej twarzy pojawił się nowy grymas i pokręciła głową.

- Nie, nic mi to nie mówi.

- Może macie archiwa, w których można by sprawdzić, do kiedy chodził do tej szkoły?

- Niestety, szkoła została przeniesiona w osiemdziesiątym trzecim roku, w wyniku programu odnowy regionu. Nie posiadamy żadnego dokumentu sprzed tej daty... Ale znajdzie pan zapewne wszystko w archiwach gminnych...

- Niestety czas nas goni. Przerwał na chwilę, potem spytał:

- Czy udałoby się porozmawiać z kimś, kto pracował tutaj w siedemdziesiątym ósmym roku?

Dyrektorka zastanowiła się, przeglądając w myślach krótką listę swoich pracowników.

- Może pan Moussy coś pamięta... W której klasie był ten chłopiec?

- Wiem tylko tyle, że miał dziewięć lat. Przytknęła palec do warg:

- Dziewięć lat... był więc... Nie, nie, Moussy przyszedł tu dopiero w osiemdziesiątym drugim, niedługo po przeprowadzce... Wtedy uczeń, którego pan szuka, chodził już do gimnazjum... Musi być jednak jakieś rozwiązanie... Jest ktoś, kto na pewno coś wie, ale ta osoba od dawna tutaj nie pracuje...

- Kogo ma pani na myśli? - zapytał Nathan.

- Panią Murneau, pielęgniarkę... ona chyba tu była w tym czasie. W tym samym roku, w którym ja podjęłam pracę, ona przeszła na emeryturę. Teraz ma już pewnie... och tak! musi zbliżać się do osiemdziesiątki.

- A wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

- Mam gdzieś jej adres... Proszę chwilę poczekać. Poszukam w swoim gabinecie. Czekając, Nathan obszedł salę klasową. Na ścianach i meblach porozwieszane były kartonowe maski i dziecięce kolorowe rysunki. Uśmiechnął się na widok miniaturowych stolików i krzesełek, wśród których czuł się jak olbrzym w krainie liliputów. Po kilku chwilach dyrektorka wróciła z kartką w ręce.

- Proszę, tu panu napisałam - powiedziała, podając mu kawałek papieru. - Ma pan szczęście, bo to tuż obok...

Rezydencja „Las Wiązowy”

Budynek C 21, Avenue de la Libération

Po wyjściu ze szkoły Nathan przeszedł pieszo około stu metrów dzielących go od podanego adresu. Zatrzymał się przed ogromnym, mocno zniszczonym kompleksem mieszkalnym. Spojrzał na adres. Zgadzało się. Ale to, co inwestorzy budowlani nazwali szumnie „rezydencją”, okazało się rozległym osiedlem z lat pięćdziesiątych. Biorąc pod uwagę wyzierające zewsząd ubóstwo, musiało umknąć uwagi autorów słynnego programu odnowy regionu. Przeszedł między brudnymi domami i zatrzymał się przed skrzynką na listy budynku C. Murne-au Jeanne, mieszkanie numer 12, po lewej stronie. Dawna pielęgniarka ciągle tutaj mieszkała.

Kartonowa kartka przyklejona do windy informowała o jej awarii. Nathan wbiegł po schodach i bez tchu zatrzymał się przed odrapanymi niebieskimi drzwiami. Nacisnął guzik dzwonka i zaczął nasłuchiwać. >

Najpierw doszło go szuranie pantofli po podłodze, potem usłyszał ostry głos, który rozniósł się po całej klatce schodowej.

- Kto tam?

- Przychodzę z polecenia...

- Proszę mówić głośniejsze, nie słyszę... Nathan odchrząknął i powiedział na cały głos:

- Przychodzę z polecenia dyrektorki szkoły. Szukam informacji o jednym z dawnych uczniów. Powiedziała mi, że pani może mi w tym pomóc.

Szczęknęło kolejno kilka zamków, po czym drzwi się uchylily. Za nimi stała mała, sucha staruszka, ubrana w nylonową bluzkę w niebieskie kwiaty. Miała siwe, przeredzone włosy, mocno pomarszczoną twarz i duże okulary w metalowej oprawce, nadające jej surowy wygląd.

- O którym dziecku pan mówi?

- Martel, Julien Martel...

Kościstą ręką poprawiła sobie okulary i wyszeptwała:

- Mój mały Julien! Bardzo dobrze cię pamiętam. Bogu dzięki, żyjesz...

- Nie stój tak... Wejdź, moje dziecko...

Zdumiony Nathan stał znieruchomieły na progu, nie mogąc się zdecydować na przekroczenie tej granicy, za którą była jego przeszłość. Po chwili, jakby przyciągnięty przez magnetyczną siłę, wszedł do mieszkania.

Podłoga pokryta była linoleum, ściany wytapetowane na kremowo. W mieszkaniu panował zaduch. Przeszedł za staruszką przez korytarz, potem weszli do salonu w tonacji brązowej, przeładowanego tanimi meblami i bibelotami. Nad stołem z imitacji drewna, przykrytym serwetą z poźółkłej koronki, zawieszono lustro w ramie z kutego żelaza. Tutaj zaduch był jeszcze większy.

- W jaki sposób mnie pani rozpoznała?

Pełen tkliwości uśmiech rozjaśnił twarz staruszki. Kościstym palcem pogładziła pieszczotliwie policzek Nathana.

- Ta wąska biała blizna... tutaj, na policzku, mój chłopcze... to ja zawiozłam cię wtedy do szpitala. Są rzeczy, których się nie zapomina... Pewne wspomnienia pozostają wyryte w pamięci i towarzyszą ci aż do grobu...

- Jak to się stało?

- Podczas jednego z twoich ataków. Nie pamiętasz?

Jego ataki... zapewne jakieś zdarzenie podobne do tego, które zaprowadziło go na posterunek żandarmerii.

- Nie...

Nathan patrzył, jak Jeanne Murneau otwiera dębową szafę, której olbrzymie rozmiary zdecydowanie nie pasowały do metrażu mieszkania. Wyjęła z niej zakurzoną butelkę muskatela i dwa małe, kryształowe kieliszeczki. W pierwszym momencie chciał podziękować za poczęstunek, ale nie miał serca, żeby odmówić staruszce.

- Mnie też sobie nie przypominasz?

- Nie pamiętam nic ze swego dzieciństwa ani zresztą niczego, co było potem.

Miałem wypadek, straciłem pamięć...

Jakby już nic nie mogło nią poruszyć, Jeanne nie zareagowała na wyznanie Nathana. Poprosiła, by usiadł przy fornirowanym stole i napełniła kieliszki.

- To dlatego wróciłeś, żeby się dowiedzieć? -Tak.

Staruszka usiadła i westchnęła:

- Jesteś pewien, że chcesz otworzyć swoje dawne rany?

- Tak, musi mi pani opowiedzieć... wszystko, co pani wie na mój temat.

- Jak chcesz...

Nathan przyglądał się dawnej pielęgniarce siedzącej naprzeciwko niego. Z zamkniętymi oczami, z rękami złożonymi jak do modlitwy wyglądała, jakby udawała się w cierpiętniczą podróż, by wygrzebywać, jedno po drugim, dawne żalosne wspomnienia.

- Nie byłeś podobny do innych dzieci. Może zawinili tu twoi rodzice, zwłaszcza matka, która nie umiała cię ochronić, ale nie jestem tu, by ją, niefortunną, osądzać, Bóg jedyny wie, co ona sama przeżyła... W każdym razie... to jest smutna i bardzo zwyczajna historia... Zaczęło się to niedługo po rozpoczęciu roku szkolnego... w siedemdziesiątym ósmym, w tym samym roku, w którym przyjechałeś tutaj ze swoimi rodzicami. Twój ojciec był inżynierem, chyba pracował w zakładach metalurgicznych, już dobrze nie pamiętam. To był potężny mężczyzna, a jednocześnie miły, skromny człowiek. Twoja matka nie pracowała. Na początku wszystko układało się bardzo dobrze, zasymilowałeś się w nowej klasie, miałeś kolegów. A później to się zdarzyło... twoja mama, skądinąd osoba bardzo przyzwoita, zaczęła... Ona była chora, Julien... ciężko chora. Z powodu twojej siostry...

- Miałem... siostrę?

- Przyrodną. Z pierwszego małżeństwa twojej matki. Clémence, nieco starsza od ciebie. Ona też nie była zdrowa. Rok wcześniej popełniła samobójstwo, nie znam powodów, które pchnęły ją do tego, ale twoja matka nigdy już nie doszła do siebie po jej stracie.

- Co jej dolegało?

- Piła... Piła do utraty przytomności. Kiedy była pijana, wychodziła na ulicę... szukała swojej córki. Te jej eskapady często kończyły się pijackimi rozróbami, awanturowała się z przechodniami, ze sklepikarzami. Wyzywała ich, opluwała, dochodziło nawet do tego, że wymiotowała w sklepach. To było straszne. Obecnie miasto się zmieniło... otoczenie stało się bardziej anonimowe, obojętne, ale wówczas to była dzielnica robotnicza, gdzie wszyscy się znali, gdzie wszyscy wszystko o sobie nawzajem wiedzieli. Wieczorami, przy kolacji, rodzice rozma-

wiają ze sobą przy stole... dzieci słuchają... Wiadomości o tych incydentach docierały do szkoły. W ciągu kilku tygodni stałeś się pośmiewiskiem swojej klasy. Przyjaciele stali się wrogami, prześladowali cię, wyśmiewali, poniżali. Ale kiedyś już to wszystko przeżyłeś i początkowo nie reagowałeś... z upływem czasu jednak zacząłeś się zmieniać, wychudłeś, oczy zapalały nienawiścią... Nie było dnia, żebyś się nie wdał w jakąś bójkę, czy to na boisku szkolnym w czasie przerwy między lekcjami, czy w drodze powrotnej do domu... To nie były takie zwykłe bijatyki, które często zdarzają się w szkole. Ty traciłeś nad sobą kontrolę. Byłeś bardzo brutalny w stosunku do innych... i w stosunku do siebie samego. Któregoś dnia pobiteś się z innym chłopcem, nie pamiętam już z kim. Kiedy ówczesny dyrektor wkroczył do akcji, zacząłeś wymachiwać nożem do cięcia papieru i groziłeś, że go użyjesz. Inni dorośli usiłowali cię powstrzymać... włożyłeś nóż do ust i rozplatałeś sobie połowę policzka... Och, zachowywałeś się jak małe dzikie zwierzątko, skaczące z pazurami do oczu, wrzeszczące... Dostałeś środek uspokajający i zostałeś zawieszony do szpitala. Po tym wydarzeniu nigdy już nie pokazałeś się w szkole, nie widziano cię także w mieście. Wyprowadziliście się stąd...

Nathan przejechał palcem po bliźnie na policzku. Trudno mu było uwierzyć, że ta okropna historia, którą usłyszał, dotyczyła jego samego. Staruszka popijała muszkatel drobnymi łyčzkami. Odchylił się na krzesło i zapytał:

- Czy może wie pani, dokąd wyjechaliśmy?

- Przez następny rok nie miałam żadnych wiadomości aż do dnia, gdy... Mój Boże, dlaczego wystawiasz mnie na tak ciężką próbę?

Nathana przeniknął paniczny strach. Serce waliło mu w piersi jak oszałałe.

- Co się stało, Jeanne? Błagam, proszę mi powiedzieć...

Snuła więc dalej swoją opowieść, a w jej głosie brzmiała niezwykła łagodność.

- Historia ta, wasza historia, nie schodziła w owym czasie z pierwszych stron gazet. Pojechaliście do większego miasta, do Perpignan, mając prawdopodobnie nadzieję, że staniecie się mniej zauważalni, zginiecie w tłumie. Ale było coraz gorzej. Twoja matka najwidoczniej nie poddała się leczeniu. Podobno, jak twierdzili świadkowie, dostawała okropnych ataków *delirium tremens*, w środku nocy krzyczała, wyła przeraźliwie. Sąsiedzi wielokrotnie wzywali policję. Potem interweniowała opieka społeczna; chcieli odebrać twoim rodzicom prawo do opieki nad tobą. Twój ojciec nie mógł tego znieść. Któregoś wieczora, było to w Wigilię Bożego Narodzenia, jeden z sąsiadów, zaniepokojono-

ny, że nie widać was było od kilku dni, zadzwonił do waszych drzwi... ponieważ nikt nie odpowiadał, wszedł do domu. Chociaż był środek dnia, paliły się wszystkie światła... Znalazł tam twoją matkę, leżącą u stóp schodów, z twarzą zmasakrowaną od strzału z broni myśliwskiej...

- Mój Boże...

- Twój ojciec leżał kilka metrów dalej, sztywny, z lufą przytkniętą jeszcze do podbródka. Ściany były... były czerwone od krwi. Ty gdzieś zniknąłeś. Odnalazły cię psy policyjne ukrytego w żywopłocie okalającym jedną z sąsiednich willi, zwiniętego w kłębek, półprzytomnego, z błędnym wzrokiem... Policja próbowała cię przesłuchać, ale zaniemówiłeś, nie można było z tobą nawiązać kontaktu, schroniłeś się w świetle, w którym nic nie mogło cię już dosięgnąć. Z łatwością zrekonstruowano przebieg wydarzeń. Sekcja zwłok wykazała, że twoja matka była pijana. Ojciec, znajdujący się u kresu wytrzymałości, najpierw ją zastrzelił, potem sam popełnił samobójstwo. Ciebie oszczędził. Pozostawił ci, w pewnym sensie, wolną drogę na dalsze życie...

Nathan wytarł rękawem twarz skąpaną we łzach.

- Co potem ze mną zrobiono, gdzie się podziewałem?

- Nie miałeś nikogo, więc w wyniku nakazu sądu rodzinnego umieszczono cię w dziecięcym zakładzie psychiatrycznym w Cerbère, małym miasteczku we wschodnich Pirenejach, tuż przy granicy hiszpańskiej. Kiedy dowiedziałam się, że przebywasz tam na leczeniu, chciałam przyjechać i zobaczyć się z tobą, ale odmówiono mi prawa do odwiedzin z powodu twojego słabego stanu psychicznego i braku między nami pokrewieństwa... Nie próbowałam potem już nigdy więcej. Może powinnam była, ale nie miałam odwagi...

Wciągnięta w świat upiornych wspomnień, z twarzą nieruchomo wspartą na pomarszczonych dłoniach o nabrzmiątych, niebieskich żyłach, stara kobieta skończyła swoją opowieść. Kiedy w końcu podniosła udręczone oczy, ujrzała przed sobą tylko puste krzesło.

Zza kierownicy swojego samochodu Nathan po raz ostatni objął spojrzeniem szary budynek i wyszeptał:

- Dziękuję, Jeanne... Dziękuję.

Potem ruszył ku mrokom swego dzieciństwa.

Klinika psychiatryczna Lucien-Weinberg wyłoniła się za zakrętem drogi. W wytryskujących znad horyzontu promieniach słońca betonowy blok wznoszący się na tle morskich fal wydawał się równie zimny jak góra lodowa zagubiona w bezmiarze błękitnego, spokojnego nieba.

Jadąc tutaj, Nathan zatrzymał się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej, by poszukać adresu zakładu, w którym przebywał w dzieciństwie, modląc się w duchu, by on jeszcze istniał. Wystarczyło kilka telefonów i sprawa została załatwiona.

Umówił się na osiemnastą z profesorem Casares, dyrektorem kliniki, podając te same powody co w szkole w Saint-Clair. Jechał więc na południe, nie zdejmując nogi z gazu, roztrząsając każde słowo wypowiedziane przez Jeanne Murneau i" przyjmując za oczywisty fakt, że była ona, być może, jedyną osobą, która go kiedykolwiek kochała.

Dlaczego nie pozwolono jej się z nim spotkać? Jakie tajemnice skrywała ta klinika?

i

Wkrótce się o tym przekona.

Przy drzwiach wejściowych zainstalowany był domofon, a to co poprzednio wziął za bryłę budynku, było w rzeczywistości opasującym teren kliniki murem. Szczegóły te świadczyły o zachowaniu wzmocnionych środków ostrożności. Nathan przedstawił się przez domofon i zaczekał, aż rozsuwane drzwi otworzą się ze zgrzytem. Po przeciwnej stronie przedsionka, w pustym i nieskazitelnie czystym holu, stał mężczyzna. Nathan nie ruszył się z miejsca, pozwolił mu podejść do siebie, żeby mieć czas lepiej mu się przyjrzeć. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, miał puciołową twarz, ciemne, krótko ostrzyżone włosy tworzyły jakby koronę wokół łysej czaszki. Sinoblada, pozbawiona zarostu skóra nadawała mu wygląd woskowej postaci.

- Profesor Casares?

- Nie, jestem doktor Clavel, profesora nie ma, ja pana przyjmę. Proszę pójść za mną.

W milczeniu Nathan podążył za nim. Przeszli przez opustoszały korytarz, który wydawał się otaczać cały zakład, potem wspięli się schodami na piętro. Na samym końcu drugiego korytarzyka mężczyzna otworzył drzwi swojego gabinetu.

- Napije się pan kawy?

- Chętnie.

- Proszę się rozgościć, zaraz wracam.

Nathan rzucił okiem na obszerny pokój. Zgromadzono w nim dokumentację i ustawiono regały, na których stały książki w języku francuskim i angielskim dotyczące psychiatrii dziecięcej, autyzmu, przemocy w rodzinie... Na ścianach wisiało kilka nijakich obrazów. Nathan zrobił krok w stronę szerokiego okna przysłoniętego gęstymi firanami. Wyciągnął rękę w kierunku taśmy i lekko pociągnął do dołu. Zasłona rozsunała się pośrodku, ukazując betonowy, kwadratowy dziedziniec wypełniony małymi, dziwacznymi istotami. Ta nierealna scena skąpana była w złotych promieniach słońca. Snuły się tam bez celu dzieci, małe dzieci, samotne, otępiałe. Ich wychudzone ciała pozostawiały długie, ukośne cienie. Niektóre nosiły na głowach ochronne kaski, inne leżały na ciepłej ziemi, jeszcze inne kiwały się, przestępując z nogi na nogę lub obsesyjnie drapały, z rozdziawioną buzią... Najbardziej jednak poruszyła Nathana cisza, głęboka cisza panująca w tym zamkniętym, niemal więziennym świetle, przerywana od czasu do czasu jakimś krzykiem. Dzieci wyglądały na zagubione, a ich sporadyczne wrzaski były tak odległe od śmiechu bez troskich urwisów w ich wieku. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Był kiedyś jednym z nich... Wydeptywał tę ograniczoną murem przestrzeń, którą opuszcza się tylko po to, by przejść do psychiatrycznego szpitala dla dorosłych, gdzie ludzi traktuje się jeszcze bardziej bezwzględnie i brutalnie...

- Życzy pan sobie cukru?

Nathan z trudem pohamował nerwowe drgnienie. Za jego plecami stał Clavel, trzymając w obu rękach parujące kubki.

- Nie, nie, dziękuję... Co im dolega?

- W większości przypadków schizofrenia, różnego typu psychozy... Zajmujemy się również autyzmem.

- Mają szansę na wyleczenie?

- Jeśli chodzi o dzieci autystyczne, to moja odpowiedź brzmi: nie, ich stan może się poprawić, ale większość z nich pozostanie już taka do końca życia. Co do innych, rzeczywiście istnieje nieduże prawdopodobieństwo wyleczenia, niektóre jednak są tak głęboko upośledzone lub tak agresywne, że nie mogą nawet opuszczać swoich pokoi. Proszę, zechce pan usiąść.

Nathan zajął miejsce naprzeciwko psychiatry, który przerzucił kilka leżących na stole notatek i zapytał:

- No dobrze, z jakiego powodu chciał się pan spotkać z profesorem Casares?
- Posiadam pełnomocnictwo wystawione przez pewną kancelarię prawniczą, prowadzącą sprawę spadkową... Szukam dziecka, które zostało przyjęte do waszego zakładu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Nazywa się Julien Martel.
- Trzeba będzie sprawdzić w archiwum, ale obawiam się, że podczas nieobecności profesora nie będzie to możliwe.
- Przyjechałem specjalnie z Paryża, profesor był powiadomiony, jest pan pewien, że nie zostawił żadnych instrukcji?
- Niestety nie, musiał zapomnieć o spotkaniu z panem... Między nami mówiąc, nie jest już taki młody...

Psychiatra spoglądał przez chwilę na Nathana, po czym zapytał:

- Jakie dokładnie informacje pana interesują?
- Muszę wiedzieć, ile czasu to dziecko tutaj spędziło i co się z nim stało po opuszczeniu zakładu...
- To są poufne informacje... Zdaję sobie sprawę z tego, że przyjechał pan z daleka... ale naprawdę nie jestem upoważniony do udostępnienia panu dokumentów tego pacjenta bez zgody profesora.

Nathan nie odezwał się, udając rozdrażnienie.

- Spróbuję zadzwonić do profesora. Mieszka niedaleko. Jeśli jest w domu, może będzie mógł się tutaj pofatygować...

Clavel otworzył szufladę i wyjął z niej mały brązowy notes. Prze-kartkował go.

- C... Casares... Casares... jest. - Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Oczy miał spuszczone na biurko. - Poczta głosowa - powiedział, odkładając słuchawkę. - A on nie ma komórki.

Lekarz wyglądał na szczerze zmartwionego. Zamilkł na chwilę i spytał:

- Jutro będzie pan jeszcze tutaj?
- Nie miałem takiego zamiaru - odrzekł Nathan. - Ale jeśli to konieczne...
- Proszę zadzwonić o dziewiątej, powinien już być o tej porze w pracy. Jeśli jednak go nie będzie, prawdopodobnie uda mi się do niego dodzwonić.
- Dobrze.
- Odprowadzę pana.

Kiedy znaleźli się przed głównymi drzwiami, Nathan zobaczył rękę Clavela wyciągającą się ku przyciskom domofonu.

- Z jakiego powodu stosujecie tutaj takie środki bezpieczeństwa? - spytał.

- Niektórzy nasi młodzi pensjonariusze systematycznie próbują uciekać...

Nathan już nie słuchał. Całą uwagę skupił na luminescencyjnych przyciskach muskanych palcami psychiatry.

Ciemna noc. Szum wiatru w zaroślach. 7-8-6-2-5-6-3.

Przyklejony do otaczającego zakład muru, Nathan beznamiętnie wystukiwał ciąg cyfr, które miały mu otworzyć drzwi do przeszłości. Czuł, że ta betonowa bryła ukrywa jeden z kluczy do tajemnicy. Po chwili usłyszał stuknięcie i drzwi się otworzyły. Za nimi panowała ciemność.

Pospiesznie przypomniał sobie rozkład pomieszczeń. Najtrudniejszą przeszkodę stanowiła dyżurka, usytuowana przy wejściu do pustego holu. Posunął się bezszelestnie do przodu, znieruchomiał i zerknął przez oszklone drzwi. W dyżurce paliła się lampka, ale w środku nie widać było nikogo z personelu. Znaczyło to, że dyżurująca osoba albo spała, albo przebywała w innej części zakładu.

Skręcił w oświetlony słabymi lampkami korytarz po prawej stronie i podbiegł do schodów, które prowadziły na wyższe i niższe poziomy. Ośrodek, który w godzinach popołudniowych wydawał mu się sterylny, teraz sprawiał zdecydowanie przygnębiające wrażenie.

Gdzie mogli trzymać swoje archiwa?

Parter przeznaczony był dla pensjonariuszy, pierwsze piętro na biura i pewnie sale zabiegowe i konsultacyjne. Zdecydował się na podziemia.

W końcu korytarza schody nikły w ciemnościach. Nathan wsłuchał się w ciszę. Nie słyszał żadnego dźwięku. Postąpił jeszcze kilka kroków i zszedł po metalowych płytach, zwracając uwagę, by ich nie rozchybotać.

Na dole ukazał mu się długi, ciemny korytarz. Promieniem trzymanej w ręce latarki omiótł wyłożone glazurą ściany. Po obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi, do których przykręcone były małe tabliczki. Dokładnie je wszystkie obejrzał. Na większości figurował napis „sala badań”, z numeracją od jednego do sześciu. Otworzył jedną z nich, potem drugą. Płytki na ścianach, zarysy zużytych narzędzi medycz-

nych... Wszystkie były puste, od dawna nieużywane. W końcu znalazł to, czego szukał. Wślizgnął się do środka i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Sala zawierająca archiwa była olbrzymia. Piekielne podziemia zavalone papierami, kartonami, powiazanymi sznurkiem paczkami, stłoczonymi jedne na drugich. Przy ścianach ustawione były rzędy metalowych, brązowych kartotek. Na każdej szufladce przyklejono małą kartonową etykietkę z oznaczeniem roku. Nathan utworował sobie drogę wśród stosów dokumentów i w świetle latarki zaczął po kolei przyglądać się segregatorom.

1977... 1978... 1979.

Spróbował wysunąć ostatnią szufladę. Była zamknięta. Wyjął swój sztylet, wsunął ostrze w szczelinę i wyważył rygielek zamka z białej blachy.

Duże, czarne rejestry ułożone według miesięcy.

Został tutaj przyjęty na początku 1979 roku. Przejechał palcem po oprawionych tomach, wyjął księgę ze stycznia, przekartkował. To nie były dokumenty medyczne, o jakich myślał, tylko sprawozdania z obchodów lekarskich, zapisywane ręcznie przez ordynatora. Każda strona poświęcona była jednemu pacjentowi i podzielona na trzydzieści dni. Nazwiska ułożone były w porządku alfabetycznym.

Usadowił się na jednej ze skrzynek, latarkę wcisnął w zagłębienie szyi i podtrzymując ją ramieniem, otworzył rejestr na literze M... Ma-let... Minard... Nie było Martela. Wziął kolejne rejestry. Luty, marzec... Nic. W żadnym nie było nazwiska Juliana.

Miał wrażenie, że za chwilę zwariuje.

- Co to za burdel...

Może Jeanne Murneau się pomyliła?

Chciał już odłożyć na miejsce wszystkie rejestry, kiedy zaświtała mu nowa myśl.

Zaczął je po kolei, jeden po drugim, dokładnie przeglądać. Jego nazwisko musiało tam figurować. Jeśli go nie było, to znaczy, że... Drżącą ręką wziął latarkę i zbliżył ją, jednocześnie przeciągając palcem wzdłuż wewnętrznego łączenia kartek, między Malet i Minard...

Tym razem zauważył.

Kartki zszyte były białą, napiętą nicią. W jednym miejscu, wzdłuż jej przebiegu, znalazł kawałek... malusieńki kawałeczek papieru... Kartka była wyrwana. Jego dokumenty zostały usunięte.

Ktoś zatarł ślady jego pobytu w zakładzie. Światło latarki przeniósł na dół strony i przyjrzał się podpisowi lekarza, złożonemu czar-

nym atramentem na pożółkłym już papierze: **Prof. Pierre Casares**. A więc profesor już wtedy tutaj pracował. Od razu przeprowadzi krótką rozmowę z tym gościem, nie będzie czekał do następnego dnia. Pozamykał szuflady i szybko opuścił archiwum. Wszedł na parter. Cienie drzew gnących się w gwałtownych podmuchach wichury tańczyły na ścianach niczym bezcielesne postacie. Wokół panował spokój. Przemykał się bezszelestnie pod ścianami w kierunku wyjścia, kiedy nagle usłyszał za sobą cichy szmer. Odruchowo się odwrócił. Chwilę trwało, zanim dojrzał zarysy kruchej sylwetki na tle uchylonych drzwi. Zbliżała się do niego w ciemnościach małutkimi kroczkami... Widok ten zmroził mu krew w żyłach.

Dziecko...

Zrobił kilka kroków w kierunku wyjścia, potem jeszcze raz odwrócił się do bladej istoty, która cały czas zbliżała się do niego.

Skurczony pod ścianą, Nathan pozwolił jej podejść na taką odległość, żeby dostrzec w ciemności jej rysy. To był mały chłopiec, o ciemnych włosach i delikatnej twarzy, której zsiniała skóra wyglądała niemal jak przezroczysta. Ręce miał owinięte grubymi, białymi bandażami, a w spojrzeniu przebijał płomień bystrości i pełni władz umysłowych. Nathan przez chwilę spoglądał w olbrzymie, wilgotne oczy, miał ochotę podnieść chłopca, otoczyć ramionami... Ale kiedy wyciągnął rękę, twarz dziecka wykrzywiła się w okropnym grymasie, mała buzia otworzyła w potwornym, przeraźliwym wrzasku, którym rozedrgała się sama głębia jestestwa Nathana. Odwrócił się na pięcie i zagłębił w ciemnościach nocy. Już czas, by skończyć z duchami własnej przeszłości.

W kompletnej ciemności Nathan przedzierał się przez zarośla. Słyszał szum wiatru, czuł zapach próchnicy mieszający się z morską mgłą. Samochód zostawił przy wyjeździe z głównej drogi i wspinał się skalistą ścieżką prowadzącą do posiadłości Casaresa. Miał zamiar zaskoczyć psychiatrę.

Kto usunął dokumenty? Z jakich powodów chciano ukryć obecność zaledwie dziesięcioletniego dziecka w klinice psychiatrycznej?

W świetle księżyca dostrzegł wielki budynek, wznoszący się na szczycie wzgórza. Podeszedł bliżej.

Była to dawna średniowieczna forteca, posterunek wartowniczy górujący nad doliną i czarnymi falami Morza Śródziemnego. Zatrzymał się parę metrów poniżej, szybkim rzutem oka sprawdził okolicę i przeskakując po kilka stopni naraz, wbiegł po schodach prowadzących do głównego wejścia. W rogu budynku dojrzał kamerę monitorującą.

Nacisnął przycisk dzwonka. Cisza. Poruszył klamką. Drzwi się otworzyły. Nie pasowało to do sytuacji.

Instynktownie cofnął się i obszedł chyłkiem cały budynek, zaglądając do środka przez wąskie okna.

W kilku pomieszczeniach paliło się światło. Wszędzie panowała cisza.

Wrócił do drzwi, zawahał się, potem pchnął je i wszedł do środka. Znalazł się w dużej sali o alabastrowych ścianach i gustownym wystroju. Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jego uwagę, był zbiór dzieł współczesnych artystów rozwieszony na ścianach: czarno-biała fotografia palca przekłutego szpilką, plazmowy ekran wideo, na którym na okrągło pokazywana była będąca na skraju wyczerpania kobieta, siedząca na górze zwierzęcych szkieletów i zapamiętała oskrobująca każdą kość. Inne obrazy prezentowały sztukę figuratywną i abstrak-

cyjną. Z całości emanowała jakaś dziwna, potężna siła. Pośrodku pokoju znajdowały się dwie wypoczynkowe kanapy obite purpurowym filcem. Ustawiono je jedna naprzeciwko drugiej i oddzielono betonowym stolikiem, na którym widniała fotografia w szklanej ramce. Kobieta i mężczyzna przechadzający się po lesie. Casares z żoną?

Pomieszczenie to kompletnie nie pasowało do wyobrażenia, jakie miał o psychiatrze. Co to był za człowiek? A najważniejsze, gdzie on się podziewał?

Nathan obszedł resztę domu, zajrzał do gabinetu, sypialni, wielkiej biblioteki, w której zgromadzono setki książek. Nigdzie nikogo nie było.

Należało ustąpić wobec oczywistej prawdy. Casares się wyniósł. Stary był po uszy zamieszany w tę aferę, musiał zebrać manatki po telefonie Nathana.

Czego się tak przestraszył?

Nathan postanowił jeszcze raz obejrzeć każde pomieszczenie, każdy mebel. Musi przecież coś znaleźć. Zaczął od gabinetu, przeszukał szuflady, segregatory, przejrzał dokumenty. W bibliotece też niczego nie znalazł, przerzucił każdą książkę, rozpruł materace, kanapy... Bez rezultatu. Po półgodzinie powrócił do salonu.

Nie wpadł na najmniejszy nawet ślad.

Ponownie skierował uwagę na zbiory sztuki. W gablotce ustawiono rzędem dziwne rzeźby z pilśni papierowej i stopionego pszczelego wosku, sygnowane przez Josepha Beuysa. Obrazy były w sumie trzy. Dyptyk przedstawiający porcelanową lalkę z wydłubanymi oczami i zbyt czerwonymi policzkami, której kończyny połączone były skórzanymi protezami... Nathan pomyślał sobie, że ten człowiek miał bardzo osobliwe gusta jak na kogoś, kto poświęcił życie leczeniu dziecięcej psychiki. Zatrzymał się przy ostatnim malowidle. Na pierwszy rzut oka wyglądało na abstrakcyjne. Plamy, bezładne maźnięcia, cienkie kreski. Kiedy jednak odsunął się trochę do tyłu, nieoczekiwanie na obrazie wyłoniły się zwierzęce kształty.

Nagle rysunek stał się wyraźniejszy...

Smukła szyja, krzywizna dzioba. Ptak.

Obraz był przemalowywany, ale to był na pewno... ibis... ibis trzymający przytulone dziecko.

Bez wątplenia był to ten sam rysunek, który widniał na torbie Rhody... logo organizacji One Earth.

Nathan poczuł przyływ adrenaliny. Tym razem znalazł konkretny dowód na to, że organizacja humanitarna uwikłana była w popeł-

nione zbrodnie. Był to może klucz, który pozwoli mu wypłoszyć potwory. Dostyc już zobaczył i postanowił jak najszybciej wyjść z tego domu. Skierował się ku wyjściu, kiedy zauważył jakieś uchylone drzwi, przez które sączyło się mrugające światło. Schody prowadziły w dół.

Piwnica. Zapomniał o piwnicy.

Wszedł na schody, dotarł do wąskiego korytarzyka kończącego się kolejnymi drzwiami. Wnętrze pulsacyjnie oświetlały tylko małe, wydające cichutkie trzaski jarzeniówki, które gasnąc, pogrążyły je w kompletnych ciemnościach. Oparł się plecami o kamienną ścianę i posuwając się przy niej, zanurzył w mroku.

Poczuł ucisk w żołądku.

W pierwszym rozbłysku jarzeniowego światła dojrzał na ziemi kupkę ubrań... schylił się i podniósł pomiętą tkaninę... Jedwabny szlafrok, ciemnoniebieski, w delikatne prążki...

W panującej wokół ciszy słyszał głucho bicie własnego serca, rozbrzmiewające w ciemności. Wyprostował się i poszedł dalej.

Drugi rozbłysk rozświetlił przejście, ukazując szarą, lepka, wełnistą kupkę, walającą się na betonie o kilka metrów przed nim.

Podszedł, pochylił się.

Włosy.

Były to zakrwawione włosy, połączone jeszcze szerokim fragmentem białawej skóry, która wydawała odór spalonego ciała. Nathan zacisnął szczęki, powstrzymał odruch wymiotny i wyprostował się. Ślady zakrzepłej krwi prowadziły do zaryglowanych drzwi i zniknęły pod nimi...

Z całej siły kopnął w nie, roztrzaskując zamek i wybijając futrynę. Przerazający widok zatrzymał go na miejscu. W świetle halogenowej żarówki ujrzał leżące na podłodze nagie, zsiniałe ciało. Nathan powoli podszedł bliżej.

Trup leżał twarzą do ziemi. Sflaczałe plecy i pośladki pokrywały krwawe wylewy, spod pomarszczonej skóry wystawały żebra. Twarz i rozrzucone kończyny zanurzone były w kałuży krwi, błyszczącej jak gorący wosk.

Nathan musiał uważać, by z nerwów nie popełnić jakiegoś błędu.

Znalazł na podłodze gumowe rękawiczki, ukucnął przy zwłokach i odwrócił je na plecy.

Mężczyzna był zakrwawiony jak zaszlachtowany wieprz. Głębokie rany, ślady przypalania i innych okrutnych tortur pokrywały klatkę piersiową i okolice narządów płciowych. Nathan machinalnie przetarł zalaną krwią twarz starca.

Rysy były postarzałe, ale pasowały do fotografii z salonu. To było ciało Casaresa. Nathan zmusił się do zebrania myśli. Wiedzieli, że w ten czy w inny sposób będzie musiał dotrzeć do Casaresa. Nasuwały się więc dwa niepodważalne wnioski. Pierwszy: chcieli na zawsze uciszyć psychiatrę. Dlaczego? Musiał posiadać informacje, mogące doprowadzić Na-thana do prawdy. A może został niewinną ofiarą? Wykluczone. Drugi wniosek wywołał w nim dreszcz trwogi: wiedział teraz, że wszystko było powiązane, że ten koszmar miał swoje źródło w jego dzieciństwie. Ale po co ta makabryczna aranżacja, ta eskalacja okrucieństwa? Dlaczego nie zadowolili się po prostu zabiciem starca, usunięciem go ze swej drogi? Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem miejsce zbrodni. I wtedy zobaczył...
Nagie ciało, tortury, wszędzie pełno krwi...
Cofnąwszy się nieco, zrozumiał, że krew została rozsmarowana, rozmazana ręką ludzką na ziemi w sposób bardzo precyzyjny.
Trup Casaresa leżał w samym środku gigantycznego... Krwawego Kręgu.

Wiadomość..

Oczywiście była to wiadomość pozostawiona przez morderców, żeby go zastraszyć. Jadąc już od kilku godzin z największą prędkością, półprzytomny, nie wiedząc, gdzie się udać, Nathan próbował zrozumieć znaczenie tych ostatnich rewelacji, które w pewien sposób dostarczyły mu tyleż nowych tajemnic, co wyjaśnień. Myśli mu się gmatwały. Nie mógł się skupić. Przed oczami stanęły mu pozostałe elementy śledztwa.

Rhoda.

Wspomnienie młodej kobiety stało się istną męczarnią. Czy była zamieszana w całą tę sprawę? Czy ich spotkania w Zairze, w Paryżu były tylko zbiegiem okoliczności? Ciągłe powracało to samo pytanie: czy jego reakcja, kiedy miało dojść między nimi do zbliżenia, miała jakiś związek z jej udziałem w zbrodniach?

Był jeszcze ibis. Wizerunek ptaka go prześladował. Był pewien, że spotkał się już z nim gdzieś kiedyś, odkąd rozpoczął swoje poszukiwania... Chyba że było to przebrzmiałe echo poprzedniej pamięci... Nie. Widział tego ptaka... tylko gdzie? Musiał się spieszyć. Musiał zebrać maksimum informacji na temat One Earth, by wypłoszyć potwory ukrywające się w tej międzynarodowej organizacji. W nocnych ciemnościach zajaśniały tęcze światła stacji benzynowej. Włączył kierunkowskaz, zwolnił i zjechał z autostrady.

Spocony kasjer w zatłuszczonej kabinie rozmienił mu dwadzieścia euro na drobne i wskazał kabinę telefoniczną za dystrybutorem napojów.

Nathan zamierzał zadzwonić do Derenne'a, ale teraz się zawałał. Ze względu na swoje dotychczasowe misje na terenach objętych wojnami i naturalnymi katastrofami wirusolog musiał posiadać ścisłe kontakty w środowisku zajmującym się akcjami humanitarnymi. Nie, bezpieczniej będzie poszukać innych źródeł informacji i nie wyjawiać

naukowcowi nazwy organizacji, na wypadek gdyby przyszła mu ochota wyśpiewać wszystko policji. Miał inny pomysł. Z plecaka wyjął złożoną na czworo kartkę papieru, wsunął dwie monety do aparatu i wybrał numer poprzedzony zagranicznym prefiksem.

Po trzech sygnałach w słuchawce rozległ się kobiecy, daleki głos.

- Halo?

- Doktor Willemse?

- Przy telefonie.

- Dobry wieczór, przepraszam, że dzwonię o tej porze. Spotkaliśmy się w Gomie, dwa tygodnie temu, nazywam się Falh...

- Nathan Falh! Oczywiście, pamiętam. Jak posuwa się praca nad artykułem?

- Robię postępy. W tej zresztą sprawie dzwonię do pani. Mam kolejną prośbę.

- Jeśli tylko będę mogła pomóc... O co chodzi?

Doktor Willemse była inteligentną kobietą, a pytania nurtujące Nathana konkretne. Nie mógł pozwolić sobie na ogólnikowość, bo natychmiast zwierzyłaby podstęp. Pozostawało jedno wyjście: nakłonić ją do współpracy. Nie mógł jednak wyjawić szczegółów swojego prawdziwego śledztwa. Postanowił użyć wybiegu, żeby uzyskać potrzebne informacje. Po chwili namysłu odparł:

- Sprawa jest delikatna... To wszystko może się pani wydać dziwne... chodzi o to, że zbierając informacje w Katali, wpadłem na ślad dawnych zbrodni popełnionych w samym obozie, przy współudziale członków jednej z organizacji pozarządowych o międzynarodowym prestiżu...

- Której?

- One Earth.

- One Earth!!! A cóż to za historia?

- Proszę pozwolić mi opowiedzieć...

Milczenie Phindi Willemse skłoniło Nathana do rozwinięcia tematu:

- Udało mi się zlokalizować podziemny tunel w obrębie obozu w Katali. Zszedłem do niego i wszystko dokładnie obejrzałem. Dawniej służył prześladowanym Tutsi do przekraczania granicy między Zairem i Ruandą. Mam dowody na to, że był używany do więzienia i torturowania uchodźców Hutu podczas wydarzeń w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku.

- Tortury?

- Eksperymenty medyczne, bardzo specyficzne. Sądzę, że sprawcy wykorzystali krwawe masakry i ogólnie panujący chaos, żeby ukryć swe barbarzyńskie poczynania.

230

- Rozumiem, że ma pan świadomość wagi tych oskarżeń. W jaki sposób ustalił pan powiązania z One Earth?
- Na ślad naprowadził mnie raport znajdujący się w dokumentach, które przekazała mi pani przed wyjazdem.
- A inne dowody?
- Żałuję, że nie mogę wyjawić pani źródeł moich informacji, ale proszę mi wierzyć, cała ta straszna sprawa nie jest żadnym wymysłem, ona jest rzeczywistością.
- Mam wrażenie, że oddała się pan od pierwotnego tematu... Załóżmy, że zgodzę się panu pomóc, czego pan ode mnie oczekuje?
- Potrzebuję dokładnych danych na temat tej organizacji: chronologicznego opisu działalności, schematu organizacyjnego, metod finansowania, rodzajów udzielanej pomocy. Chciałbym też otrzymać szczegółowe informacje o jej działalności na terenie Gomy w okresie masakry: strukturę ekip oraz, w miarę możliwości, dane osobowe i liczbę personelu obecnego wówczas w tym rejonie.
- Dobrze... - odrzekła doktor Willemse, a Nathan wyczuł w jej głosie nutę wątpliwości. - To nie będzie łatwe, środowisko jest dość hermetyczne.
- Pani doktor, dobrze rozumiem pani zastrzeżenia. Zapewniam jednak, że sprawa jest niezmiernie poważna.
- Ufam panu... Dlaczego osobiście nie chce się pan tym zająć? Phindi Willemse wahała się i miała ku temu powody.
- Nie mam w tym środowisku żadnych kontaktów, a obawiam się, że moja ciekawość może zwrócić uwagę przestępców.
- Czy ja coś ryzykuję? - spytała.
- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli załatwi to pani za pośrednictwem Światowej Organizacji Zdrowia. Sprawa ogranicza się do kilku zaledwie osób i ryzyko, że wiadomość o pani poszukiwaniach do nich dotrze, jest minimalne. Niemniej zalecałbym daleko posuniętą ostrożność, bo mam wrażenie, że ci ludzie zajmują strategiczne stanowiska. Jeśli zna pani kogoś w samej organizacji, odradzam ten kontakt, chyba że jest to rzeczywiście zaufana osoba. Niech pani wprost nie występuje o informacje, proszę obrać drogę pośrednią, pozorując badania statystyczne. W żadnym wypadku niech pani nie zawęży swoich pytań tylko do Ruandy, niech pani pyta też o Czeczenię, Rumunię, trzęsienia ziemi w Turcji. Oni tam też wszędzie byli. To zagmatwa całą sprawę i odwróci ich uwagę.
- A co pan zrobi potem?
- Mam artykuł, jeszcze gorący, praktycznie gotowy do publikacji. Informacje, których pani dostarczy, pozwolą mi go zakończyć.

- Panie Falh, ja muszę więcej wiedzieć na ten temat. Bardzo chcę panu pomóc, ale potrzebuję pewnych wyjaśnień, żeby zrozumieć, o co chodzi. Te oskarżenia są zbyt poważne, muszę mieć pewność, że nie podąża pan w fałszywym kierunku.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Sama nie wiem... ja nie mogę...

- Pani doktor, mogę pani powiedzieć tylko jedno: te potwory nie ograniczyły się do tych kilku doświadczeń. Wszystko wskazuje na to, że ich makabryczne praktyki się rozkręciły i obecnie, w czasie gdy ze sobą rozmawiamy, niewinne ofiary właśnie umierają w niewyobrażalnych męczarniach. Nie proszę pani o wystąpienie w charakterze świadka, proszę tylko o kilka informacji.

- To nie jest decyzja łatwa do podjęcia... Da mi pan trochę czasu na zastanowienie?

- Nie, pani doktor. Odpowiedź muszę otrzymać teraz. Jeśli pani odmówi, będę musiał dać sobie radę w jakiś inny sposób. W każdym jednak wypadku będę prosił o dyskrecję.

Zaległa chwila ciszy.

- Dobrze, zobaczę, co się da zrobić. Niech pan do mnie zadzwoni za czterdzieści osiem godzin.

Nathan podziękował, pożegnał się i od razu wykręcił numer komórki Woodsa. Anglik odebrał natychmiast:

- Mówi Nathan.

- Czego się pan dowiedział?

- Wszystko jest ze sobą powiązane, moje dzieciństwo, zbrodnie w Katalo, misja „Pole Explorera”... Ale wpadłem w okropne gówno.

- Co się stało?

Nathan zrelacjonował mu ostatnie wydarzenia, opisał wstrząs, jakiego doznał po spotkaniu z Jeanne Murneau, opisał wizytę w klinice psychiatrycznej i makabryczne odkrycie zwłok Casarèsa, trop prowadzący do One Earth...

- To niesłychane! Kiedy, pana zdaniem, zginął psychiatra? Anglik mówił niepewnym głosem, ogłuszony nadmiarem wrażeń.

- Najwyżej kilka godzin wcześniej.

- Czy podał pan swoje nazwisko personelowi kliniki?

- Tak, nie mogłem przypuszczać, że... Woods mu przerwał.

- Musi pan natychmiast wyjechać z Francji. W przeciwnym wypadku mogą powstać prawdziwe kłopoty. Powinniśmy jak najszybciej się spotkać, trzeba to wszystko rozpracować i spróbować poukładać.

- Chce pan, żebym przyjechał do Ceseny?
- Nie. Nie ma takiej potrzeby. Jedzie pan teraz samochodem? -Tak.
- A gdzie się pan znajduje?
- Niedaleko Perpignan.
- No to niech pan spokojnie jedzie do Mentony i przekroczy granicę włoską. Potem proszę jechać do Santa Margherita di Ligura. To małe, spokojne miasteczko, o dwa kroki od Porto Fino. Tam się spotkamy.
- Kiedy?
- Jutro rano, punktualnie o ósmej trzydzieści. W porcie.

Włochy. Wybrzeże Liguryjskie sobota, 13 kwietnia

Nathan wjechał do miasteczka od zachodniej strony. Posuwał się drogą prowadzącą nad urwiskiem, powierzchnia morza w dole była gładka jak jeziorna tafla. Z wody wynurzały się ogromne, skaliste wzgórza o stromych, pokrytych roślinnością zboczach. Od strony lądu tkwiły na nich żółte i fioletoworóżowe domki pokryte dachami z bru-natnożółtej blachy. Nathan dojechał do centrum i skręcił do maleńkiego portu, który wyglądał jak wykuty w morskim klifie. Zaparkował samochód na uliczce sąsiadującej z iskrzącym się blaskiem nabrzeżem.

Spędził za kierownicą całą noc. Granicę przekroczył bez żadnych przeszkód i jakieś dziesięć kilometrów dalej zatrzymał się w strefie postojowej przy autostradzie, żeby rozprostować kości i pozbyć się nagromadzonego napięcia, dręczących go obrazów śmierci. Nie na wiele się to jednak zdało. ¹

Spokojne jeszcze o tej porze miasteczko owiewał morski wiatr, ciepły i porywisty, jakby wiejący prosto z Afryki. Kilku rybaków siedzących przed kolorowymi łodziami sprzedawało srebrzyste ryby. W oddali stare budowle, fasady hoteli odcinały się bielą od kolorytu nieba i masztów żaglówek.

To tutaj Woods wyznaczył spotkanie. Nathan spojrzął na zegarek: ósma dwadzieścia. Ashley powinien pojawić się lada chwila.

Rzeczywiście wkrótce rozpoznał gibką, elegancką sylwetkę zbliżającą się w słonecznym blasku. Anglik miał na sobie szary, lekki, wełniany garnitur, w ręce trzymał jasną, skórzaną torbę.

Mężczyźni chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, tłumiąc radość z ponownego spotkania.

Woods serdecznie uściśnął Nathanowi dłoń.

- Ogromnie się cieszę, przyjacielu, że znów pana widzę! Zacząłem

się już zastanawiać, czy nie był pan po prostu wytworem mojej wyobraźni.

- Złym snem? - roześmiał się Nathan.

- Nie to chciałem powiedzieć... Ma pan ochotę na kawę? Przeszli na drugą stronę ulicy i usiedli na tarasie znajdującym się przed arkadami dużego budynku.

- **Due espressi!** - Woods zamówił u kelnera dwie kawy, po czym odwrócił się do Nathana. Oczy płonęły mu intensywnym blaskiem.

- Nie traćmy czasu. Rozmawiałem z Derenne'em. Natrafił na pewną liczbę epidemii, które jego zdaniem można połączyć z wydarzeniami w Katali. Przekazał mi ich wykaz. To niewyobrażalne, Nathanie.

W chwili gdy Anglik wyjmował z torby plik zadrukowanych kartek, podmuch wiatru uniósł mu marynarkę, pod którą Nathan dojrzał kolbę sig-sauera wystającą z umocowanej do paska kabury. A więc sytuacja była na tyle poważna, że uznał za konieczne powrócić do dawnej służby.

Nathan chwycił dokumenty i machinalnie je przekartkował.

- Proszę, niech pan mówi.

- Wyłowił około dwudziestu przypadków niezidentyfikowanego wirusa - powiedział Woods - rozszanych po całym świecie. Na pierwszy rzut oka nie prowadzi to pozornie do żadnych wniosków, ale jeśli ma się pojęcie o kryjących się za tym potwornościach, może to człowieka przejąć takim strachem, że nie pozbędzie się go do końca swoich dni.

Nathan przeglądał kolejne kartki. Był to szereg krótkich raportów, zawierających daty, miejsca, liczbę ofiar i objawy stwierdzone przez lekarzy:

14-2-1992 Stradsgrad, Rosja

Wirus chorobotwórczy wyizolowany, lecz nieznan. Objawy zaobserwowane u pacjentów: żółtawe zmiany skórne, temperatura. Wysoka śmiertelność: 80%.

Całkowita liczba ofiar: 14. Epidemia zlokalizowana.

16-5-1999 Sahiwal, Pakistan

Zarazek chorobotwórczy wyizolowany, lecz nieznan. Objawy zaobserwowane u pacjentów: temperatura, krwotoki, hipotensja, krwawe wymioty, melaena, zmiany skórne, martwica zewnętrznych narządów płciowych. Całkowita liczba ofiar: 45.

Epidemia zlokalizowana.

235

7-11-1999 Prowincja Zhenjiang, Chiny

Zarazek chorobotwórczy niezidentyfikowany, objawy zaobserwowane u pacjentów: temperatura, krwotoki, hipotensja, krwawe wymioty, melaena, zmiany skórne, martwica zewnętrznych narządów płciowych. Liczba ofiar: 27. Epidemia zlokalizowana.

Wykaz ten ciągnął się przez kilka stron i wymienione w nim były jeszcze inne państwa, między innymi Bośnia. Jeśli odkrycie dokonane przez Nathana w Kongo świadczyło o eksperymentach dokonywanych na ludzkich królikach doświadczalnych, fakty przedstawione w tych raportach wskazywały na prawdziwe terrorystyczne ataki, dokonane z chirurgiczną precyzją.

- W jaki sposób Derenne powiązał te wirusy z naszymi poszukiwaniami? - spytał Nathan.

- Najpierw zaczął szukać w źródłowym banku danych PubMed, zawierającym olbrzymią liczbę zapisanych w systemie cyfrowym artykułów dotyczących epidemii, które pojawiały się w różnych okresach. Potem za pomocą słów-kluczy wybrał około stu z nich i je przeczytał. Z tej liczby zatrzymał około trzydziestu, które wykazywały jakieś podobieństwa z przypadkiem z Katali. Każdorazowo zarazek pozostawał nieznanym, pojawiał się nie wiadomo skąd, powodował dużą śmiertelność i równie szybko znikał, jak się pojawiał. Dodatkowo zaobserwowane objawy kliniczne sugerowały obecność kilku znanych drobnoustrojów. Zupełnie jakby chorzy wzajemnie się zarażali.

- To chyba zbyt daleko idący wniosek, nie sądzi pan?

Woods stuknął palcem w plik kartek, które Nathan położył między nimi na stoliku.

- Momencik... W wielu przypadkach zarazki udało się wyizolować. Tak było podczas epidemii w Pakistanie, w Rosji i w Bośni. Próbkę zostały przekazane naukowcom, którzy dokładnie je przebadali.

- To były te same wirusy?

- Nie, każdy wydawał się inny, ale wyniki okazały się zadziwiające. Mimo że po zarażeniu wskaźnik umieralności był bardzo wysoki, każdorazowo zdolność infekcyjna wirusa wydawała się całkowicie dezaktywować podczas badań laboratoryjnych.

Nathan zmrużył oczy. Co to znaczy?

- Po wstrzyknięciu zarazka małpom stawał się on całkowicie nieszkodliwy. Jeden z laborantów przypadkowo zranił się skażoną igłą i wirus nie wywołał u niego choroby...

236

- To wydaje się niemożliwe... Istnieje jakieś wytłumaczenie?
- Niektórzy badacze postawili hipotezę, że w procesie replikacji wirusów musiało dojść do jakiegoś błędu, który spowodował stopniowe osłabianie ich zjadliwości. Jednakowoż kolejne badania dowiodły, że zarazki wykazywały niezmiennność i nie podlegały mutacjom pokoleniowym. Teoria ta więc okazała się błędna.
- A co sądzi o tym Derenne?
- W początkowej fazie nie uderzyło go nic szczególnego, bo dla badacza publikacje naukowe są tylko papierowymi rozprawami. Stanowią interpretację dokonaną kiedyś dawniej i nie ma możliwości ponownego przeanalizowania danych źródłowych, gdyż nie odtwarzają one wyjściowej dokumentacji medycznej. Ale nasz przyjaciel wpadł na pomysł pójścia w swych poszukiwaniach inną drogą. Zaczął szukać tym razem w bankach danych Center for Diseases Control. Zaletą tych banków jest to, że gromadzą one karty pacjentów. W związku z tym specjaliści mają w każdej chwili dostęp do dokumentacji i mogą ją przeanalizować, jeśli pojawiają się kwestie, których pierwotnie nie wzięto pod uwagę.
- A więc dotarł do samego źródła problemu?
- Otóż to. I... był to strzał w dziesiątkę! Udało mu się znaleźć autentyczne wyniki różnych badań prowadzonych podczas tych trzech epidemii, w Bośni, w Pakistanie i w Chinach. W świetle informacji, które mu pan dostarczył, mógł ocenić sytuację w zupełnie nowy sposób. Porównując dane, zdołał wykryć coś absolutnie niewyobrażalnego.
- Co takiego?
- Coś w rodzaju wspólnego genetycznego znaku fabrycznego... Jego zdaniem, jeśli wirusy nie wykazały swego zakaźnego charakteru podczas badań, to dlatego że w rzeczywistości zostały zaprogramowane w ten sposób, by namierzać konkretne ofiary.
- W jaki sposób?
- Rozpoznając się wzajemnie, dzięki receptorowi obecnemu w organizmie ofiary. W istocie osobnicy, posiadający taką szczególną komórkę lub molekułę, tworzyli bardzo ograniczoną grupę, dla której wirus stawał się śmiertelny. To by tłumaczyło, dlaczego po tak gwałtownym i ostrym zaatakowaniu zarazki znikają równie tajemniczo, jak się pojawiały.
- To kompletne szaleństwo! Skąd mordercy mogli wiedzieć, że ta lub inna grupa osób posiadała ten niezwykle receptor? Niektóre epidemie pociągnęły niemal po dwieście ofiar śmiertelnych... To niemożliwe!
- Niech się pan przestanie łudzić, Nathanie. Takie grupy można

stworzyć sztucznie, podając osobom, które chce się zarazić, coś, co utworzy receptor albo przyczyni się do jego powstania. Można do tego celu wykorzystać żywność, leki, akcję szczepień ochronnych. Cóż prostszego dla takiej organizacji pozarządowej jak One Earth? Wystarczy potem, że upłynie trochę czasu, po prostu trochę odczekają, zanim wprowadzą bardzo zaraźliwą chimerę, a ona zacznie zabijać wybiórczo. Nikt nie skojarzy związku między wybuchem epidemii a obecnością organizacji humanitarnej.

Ta nowa teoria miała sens. Nie chodziło już o proste zagrożenie biologiczne, lecz o prawdziwą broń genetyczną...

- Zgoda, zgoda... ale sugeruje pan, że mogła zostać stworzona większa liczba zarazków. Nie widzę powodów, dla których mordercy mieliby zadać sobie tyle trudu... Jeden zarazek w zupełności załatwiłby sprawę...

- Doszedłem do takiego samego wniosku jak pan, ale zdaniem Derenne'a, jeśli przyjąć założenie, że mordercy chcą pozostać anonimowi, użycie jednego wirusa mogłoby zwrócić na nich uwagę. Regularnie zmieniając zarazki, minimalizują ryzyko, że naukowcy dopatrzą się związków między poszczególnymi epidemiami. W ten sposób zabezpieczają się przed ewentualnymi badaniami takich instytucji jak Center for Diseases Control lub Instytut Pasteura, nie wydadzą one milionów dolarów na badania wirusa, który zabił sto osób i prawdopodobnie nigdy więcej się nie pojawi. Nathan ponownie zagłębił się w lekturze raportu Derenne'a. Wirusy zostały rozproszone na czterech kontynentach, w Rosji, Salwadorze, Nigerii, Indonezji, Bośni... Były to informacje doniosłej wagi, ale należało zdać sobie sprawę, że wbrew przewidywaniom nie naprowadzały na żaden konkretny ślad.

- Niestety nie widzę tu żadnych powiązań między ofiarami, które pozwoliłyby zrozumieć pobudki, jakimi kierowali się mordercy.

- Ja również ich nie dostrzegam - zgodził się Woods.

- Rozwiązanie jednak na pewno kryje się gdzieś tutaj.... Czy De-renne miał jakiś pomysł na to, dlaczego chcieli zdobyć szczep hiszpanki?

- Jego zdaniem ten zarazek posiada pewne szczególne cechy: po pierwsze, wysoki stopień zjadliwości, po drugie, zdolność szybkiego rozprzestrzeniania się i to na bardzo dużą skalę, po trzecie i niewątpliwie najstraszniejsze... nie ma na niego żadnego lekarstwa ani szczepionki.

Zarysowała się nowa wizja, znacznie bardziej przerażająca.

- To może znaczyć, że zmienili cel swoich działań... - wykrzyknął Nathan. - Ze nie chcą już uderzać wybiórczo, tylko...

- Masowo... - dokończył Woods. - A my musimy zdemaskować ich, zanim wprowadzą swój plan w życie.

Obaj zamilkli.

W miarę jak słońce coraz wyżej wznosiło się na niebie, miasteczko nabierało życia. Przechodnie zaczęli zaludniać portowe nabrzeża, jakiś amator joggingu przebiegł obok nich, w oddali, na łodzi, rybak zarzucał sieci w zatoce.

- Coś nam musiało umknąć, jakiś szczegół... czuję, że jesteśmy blisko rozwiązania.

- Prześledźmy jeszcze raz ustalone fakty - zasugerował Woods. - Jeden po drugim. W końcu przecież coś z tego wyłowimy.

Nathan zgodził się bez zastrzeżeń.

Kelner postawił na stoliku dwie filiżanki kawy. Kiedy się oddalił, Anglik rozpoczął.

- OK. Mordercy dysponują takim arsenałem biologicznym, że niech się schowa Bush ze swoją ekipą. Ilu ich jest? Jakiej sprawy bronią? Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że ta organizacja istnieje od kilkuset lat, a obecnie ukrywa się wewnątrz One Earth.

- Taka niebudząca niczyich podejrzeń przykrywka.

- Druga zagadka: to pan, Nathanie, pańska osoba - ciągnął Woods. - Niewiadoma powiązania pana z nimi: pańska obecność na pokładzie „Pole Explorera” oraz w Gomie w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Nie zapominając o manuskrypcie Eliasa, który do pana należy...

- Zapomina pan o moim dzieciństwie - przerwał Nathan. - Z ostatnich ustaleń wynikałoby, że wszystko zaczęło się w czasie mojego pobytu w Instytucie Lucien-Weinberg, u Casarèsa, w siedemdziesiątym dziewiątym roku.

- Albo nawet wcześniej. Co pan wie o swoich rodzicach? Skąd pewność, że nie byli wplątani w tę historię? Z jakiego powodu mordercy interesowali się dziesięcioletnim dzieckiem i to aż do takiego stopnia, że musieli usunąć ślady jego pobytu w klinice?

- Nic z tego nie rozumiem... - westchnął Nathan. - A co robiłem między rokiem siedemdziesiątym dziewiątym a dziewięćdziesiątym czwartym?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, ale postaramy się przeanalizować fakty, którymi dysponujemy, dobrze? Oni znają pana i pan ich zna... Próba zabicia pana sugeruje, że w spowitej w mroku części pańskiej pamięci jest na ich temat wystarczająco dużo danych, żeby to bardzo poważnie ich niepokoiło.

- Ależ to wszystko nie ma sensu! To musi być coś innego.

Na chwilę zaległa cisza.

- Powiem panu, co myślę - odezwał się w końcu Woods. - Pańska przeszłość kryje jakąś tajemnicę, jakiś straszny sekret, w którym oni siedzą po uszy. W moim odczuciu trwa pan przy jakimś wytyczonym sobie, bardzo konkretnym zamiarze, dąży pan do zemsty, którą pan kiedyś komuś poprzysiągł... Niechże pan, do cholery, przejrzy na oczy! To oczywiste! Wszystko, zaczynając od śmierci pańskich rodziców, na zamknięciu pana w zakładzie psychiatrycznym kończąc, prowadzi w tym kierunku. Eliminując Casaresa, chcieli usunąć swoje kłopoty u źródła, zatrzeć ślady, które umożliwiłyby dotarcie do nich...

Nathan ukrył twarz w dłoniach. Ogarnęły go nowe wątpliwości.

- Dlaczego wobec tego zaaranżowali takie okrutne morderstwo? Po co zostawili dla mnie takie... przesłanie?

- Podpisali się pod swoim dziełem, żeby pana nastraszyć. Żeby przestał pan deptać im po piętach...

- Mogli mnie przecież zabić. Rozmawiałem z Casaresem kilka godzin wcześniej, wiedzieli, że się z nim spotkam. Jakiś strzelec mógł mnie zlikwidować z ukrycia, nawet mi się nie pokazując.

- Nie wiadomo, kto mógł się wtedy napatoczyć, Nathanie. Łącznie z policją. Ten strzelec mógł dać się zwinąć, a wtedy wpadliby w niezłą kabałę.

- Pewnie ma pan rację.

- Może teraz porozmawiamy o tej młodej kobiecie?

- Rhoda... Rhoda Katiei.

- Nie wszystko mi pan o niej opowiedział, prawda? Nathan wypił łyk kawy i odstawił fdiżankę.

- Prawda... kiedy byłem z nią w Paryżu, próbowała mnie leczyć... przywrócić mi pamięć... ale nic z tego nie wyszło... Potem straciliśmy nad sobą kontrolę... Zaczęliśmy się całować... Daruję panu szczegóły. Wszystko było w porządku do momentu, kiedy coś dziwnego zaczęło się ze mną dziać, zacząłem po prostu wariować. Wszystko wokół stało się czerwone... odepchnąłem ją, bardzo brutalnie. Zupełnie nie rozumiem, co we mnie wstąpiło.

- Nie sądzi pan, że śledziła pana i że to wasze spotkanie mogło być częścią planu morderców?

Przez długi czas myślałem zupełnie odwrotnie. Uratowała mi przecież życie.

Naprowadziła na trop demonów z Katali. Próbowała pomóc mi odzyskać pamięć... Ale przyznam, że ostatnie wydarzenie podkopało moją pewność. Myślę, że... Tak, możliwe, że jest uwikłana w tę sprawę.

Po raz pierwszy Nathan jasno sformułował swoje wątpliwości względem Rhody.

Jednocześnie naszły go wspomnienia godzin spędzonych

z nią w Paryżu; jej oczy, kark, łzy, cała czułość, która go ogarnęła, kiedy go obejmowała... Podejrzenia Woodsa wydawały się uzasadnione, ale Nathanowi trudno było przyjąć, że to wszystko mogło być zwykłą manipulacją. Przymknął oczy i próbował pozbyć się uczucia smutku mieszającego się z ogarniającą go wściekłością.

Woods zaczął coś gryzmolić w swoim notesie, udając, że nie zauważa jego wzburzenia.

- Wie pan, gdzie ją znaleźć? - spytał, podnosząc głowę. - Natha-nie, słyszy mnie pan?

- Jest z misją w obozie uchodźców palestyńskich w Dżaninie - odpowiedział w końcu Nathan. - Mam jej numer na komórkę.

- Niech pan z nią porozmawia. Teraz wie pan dużo więcej na ten temat. Niech pan zbada jej reakcje... Ale niech pan nie mówi za dużo.

Połączeni ogarniającym ich uczuciem bezradności, umilkli na chwilę, potem Nathan zapytał:

- A co z manuskryptem, czy praca się posuwa? Woods umościł się na krześle.

- Niestety. Musiałem zrezygnować z części, która była zbyt uszkodzona i nie dało się jej opracować. Przed wyjazdem zdołałem odczytać tylko kilka zdań i wynika z nich, że nasz młody lekarz nie przebywa już w Saint-Malo, ale w jakimś śródziemnomorskim mieście. Tekst mówi o ruinach kościoła chrześcijańskiego, morskich krajobrazach... Nie umiem zidentyfikować tego miejsca... równie dobrze może znajdować się na Malcie, jak i w Konstantynopolu. W każdym jednak razie, przeglądając drugi raz cały dziennik, znalazłem coś ciekawego. Elias mówi, na samym początku, o podróży Rocha w ten sam rejon. Opowiada, że jego przyjaciel został tam porwany i długi czas spędził w niewoli...

- Elias obserwował więc Rocha, śledził wydarzenia związane z jego osobą. Skoro zdecydował się na taką podróż, znaczy, że coś odkrył...

- Musiał rzeczywiście mieć cholernie poważne powody, bo w tym czasie taka podróż trwała wiele miesięcy i istniało ryzyko, że nigdy z niej nie powróci. Myślę, że chirurg z kimś się spotkał w tym tajemniczym miejscu... Gdybyśmy tylko mieli... chociażby niewielką wskazówkę...

Ostatnie zdanie Woodsa odegrało rolę detonatora w umyśle Nathana. Niemal wykrzyknął:

- Wiem!

-Co?

- Manuskrypt ukrywa coś innego... Wczoraj wieczorem odczułem

241

dziwny niepokój na widok tego nowego wyobrażenia ptaka... ibisa. Byłem przekonany, że już wcześniej gdzieś go widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Teraz wiem... to było w opowiadaniu Eliasa. Ma pan przy sobie... ma pan wydruk opracowanej części manuskryptu?

Woods uniósł brwi. Sięgnął ponownie ręką do torby i wyjął zszyty egzemplarz.

- Proszę.

Nathan szybko przebiegł oczami po pierwszych liniijkach tekstu.

- Mam, to jest w tym fragmencie! Kiedy Elias przychodzi po Rocha wieczorem, po ataku diabelskiego okrętu. Niech pan słucha.

Przeszedłem przez wielką komnatę, o ścianach pokrytych boazeriami, z nielicznymi ciemnymi meblami. Na dębowych przepierzeniach rozpięte były drogocenne kurdybany oraz wspaniałe wełniane makaty, na których mogłem podziwiać uczniów Chrystusa, przedstawionych pod postacią dziwnych zwierząt, psa, węża i coś jakby ptaka z cienkim, zakrzywionym dziobem.

Nathan gwałtownie złożył manuskrypt, po czym powtórzył:

- „Coś jakby ptak z cienkim, zakrzywionym dziobem...” Te makaty znajdowały się w domu mordercy...

Podniósł twarz, wzrok Woodsa płonął.

- Ależ tak, Roch musiał przywieźć je z tej swojej podróży... To niebywałe, Nathanie, znaczy to, że Elias znalazł się...

- Gdzie?

- W Egipcie, w Aleksandrii!

- Dlaczego akurat w Aleksandrii?

- Te makaty przedstawiające biblijnych świętych pod postaciami zwierząt są unikatowe, Nathanie. Mamy tu do czynienia z jedną z charakterystycznych cech liturgii koptyjskiej... Wyłącznie egipscy chrześcijanie używają tych politeistycznych symboli, całkowicie potępionych przez Rzym i uważanych za bluźniercze.

- Koptowie?

- Tak. Jeśli przedstawiają apostołów z głowami szakala, węża lub ptaka, oznacza to, że są potomkami ludu Wielkiego Egiptu. Tymi, którzy czcili Thota, Anubisa, Amona-Ra. Są to spadkobiercy... faraonów.

Nathan zaniemówił ze zdumienia. Czuł, jakby ziemia się pod nim rozstąpiła. Ale zdziwienie było nieporównywalne ze wstrząsem, którego doznał. Ostatnie rewelacje przeniosły go w nowy, niezgłębiony

świat, tajemniczy, święty, przerażający. Niezwykły charakter zbrodni odbierał mu cały rozsądek, mącił umysł...

- Mam kilka egzemplarzy traktatów koptyjskich w Malatestianie, ale jest to dziedzina słabo mi znana. Natomiast mój dobry znajomy, doktor Darwish, na pewno będzie mógł nam dużo wyjaśnić...

- Kim on jest?

- Naukowcem w Bibliotecca Alexandrina, Wielkiej Bibliotece w Aleksandrii. Jest bardzo...

W tym momencie coś dziwnego zwróciło uwagę Nathana.

Łódka rybaka. Przepływała po raz kolejny obok nich. Tym razem bliżej. Spośród stosu ryb zalegających na dziobie wystrzelił rozbłysk, odbicie słońca od szklanej powierzchni.

Odruchowo Nathan rozejrzył się po tarasie. Kilka stolików dalej siedziała jakaś młoda para, trzymając się za ręce. Dwa samochody osobowe i stara kamionetka zaparkowane były po drugiej stronie ulicy. Nie było właściwie nic podejrzanego, ale ogarnęło go jakieś złe przeczucie. Coś mu nie pasowało. Fale na morzu, wiatr, całe otoczenie wyglądało jakby zastygłe w miejscu.

- Ashleyu.

Spojrzał na Woodsa, który raptownie ucichł.

- Słucham?

- Znikamy stąd!

- Co się dzieje?

Nathan podniósł się gwałtownie.

- Śledzą nas. Ta łódź na morzu... Ktoś właśnie robi nam zdjęcia przez teleobiektyw. Chodźmy... szybko!

Ale kiedy Nathan odwrócił się do Anglika, we wzroku swego sprzymierzeńca wyczytał wyraz, którego przedtem nigdy u niego nie widział.

Ten wzrok... to był wzrok zdrajcy.

- Co to za wyglupy? - ryknął oszołomiony Nathan. - Kto nas śledzi... Kto?
- Adrenalina rozchodziła się falami po całym ciele, przerażone oczy strzelały na prawo i na lewo jak ślepiec złapanego w pułapkę zwierzęcia.
- To nie tak, jak pan myśli - zaprotestował Anglik, podnosząc dłonie w uspokajającym geście.
- Co to za typy?
- Proszę się uspokoić!
- Niech mi pan odpowie!
- To ludzie z A Squadron. Specjalnej komórki SAS, Special Air Service. Służą pod dowództwem Staela. Niech pan nie robi głupstw, wszystko będzie w porządku.
- Brytyjskie tajne służby... Wydałeś mnie, kanalio!
- Sami nie mamy rady. Zrobił pan kawał świetnej roboty, ale biorąc pod uwagę sytuację, trzeba im przekazać pałeczkę...
- Jaką sytuację? Ta parta gierka... od kiedy ona trwa?
- Od wczoraj. Nastąpiły komplikacje, Nathanie. Zdarzyło się coś, o czym pan nie wie, musimy z nimi współpracować...
- Co? Co się zdarzyło?
- To są tajne informacje. Niech pan się zgodzi na współpracę.
- Odwal się pan!
- Anglik zaczął tracić zimną krew.
- Niech pan przestanie i posłucha mnie, do jasnej cholery! Nie chodzi już tylko o pana osobistą sprawę, ale o międzynarodowy terrorizm.
- Niech pan idzie do diabła... ja sływam - powiedział Nathan, odwracając się.
- Nigdzie pan nie pójdzie, oni są tu wszędzie. Cała dzielnica jest obstawiona - wykrzyknął Woods, unieruchamiając mu ramię w żelaznym uścisku. - To już koniec.

Nathan rozejrzał się wokół. Młoda para, facet od joggingu, dwa jeszcze inne typy, wszyscy stali nieruchomo i wpatrywali się w niego. Inni musieli się gdzieś indziej zadekować.

Znalazł się w potrzasku. Trząśnięcie z nienawiści. Musiał podjąć jakąś decyzję. Współpracować... żeby zatrzymać morderców? Spróbować uciec? Nie miał już wyboru.

Nabrał głęboko powietrza i oświadczył:

- OK, chcę zobaczyć się ze Staelem.

Woods dał znak jednemu z mężczyzn, który przekazał informację przez radio.

- Będzie tu za chwilę.

Okolice portu powoli zaczynały wypełniać się przechodniami. Jakiś samochód podjechał z olbrzymią prędkością. Trzasnęły drzwiczki. Do Nathana zbliżał się krępy mężczyzna, około sześćdziesiątki, o siwych, ostrzyżonych najeża włosach.

Razem z nim podchodzili członkowie komanda.

- Oto intrygujący Nathan Falh... Spieszno mi było poznać pana. Jestem Jack Stael.

Wyciągnął do Nathana rękę, ten ani drgnął. Zaległo milczenie.

- Jest więc pan gotów pracować z nami?

- Pomówimy o tym, jak zabierze pan stąd te swoje psy gończe. Policjant odwrócił się do swoich ludzi.

- W porządku, panowie! Rozluźniamy blokadę...

- Tak jest! - odkrzyknął jeden z cywilów.

W mgnieniu oka Nathan chwycił filiżankę z kawą, rzucił ją Wood-sowi w twarz i wykorzystując efekt zaskoczenia, wyciągnął mu przypiętego do paska sigaa. Chwilę później unieruchomił w uścisku Staela.

Podobnie, zręcznym ruchem ludzie z SAS wyciągnęli broń i skierowali ją w Nathana.

Pośród przechodniów rozległy się krzyki.

Nathan przycisnął broń do gardła Staela.

- Niech pan ich natychmiast powstrzyma! Jeden fałszywy ruch i roztrzaskam panu czaszkę...

- Nie strzelać... Nie próbujcie nic robić! - wrzasnął Stael.

Zasadzka została drobiazgowo przygotowana. Anglik z rozmysłem wybrał ten stolik na tarasie, wystawiając swego rozmówcę na idealny cel dla wyborowych strzelców, którzy byli prawdopodobnie rozstawieni za jego plecami. Nathan cofnął się pod ścianę baru, by zabezpieczyć sobie tyły.

- Niech go pan puści! - krzyknął Woods.

- Zamknij się pan! Teraz ja wydaję rozkazy. Co się wydarzyło?

- Niech pan puści Staela! Nie rozumie pan, że usiłuję pana chronić?
Jedyną odpowiedzią Nathana było mocniejsze wciśnięcie lufy w ciało zakładnika.

- Niech pan mu powie... niech pan mu powie... - wykrztusił oficer.

- OK, uspokójmy się... Derenne dostał alarmistyczną wiadomość od włoskich sanitarnych służb ratunkowych. Pewien mężczyzna przyleciał wczoraj z Monachium do Rzymu, na lotnisko Fiumicino. W samolocie źle się poczuł. Zaczął wymiotować krwią... Samolot był pełen pasażerów, wszyscy po wylądowaniu zostali poddani kwarantannie... dziesięcioro z nich zostało przewiezionych do szpitala z takimi samymi objawami. W chwili obecnej ich stan jest krytyczny, stwierdzono u nich niezidentyfikowany wirus.... Wezwani zostali specjaliści, między innymi Derenne.

- Co to za historia?

- Derenne skontaktował się ze mną - ciągnął Woods. - Jest więcej niż zaniepokojony. Próbkę krwi zostały przesłane do laboratorium poziomu 4 w Instytucie Merieux w Lyonie. Derenne dostał wyniki i przeanalizował je. Profil genetyczny wirusa jest analogiczny do tych, które poprzednio uznał za podejrzane. Obawia się, że mamy do czynienia z pewnego rodzaju kamikadze, wysłanym przez poszukiwanych przez nas morderców. Był już o włos od zawiadomienia francuskiej policji. To doprawdy cud, że udało mi się go od tego odwieść. Skończyłoby się wystawieniem na pana międzynarodowego listu gończego. W zamian za jego milczenie zobowiązałem się do powiadomienia Staela, któremu mogłem otwarcie przedstawić sytuację, mając pewność, że nie nada całej sprawie rozgłosu.

- Ale... skąd można wiedzieć, że to sprawka tych samych ludzi? Czy chory... coś powiedział?

- On zmarł, Nathanie, ale w jego majaczeniach ciągle powracały słowa o tajemniczym Krwawym Kręgu. Prawdopodobnie podróżował pod fałszywym nazwiskiem, ponieważ służby specjalne nie mają najmniejszego pojęcia, kim był. Podejrzewają, że został zarażony jakimś paskudnym wirusem niewiadomego pochodzenia, na pewno jednak nie posądzają go o zamach terrorystyczny. Nikt nic z tego nie rozumie... poza panem i mną... Wiemy, jakimi potworami... Przeszli teraz do natarcia, ale widocznie popełnili jakiś błąd. Zdaniem Derenne[^] chorobotwórczy zarazek, którym dysponują, nie jest trwały. Możemy ich jeszcze powstrzymać...

- Powiem panu coś... To pan popełnił błąd, działając w ten sposób. Nie będę współpracować, bo to najlepszy sposób, żeby wszystko zaprzepaścić.

- Nathanie... błagał Woods.

- Teraz niech mnie pan dobrze słucha. Cała ta operacja jest niejawna i nielegalna. Jeśli chcecie mnie zatrzymać, musicie mnie zastrzelić, a tego nie zrobicie, bo zdajecie sobie doskonale sprawę, że tylko ja jeden mogę was doprowadzić do morderców. Wiecie, że oni polują na mnie, ponieważ zagrażam Kręgowi. Jestem waszą jedyną szansą, żeby ich złapać. Pozwolicie mi więc odejść, nie robiąc hałasu. Niech pan to powie swoim psom gończym, zanim popełnią jakieś głupstwo, którego potem będą żałować.

Nathan puścił Staela i zaczął wycofywać się w kierunku portu, mierząc z sigą po kolei do każdego z mężczyzn. Kiedy znalazł się na ulicy, rzucił broń na jezdnię i nie odwracając się, podszedł do zaparkowanego samochodu.

W oddali słychać już było ryk policyjnych syren. Wskoczył do swojego audi i ruszył pełnym gazem w kierunku lotniska w Genui.

Nathanowi aż trudno było uwierzyć, że wygrał tę rundę. Był tak zszokowany, że nie mógł powstrzymać nerwowych dreszczy, wstrząsających całym ciałem. Zdrada Anglika była prawdziwym szokiem; właśnie objawił mu się nowy przeciwnik. Czuł się osaczony z dwóch stron, przez Krąg i przez ludzi Staela, którzy łatwo nie zrezygnują. W miarę upływających sekund uspokajał się, odzyskiwał przytomność umysłu.

Odtąd wiedział, że został sam i może liczyć tylko na siebie. Skupił uwagę na nowym celu.

Myślami powędrował za morze, ku Wschodowi, ku delcie Nilu ukrytej za słoną mgłą. Ku ziemi egipskiej.

v

Aleksandria, Egipt 13 kwietnia 2002

Po przesiadce w Mediolanie Nathan dotarł do Aleksandrii koło dwudziestej trzeciej. Spośród czekających przed lotniskiem taksówek wybrał jedną, na chybił trafił, i za radą kierowcy kazał się zawieźć do Ce-cil Hotel, który znajdował się o dwa kroki od Wielkiej Biblioteki, przy prowadzącej nad urwiskiem drodze oddzielającej miasto od portu.

W czasie jazdy nie zwracał uwagi na otoczenie ani na zatłoczone ulice, ani na dźwigi, na niewykończone, betonowe wysokościowce, a później, kiedy wjechali do centrum, na płataninę ulic, słabo oświetlone bladymi żarówkami sklepiki, na ogromne tłumy ludzi cisnących się w chmurach kredoworóżowawego kurzu. Dochodziły go różne wonie, ciepłych jeszcze po popołudniowych upałach chodników, gryzącego dymu nargili i pieczonej baraniny.

Taksówka zatrzymała się przed wysokim, luksusowym, biało-nie-bieskim budynkiem z łukowymi oknami. Nathan wszedł do hotelu, dopełnił formalności w recepcji i poszedł do swojego pokoju. Z uczuciem głębokiego zadowolenia rzucił się na łóżko. Obudził się nazajutrz o dziewiątej. W pierwszym odruchu otworzył okno. Jak okiem sięgnąć rozciągało się rozgrzane, hałaśliwe miasto, z minaretami, zniszczonymi wiktoriańskimi budynkami, tramwajami, żółto-czarnymi taksówkami, które posuwały się wężowymi ruchami po wijącej się nad urwiskiem drodze. I błękit, nieba i morza, nawzajem się przenikające, błękit, w którym nie sposób było dostrzec linii horyzontu. Wziął szybki prysznic, usiadł przy telefonie i wykręcił numer Phin-di Willemse. Odebrała po trzech sygnałach.

- Pani doktor Willemse? Mówi Nathan.

- Dzień dobry, Nathanie. Udało mi się uzyskać niektóre informacje, o które pan prosił.

- Co z nich wynika?
- Przygotowałam panu sumaryczne sprawozdanie. Mogę je wysłać mailem?
Nathan zastanowił się przez chwilę. To byłoby najprostsze rozwiązanie, ale jego skrzynka mogła być w każdym momencie sprawdzona przez Woodsa. A tego chciał uniknąć.

- Nie. Ma pani dostęp do faksu?

- Owszem.

- No to zrobmy to w ten sposób.

Nathan podyktował jej numer podany na hotelowym folderze.

- Zaraz to panu wysyłam, jak tylko wydrukuję. I na litość boską, niech pan na siebie uważa.

- Obiecuję. I dziękuję za zaufanie, którym mnie pani obdarzyła.

- Powodzenia, Nathanie.

Nathan rozłączył się, zadzwonił do recepcji i poprosił, żeby połączono go z Wielką Biblioteką Aleksandryjską. Zgłosiła się młoda kobieta mówiąca doskonale po angielsku.

- Z doktorem Guirguisem Darwishem proszę.

- Chwileczkę.

Po serii sygnałów w słuchawce rozległ się poważny, starczy głos.

- **Aiwa!**

- Doktor Darwish? - spytał Nathan.

- Przy telefonie - odpowiedział mężczyzna po francusku.

- Moje nazwisko Falh, dzwonię z polecenia Ashleya Woodsa z Bi-blioteca Malatestiana...

- Uprzedził mnie o pańskim ewentualnym telefonie.

- Ach tak?

Zaskoczony tą wiadomością, Nathan usiłował ukryć zakłopotanie.

- Tak. Powiedział, że będzie pan potrzebował informacji „prywatnie”. Czyż nie?

Właśnie tak... Czy znajdzie pan dla mnie chwilę w ciągu dnia?

- Za pół godziny muszę wyjść z biblioteki. Możemy się spotkać dzisiaj po mszy, w katedrze San-Marcos. Powiedzmy koło trzynastej.

- Doskonale. Jak pana poznam?

- Z tym nie będzie pan miał trudności. To ja celebruję mszę. Nathan podziękował i odłożył słuchawkę.

Duchowny. Guirguis Darwish był koptyjskim duchownym... To było akurat to, czego potrzebował.

Chwycił torbę i wyszedł do hotelowego holu. W recepcji wymienił sto euro na egipskie funty, po czym ulokował się w salonie. Było to

obszerne, długie, białe pomieszczenie z dużymi oknami wychodzącymi na port. Zamówił kawę po turecku i zapalił papierosa.

Woods... mimo wczorajszego zdarzenia Anglik go nie opuścił, a co więcej, ułatwił mu sytuację, pomagając w kontakcie z Darwishem. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywał? Czy to był nowy podstęp, żeby umożliwić ludziom Staela deptanie mu po piętach? A może rzeczywiście starał się go osłaniać?

Podszedł kelner w białej liberii. W jednej ręce trzymał mały metalowy dzbanuszek, który postawił przed nim na stoliku, drugą ręką podając zadrukowany dokument.

Faks od Phindi Willemse.

Strona adresowa i cztery kartki. Nathan wlał brązową, pieniącą się zawartość dzbanuszka do fdiżanki i zabrał się do czytania.

Organizacja pozarządowa One Earth została utworzona w 1976 roku przez międzynarodowe konsorcjum finansowe. Na jej czele stanął Abbas Morquos, bogaty przemysłowiec egipski.

Już w chwili jej powstania rzecznik oznajmia, że wykształcił się nowy typ pomocy humanitarnej: poza pomocą medyczną, zaopatrzeniem w leki i żywność organizacja pragnie udzielać długofalowej pomocy psychiatrycznej ofiarom katastrof humanitarnych, zwłaszcza tym najmłodszym.

Dzięki tej nowatorskiej akcji One Earth zyskuje ogólnością rozgłos: poruszona takimi słowami międzynarodowa opinia publiczna mobilizuje się i w znacznym stopniu przyczynia do tego, że organizacja dochodzi do kolosalnej fortuny.

Rozlegają się wówczas głosy dopatrujące się w tej alternatywie dla francuskich Lekarzy Świata działań różnego pokroju przemysłowców dążących do utworzenia konsorcjum w celu podbicia nowych rynków w krajach, którym oferują pomoc.

Owe krytyczne głosy pozostają jednak bez echa i One Earth dociera już wkrótce na wszystkie kontynenty, do Etiopii, Biafry Brazylii Ud. Nie ma nigdzie żadnych dowodów uzasadniających wcześniejsze oskarżenia. Staje się ona z czasem jedną z najpotężniejszych organizacji humanitarnych. Jej siedziba znajduje się w Liechtensteinie. Prawdopodobnie posiada obecnie flotę powietrzną złożoną z siedmiu samolotów wojskowych i pięciu helikopterów. Ogół pracowników oceniany jest na 3500 osób (w tym pracownicy miejscowi), rozsianych po całym świecie.

Zdaniem mojego informatora zarząd nad organizacją wydaje się właściwy i nie wykazuje żadnych nieprawidłowości.

Nie było tu nic podejrzanego, niepokojące wydawały się tylko powiązania One Earth ze światem psychiatrii. Nathan przekartkował dalszy ciąg dokumentu, opisującego działalność organizacji podczas największych katastrof humanitarnych. Ostatnie strony wyszczególniały stan liczebny personelu podczas poszczególnych misji. Zatrzymał się przy fragmencie odnoszącym się do obozów w okolicach Górny i południowego Kiwu.

Ekipy medyczne obecne w strefach północnego i południowego Kiwu były zorganizowane w komórki, rozlokowane również w każdym obozie.

Komórka medyczna: pięciu lekarzy, w tym jeden medycyny ratunkowej, jeden specjalista chorób zakaźnych, jeden anestezjolog, dwóch chirurgów i czterech pielęgniarzy.

Komórka psychiatryczna: pięciu psychoterapeutów, w tym trzech psychiatrów dziecięcych i dwóch pielęgniarzy.

Jak dotąd wszystko wydawało się bez zarzutu, natomiast następny akapit od razu zaalarmował Nathana.

Istniała jeszcze komórka lotna, nazywana nadzorcą, złożona z czterech osób, które przemieszczały się z obozu do obozu na pokładzie helikoptera typu Puma. Zadaniem ich było nadzorowanie personelu miejscowego i zapobieganie działaniom przestępczym (gwałtom, wymuszaniu haraczu itp.) oraz, dodatkowo, pomoc w zaopatrzeniu i ewakuacji ekip w wypadku niebezpieczeństwa.

Uwaga: nie udało mi się uzyskać danych personalnych tych osób. Utworzenie tego rodzaju ekip, kojarzących się z milicją, wydaje się co najmniej niezwykle i jest źle widziane w środowisku działaczy humanitarnych.

Cztery osoby latające do woli, w tę i z powrotem, helikopterem wystarczająco obszernym, by przetransportować dużo sprzętu... Cztery osoby sprawiające wrażenie, że trzymają w swoich rękach całą władzę w ramach organizacji.

Taka struktura organizacyjna mogła pasować do jego koncepcji demonów z Katali. Nathan wyszedł z salonu i skierował się ku szeregowi starych kabin telefonicznych, po prawej stronie za recepcją. Wyjął portfel i wyciągnął z niego wizytówkę. Mały prostokątny kartonik z logo organizacji One Earth, który nerwowo obrócił między palcami...

Przyszedł czas, by porozmawiać z Rhodą.

- Halo?

- Rhoda?

Na linii słychać było jakieś trzaski.

- Na... Nathan... to ty? Odezwał się dopiero po chwili. -Tak.

- Bardzo się cieszę, że cię słyszę... już myślałam, że nie zadzwonisz. . Jest mi ogromnie przykro z powodu tego, co się stało. Myślałam o tym... często... całą odpowiedzialność ponoszę ja, ty nie możesz siebie o nic obwiniać, po wstrząsie, którego doznałeś, twoja reakcja była naturalna...

Głos młodej kobiety brzmiał beztrosko, radośnie i niewinnie jak u dziecka.

- Nie mówmy już o tym - przerwał jej Nathan. - W dalszym ciągu nie umiem sobie wytłumaczyć, co się wtedy ze mną stało, myślę, że... Posłuchaj, musisz wiedzieć, że nie miałem zamiaru cię zranić... - Na chwilę zamilkł, potem wyrzucił z siebie: - Dzwonię do ciebie z innego powodu. Potrzebuję twojej pomocy.

W słuchawce nastąpiła nowa fala zakłóceń.

- Powiedz, o co chodzi.

- Potrzebuję informacji dotyczących obozu w Katala... o lotnej komórce One Earth, komórce „nadzorczej”, muszę wiedzieć, kim są ci ludzie.

- Dlaczego? Milczenie.

- Myślisz, że to się wiąże z twoim śledztwem, tak? - spytała. Nathan westchnął ciężko.

- To ma związek, Rhodo. Przykro mi, ale to prawda.

- Przestań być taki tajemniczy, powiedz, o co chodzi...

- Nie mogę. W grę wchodzi też twoje bezpieczeństwo.

- Pozwól, że sama się nim zajmę. Powiedz mi raczej, co ci chodzi po głowie, a ja ci odpowiem... może.

Nathan poczuł, jak wzbiera w nim złość. Odpowiedział podniesionym tonem.

- Skoro **nalegasz...** Po **naszym** rozstaniu poleciałem do Konga, wróciłem do Katali... zobaczyłem tam okropności, które trudno sobie wyobrazić.

- Co tam znalazłeś?

- Podziemny tunel, pozostałości po laboratorium, w którym przeprowadzane były straszliwe eksperymenty medyczne, nieszczęsne szczątki niewinnych ofiar, które torturowano... Siedlisko demonów.

Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ludzie z komórki „nadzorczej” są zamieszani w te zbrodnie?

- Każdy szczegół mojego śledztwa prowadzi do One Earth.

- To, co znalazłeś, to pewnie zwykłe cmentarzysko, jakich są setki na terenie Ruandy, Konga...

- Był tam najnowocześniejszy sprzęt medyczny, strzykawki, stoły... Ci, którzy to zrobili, manipulują wirusami i testują je na ludzkich królikach doświadczalnych. Ukrywają swoje zbrodnie, wykorzystując zamęt spowodowany wielkimi katastrofami. Przypomnij sobie małą dziewczynkę, demony...

- Wirusy, w naszych czasach? Chyba jesteś... Nathan nie pozwolił jej dokończyć.

- Rhoda, wiem, co widziałem... Teraz proszę, żebyś mi odpowiedziała na pytanie. Kim są ci ludzie? Muszę poznać ich nazwiska.

- Chcesz, żebym ci powiedziała... Jesteś poważnie chory... Jesteś...

- Rhoda... Czy w jakiś sposób jesteś zamieszana w te zbrodnie? Zamilkła.

- Odpowiedz!

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie będziemy do siebie dzwonić. Rhoda, do jasnej cholery...

Rozłączyła się.

Nathan z wściekłością rzucił słuchawkę i zerwał się na nogi. Kompletnie mu odbiło. Nie był w stanie się opanować i wszystko jej wygadał. Jeśli należała do nich, nie upłynie nawet godzina, a już będą wiedzieli o wszystkim, co odkrył. Twarz mu płonęła, w gardle zaschło. Porwał torbę i wyszedł.

Po ulicach miasta szalał potężny wichur. Nathan zanurzył się w zawieruchę, poddając się gwałtownym podmuchom wznoszącym ku niebu tumany kurzu wyglądającego jak kolorowe, świetlne drobiny. Wokół siebie dostrzegał tylko znamiona smutku i zdrady, widział zakorkowane ulice, zniszczone domy; istoty w nich żyjące wydawały mu się nagrobnymi pomnikami i pośmiertnymi maskami, porwanymi do wyczerpującego, makabrycznego tańca.

Poszedł w górę drogi, do fortu Ouait Bey, dawnego mameluckiego pałacu górującego nad huczącym morzem. Poprzednio doznawał sprzecznych uczuć, teraz skłaniał się ku przekonaniu, że Rhoda od samego początku go oszukiwała. Ale z jakich powodów? Nie znał ich, lecz jej zachowanie nasunęło poważne wątpliwości co do jej roli w całej sprawie.

Kiedy myślał o trupie Casaresa, umieszczonym na jego drodze niczym złowróżbny znak, zakiełkowała mu w głowie nowa teoria. Jeżeli Rhoda była w to wmieszana, to może specjalnie naprowadziła go na trop masakr... Może był to drugi znak, który mordercy mu przekazali?

Było koło południa, gdy Nathan powrócił do miasta. Minął wielki meczet Abu-el-Abbas, w którym tłoczyła się masa ludzi, potem wszedł do dzielnicy tureckiej, enklawy ukształtowanej przez labirynty wąskich, brzydkich uliczek, wychodzących na kolorowe bazyry i kramy. Na ulicy El Nokrashy zatrzymał się przy długim wózku wędrownego handlarza i zjadł talerz czerwonej, solonej fasoli z chlebem, stojąc koło innych mężczyzn, którzy przyglądali mu się, żując w milczeniu swoje porcje. Zbliżała się pora spotkania z Darwishem. Wszedł w ulicę Salah Salem, na której królowały pozostałości po Aleksandrii kosmopolitycznej z lat trzydziestych ubiegłego wieku, Aleksandrii pięciu nacji. Armeńscy jubilerzy, greckie cukiernie, luksusowe restauracje, butik z antykami z francuskimi szyldami, staroświecki świat, zakurzony, upajający swym urokiem. Zwolnił przy skrzyżowaniu ulic Nebi Danyal i Saad Zaghlul. Wtedy zobaczył kopułę, dzwony, ukwiecone krzyże, płaskorzeźby. Na tle nieskazitelnie czystego nieba wznosiła się przed nim koptyjska katedra San-Marcos. Minął dziedziniec i wspinał się po schodach prowadzących do wejścia. Pchnął ciężkie, drewniane drzwi i wstąpił do sanktuarium.

W pierwszej chwili do osłepionego jeszcze dziennym światłem Na-thana dotarły tylko dochodzące z góry potężne, gardłowe dźwięki me-lopei, śpiewnej, monotonnej deklamacji psalmów, w rytm wybijany uderzeniami laski w podłogę. Potem, z wolna, z ciemności zaczęły wyłaniać się złocenia, kolumny, boazerie inkrustowane kością słoniową, złotawobrazowe ikony ożywiane srebrzystymi błyskami świeczników. Nathan przecisnął się przez tłum wiernych. Mężczyźni i dzieci po jednej stronie, kobiety po drugiej, wszyscy stali z rękami wzniesionymi ku niebu, pogrążeni w modlitwie. Spojrzał w kierunku ołtarza; ponad unoszącym się znad kadzielnicy wonnym dymem z palącej się mirry i wśród skrzących się kandelabrow ukazała mu się sucha, okolona długą brodą twarz ojca Darwisha. Stary duchowny miał na sobie biały ornat z dużymi krzyżami, na głowie jedwabną, zaokrągloną, wypukłą

mitrę w tym samym kolorze. Wokół niego diakoni oddawali hołd poświęconemu chlebowi i winu. Po ukończonym błogosławieństwie mężczyźni i dzieci zszuli obuwie i tworząc milczący orszak, podeszli, by przyjąć Ciało i Krew Chrystusa. Z ustami przykrytymi woalką, wycofywali się, zatopieni w modlitwie, ustępując miejsca kobietom.

Stojąc z tyłu, za kolumnami, Nathan w skupieniu przyglądał się temu obrazowi prawdziwej, niczym niezmaconej żarliwości religijnej. Nasunęło mu się skojarzenie z zapomnianymi mnichami z Malate-stiany. Czysta, absolutna wiara, wydająca się oznaczać, że podwaliny życia, ludzkiej egzystencji, znajdują się w samej istocie religii.

Po zakończonej ceremonii wierni podchodzili do ojca Darwisha po błogosławieństwo, z twarzami wyciągniętymi ku jego brązowym dłoniom. Potem opuszczali świątynię z malującym się na twarzach wyrazem spokoju i ukojenia. Z wolna odgłosy cichły, światła gasły jedno po drugim, pogrążając Nathana w półmroku.

Zza pleców usłyszał szept.

- Panie Falh, czy jest pan człowiekiem wierzącym?

Nathan odwrócił się i zobaczył duchownego, który stał z rękami ukrytymi w rękawach ornatu. Z jego białej brody emanował przytłumiony, niemal nienaturalny blask.

- Nie wiem - takim samym szeptem odpowiedział Nathan.

- Co ma ci pana spokój, młody człowieku?

- Nie wydaje mi się, żebym był niespokojny...

- Co więc znaczy strapienie, malujące się w pańskim spojrzeniu? Nathan nie odpowiedział.

Z zaciekawieniem przyglądał się duchownemu: twarz porwana niezliczonymi, pogłębionymi przez cień zmarszczkami oraz oczy, dwie czarne perły, jakby zamknięte na świat, a szeroko otwarte na prawdę. Nie ośmielił się ponownie skłamać.

- Mam pewne wątpliwości.

- I ma pan nadzieję znaleźć odpowiedź u naszego Pana?

- Nie, u siebie, ojczyźnie.

- A więc słucham.

Nathan powiedział bez ogródek:

- Interesują mnie magiczne zabiegi koptyjskie i ich powiązania z wierzeniami z czasów faraonów.

Duchowny przyłożył palec do warg.

- Istnieją światy, tajemne obszary, o których mówi się tylko szeptem... - Spojrzał z ukosa w kierunku diakonów porządkujących instrumenty świętej liturgii i szepnął: -

Niech pan idzie ze mną...

Mężczyźni skierowali się do nawy i weszli na wąskie, kamienne schody, które znikwały między rzędami kolumn, prowadząc w podziemia katedry.

Krypta była mała i chłodna. Na posadzce, w migotliwym blasku woskowych świec, Nathan zobaczył stare, szerokie, kamienne płyty, pod którymi spoczywały zapewne pobielające szkielety dostojnych zakonników.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli popełniłem nietakt...

- Magia jest tematem, którego w naszej społeczności nie porusza się otwarcie. Moja działalność badawcza umożliwia mi pozabawienie tych spraw cech świętości, ale zupełnie inaczej ma się rzecz z moimi diakonami. Ale wróćmy do tego, co pana interesuje.

Starzec przymknął oczy, głos drżał mu jak napięta struna.

- Bardzo dawno temu delegacja mieszkańców Aleksandrii udała się na pustynię do Makariusza, błagając go, by przybył do miasta, w którym od dawna nie spadła kropla deszczu, a pola zostały opanowane przez robactwo i owady. „Przybądź - mówili - i poproś Boga, żeby spadł deszcz, który zabije robaki i owady”. Makariusz udał się więc do miasta Aleksandrii, poprosił Boga o deszcz i deszcz zaczął padać. Kiedy spadło go już wystarczająco dużo, znowu zwrócił się do Boga i padać przestało. Wtedy Grecy wykrzyknęli: „Czarnoksiężnik wstąpił przez bramę Słońca, a Sędzia o tym nie wie”.

Głos duchownego rozbrzmiewał w półmroku krypty.

- Myślę, że ta przypowieść o jednym z naszych najznamienitszych świętych znakomicie ukazuje, do jakiego stopnia niezwykłość i nad-przyrodzoność są obecne w codzienności naszego ludu. Wydawanie poleceń duchom i demonom, aniołom, a nawet samemu Bogu jest naszą wrodzoną dyspozycją, jesteśmy wszak potomkami faraonów.

- Na jakich wierzeniach opiera się ta magia?

- Są one zbliżone do wierzeń naszych dawnych przodków, którzy zwracali się w modłach do Thota, bóstwa o głowie ibisa. Aby podpo-

rządkować się zasadom zabraniającym tych praktyk, zastosowano prostą zamianę: imiona dawnych bóstw zostały zastąpione imionami Chrystusa, Matki Boskiej i świętych. Biblia i jej postacie zajęły miejsce mitów starożytnego Egiptu.

- Czy te praktyki są jeszcze żywe? Och tak.

- W jaki sposób są one stosowane i czemu służą?

- Leczeniu chorób, odczynianiu uroków, egzorcyzmowaniu nawiedzonych, przeciwstawianiu się komuś, kto źle nam życzy...

- A ojciec ucieka się do tych praktyk?

- Podobnie jak wielu innym duchownym zdarza mi się stosować takie obrządki...

Nathana świerbił język, by postawić jedno konkretne pytanie. Nie był jednak pewien, czy doprowadzi go ono do prawdy. Powiedział półgłosem:

- Krwawy Krag... - urwał na krótką chwilę, potem dodał: - Czy te słowa kojarzą się z czymś ojcu?

Darwish gwałtownie otworzył oczy, jakby Nathan rozwarł w nim dawno zasklepioną ranę.

- Gdzie pan to słyszał?

Nathan wyczuł pewną rezerwę w tonie, który duchowny nadał swemu głosowi.

Postanowił zachować milczenie.

- Mówił pan, że chodzi o sprawy osobiste... nieprawdaż? Nathan potwierdził opuszczeniem powiek.

- Cokolwiek by to było, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. To dość dziwne wierzenia, które mogą się okazać niezmiernie szkodliwe dla naszego narodu.

- Ojczy, proszę nie traktować mojego milczenia jako prowokacji. Dla mnie to bardzo ważne, muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Darwish wlepił w Nathana surowy wzrok.

- Pan chyba nie rozumie. Nikt nie ma prawa bezkarnie wypowiadać tych słów... Nie, naprawdę nie mogę...

Błagam ojca... Te informacje są dla mnie bezcenne. Co miał ojciec zamiar powiedzieć?

- Że złamanie milczenia grozi karą.

- Z czyjej strony?

- Duchów Ruhani, sług psalmów.

- Co to...?

- Mówię o aniołach, tak ich nazywamy.

Starzec wyglądał, jakby się wahał przez chwilę; pogładził się po brodzie, potem w końcu wyszeptał:

- Informacje, które panu przekażę, muszą zostać utrzymane w tajemnicy, jeśli kiedykolwiek wyjawisz je pan, proszę nigdy nie wymieniać mojego nazwiska ani nazwy tej katedry...

- Przysięgam, że dochowam tajemnicy.

- Dobrze... Historia ta sięga bardzo odległych czasów, początku naszej ery, okresu prześladowań chrześcijan Aleksandryjskich przez Cesarstwo Rzymskie. W ciągu wielu stuleci cesarze skazali na wygnanie, zamęczyli, wymordowali tysiące ludzi, których jedyną zbrodnią była wiara w Boga. By uciec przed tymi masakrami, nasi prześladowani przodkowie skryli się pod ziemią, w nekropoliach, w których chowali swoich zmarłych, zwłaszcza poza obrębem miasta... na pustyni. Chyba wtedy właśnie pojawili się pierwsi mnisi... Samotność tych ludzi, ich przymusowa rozłąka z Aleksandrią i teologicznym nauczaniem zrodziły falę bardzo zróżnicowanych wierzeń. Niektórzy z tych ludzi powrócili do źródeł, inspirując się dawnymi tradycjami. Krążą na przykład opowieści, że w trzecim wieku grupa mężczyzn, dokładnie siedmiu, wszyscy wywodzący się z Didaskalii, słynnej Aleksandryjskiej szkoły katechetycznej prowadzonej przez Antoniego z Cezarei, odeszła na pustynię, by stworzyć tam nie klasztor, lecz bazę rebeliantów przeciwko cesarzowi Dioklecjanowi, gdyż podczas jego panowania prześladowania wyjątkowo przybrały na sile. Taka agresywna postawa mnichów była co najmniej niezwykła i wkrótce zaczęły szerzyć się pogłoski, że są oni w posiadaniu boskiego, tajemniczego talizmanu, **qalfatir**. Krwawego Kręgu.

- Co to był za talizman?

- Mówi się o papirusie, który jakoby wyszedł spod ręki Chrystusa. Tekst, napisany podobno krwią świętego ibisa, podawał w wątpliwość prawdziwość historii Mesjasza, takiej, jaka nam została przekazana.

Nathan poczuł ogarniający go chłód.

- Co ojciec przez to rozumie?

- Z tekstu wynikało, że Jezus nie był opisywanym w Biblii emisariuszem pokoju, ale podobnym do samarytańskich rebeliantów i ze-lockich zabójców wojennym przywódcą walczącym przeciwko Kajfaszowi i panowaniu Rzymian. Mówiąc językiem współczesnym, znaczyłoby to, że był żydowskim fundamentalistą, wydającym wyrok śmierci na każdego, kto nie podporządkował się prawom Mojżesza. Tekst ten miał stanowić wezwanie do walki zbrojnej. Na prośbę Mesjasza Bóg jakoby rozkazał aniołom przybrać cielesne powłoki Antoniego z Cezarei i jego mnichów, by kontynuować dzieło Chrystusa i doprowadzić do końca walkę przeciwko ciemności, utożsamianym

ze złymi mocami. Jest niewiele śladów aktów przemocy, dokonanych przez tych ludzi, ale ponoć każdy swój czyn podpisywali kręgiem z krwi.

- Proszę, niech ojciec mówi dalej...

- Kiedy cesarz Konstantyn ogłosił wolność religii, wojowniczy mnisi gdzieś przepadli wraz ze swoim talizmanem. Wydaje się jednak, że ten ruch wywarł wpływ na następne pokolenia, które w czasie muzułmańskich najazdów wielokrotnie doprowadzały do burzliwych buntów. Te rewolty były zawsze krwawo tłumione i jedynym ich efektem było zmuszenie ludności chrześcijańskiej, odtąd nazywanej kop-tyjską, do milczenia, uległości i niewolnictwa.

- Ojca zdaniem Krwawy Krąg... przestał istnieć?

- Niezupełnie, on istnieje, ale w innej formie... Pełni funkcję klątwy, proroctwa. Podobnie jak Apokalipsa świętego Jana, zapowiadała śmierć tych, którzy zagrażali życiu chrześcijan w Egipcie. Wkrótce powróciły czasy prześladowań i legenda odżyła. Najstarszy ślad Krwawego Kręgu, w jego profetycznej formie, sięga panowania despoty z dynastii Fatymi-dów, kalifa Al-Hakim bi-amr Allaha, jednego z najokrutniejszych władców muzułmańskiego średniowiecza, który rozpętał przeciwko Koptom prześladowania noszące piętno szaleństwa. Zabójstwa, burzenie kościołów, konfiskata majątków... zmuszał również chrześcijan do ubierania się na czarno i noszenia na szyi ciężkiego krzyża. I raptem, w niedługim czasie potem, kalif i wielu tych, którzy brali udział w aktach przemocy, zmarło w wyniku jakiejś powolnej i tajemniczej choroby. Koptowie znani już byli wówczas jako czarownicy i odezwały się głosy oskarżające ich o wezwanie na pomoc aniołów. Ale kogo ukarać? Trzeba byłoby zgładzić cały naród... a w umysłach zakorzeniona już była obawa przed boską pomstą. Nikt nie został uznany za winnego, a chrześcijanie poczuli się odtąd chronieni przez własną legendę...

- Czy w historii odnotowane były podobne fakty?

- Bardzo często, kiedy ginęli Koptowie, wkrótce potem umierali muzułmanie.

- A w obecnych czasach?

- Niedawno, po starciach między chrześcijanami i muzułmanami, zdarzały się przypadki niewytłumaczonych zgonów, ale przypominam panu, że rozmawiamy o legendzie, i myślę, że chodzi tu o zwykły zbieg okoliczności.

- Wydaje mi się, że ojciec odczuwa obawę przed ową legendą. Duchowny zamilkł na moment, potem odparł:

- Obawiam się nie tyle samej legendy, ile tych, którzy ją podtrzymują.

- Może mi ojciec opowiedzieć o tych przypadkach?
- Wszystko tak naprawdę powróciło w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, za rządów Sadata, a potem Mubaraka, kiedy to rozbudził się wojowniczy integralizm muzułmańskich fundamentalistów. Pokój z Izraelem i niekończący się kryzys ekonomiczny, przypisywane nam przez ekstremistów, spowodowały gwałtowny wybuch terroru. W okresie ostatnich dwudziestu lat klątwa spadała niejednokrotnie.
- Przy jakich okazjach?
- Ostatnia sięga roku dwutysięcznego. W masakrach w Al Kocher zginęło czterdzieści osób, po czym, w niedługim czasie, dwie epidemie malarii zebrały blisko trzysta ofiar spośród miejscowej ludności muzułmańskiej. Wszystkie te zgony potajemnie zostały złożone na karb klątwy.
- Nie uważa ojciec tych zbiegów okoliczności za... niepokojące?
- Młody człowieku, po wielu, bardzo wielu innych aktach terroru nie było tego rodzaju następstw.
- Ale jednak się zdarzały...
- Aleksandria znajduje się na pograniczu dwóch światów, nasze poglądy są bardzo odległe od światopoglądu panującego na Zachodzie. Jak już panu wspominałem, zabobony są głęboko zakorzenione w naszej społeczności, a muzułmanie są na nie szczególnie podatni. Sądzę, że niektórzy Koptowie chcą wierzyć lub raczej umacniać innych w przekonaniu o realności prorocтва Kręgu, by odstraszyć inte-grystów i tym samym powstrzymać ich od zbrodni. Ja sam nie jestem zwolennikiem takiego rozwiązania, które jedynie podsyci nienawiść i przemoc. Moim zdaniem zbawienny jest tylko rzetelny dialog, w którym znajdzie się miejsce na tolerancję i otwartość. Nathan znienacka zmienił temat.
- Mam, ojczu, jeszcze jedno pytanie... Co ojciec wie na temat Ab-basa Moraqusa?
- Mówi pan o założycielu One Earth? -Tak.
- To jedna z najznakomitszych postaci w naszej społeczności.
- Czy to znaczy, że jest Koptem?
- Tak. To człowiek bogaty i wpływowy, bardzo wiele uczynił dla naszych kościołów i klasztorów, a także dla najuboższych. I nie mówię tu o jego organizacji humanitarnej.
- Jakie są jego powiązania z władzami państwowymi?
- Moraqos zawsze był blisko raisów, czyli głów państwa. Naser, Sadat, Mubarak darzyli go dużym szacunkiem. Nigdy nie wypadł z łask, jak to się stało z wieloma innymi osobistościami koptyjskimi.

Niektórzy członkowie naszej społeczności oskarżają go o współpracę z muzułmanami, ale moim zdaniem jest to jego sposób walki z istniejącymi nierównościami.

- Wie ojciec, gdzie on mieszka?

- Nie wiem. Z czasem coraz rzadziej pojawiał się publicznie, w końcu zupełnie przestał. Od wielu już lat się nie pokazał...

- Co ojciec wie o jego przeszłości? Skąd wziął taką fortunę?

- Zrobił karierę w służbie zdrowia armii egipskiej, potem przejął kierownictwo nad przedsiębiorstwem farmaceutycznym Eastmed, założonym przez jego ojca.

Produkuje sześćdziesiąt procent leków sprzedawanych w całym Egipcie...

- Laboratorium farmaceutyczne? -Tak...

Ta nowa rewelacja Darwisha wykazała kolejne powiązania elementów łamigłówki.

Dawny lekarz wojskowy... Laboratorium... Przeróżny łańcuch śmierci, o precyzyjnie działającym mechanizmie, zarysował się w wyobraźni Nathana niczym misterna plecionka.

- Z jakiej przyczyny się pan nim interesuje?

- Zwykła ciekawość.

- W porządku. Muszę już pana pożegnać. Czy znalazł pan odpowiedzi na nurtujące go pytania?

- Nawet więcej, niż może sobie ojciec wyobrazić. Bardzo dziękuję za poświęcony mi czas.

Nathan pożegnał starca i wszedł na schody, gdy znowu usłyszał za plecami drżący głos.

- Młody człowieku...

Zatrzymał się na stopniu i odwrócił twarz w kierunku krypty. Blask woskowych świec wydawał się migotać niczym płynne złoto na ornamentach i głęboko pooranej zmarszczkami twarzy starego duchownego.

- Nie wiem, kim pan jest ani czego szuka, ale niech się pan strzeże cieniów, które pan napotka na swej drodze...

- Dlaczego?

Ponieważ między nimi jest cień pańskiej śmierci.

Nathan był niezmiernie rozgorączkowany.

Musiał jak najszybciej sprawdzić zebrane wiadomości. W pierwszej chwili pomyślał, żeby zadzwonić do Rhody albo spróbować skontaktować się z jakimiś członkami One Earth, żeby sprawdzić, czy to, co mu ewentualnie powiedzą, będzie się pokrywało z jego własnymi informacjami. Ale to by mu nic nie dało. Środowisko było zbyt hermetyczne. Rozmyślił się więc, zatrzymał taksówkę i pojechał prosto do hotelu. Kiedy wszedł do swojego pokoju, natychmiast zasunął zasłony, pogrążając pokój w półmroku.

Informacje, które zdobył od Darwisha, miały ogromne znaczenie, a Nathan posiadał przewagę nad duchownym: wiedział, że Krwawy Krąg nigdy nie stanowił legendy. W jego świadomości właśnie dopasowały się ostatnie elementy układanki. Był już o krok od rozwiązania, czuł to.

Pozostał mu do sprawdzenia jeszcze tylko jeden szczegół.

Włączył komputer, przez łącze telefoniczne wszedł do Internetu.

Jeśli jego podejrzenia są uzasadnione, znajdzie potwierdzenie swoich przeczuć. I wówczas zdoła zdemaskować pobudki, którymi kierują się zabójcy.

Kiedy na ekranie wyświetliła się strona, kliknął ikonę wyszukiwarki, potem wpisał kilka słów-kluczy:

Prześladowania - Chrześcijanie - Pakistan - Bośnia - Egipt

Kliknął w ikonę SZUKAJ.

Komputer przetwarzał dane przez dłuższą chwilę, ale kiedy na ekranie ukazała się witryna z wynikami, Nathan przekonał się, że jego strzał był celny. Kilka stron linków odsyłało go do artykułów prasowych na temat prześladowań chrześcijan na całym świecie. Machinalnie przewinął stronę, potem kliknął na jeden z nich, artykuł w elektronicznym wydaniu „Times'a” z 26 lutego 2002 roku.

Nasilenie prześladowań mniejszości chrześcijańskich na świecie
Wspólnie opracowany przez kilka organizacji na rzecz ochrony praw człowieka
raport przedstawia alarmujący bilans nasilających się ustawicznie w świecie
prześladowań chrześcijan.

W krajach inkryminowanych - Chinach, Indiach, Pakistanie, Wietnamie, Iranie, Nigerii, Sudanie - chrześcijanie na co dzień są narażeni na represje, od niewolnictwa po głodzenie, zabójstwa, grabieże i tortury.

Mimo rozpadu bloku komunistycznego, do którego w ubiegłym wieku ograniczała się dyskryminacja chrześcijan, dziś powraca ona niby przerażające echo jednego z najczarniejszych okresów współczesnej historii. Chociaż mamy tu do czynienia ze zbrodniami przeciwko ludzkości, mechanizm ich odbiega od aktów ludobójstwa, gdyż te bardzo rozpowszechnione prześladowania są obecnie zręcznie maskowane przez konstytucje, wojny etniczne, a także często nie są znane społeczeństwom ani samemu Kościołowi.

Autorzy tego raportu nie zadowolają się jednak samym ujawnieniem faktów, dostarczają również analizy zróżnicowanego procederu prześladowań, które każdorazowo wpisują się w kontekst historyczny, polityczny i religijny.

Ponadto odróżniają częściową odpowiedzialność państw od odpowiedzialności grup fundamentalistycznych, takich jak na przykład RSS (Narodowy Hinduski Korpus Ochotników) w Indiach czy Ja-maat-e-Islami w Pakistanie.

W odniesieniu do „Kościołów domowych” (tajnych), protestanckich w Henan i katolickich w Hebei, zagrożenie jest czysto polityczne. Chrześcijaństwo uważane jest przez Pekin za „wyznanie złowieszcze”, miejsca zgromadzeń jego wyznawców są unicestwiane, a duchowni wtrącani do więzienia.

Drugim podłożem prześladowań jest nacjonalizm. Indie, państwo laickie, zmieniły swoje stanowisko w tej kwestii po dojściu do władzy nacjonalistycznej Indyjskiej Partii Ludowej, BJP, w 1998 roku. Od tej pory chrześcijanie padają regularnie ofiarą ekstremistycznych, bliskich rządowi, organizacji. Kościoły są wysadzane w powietrze, Biblie palone, księża mordowani przez nacjonalistów, utożsamiających chrześcijaństwo z poważnym zagrożeniem dla kultury hinduskiej, a nawet bytu państwa.

W niektórych krajach afrykańskich napięcia mają podłoże etniczne. Tak się dzieje w Sudanie i w Nigerii. W tym ostatnim państwie, mimo że jego konstytucja gwarantuje wolność wyznania, paradoksalnie każda religia jest zakazana, mnożą się starcia pomiędzy wyznawcami różnych

religii. Od 1999 roku islam coraz bardziej się rozprzestrzenił w prowincjach północnych, czego konsekwencją są walki wyznaniowe - tysiąc pięciuset zabitych chrześcijan w Kadunie, w 2000 roku - to jedno z najgroźniejszych starć od wojny z Biafry. Na całej północy Nigerii, dokąd chrześcijanie z południa zostali zwabieni pracą przy eksploatacji złóż ropy naftowej, panuje stan ogólnego niepokoju i zagrożenia.

Chociaż raport ten nie wymienia wszystkich wypadków prześladowań, nie figurują w nim chrześcijańskie ofiary masakr w Algierii; atakowani od wielu miesięcy przez islamskie bojówki chrześcijanie z archipelagu Molu-ków (Indonezja); ofiary częstych zamieszek antychrześcijańskich w Egipcie; ludzie aktywnie zaangażowani w walkę z ubóstwem w Ameryce Środkowej czy Łacińskiej (na przykład siedmiu jezuitów zamordowanych w Salwadorze w 1989 roku czy ojciec Burin des Roziers, któremu grożono śmiercią w Brazylii) - to jednak ujawnia on bezkarność państw, w których takie akty zostały wykryte, a z których część utrzymuje przyjazne stosunki dyplomatyczne i gospodarcze z mającymi czyste ręce przywódcami potężnych demokracji zachodnich.

Następny link skierował go do przeglądu przypadków prześladowań zaistniałych na świecie w okresie ostatnich pięciu lat.

Pakistan: W latach 1998-1999 odbyło się ponad siedemdziesiąt procesów sądowych za bluźnierstwo, na podstawie prawa zakazującego wszelkich „wrogich stwierdzeń” skierowanych przeciwko prorokowi Mahometowi i Koranowi, a przewidującego nawet karę śmierci. Po skazaniu na śmierć pewnego chrześcijanina w 1998 roku Jego Wielbność John Joseph, biskup Faisalabadu, odebrał sobie życie przed sądem w Sahiwalu, by wstrząsnąć międzynarodową opinią publiczną.

Chiny: W prowincjach, w których ustawodawstwo religijne zostało zaostrzone (Zhejiang, Fujian), chrześcijanie odmawiający przystąpienia do Stowarzyszenia Patriotycznego (katolickiego) lub do Ruchu Trzech Autonomii (protestanckiego) są zastraszani i prześladowani. Oficjalne władze burzą kościoły i świątynie, zamykają w więzieniach biskupów: Jego Wielbność Han Dingxiang, w 1999 roku; Jego Wielbność Jacques Su Zhemin, więziony od 1997 roku. W sumie czternaście odłamów protestanckich zostało uznanych za „wyznania złowieszcze”, a ich przywódcy uwięzieni.

Wietnam: Oskarżane o wrogie nastawienie do władz mniejszości etnicznej, na przykład H'mong, są systematycznie nękanne. Siły porządkowe nakładają na wiernych grzywny i zmuszają do podpisywania oświadczeń, w których wyrzekają się oni religii chrześcijańskiej. W ostatnim

czasie chrześcijanie H'mong zostali zmuszeni do wypicia wymieszanej z wódką ryżową krwi kurcząt ofiarnych, by okazać w ten sposób, że wyrzekają się swej wiary.

Egipt: Oburzenie wśród diaspory koptyjskiej na wiadomość o wyroku wydanym przez sąd w Sohah, w Górnym Egipcie, który uniewinnił dziewięćdziesięciu dwóch z dziewięćdziesięciu sześciu oskarżonych w procesie o udział w zamieszkach w Al Koche'h. W styczniu 2000 roku dwadzieścia dwie osoby, w tym dwudziestu jeden Koptów, zostały zamordowane w tej wiosce, zamieszkannej w większości przez chrześcijan.

Nathan przetaił oczy i odchylił się na krześle, jakby chciał oddalić się od tych wszystkich okropności, opisywanych na monitorze komputera.

Sahawal, Pakistan, 1998: Al Koche'h, Egipt, 2000; prowincja Zhe-jiang, Chiny...

Informacje uzyskane od Darwisha, jak i te z Internetu, doskonale pasowały do raportu Derenne'a. Niektóre z epidemii wyodrębnionych przez wirusologa zdarzyły się niedługo po zbrodniach dokonanych na różnych społecznościach chrześcijańskich.

Tajemnica zabójców stała się teraz zrozumiała i aspekt religijny w połączeniu z wirusami nabierał logicznego sensu.

Ludzie z Krwawego Kręgu mścili się za prześladowania swoich współwyznawców. Obojętna postawa państw zachodnich i bezkarność administracji państw, w których dochodziło do prześladowań religijnych, tylko podsyciała ich nienawiść i poczucie krzywdy. Artykuł ten nadawał nowy wymiar prowadzonemu przez Nathana śledztwu. Zrozumiał teraz powody, które pchnęły tych, których tropił, do stworzenia nowej chimery z udziałem genów hiszpanki... Obojętność bogatych państw wobec masakr mniejszości chrześcijańskich. Cóż znaczą dla nich te społeczności wobec stawki, jaką są korzyści gospodarcze i geopolityczne nowoczesnego świata? Oto powód, dla którego mściciele zaatakowali obecnie Zachód... Obrawszy Rzym za pierwszy cel, uderzali w symbol, w samo serce chrześcijaństwa.

Nathan już dosyć się naczytał. Miał zamiar zamknąć laptopa, lecz zmienił decyzję. Instynktownie kliknął ikonę poczty elektronicznej. Czekająca na niego nowa wiadomość.

Od: Ashley Woods Do: Nathan Falh

Nathanie, nie miałem zamiaru szkodzić panu, chciałem tylko pomóc. Odtworzyłem ostatnie fragmenty Eliasa. Je-

268

stem bardzo zaniepokojony. Proszę do mnie jak najszybciej zadzwonić. Bardzo proszę. Nathan jeszcze raz przeczytał wiadomość. Jestem bardzo zaniepokojony. Co znaczyło to ostrzeżenie? Co się stało? Wyłączył komputer i spojrzął na telefon. Wzdragał się przed rozmową z Anglikiem, nie mógł jednak pozbawić się możliwości otrzymania istotnych informacji.

Po chwili wahania wybrał numer komórki Woodsa. Anglik nie odebrał.

Nathan zostawił krótką wiadomość i swój numer telefonu. Pięć minut później rozległ się dźwięk telefonu.

- Nathan? -Tak.

- Odebrał pan mojego maila?

- Tak i widziałem się z Darwishem. W co pan pogrywa?

- Niech pan da spokój, później się policzymy. Co powiedział panu Darwish?

A więc Woods nie rozmawiał z duchownym, pozostawił mu całkowitą swobodę działania.

- Potwierdził nasze podejrzenia dotyczące Koptów i na temat *modus operandi* zabójców.

- Czy to znaczy, że on wie, co to jest Krwawy Krąg?

Nathan streścił mu historię papirusu Antoniego z Cezarei i jego wojowniczych mnichów, legendę o aniołach i ich walce przeciwko ciemności.

- Ta walka, która wydaje się formą zbrojnego oporu w czasach, gdy istnieli mnisi - dodał w formie konkluzji - w ciągu stuleci przyjęła formę klątwy, która wypełnia się za każdym razem, gdy społeczność chrześcijańska w Egipcie spotyka się z zagrożeniem ze strony muzułmanów...

- A ta klątwa jest tajemniczą chorobą, spadającą na sprawców...

- Właśnie tak. Muzułmanie umierali podczas epidemii, które wybuchały po starciach z chrześcijanami i stało się tak również zupełnie niedawno, w dwutysięcznym roku, podczas masakry w Al Kocher, małym miasteczku na południu kraju... Zdaniem Darwisha to tylko legenda, aleja powiązałem różne fakty z listą Derenne'a i innymi masakrami chrześcijan na całym świecie. Niektóre z nich potwierdzają moje przypuszczenia. To nie może być zwykły zbieg okoliczności.

- Ale dlaczego chcą teraz uderzyć na tak wielką skalę?

- Postanowili ukarać Zachód za jego obojętność.

269

- To niesłychane...
 - Co się dzieje z ludźmi z Fiumicino?
 - Padają jak muchy. Umarło troje następnych. U pięciu pasażerów, którzy poddani zostali kwarantannie, rozwinęła się infekcja. Wygląda jednak na to, że zabezpieczenie kwarantanny było właściwe i epidemię udało się zlokalizować.
 - Władze niczego nie podejrzewają?
 - Nie. Wszyscy, łącznie z prasą, wierzą w nowy gatunek wirusa.
 - A Derenne?
 - Naraża się dla pana. Ciągle uważa, że zamieszani są w to Anglicy. W każdym razie znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Dużo ryzykuje, jeśli ktoś dowie się, że coś wiedział.
 - Tak, rzeczywiście. Nathan zmienił temat.
 - Niech mi pan teraz powie o manuskrypcie. Co takiego niepokojącego pan odkrył?
 - Elias opowiada, że jakiś chłopiec przyniósł mu żelazną kasetkę z małym kluczykiem zawierającą tajemniczy przedmiot. Wiele razy próbował ją otworzyć, ale mu się to nie udało. Dalej pisze, że zapadł na zdrowiu i jego stan ciągle się pogarsza. Myślę, że kluczyk był zatruty. Zabójcy musieli uszkodzić zamek w ten sposób, żeby trucizna wniknęła do organizmu Eliasa, gdy ten naciskał na metal.
 - Oni go...
 - Tak, Nathanie, oni go dopadli, tak jak dopadną pana. Im dalej zagłębiam się w tę historię, tym bardziej nabieram przekonania, że wasze losy są ze sobą powiązane. Chociaż początkowo prześladowcy próbowali pana zabić, wydaje mi się, że teraz próbują wciągnąć pana w pułapkę.
 - Rozumiem pana obawy, ale są one nieuzasadnione, Ashleyu, tym razem wyprzedzam ich o całą długość.
 - Pan nic nie rozumie. Nie widzi pan, że historia Eliasa w przedziwny sposób pokrywa się z pańską? Począwszy od pewnego etapu jego śledztwa, każda wskazówka, którą odkrył, była celowo ustawiana na jego drodze. Tak jak pan, on również uniknął śmierci, tak jak pan, on również przebył całą drogę Zła, aż w końcu go zabili. Wkrótce przyjdzie kolej na pana.
- Nathan zignorował przestrożę i zapytał:
- To już wszystko, co dotyczy manuskryptu?
 - Nie, znalazłem coś jeszcze bardziej przerażającego. I o tym właśnie chciałem z panem porozmawiać.

-Co?
270

- Badając go pod kamerą cyfrową, która wychwytuje różne widma barw... dojrzałem niewidoczne pismo, palimpsest, nowy fragment w formie mistycznego dialogu, który niknął pod tekstem końcowych stron. To musiał napisać ktoś zdrowo stuknięty... Niech pan słucha.

Nathan usłyszał szelest przierzucanych kartek, a potem znowu głos Woodsa:

***Kimże jesteś, o przeklęty! Nigdy nie spotkałem na swej drodze kogoś
O tak dziwnym wyglądzie, tak świetlanego, czy przybywasz spomiędzy dżinów,
spomiędzy ludzi czy spomiędzy zmarłych?***

***Jam sługa Pana mojego, który dał mi władzę nad Afrytami*. Cóż to za władza?
Władza nad życiem i śmiercią wrogów Boga Najwyższego.***

***Czy to ty zabrałeś mnie spomiędzy żywych, czy to ty nękasz ziemię swymi
kłami, czy to ty żyjesz we wnętrzu świata? Czy to ty możesz zadać śmierć
uśpionym istotom, wysysając im język?***

O, synu Adama, jam jest ten, który od Boga posiadał tę władzę!

Gdzie masz swoje schronienie?

***Na Qalfatir, który nosi imię Jezusa, syna Boga Najwyższego, z racji mej
godności i mego imienia. Jakie jest twoje imię?***

O, synu Adama! Posiadam osiemdziesiąt imion, dla ciebie jestem Gafhail.

***Czemu przybywasz do mnie w godzinie mojej śmierci? Nie obawiaj się
niczego, nie będę cię gnębić większymi cierpieniami, przybyłem cię uwolnić,
wypij z tej czary. Czego ode mnie chcesz?***

***Przez Prawdę objawioną mi przez Boga, który zna misterium i tajemnicę, ciebie
wybrałem, wniknę w twoje ciało, Synu Adama, stanę się twoim duchem, ty zaś
będziesz moim obliczem, będziesz ramieniem dzierżącym miecz. Odrodzisz się
z popiołów, będziemy JEDNOŚCIĄ***

1 razem przemierzemy ciemność...

- To absurdalne... To... jakby powracał do życia - wyszeptał Nathan.

- Tak jakby ktoś, najwyższy duch, wstąpił w jego ciało...

- Gafhail...

- To na pewno koptyjskie imię archanioła Gabriela...

* Afryta - złośliwy demon w legendach arabskich (przyp. tłum.)

- A więc mamy potwierdzenie legendy Darwisha. Elias stał się jednym z nich... Stał się aniołem...
- Co by znaczyło, że manuskrypt należy do nich.
- Z pewnością, ale to wszystko zdarzyło się przeszło trzysta lat temu. Tracimy tylko czas, muszę wiedzieć, gdzie ukrywają się zabójcy, ten tekst nie zaprowadzi już nas donikąd.
- Myli się pan, Nathanie.
- Co ma pan na myśli?
- Moja pierwsza reakcja była taka sama, ale po namyśle zrozumiałem, że być może manuskrypt nie odkrył nam wszystkich swoich tajemnic.
- Wszystkich swoich tajemnic?
- Oparliśmy się wyłącznie na tekście, podczas gdy inne wyjaśnienia ukryte były gdzie indziej, na manuskrypcie jako materialnym przedmiocie.
- Nie bardzo rozumiem, proszę mi wytłumaczyć!
- Pobrałem z welinu całą serię próbek, które następnie przebadłem pod mikroskopem elektronowym. Zobaczyłem sporo interesujących rzeczy, kryształki soli, kurz, pleśń... Kiedy to wszystko klasyfikowałem, natknąłem się na dużą ilość pyłku kwiatowego.
- Jakiego?
- Adenium. To kwiat... kwiat pustynny, nazywany różą pustyni. Skoro na manuskrypcie znajduje się jego pyłek, manuskrypt musiał przebywać w rejonie, gdzie ten gatunek rośnie. W większości pyłki są całkowicie wysuszone i popękane. Co znaczy, że są bardzo stare. Ale są również inne, zupełnie świeże, jakby dopiero niedawno tam się znalazły.
- Czego to dowodzi?
- Ze manuskrypt pozostawał przez bardzo długi czas w tym samym miejscu i dopiero niedawno został stamtąd zabrany.
- To znaczy skąd?
- Teoretycznie adenium występuje w rejonach od Arabii Saudyjskiej aż po Afrykę Południową, ale tutaj mamy do czynienia z bardzo konkretnym podgatunkiem, **Adenium caillaudis**, który rośnie wyłącznie na bardzo małym terenie kuli ziemskiej... Jest endemiczny dla brzegów Nilu, na wysokości południowej części Pustyni Nubijskiej.
- W Nubii...
- Tak, dokładniej mówiąc, teren ten rozciąga się właściwie na północ od Chartumu, w Sudanie... Halo? Halo, Nathanie? Słyszysz mnie pan...?

Czarna, prosta droga, po obu stronach pustynia, falujące w ciemnościach kolorowe czarczafy kobiet, trzaski w radiu, wschodnie rytmy... Nathan siedział w autobusie, który z największą prędkością wiozł go na południe, do spalonej słońcem ziemi starożytnej Nubii.

Gdy nad miastem dzień chylił się ku zachodowi, gdy śpiewy mu-ezinów rozlegały się w złocistych blaskach zachodzącego słońca, Nathan spakował torbę i udał się na dworzec autobusowy Sidi Gaber, by wyruszyć przez Kair do Asuanu. Stamtąd będzie mógł przepłynąć przez Jezioro Namera i dostać się do portu Ouadi Halfa w Sudanie. Jadąc taksówką, ostatni raz spoglądał na rozbijające się o wysoki brzeg fale, których bryzgi mieszały się ze strzępami jego martwej pamięci. Nie miał sprecyzowanego poglądu na temat miejsca, w którym ukrywali się ci, których szukał, jednak ostatnie informacje Woodsa obudziły w nim przeświadczenie, że to było właśnie gdzieś tam, w samym sercu pustyni.

Bardziej niż kiedykolwiek dotychczas musiał kierować się instynktem, który doprowadzi go do ostatecznej prawdy.

Pracownik Upper Egypt próbował odwieść go od tej piętnastego-dzinnej podróży, ale Nathan zdawał sobie sprawę, że tylko w ten sposób dotrze w te rejony kraju, nie zwracając na siebie uwagi. Woods ostrzegał go, on sam był zresztą o tym przekonany, że zabójcy czekają na niego. Pierwszym miejscem, w którym się na niego zaczają, będzie lotnisko w Chartumie. I pojawienie się na nim byłoby jego ostatnim błędem w życiu.

Podróż autobusem trwała dwie godziny. Dwie długie godziny, w czasie których, wciśnięty między innych podróżnych, usiłował uporządkować myśli. Czuł już jednak, jak w jego udręczonej podświadomości lęgnie się natłok reminiscencji. Trzeba im tylko pozwolić wydobyć się na powierzchnię, trzeba dać im się przeobrazić.

Skoncentrował się na planie działania: wizę dostanie na granicy, kupi ją. Potem będzie musiał znaleźć kogoś, kto mu pomoże wynająć

jakiś samochód. Będzie też potrzebował broni, lekkiej i skutecznej. I amunicji. Potem pojedzie jeszcze dalej na południe, wzdłuż Nilu, do granic czarnej Afryki. Pewien był, że reszty dokona jego pamięć. Tym razem już go nie zdradzi, będzie niezawodna i doprowadzi go do nich.

O dwudziestej trzydzięci dostrzegł wieczorne światła przedmieść Kairu. Autobus skierował się do centrum miasta, na dworzec Turgo-man. Ledwo zdążywszy kupić sobie na drogę zapas wody mineralnej i coś do jedzenia, Nathan przesiadł się do innego, niemal pustego autobusu, który stał z już pracującym silnikiem. Trzy kwadranse zajął im wyjazd z zatłoczonego miasta. W końcu znaleźli się na szosie prowadzącej przez pustynię do Minieh, Assiout, Al-Balyana, Queneh... Zmęczony, zlany potem Nathan oparł się o brudną szybę autobusu i zapadł w głęboki sen. Kiedy białe, ogromne słońce znowu załało ziemię swym blaskiem, znajdowali się na północ od Luksoru. Nathan przetarł rękami zaspaną twarz.

Otoczyły go ostrzejsze wonie, upał był nieznośny. Fellachowie, biedni chłopcy, owinięci w wełniane płaszcze, szli w kurzu, z motykami w rękach, ku rozciągającym się wzdłuż Nilu łacom roślinności. Ludzie byli tu zupełnie inni i Nathan dostrzegał w ich spalonych słońcem twarzach zapowiedź Afryki osobliwej, starożytnej, odmiennej od tej, którą poznał w Kongo.

Do Asuanu dotarli tuż przed szesnastą. Odebrał swoją torbę ze schowka bagażowego i złapał taksówkę, która zawiozła go do strefy portowej, siedemnaście kilometrów na południe, za wielką tamą Sa-ad-al-Ali. Zapłacił za kurs i wyszedł na gorące, suche, niemal dławiące powietrze. Z zarzuconą na ramię torbą skierował się do głównego budynku, olbrzymiego hangaru, w którym mieściły się stanowiska kompanii żeglugowych.

Kraty wzmocnione na górze drutem kolczastym odgradzały strefę wolnościową. Za nimi, na gorących wodach Jeziora Nasera, widać było kotyszące się łodzie i zakotwiczone, pokryte rdzą statki towarowe. Wszędzie panował ożywiony ruch: sprzedawcy herbaty, chleba, kierowcy ciężarówek. Wzdłuż nabrzeży dziesiątki dokerów załadowywały i rozładowywały wszelkiego rodzaju towary. Wszędzie kręcili się żołnierze w piaskowych drelichach i beretach, z automatami w dłoniach, którzy kontrolowali każdego przechodzącego.

Nathan bez trudu znalazł stanowisko kompanii Nile Valley Navigation, którą polecił mu taksówkarz. Na tablicy informacyjnej za-

uważył swój rejs. Nie podano natomiast ani godziny, ani dnia. W zgiełku ludzkich głosów doszło go wołanie.

- Ty jedziesz do Abu-Simbel? Świątynia Ramzesa?

Odwrócił się i spostrzegł olbrzyma o długich kończynach, krótkim tułowiu i miedzianobrazowej skórze, ubranego w pokrytą czerwonym pyłem dzellabę. Zbliżał się do niego, trzymając w ręku kwitariusz. Nathan odpowiedział po angielsku:

- **No**, Wadi-Halfa.

OK, Wadi jutro godzina czternasta. Paszport, świadectwo szczepień.

Nathan podał dokumenty. Mężczyzna machinalnie je przekartkował, gryzmołąc jednocześnie dane konieczne do wystawienia biletu. Na reakcję nie trzeba było długo czekać.

- Gdzie jest wiza?

- Chciałem ją załatwić na miejscu.

- Niemożliwe, trzeba do ambasady Sudanu. Nie ma wizy, nie ma biletu!

- A tutaj, w Asuanie jest konsul?

- Zamknięty od dwóch lat, trzeba jechać do Kairu.

- Do Kairu! Ależ ja stamtąd właśnie przyjechałem!

- To twoja sprawa!

Olbrzym podał bilet, zwrócił mu dokumenty i odszedł, szukając innych klientów. Zaczynały się kłopoty.

Nathan musiał znaleźć sposób, żeby jak najszybciej przedostać się przez granicę. Szykował się, by poszukać innego sprzedawcy, kiedy zauważył, że z paszportu wystaje jakiś pomięty kawałek papieru.

Dyskretnym ruchem wyciągnął go z ciemnoczerwonej książeczki i obejrzał. Olbrzym napisał mu krótką wiadomość:

Za dużo wojskowych.

Spotkajmy się za godzinę przed dworcem kolejowym. Każdy problem można rozwiązać. Inch'Allah.

O siedemnastej trzydzieści Nathan był pod dworcem. Olbrzym czekał na niego.

Wziął go za ramię i wsadził do dużego landrovera.

- Przepraszam za to przedstawienie. Nie mogłem inaczej. Wojsko nas pilnuje, są w ciągłym pogotowiu z powodu terrorystów.

- Nic nie szkodzi.

- Nazywam się Hicham. A ty Nathan? -Tak.

- Nie jesteś turystą! -Nie.
- Jesteś wojskowym?
- Też nie. Masz mi coś do zaproponowania?
- Owszem. Jest kilka możliwości. Mogę cię przewieźć autem przez pustynię. Szybki sposób, ale ryzykowny. Możemy też przepłynąć się przez jezioro. Zajmie nam to dwadzieścia cztery godziny, ale to najpewniejsza droga.
- Jak już będę po tamtej stronie, nie będę miał problemów, żeby poruszać się bez wizy?
- Dostaniesz wizę. Jestem Sudańczykiem i wszystko załatwię.
- Ile?
- Czteryście dolarów.
- Jak ma przebiegać transakcja?
- Połowa sumy teraz, druga połowa po dotarciu na miejsce.
- Wykluczone. Zapłacę, kiedy będę miał w rękach podstemplowany paszport.
- Przykro mi, bracie, to niemożliwe.
- Nie jestem twoim bratem. Straciliśmy tylko czas. Do widzenia. Nathan otworzył drzwiczki samochodu.
- OK, OK, przyjacielu, płacisz po dotarciu na miejsce! - powiedział Hicham, uśmiechając się szeroko.
- Skąd mam mieć pewność, że mnie nie wykiwasz?
- Wiesz, jaka jest średnia płaca w Sudanie? Jesteśmy honorowi. Masz przy sobie wszystkie swoje rzeczy?
- Tak.
- Co tam będziesz, bracie, robił?
- Na twoim miejscu - odpowiedział Nathan - unikałbym takich pytań.
- OK, to ty jesteś szefem. Jedziemy!
Hicham włączył silnik i spokojnie wjechali na drogę ciągnącą się wzdłuż jeziora. Kiedy zapadła noc, omijając posterunki policji, skręcili w kierunku pustyni i wjechali na szosę prowadzącą do Abu Sim-bel.
Po dwóch godzinach jazdy olbrzym gwałtownie zjechał z szosy w drogę prowadzącą do rybackiej wioski nad jeziorem. Zostawili samochód przy wjeździe do osady i ostatnie metry dzielące ich od brzegu przeszli pieszo. Niebiesko-biała feluka z opuszczonym ożaglowaniem czekała na nich w ciemności, wbita dziobem w piaskową ławicę. Hicham ściągnął buty, wskoczył na pokład i kazał Nathanowi zająć

miejsce pomiędzy sieciami, przesiąkniętymi odorem stęchlizny i suszonych ryb. Zręcznym ruchem złuzował cumy, po czym gołą stopą odepchnął łódź od brzegu. Pod wpływem lekkiego podmuchu wiatru żagiel stuknął, wzdał się i w całkowitej ciszy wypłynęli na czarne wody jeziora.

Wkrótce Nathan zauważył zarysy innych feluk, które niczym milczące widma ślizgały się po falach, a ich żarowe kosze czerwieniały w ciemnościach.

W tej chwili myślał o Nilu, mającym swe źródło kilka tysięcy kilometrów na południe w ciężkich, równikowych oparach, o miliardach kropli deszczu spływających na afrykańską ziemię, by wymieszać się ze łzami i krwią ludzi. Myślał o tym wszystkim, płynąc w górę tej potężnej rzeki, po to, by unicestwić źródło Zła.

Następnego dnia, koło dziewiątej wieczorem, dotarli do wybrzeży Sudanu. Płynęli całą noc i cały dzień, w zupełnej ciszy, pchani z odpowiednią prędkością chłodnymi podmuchami wiatru wiejącego od okalających jezioro zboczy. Ze wzrokiem utkwionym w horyzont, na którym wypatrywał wojskowych patroli, Hicham przygotował posiłek składający się z ryżu i suszonych ryb. Zjedli go ze smakiem w cieniu wielkiego, zniszczonego żagla.

Później, kiedy widoczne już były zarysy lądu, Nathan sądził, że dobiją do brzegu i dalszą drogę pokonają łodem, ale feluka w dalszym ciągu płynęła na południe. Jezioro, początkowo ogromne i niebieskie jak ocean, którego wybrzeży nie sposób dojrzeć, stopniowo zwężało się i teraz wpłynęli na bagniste, stojące wody Nilu. Wiatr osłabł, łódź wyglądała jak przyklejona do powierzchni wody. Nathan przyglądał się Hichamo-wi, który manewrując w kierunku zielonej roślinności na wybrzeżu, pokazywał mu coś w ciemnościach. Wyteżył wzrok i dostrzegł najpierw tylko kilka drżących światełek. Po chwili, kiedy od brzegu rzeki dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów, rozróżnił zarysy ogromnej cytadeli z obronnymi szanćcami usypanymi z brunatno-czerwonej ziemi.

Przewoźnik podprowadził łódź do skarpy porośniętej wielkimi, schodzącymi aż do wody drzewami. Przeskoczył przez burtę i wyciągnął dziób na piasek. Nathan chwycił swoją torbę i również wysiadł na brzeg.

- Tutaj mieszkam - powiedział Hicham. - Zostaniesz tu do czasu, aż będziesz miał załatwione papiery. Możesz się umyć, zjeść i przespać.

- Kiedy dostanę wizę?

- Dziś wieczorem. Uprzedziłem o naszym przyjeździe, będzie oficer imigracyjny z Wadi. On przyjechał na święto i zajmie się twoim paszportem.

- JaYae święto!"

- Będzie wielki ślub. Chodź ze mną!

Podczas gdy wspinali się w kierunku wátów miasta, zaczęły ich dochodzić wzmagające się, rytmiczne dźwięki muzyki. W mieście wrzało. Przed wielką bramą zebrał się tłum mężczyzn. Nathan słyszał głucho uderzenia bębnow, gwizdy trzcinowych piszczałek, chrapliwe okrzyki śpiewaków. Ponad nim rozpościerało się nocne, ogromne, usiane gwiazdami niebo, a zimny blask księżycy mieszał się z bursztynowym światłem oliwnych lamp rozstawionych wzdłuż murów.

Kiedy weszli do miasta, kilkunastu mężczyzn otoczyło Hichama i serdecznie go uściskało. On ze swej strony również ich pozdrowił, po czym wprowadził Nathana w labirynt uliczek o bitej nawierzchni. Wyciągnięte na matach kobiety, na których czarnej skórze błyszcząły błękitne paciorki, popijały herbatę, śmiejąc się dźwięcznymi głosami. Nie zwracały na niego żadnej uwagi, zupełnie jakby był jednym z nich.

Hicham otworzył jedną z chat, w której złożyli swoje rzeczy, i poszli dalej, zanurzając się w zgiełku.

- Możemy tu tak wszystko zostawić? - spytał Nathan.

- Tutaj panuje **szarfat***, ukradniesz owoc, obcinają ci dłoń.

- To bardzo drastyczne!

- Ale skuteczne.

Im dalej zagłębiali się w miasto, tym odgłosy bębnow stawały się głośniejsze, dudniąc teraz jednostajnie jak bijące serce. Ludzka wrzawa wzmagala się, wibrując wśród kruchych ścian domów. Doszli w końcu do dużego, okrągłego placu wypełnionego falującym w blasku pochodni, wielobarwnym tłumem.

Weszli pod sklepienie splecione z gałęzi palmowych, pod którym zasiadali starzy mężczyźni wyglądający na dostojników. Naśladując swego towarzysza, Nathan uniżenie każdego z nich pozdrowił, po czym usiedli na dużym, wełnianym, białoszarym dywanie. Młode kobiety przyniosły parujące czarki, cienkie jaglane podpłomyki, gliniane dzbany z mlekiem, miodem i orzeźwiającym naparem z kwiatów hibiskusa. Częstowali się potrawami, a Hicham gawędził z ziomkami. Po chwili podniósł się i szepnął Nathanowi:

- Pójdę załatwić nasze sprawy. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Broni.

Przewodnik nie okazał najmniejszego zdziwienia, słysząc to nowe życzenie.

* **szari'at** - prawo islamskie (przyp. tłum.)

I

- Jakiej? Może być kałasznikow?
- Nie, pistolet, coś niezawodnego, precyzyjnego, glock, walther, sig-sauer...
- Nie mogę zagwarantować, że znajdę coś tak wyrafinowanego... To wszystko?
- Przynieś mi też dętkę rowerową...
- Zobaczę, co się da zrobić. Tylko nie ruszaj się stąd. Hicham zniknął, a chwilę później rozpoczęła się ceremonia. Muzyka ucichła, zaległa przerywana tylko szeptami cisza, potem

tłum rozdzielił się na dwie części, tworząc duży krąg. Pojawili się dwaj młodzi mężczyźni, dumni oblubieńcy ubrani w białe tuniki. Czoła zdobiły im jaskrawoczerwone opaski, na których wyszyty był złoty amulet. Po przeciwnej stronie, na rzeźbionych drewnianych tronach siedziały milczące panny młode, obwieszane srebrnymi ozdobami. Muzyka rozbrzmiała ponownie.

Oblubieńcy zaczęli krążyć po wewnętrznej stronie kręgu. Grający na bębnach uderzali w swoje instrumenty ze skóry i drewna, najpierw powoli, potem przyspieszając rytm, w miarę jak młodzieńcy zwiększali tempo. Ci zaś, kręcąc się w tańcu, wydawali głuche, przeciągłe pohukiwania, którym towarzyszyły suche traskania palcami i przemawiali do gości podekscytowanych krążącym koszem, do którego każdy wrzucał pieniądze.. Gdy rytm stawał się coraz szybszy, tłum ,stopniowo włączał się do tańca.

Mężczyźni, wprawiani w trans monotonnymi uderzeniami bębnów, zaczęli wkrótce wybijać rytm gołymi stopami na ubitej ziemi. Tymczasem po przeciwnej stronie kobiety, z odchylonymi do tyłu głowami, z wywróconymi oczami, niemal nieruchome, zaledwie lekko drżąc, wyciągały dłonie w ciemność nocy, jakby chcąc dać ujście przenikającym je gwałtownym rytmom. Od czasu do czasu któraś wydawała okrzyk podobny do dźwięku piszczałek. Największe jednak wrażenie wywierało wydobywające się z ich gardła chrapliwe sapanie, niczym wyraz wewnętrznego rozdarcia, wzbijający się w niebo potężny śpiew cierpienia. Twarze i kończyny muzyków pokryły się drobnymi, migoczącymi kropelkami; wyglądali, jakby stopniowo wyłączali się z tego świata. Owładnięci transem, podskakiwali na miejscu, unosząc wysoko nogi, by za chwilę, wznosząc wokół siebie tumany kurzu, opaść na ziemię niczym zranione ptaki.

Rozedrgane od coraz to mocniejszych dźwięków powietrze wydawało się wprost dygotać razem z tancerzami. Poruszony spektaklem Nathan powoli tracił poczucie rzeczywistości i odpływał ku niebu i wiatrom, łącząc się z nimi w jedność. Otaczający go ludzie i sceneria

zniknęli, ustąpili miejsca piaszczystej, wypełnionej oparami otchłani. Oddech tancerzy przenikał go i rozchodził się po całym ciele, rozbudzając powoli świadomość własnej egzystencji. Rozgorączkowane zmysły gwałtownie czegoś poszukiwały... Sen... Obrazy z jego snu zaczęły powracać wyraźniejsze, wypełniać się odczuwalnymi wrażeniami, dręczącym niepokojem... Zaciśnął powieki...

Ognistoczerwona góra odbija blask księżyca... Wznosi się stromo ku rozgwieżdżonemu sklepieniu, na końcu piętrzy się skalisty, urwisty szczyt, z wierzchołkiem pokrytym złotem... Piramidy... małe... brunatne... kanciaste... Wydobywający się z ciemności głos wola go po imieniu... Na-than... Nathan... Wiatr wzmagą się, unosi tumany piasku... Podziemie, jasne ściany, wrzaski ginące w nocnych ciemnościach. Nathan... Nathan... Rozdzierający ból rozsadza czaszkę, płuca... dusi się...

- Nathanie! Nathanie!

Jakiś głos go wzywał, jakieś ręce potrząsały za ramiona. Hicham...' to był Hicham, wrócił! Otwierając oczy, Nathan natychmiast powrócił do rzeczywistości. Dostojnicy przyglądali mu się w osłupieniu...

- Co się z tobą dzieje? Dobrze się czujesz, Nathanie?

- Tak... teraz już wiem. Wiem, czego szukam... Mówił na głos, ale zwracał się do samego siebie.

- Co? Czego szukasz?

Nathan wyprostował się, zanurzył palec w pokrywającym ziemię pyłe i nakreślił kilka linii, próbując jak najwierniej odtworzyć kształty góry i małe piramidy, wszystko to, co mu się objawiło...

- Znasz to miejsce?

- To przypomina...

- Dżabal Barkal! Dżabal Barkal! - Przerwał raptownie któryś ze starców, jednym dmuchnięciem zacierając wyrysowane przez Natha-na linie. Potem wybuchł gwałtownym, nieopanowanym potokiem słów w dialekcie nubijskim, wymachując mu przed twarzą długimi, kościstymi rękami.

- Gdzie to jest?... Co on mówi? - niecierpliwił się Nathan.

- To cmentarzysko Napata, niedaleko Karimy. Mówi, że tam nie można jechać, że to niedobre miejsce...

- Dlaczego?

- Chyba nie chce o tym mówić...

- Spytaj go o to, bardzo proszę!

Hicham wypowiedział kilka słów do starca, który zdjawszy z głowy bawełnianą myckę, spojrział ponuro przed siebie, a po chwili wdał

się w nowe, jeszcze bardziej gwałtowne wywody. Nathan skupił się na jego czarnej, grubo ciosanej twarzy, poranej zmarszczkami i naznaczonej nabrzmiałymi żyłami.

- Istnieje klątwa! - tłumaczył Hicham. - To z powodu ducha czarnych faraonów i boga Amona, którzy krążą jeszcze we wnętrzu góry.

- Czarni faraonowie?

- On mówi, że to już koniec i nic więcej nie powie.

- Hicham! - Nathan zdał sobie sprawę, że podnosząc głos, zwraca na siebie uwagę.

Pochylił głowę na znak szacunku i powiedział szeptem: - Ja muszę wiedzieć.

- Nie możesz w ten sposób się zachowywać, ten człowiek jest wielkim mędrce, bez jego zgody nie mógłbyś tu pozostać...

Ale zanim jeszcze przewoźnik dokończył zdanie, gardłowy, urywany głos starca, tym razem znacznie spokojniej, podjął swój monolog.

- Piramidy te - tłumaczył Hicham - to grobowce królów kuszyc-kich, czarnych faraonów. Nazywano ich tak, gdyż pochodzili z Afryki i mieli „spalone” twarze. W tłumaczeniu z greki „etiopski” znaczy „mający spaloną twarz”. Szczątki ich królestwa rozciągają się wzdłuż Nilu, między El-Kurru i Meroe. Znajdują się tam ślady dawnego, zadziwiającego świata, który wzrastał w potęgę jednocześnie z egipskimi faraonami. Dwa królestwa tak niezmiernie do siebie podobne, a zarazem tak odmienne. Podobnie jak władcy północy, czcili oni bo-

, ga Amona, ale również swojego własnego, strasznego boga Lwa, Ape-demeka.

Królowie Egiptu spoglądali złym okiem na tych ludzi, obawiając się, że ów zarodek cywilizacji może stać się dla nich zagrożeniem. Dlatego też w bardzo, bardzo dawnych czasach, znacznie wcześniej, niż narodził się wasz Chrystus, faraon Tutmosis rozpoczął falę represji na niespotykaną dotychczas skalę. Podobno od tamtego czasu Dżabal Barkal, „czysta góra”, stała się święta.

Nathan zatopił wzrok w oczach starca, zachęcając go do kontynuowania opowieści.

Starzec podjął przerwany temat, a Hicham tłumaczył:

- Egipcjanie założyli tam kolonię. Postawili wspaniałe budowle, założyli miasto, przez które przewożone były najdroższe towary z czarnej Afryki: złoto, klejnoty, futra dzikich zwierząt... Tymczasem, chociaż góra promieniała przepychem, w cieniu jej zbocza dojrzywał już duch buntu.

Niemal cztery stulecia później, wykorzystując słabość dynastii Ra-messydów,

Kuszyci chwycili za broń, odzyskali niezależność i z cza-

sem stali się tak potężni, że postanowili przesunąć się na północ i podbić Egipt. To był początek dynastii Pianchi, potem nastąpiła dynastia Szabaki, później jeszcze inne, aż do Taharka. Czarni faraonowie, władcy barbarzyńscy i nieposkromieni, królowali sobie jak udzielni monarchowie w swoim imperium rozciągającym się od Morza Śródziemnego po czwartą kataraktę. Ale chociaż żyli w Egipcie, nigdy nie zapomnieli swoich korzeni i zawsze wracali umierać na własnej ziemi. Dlatego też, nawiązując do tradycji starożytnego Egiptu, wybudowali wówczas swoje pierwsze piramidy.

- Ale dlaczego to była święta góra?

Mędrzec wyciągnął palec w kierunku zatartego na ziemi rysunku.

- Pamiętasz spiczasty wierzchołek góry, który tutaj narysowałeś? - wyszeptał Hicham. - Miejskowa legenda głosi, że faraonowie unosili się w przestworza, by przyozdobić go złotem i wyryć na nim swoje imię... Jeśli popatrzeć na tę skałę z boku, można w niej dostrzec królewski posąg w białej koronie, wielkiej koronie Górnego Egiptu. Dzięki temu zjawisku faraonowie wierzyli, że Dżabal Barkal skrywa w swoim wnętrzu boga Amona. To dlatego w przeciwieństwie do faraonów egipskich, którzy nosili koronę z jednym **uraie**, to znaczy z wizerunkiem jednej kobry, królowie napatyjscy ukazywali na swojej koronie dwa węże. Przez obecność tej góry na swoich ziemiach uważali się za wybrańców i swoje królowanie przedstawiali ludowi egipskiemu jako powrót do pierwotnej, oryginalnej formy władzy faraonów, podając się za bezpośrednich spadkobierców wielkich, starożytnych władców. Stali się bardziej egipscy niż sami Egipcjanie.

Nathana oszołomiła rozległa wiedza starca.

- Skąd on to wszystko wie? - spytał Hichama.

- Dawniej był rabusiem grobowców. Przeszukał wszystkie cmentarzyska od El-Kurru po Meroe. Musiał poznać historię tych ludzi, żeby móc odnaleźć komory grobowe, których większość zniknęła pod zwałami piasku. Przez wiele lat nasze miasteczko miało dzięki niemu co jeść...

Nathan nie mógł się opędzić od myśli o powiązaniach między Koptami i faraonami, o swej wędrówce pod prąd biegu czasu, o swym przeznaczeniu prowadzącym do źródeł Nilu. Historia, którą właśnie usłyszał, przypominała inną legendę, o Krwawym Kręgu, opowiedzianą przez starego aleksandryjskiego duchownego. Obie opowieści przedstawiały tak ogromne podobieństwa, że nie można było ich zignorować.

Sposób, w jaki Antoni z Cezarei i jego wojowniczy mnisi osiedli na pustyni. Sposób, w jaki ten człowiek działał, czego sam się dopuszczał, docierając do źródeł własnej religii i pisząc ponownie hi-

storię Chrystusa, dostosowawszy ją do siebie, na własne potrzeby. Cóż za głęboka żądza władzy, mocy, jedności z duchem świętym... Kolejne pytania kłębiły mu się w głowie.

- Spytaj go, co się stało, dlaczego uważa, że to jest przeklęte miejsce?

Hicham zwrócił się do mędrca i przekazał mu pytanie Nathana.

- Mówi, że grobowce wypełnione są kosztownościami, ale rabusie, którzy do nich się dostali, nigdy nie wrócili. Mówi, że sam żyje tylko dlatego, że nigdy tam nie poszedł. Nathanem wstrząsnął dreszcz. Kolejne podobieństwa. Tym razem nie z Koptami, ale z demonami obozu w Katala.

- Co on jeszcze wie o tej klątwie?

Z bijącym sercem Nathan przysłuchiwał się krótkiej rozmowie przewoźnika z mędrcom.

- Już nic więcej, powiedział wszystko.

- Na pewno nigdy tam nie był, niczego nie widział?

- Na pewno, Nathanie, nawet mieszkańcy Karimy nie odważyliby się na to, tylko mnisi mogą zbliżyć się do piramid...

Ostatnie stwierdzenie Hichama smagnęło go niczym bicz.

- Jacy mnisi? O czym on mówi?

- Mówi o Koptach z czarnego klasztoru, jedynej takiej społeczności na terenie Sudanu. Mieszkają u stóp czystej góry... Dżabal Barkal.

Następna klątwa, jej źródła tkwiące w starożytnym Egipcie, klasztor zagubiony gdzieś na krańcach pustyni. Wszystko układało się w logiczną całość.

Mnichami, o których mówił mędrzec, mogli być tylko ci, których tropił.

Anioły piasku, wichru, światła i nocy. Strażnicy Krwawego Kręgu.

Takie umiejscowienie stwarzało im nadzwyczaj dogodne warunki; z jednej strony dyskrecja - nikt nie podejrzewał, że to zapomniane. sanktuarium jest miejscem prawdziwie apokaliptycznych knoń - z drugiej strony brama prowadząca wprost do czarnej Afryki, kontynentu, na którym mogli całkowicie bezkarnie testować swoje chimery. Nie było żadnych wątpliwości: do znikania rabusiów grobowców przyczynili się ci ludzie, niosący ze sobą śmierć. Wokół tego ciągnącego się przez stulecia koszmaru mordercy wytworzyli i ciągle regularnie podsycali atmosferę lęku.

Wmawiali ludziom, że w grę wchodzi działanie sił nadprzyrodzonych.

W końcu Nathan miał ich w swoich rękach. Przeczucie nie mogło go mylić.

- Czy ten klasztor... jest daleko stąd? - spytał Hichama.

- Siedem, osiem godzin drogi przez pustynię, może dłużej, jeśli się ugrzęźnie w piachu...

Nie było czasu do stracenia. Nathan ujął przewoźnika za ramię i szepnął mu do ucha:

- Musisz mnie tam zawieźć.

- Kiedy chcesz wyruszyć?

- Jeszcze dzisiejszej nocy!

Podziękowali mędrcom i dyskretnie się wycofali, by jak najprędzej przygotować się do wyprawy. W pierwszej kolejności musieli znaleźć odpowiedni samochód terenowy, potem kupili kanistry z benzyną,

zapas wody pitnej i wrócili do lepianki z gliny i gatęzi, w której wcześniej złożyli swoje rzeczy.

Dwie olejowe lampki oświetlały izbę, której podłogę stanowiło klepisko. Usiedli naprzeciw siebie na macie. Hicham podał Nathano-wi paszport.

- Wszystko załatwione, masz tu swoją wizę i zezwolenie na przemieszczanie się. Teraz możesz jeździć, gdzie tylko zechcesz.

Nathan sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z niej plik dolarów. Odliczył cztery banknoty studolarowe i podał je Hichamowi, który wziął je bez słowa.

- A co z pozostałymi rzeczami?

Przewoźnik pogmerał w swojej skórzanej sakwie i wyciągnął z niej trzy pistolety automatyczne, starannie owinięte szmatami. Zaczął je kolejno rozwijać.

- Cz 85, mauzer M2, jarygin: pierwszy jest czeski, drugi niemiecki, trzeci rosyjski. To wszystko, co udało mi się dostać. Jeśli cię to interesuje, mam jeszcze tłumik i dwa dodatkowe magazynki do mauzera.

Nathan dokładnie obejrzał każdy pistolet po kolei; szybko rozłożył, sprawdził części: zamek, spust, lufę, mechanizm... Wybrał mauzera, była to podstawowa wersja, ale wydawał się w najlepszym stanie, a jego kaliber 357 sig gwarantował położenie na miejscu rozpędnionego bawoła. Za takim wyborem przemawiał również tłumik, dwa magazynki i paczka amunicji.'

-Ile?

- Sześćset.

- Wezmę go za pięćset, i

- Jest twój.

Nathan odliczył pięć następnych studolarówek.

- Ile za samochód i dla ciebie, za zawieszenie mnie do Karimy?

- Nic. I tak wziąłem od ciebie dużo pieniędzy - odrzekł, uśmiechając się Hicham.

Nathan odwzajemnił uśmiech.

Napełnił magazynki mauzera nabojami, po czym owinął broń szmatą.

- Potrzebuję jeszcze tuniki, takiej jak twoja, chusty i sakwy. Muszę się wtopić w otoczenie.

- Możesz wziąć moje, będą pasowały. I nie zapomnij o dętce.

- Dziękuję. Dżinsy i koszulki są w mojej torbie, weź je sobie. Nathan wstał i spojrzął na zegarek.

- Jest druga rano. Wyruszamy za dwie godziny. Radzę ci się trochę przespać.

286

- Wiem, że nie lubisz pytań - odezwał się Sudańczyk, starannie chowając w fałdach dżelaby niedopałek papierosa - ale co masz tam zamiar robić?

- To długa historia. Bardzo mi pomogłeś i jestem ci za to wdzięczny, ale radzę ci, żebyś się do tego nie mieszał. Kiedy się to wszystko skończy, kiedy dowiesz mnie do Dżabal Barkal, wróć jak najszybciej do Asuanu i z nikim nie rozmawiaj na ten temat. Nigdy.

- Rozumiem - jednym słowem skwitował jego odpowiedź Hi-cham.

Obudzili się na krótko przed wschodem słońca. Na swoją odzież Nathan włożył ubranie Hichama, który z kolei ubrał się w rzeczy Na-thana. Przyglądali się sobie przez chwilę, nie mogąc pohamować śmiechu. Nathan spakował swoją nową torbę, włożył do niej broń i resztę rzeczy, lornetkę, aparat fotograficzny i sztylet. Przełożył skórzany pasek przez ramię i podniósł się.

Kiedy wyszli w chłód poranka, uliczki wydały im się dziwnie spokojne po nieopisanej wrzawie poprzedniego dnia. Ufortyfikowane miasteczko pogrążone było we śnie. Tylko kilka kobiet, przykucniętych przed małymi ogniskami z palących się gałązek, podgrzewało naczynie ze słodką herbatą, z których wydobywał się aromat kardamonu i imbiru, wymieszany z gryzącym zapachem szarego dymu. Obaj wypili po szklance tego słodkiego napoju. Potem załadowali bagaże do samochodu i wyjechali spod rzucających cień daktylowych palm, zostawiając za sobą kępy krzewów, bladezielone pastwiska, kierując się ku drodze prowadzącej na pustynię. Nathan rozglądał się z zaciekawieniem, otaczający go księżycowy krajobraz był całkowicie inny od tego, jaki zaobserwował w okolicach Asuanu. Olbrzymie piaszczyste przestrzenie zastąpiła teraz krystaliczna, brunatnoczerwona powierzchnia, na której jak okiem sięgnąć rozrzucone były wydmy, miliardy odłamków czarnego bazaltu, wynędzniałe akacje. W milczeniu kontemplował ten widok, wstrząśnięty dokonującym się w jego świadomości odkryciem: im bardziej przemieszczał się na południe, tym bardziej krajobraz upodabniał się do tego, który widział w swoim śnie. Kiedy słońce stanęło pionowo nad pustynią, Hicham zwolnił, sprawdził wokół, czy nie ma nikogo w zasięgu wzroku, po czym zatrzymał się na pustkowiu. Od Karimy dzieliło ich jakieś dziesięć kilometrów.

Dotarli do miejsca, w którym mieli się rozstać.

Nathan wolał resztę podróży przebyć samotnie, żeby nie zostać zauważony. Wysiadł z samochodu, poczuł rozpalone powietrze. Zerwał się wiatr i piaszczysty pył chłostał go po twarzy. Jedną ręką rozwinął chustę, przytrzymał zębami jej róg, a resztę jasnej tkaniny owinął wokół głowy. Pozostawił tylko wąską szparę na oczy, które teraz przybrały barwę piasku i skał. Kiedy szykował się do odejścia, Hicham wyciągnął w jego kierunku zaciśniętą dłoń.

- Weź to!

Nathan podsunął swoją otwartą dłoń, na którą spadło coś, co przypominało małe zakurzone kamyki.

- Co to jest?

- Suszone figi, mój bracie, dodadzą ci sił na dalszą podróż. Nathan zacisnął pięść na tym podarku, zamierzając go strzec jak drogiego skarbu.

Przyjaznym gestem pożegnał Hichama i ruszył samotnie na południe.

Oddalając się, czuł wzrok przewoźnika wbity w swoje plecy, w lekkie ślady pozostawiane na pustynnym piasku, zacierane natychmiast przez podmuchy wiatru. Po chwili zniknął jak fatamorgana.

Nathan szedł prosto przed siebie, nie szukając żadnej drogi, polegając wyłącznie na niewidzialnych znakach prowadzących go do prawdy, do samowyzwolenia.

Pot spływał mu po czole, plecach, piersiach. Nie myślał o niczym innym, tylko by stopić się w jedno z żywiołem. Wzbierający na sile wicher wślizgiwał się w niego i na wskroś przenikał. Kiedy spoglądał na wibrujący od żaru horyzont, wydawało mu się chwilami, że dostrzega chaty zbudowane z gałęzi, sylwetki rozczochranych dzieci biegnących za stadami kóz z oczami błyszczącymi jak małe skarabeusze. Nie wiedział, czy to były omamy, czy rzeczywistość. Wkrótce opanowały go pragnienie i zmęczenie. Usta zaczęły krwawić. Cierniste krzewy poszarpały mu ubranie, poraniły nogi. Nie miało to jednak dla niego żadnego znaczenia.

Zrozumiał, że tutaj jest prawdziwa pustynia, zrozumiał, dlaczego „aniołowie” wybrali właśnie to miejsce na swoje schronienie. Nikt nie mógł ich tutaj niepokoić, w samym sercu tej odstręczającej nicości, zacierającej ich ślady, ukrywającej ich tajemnice, całą potworność ich zbrodni.

Znienacka, w tumanach kurzu i migotaniu słońca, znowu dostrzegł zielone połacie, wystrzelającą nad Nilem roślinność. Wspaniała rzeka toczyła swe fale samym środkiem doliny. Przeciwny brzeg

przechodził w ogromną przestrzeń, kończącą się u podnóża czystej góry.
Wszystko tu było tak jak w jego śnie.
Cmentarzisko Napata z tysiącletnimi niewielkimi, brunatnymi piramidami... Dżabal
Barkal... Ognisty lewiatan o zboczach wyrzeźbionych wichrami, wyłaniający się z
samego wnętrza pustyni.
A w cieniu górskiego zbocza... czarny klasztor.

Piaskowa forteca.

Całość została obmyślona i zbudowana jako prawdziwe stanowisko oporu, zapewniające niezawodne schronienie.

Nathan przykucnął i obserwował najbliższe okolice sanktuarium. Znajdował się w sporej od niego odległości, ale mógł dostrzec wapienne kopuły, kościół, mury obronne. Choć nie pamiętał, żeby jego stopy dotknęły kiedykolwiek tej ziemi, to w jakiś podświadomy sposób rozpoznawał te miejsca.

Powolny, lekki szczepek zazębiających się w jego mózgu trybików świadczył o tym, że przeszłość zaczynała się wyłaniać z pomroków zapomnienia...

Całkowita pustka, nigdzie żywego ducha, nigdzie najmniejszego ruchu.

Wiedział jednak doskonale, że zbrodniarze na pewno tam są, przyczajeni w samym sercu swej kryjówki. Czyhają na niego.

Musi poczekać do zmroku i dopiero wtedy zbliży się, by wejść w samą paszczę lwa.

Na razie dokona szczegółowego rozpoznania okolicy. Ustali drogę, którą zakradnie się do klasztoru, a także obmyśli plan ucieczki, na wypadek niepowodzenia.

Powinien znaleźć sobie lepsze stanowisko obserwacyjne. Przyjrzał się rzeźbie terenu i zauważył skalisty wierzchołek górujący nad klasztorem. Stamtąd będzie miał widok na całą okolicę. Podniósł się i niespodziewanie zachwiał... Ręce przez chwilę nadaremnie szukały punktu oparcia. Poczul narastającą słabość... Spadnie i rozbije się o skały...

Pod czaszką wybuchł jakiś opętańczy jazgot.

Dusił się... ale rozbłysło w nim blade światelko, jak wyłom ku innemu światu, innej świadomości, niewyraźne jeszcze obrazy nakładały się nawzajem na siebie, plątały, przędać z wolna nić niejasnych wspomnień.

Łopaty śmigła helikoptera kroją gęste jak mazut powietrze. Okaleczone ciała, pokiereszowane twarze, na których pozostało piętno strachu i nienawiści... Błagania, lamenty, orszaki uchodźców... Setki żylastych rąk wyciągających się ku niebu w ostatnim odruchu życia...

Jego pamięć... jego pamięć powoli wracała... Głuchy warkot ciągle łomotał pod czaszką... inne chwile, inne miejsca, wcześniejsze, wybuchały w nim jak ogniste kule.

Odgłosy wystrzałów, matka osuwająca się ciężko na ziemię. Jego małe dziecięce nóżki odmawiają posłuszeństwa. Wycelowana czarna paszcza strzelby wybucha ogniem. Twarz ojca podobna do woskowej maski... Dyszenie Tygrysa...

Strzępy przeszłości wynurzały się z zapomnienia, jeden po drugim, nie łącząc się w świadomości w żaden logiczny związek...

Monotonne bębnienie wznosi się ku niebu... Miody mężczyzna ubrany na czarno. Na głowie ma myckę. Na szyi skórzany rzemień, na piersi ciężki, srebrny krzyż... Niebiańska jasność rozdziera ciemność i zstępuje ku niemu.

Wszystko było niejasne, niewyraźne, mimo to w jednej chwili zrozumiał swoją reakcję, tę nagłą odrazę na widok nagiego ciała Rhody... pożądanie, które wzbiera i raptownie rozpryskuje się, unicestwia... gwałtowność, nad którą nie umiał zapanować.

Nie mógł złamać przysięgi, ślubu czystości zamkniętego w swym ciele.

Tak, teraz zrozumiał również powód, dla którego manuskrypt z Saint-Malo znalazł się w jego rękach. Jego własny los zespolony był z losem siedemnastowiecznego medyka... Woods miał rację, był jak tamten... bo tworzyli jedność.

Jak Elias, był wybranym mnichem.

Jak Elias, był ziemską powłoką anioła Gafhaila...

Jak Elias, był... jednym z nich.

Nad pustynią zapadła noc, uwalniając powietrze od dziennego skwaru, zacierając barwy piasku, kryjąc w mroku skalistą górę. Nadszedł czas, by przejść na drugą stronę, zrobić ostatni krok dzielący go od przeszłości. Nathan zdjął ubranie i włożył je do sakwy. Potem zanurzył się w czarnych wodach rzeki królów i minionych bóstw. Uchwyciwszy się płynącego po powierzchni pnia, pozwolił się unosić z prądem w kierunku przeciwnego brzegu. Chłód fal ukoił mu nerwy. Podążając wprost ku własnym mrokom, podobnie jak Orfeusz nie wiedział, czy ujdzie z życiem, czy doświadczy jeszcze kiedyś żaru słońca. Pomimo tego poczuł się uwolniony od uczucia przerażenia, które go tak często ogarniało od czasu przebudzenia się ze śpiączki. Teraz już wiedział, dokąd podąża, co musi zniszczyć, by jego własna dusza i dusze tych wszystkich, którzy zginęli, odnalazły wieczny spokój.

Będąc kilka metrów od brzegu, odbił się nogami od grząskiego dna i wspiął na pokrytą błotem; skarpę. Drżąc na całym ciele, otworzył sakwę, włożył buty i ubranie, po czym sięgnął po broń. Rozwinął ją ze szmat, precyzyjnym ruchem przykręcił tłumik i wepchnął mauzera za pasek. Szybkimi cięciami sztyletu wykroił z rowerowej dętki dwa paski, wsunął je na łydkę i umieścił pod nimi sztylet. Księżyc prześlizgiwał się za wysokimi chmurami. Nathan obciążył sakwę kamieniem i zatopił ją w rzece. Dopiero wówczas wszedł do palmowego gaju.

Dotarłszy na skraj pustyni, ujrzał zarysy klasztoru, a za nim, trochę dalej, odcinające się w ciemnościach cmentarzysko. Kiedy opuści teren pokryty roślinnością, będzie musiał posuwać się bez żadnej osłony. Przed oczami stanął mu trup Casaresa, pomyślał o przesłaniu pozostawionym mu przez współbraci. Począwszy od pewnego momentu, zrozumiawszy nieuchronność jego poczynań, mnisi w jakiś sposób kierowali jego krokami. Prowadzili go do siebie. To oznaczało, że chcą wiedzieć... wiedzieć, co się stało. Nie będą więc próbowali go zabić, przynajmniej na razie.

Posuwał się, samotny, pośród kamiennej pustki. Lekki wiatr podnosił tumany kurzu. Klasztor był coraz bliżej. Niebieskawe krzyże i kopuły rzuciły błydy odblask. Wejście do fortecy sygnalizowały dwa małe, złote znicze, których płomienie chybotwały się w ciemnościach. Zwolnił trochę, przyglądając się linii obwarowań.

Nie słyszał żadnego dźwięku, nikogo nie widział...

Szedł dalej, aż znalazł się na obszernym, słabo oświetlonym dziedzińcu. Między bryłami starych budynków pokrytych wapienną zaprawą dojrzał labirynt wąskich przesmyków. Wszedł w alejkę, po której obydwu stronach ciągnęły się drewniane drzwi zamykające cele mnichów. To tutaj żył kiedyś, w samym sercu tego niegdysiejszego miejsca, to tutaj został uformowany na zabójcę, którym był dzisiaj. Nieco dalej dostrzegł mały budynek, wystający jakby spod ziemi. Widok drzwi ukrytych do połowy wysokości poniżej poziomu ziemi przejął go nagłym dreszczem. Grobowiec... Za każdym razem, kiedy umierał któryś z braci, otwierano drzwi, żeby wrzucić do środka jego ciało, na szkielety poprzedników... Nathan chwilę zawahał się, w którym kierunku pójść. Podniósł wzrok ku niebu i zobaczył krzyż, promienie bursztynowego światła przechodzące przez załomy muru i górującą nad innymi zabudowaniami białą kopułę.

Kościół... Same nogi go tu doprowadziły. To właśnie tutaj czekali na niego.

Pchnął ramieniem ciężkie drzwi, które ze zgrzytem obróciły się na zawiasach. Dojrzał grube spiralki dymu unoszące się z kadzidełek z Arabii... Zanurzył się w półmrok. W przeciwieństwie do katedry San-Marcos w Aleksandrii, tutaj panowało skrajne ubóstwo. Mury i sklepienia były surowe, zniszczone, na świętych freskach uwidoczniło się niszczące działanie czasu... Zatrzymał się przed pulpitem, na którym rozłożone były bardzo mocno zużyte mszały. Przesunął ręką po gładkim drewnie... Za plecami usłyszał jakiś szelest. Gwałtownie się odwrócił z palcem na cynglu mauzera. Wbił wzrok w ciemności panujące w prezbiterium... i zobaczył...

W mroku stała jakaś postać.

Potężny, zgarbiony mężczyzna owinięty w grubą, czarną włosien-nicę. Jego wielka dłoń ścisnęła drewniany różaniec, poruszający się wahadłowym ruchem ponad ziemią. Pochylona głowa ukazywała jedynie górną część czaszki, przykrytej wełnianą, mniszą mycką. Nathan rozpoznał wyszyte na niej gwiazdy i gruby ścieg centralny, symbole walki Dobra ze Złem.

W chwili gdy miał się odezwać, zatrzymało go podobne do skargi westchnienie. Ciało mnicha wyprostowało się i ukazała się jego twarz: ogorzała cera, pełne cierpienia oczy, szerokie usta wykrzywione grymasem nienawiści wymieszanej z rozpaczą. Wargi leciutko rozchyliły się i wydobył się z nich chrapliwy głos:
- A więc wróciłeś...

Ten głos... Ta twarz... W jednej chwili sanktuarium zafalowało i rozpadło się wokół Nathana.

Dzieciństwo... Ta sama, tylko młodsza twarz. To ten sam człowiek odwiedzał go w ośrodku Lucien- Weinberga.

Pamiętał tego człowieka...

Naprzeciw niego stał Abbas Morquos, założyciel One Earth.

Niekończące się godziny walki wręcz, zaprawianie do trudów, ćwiczenia we władaniu bronią, zapach materiałów wybuchowych wymieszanych z pustynnym pyłem... te mocarne ręce pokryte czarną krwią nad rozplatanymi Matkami piersiowymi...

Był Michailem, pierwszym z siedmiu aniołów, tym, który zwyciężył smoka-szatana.

Te małe, podkrążone oczy... Stalowa głębia rozszalałego oceanu, uśmiech na mostku łodołamacza, donośny głos płynący z głośników... Człowiek z „Pole Explorera” uznany za zaginionego razem z de Wilde'em...

Jacques Malignon, kierownik misji HCD02.

Krępa sylwetka, która pochylała się nad nim na oddziale intensywnej opieki w szpitalu w Hammerfest, ogromne przestrzenie nietkniętego ludzką stopą śniegu, odwiedziny dziwnego gościa...

Stroem, fałszywy psychiatra.

Morquos, Michał, Malignon, Stroem byli jednym i tym samym człowiekiem...

Olbrzym wyprostował się i wolno, krok po kroku podchodził do Nathana.

- Coś ty uczynił... Gafhailu... dlaczego dopuściłeś się zdrady? -spytał przyciszonym głosem.

Nathan przyglądał się mnichowi, usiłując odgadnąć jego myśli, ale napotkał tylko pusty wzrok, lodowate spojrzenie nieujawniające najmniejszej nawet emocji.

-Ja... straciłem pamięć... w wypadku... Nie pamiętam... Wspomnienia powoli zaczynają powracać...

- Nigdy nie wierzyłem w tę absurdalną historię.

- Byłeś tam, Michaille. Wiesz, w jakim stanie wyciągnięto mnie spod lodu.

Rozmawialiśmy w Hammerfest.

- To było oszustwo... wspaniale odegrałeś swoją rolę.

- Ja nie grałem, to była prawda.

- A jednak udało ci się znaleźć drogę, żeby dotrzeć tutaj.

- Nie miałem już odwrotu, szukałem kolejnych wskazówek, odnalazłem okaleczone

ciała na Spitsbergenie, laboratorium w obozie w Katala, dotarłem do wydarzeń

związanych ze śmiercią moich rodziców, potem do Casaresa... Mam też manuskrypt

Eliasa de Tanou-arn... Odkryłem prawdę o naszych makabrycznych zbrodniach...

- O naszych zbrodniach... Czy wiesz przynajmniej, o czym mówisz?

-Ja...

- Dlaczego powróciłeś?

- Muszę się dowiedzieć... Kim jest Gafhail, dlaczego stałem się potworem?

Powiedz... zrobisz ze mną, co będziesz chciał... potem.

Michaił przyglądał mu się, jakby chciał ocenić szczerą jego słów.

- Chcę wiedzieć... Wszystko, od samego początku - błagał Na-than.

- O zabójstwie rodziców, o to ci chodzi?

- O jakim zabójstwie... Co... masz na myśli?

Przez moment mnich wydawał się zaskoczony, po czym podjął z kpiącym wyrazem twarzy.

- Nie pamiętasz, co stało się tamtego wieczora? Po chwili milczenia Nathan wyjąkał:

- Ja... To mój ojciec... on...

- Biedaku...

Serce Nathana mało nie pękło jak szklana kula rzucona o ziemię.

- Mów, mów...

- Ależ to ty, ty sam dokonałeś tych zbrodni. Nawet tego nie pamiętasz? Nie pamiętasz... Tygrysa?

Przestań... kłamiesz! To ojciec... to mój ojciec zabił matkę, a potem popełnił samobójstwo!

- Dziecko-Tygrys, tak przezwał cię Casares, porównując cię do urojonego potwora, który wstępował w ciebie podczas ataków twojej matki, kiedy biłeś się ze szkolnymi kolegami. Miałeś wówczas dziesięć lat, nie byłeś w stanie znieść cierpień, których ci przysparzała od czasu śmierci twojej siostry, a twój bojaźliwy ojciec zamknął się

w sobie, popadł w otępienie. Pewnej nocy usłyszałeś lamentsy, ciągle te lamentsy, nie mogłeś już ich znieść. Wstałeś, poszedłeś po strzelbę myśliwską, którą ojciec przechowywał w swoim pokoju, i zszedłeś do salonu. Tam zobaczyłeś ich obydwój. Bili się. Zawołałeś do matki, by ją ostrzec, ale kiedy odwróciła się w twoją stronę, z zimną krwią wpakowałeś jej kulę w głowę. Chciałeś uciec. Ojciec próbował cię złapać, ale potknął się, a ty po raz drugi strzeliłeś. Kula trafiła go w samo gardło. Łzy niewypowiedzianego bólu zalały twarz Nathana, wargi otworzyły się w rozdzierającym krzyku.

- Nieeeeeee...

- Policjanci, którzy badali tę sprawę, prowincjonalne urzędniczy-ny, szybko wywnioskowali, że sprawcą tragedii był twój ojciec. Ale ten poczciwy Casares tak wytrwale drażył, aż odkrył twoją straszną tajemnicę.

- Łajdak... Łajdak... Łajdak...

- To właśnie z tego powodu zostałeś przez nas wybrany. Szukaliśmy, cały czas szukamy dzieci, które cierpią z powodu, jak by to powiedzieć... „psychologicznego zamętu”, właśnie w tym celu w wielu krajach stworzyłem ośrodki dziecięcej psychiatrii. Ty stanowiłeś bardzo rzadki przypadek młodego drapieżnika, porywczego i wybitnie ■ inteligentnego. Sposób, w jaki ukryłeś swoją zbrodnię, wsuwając strzelbę w ręce ojca, ten Tygrys, który cię opętał... Miałeś wspaniałe zadatki, by stać się świętym kielichem mszalnym, w który wstąpi duch jednego z siedmiu aniołów.

- Ale Casares...

- Był zaledwie mało znaczącym trybikiem w organizacji, którą już wówczas utworzyłem. O niczym nie wiedział. Podobnie jak dziesiątki innych psychiatrów czyni to po dziś dzień, każdego miesiąca przysyłał mi raporty, wyniki na pozór mało znaczących, ale niezwykle wyspecjalizowanych testów zachowań, którym byłeś poddawany. Bardzo szybko skierowałem na ciebie całą swoją uwagę, Gafhailu. Byłeś wybrańcem i wola Pana sprowadziła cię do mnie. Kiedy stwierdziłem, że jesteś gotów, wydostałem cię z ośrodka. Nie miałeś żadnej rodziny, nikt cię nie odwiedzał. Bardzo łatwo było zatruszować twoje zniknięcie. Nie miałem najmniejszych trudności, by przekonać Casaresa do zatarcia śladów twojego tam pobytu.

- Dlatego musiał zginąć?

- Był tchórzem. Spanikował, kiedy do niego zatelefonowałeś. Powiadomił nas o tym, a strach powoduje, że ludzie stają się niebezpieczni. Wiedzieliśmy, że zmusisz go do mówienia, że wygada się na

temat One Earth, dlatego raz na zawsze załatwiliśmy tę sprawę... Ale wróćmy do ciebie. Później wysiałem cię do prywatnej szkoły w Szwajcarii. Otrzymałeś najlepsze wykształcenie. Byłeś tam uprzywilejowany, jak... mój syn. W czasie wakacji przyjeżdżałeś do mnie, do klasztoru w okolicach Aleksandrii, by pobierać nauki religijne razem z innymi, podobnymi do ciebie dziećmi. Nauczyłeś się tam języka koptyjskiego, arabskiego i poznałeś wartości rządzące Krwawym Kręgiem.

- Śmierć, brutalność, nienawiść...

- Słuchaj! Gdy skończyłeś osiemnaście lat, przyjechałeś tutaj, do czarnego klasztoru. Twoje szkolenie trwało cztery długie lata: sztuka walki, posługiwanie się bronią, szpiegowanie... kompletne przeszkolenie wojskowe. W dziewięćdziesiątym roku byłeś gotów do działania. Wówczas wybrał cię Gafhail, wstąpił w ciebie jego duch, przystąpiłeś do grona aniołów.

- Do hordy krwawych, wyćwiczonych morderców... Michał się uśmiechnął.

- Zawsze różniłeś się od innych. Nigdy nie przyłączałeś się do nich, byłeś samotnym, przerażająco skutecznym łowcą. Twoi bojowi bracia nie doceniali cię, ale dla mnie nie miało to znaczenia, bali się ciebie. Przewidywałem, że będą z tobą kłopoty, jednak postanowiłem cię zatrzymać, bo jeśli udałoby mi się zrobić z ciebie to, co planowałem, gdyby Bóg cię przyjął, stałbyś się moim następcą. Od samego początku okazałeś się nieprzeciętnym bojownikiem. Wypełniałeś swoje misje z bezwzględnością i przekonaniem. Twoją prawdziwą naturą wydawała się zemsta; pomścić swoich w walce z muzułmańskim fanatyzmem, pomścić tych, którzy cię do siebie przyjęli, którzy nadali twemu życiu sens. Brałeś udział w rozlicznych tajnych operacjach w Egipcie, w szczególności po masakrach Koptów w Al KocheY. Wyśłałem cię z misją wywiadowczą, miałeś dotrzeć do wrogich przywódców.

Wmieszany w tubylną ludność, spędziłeś tam kilka tygodni. Zbliżyłeś się do morderców, zebrałeś maksimum informacji na ich temat: ich codzienne trasy, zajęcia, kochanki. Reszta była już dziecinną zabawą... Misja humanitarna...

- By wszczepić te twoje cholerne receptory wyławiające wirusy, a kilka miesięcy później trzysta osób umiera na jakąś nieznaną gorączkę krwotoczną...

- To jeden z największych naszych sukcesów. Owoc kilkudziesięciu lat potajemnej, wyczerpanej pracy. Nasz pierwszy zarazek chorobotwórczy był gotów pod koniec lat siedemdziesiątych. To była ospa. Kazałem go produkować i składować w specjalnym zakładzie, w moich la-

boratoriach Eastmed. Jeśli chodzi o same operacje, zawsze używaliśmy do tych akcji ochotników-samobójców, pustelników i mnichów z egipskich klasztorów koptyjskich, werbowanych ze względu na ich fanatyzm, ich zabobonność. Wszczepialiśmy im wirusa i jako idealni nosiciele mieszały się z tłumem na bazarach, z wiernymi w meczetach. Chodziło nam o to, by zbliżyć się do sprawców masakry i ich bliskich i uderzyć w nich w sposób całkowicie anonimowy. Jednak to wszystko była robota rzemieślnicza, wielce nieprecyzyjna, i doznaliśmy wielu niepowodzeń. Nie posiadaliśmy ani odpowiednich środków, ani wystarczającej wiedzy, by stworzyć takie chimery, których potrzebowaliśmy. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, po rozpadzie bloku sowieckiego, wszystko się zmieniło... na naszą korzyść.

Wiedziałem, że Rosjanie pracowali nad wieloma programami wojny biologicznej, tysiące badaczy żyło zamkniętych w swych laboratoriach, przyznawane im fundusze były kolosalne. Byliśmy bogaci, ale nie na tyle, by ofiarować im złote góry i nowe życie, jak to im proponowały, aby ich pozyskać, rządy brytyjski i amerykański. Praca z nami oznaczała również zejście do podziemia, a przecież większość z nich marzyła tylko o spokojnym życiu. Jednakże bez trudu udało mi się przekonać tych, na których mi zależało. Nasze poglądy, mieliśmy...

- Wspólne interesy, prawda? Jak Elias i Roch...

- Krąg zawsze utrzymywał kontakty z Europą, z członkami diaspory, podróżnikami, poszukiwaczami przygód. W tamtych czasach Europa była głęboko chrześcijańska. Ludzie ci, zrażeni do losu zgotowanego nam przez Mameluków, bardzo łatwo przyłączyli się do naszej sprawy. Niektórzy wspomagali nas finansowo, inni dostarczali nowych, nieznanych w naszych stronach trucizn, dzięki którym Krąg mógł zabijać, dokonywać swojej zemsty, nie będąc zidentyfikowany, nie wywołując kolejnych fal represji. Niektóre światłe umysły jak Roch i Elias, wyprzedzając własne czasy, opracowały zaczątki pierwszej broni biologicznej... Wszyscy zostali za to wynagrodzeni, otrzymali anielską moc...

- Ach, więc to tak... po zburzeniu muru zwerbowałeś chrześcijańskich naukowców, którzy byli ofiarami systemu totalitarnego...

- Wśród naukowców było wielu prześladowanych prawosławnych, dotychczas zmuszanych do ukrywania praktyk religijnych. Na ich oczach burzono im świątynie, oskarżano o wiarę w innego boga niż reżim, niektórzy zostali nawet wywiezieni do obozów na Syberii. Za pośrednictwem Eastmedu nawiązałem kontakt z kierownictwem laboratorium Vektor, przyłączonego do kompleksu Biopreparat, który służył za cywilną przykrywkę dla wojskowego programu bio-

logicznego w dawnym Związku Radzieckim. Pięć osób, biolodzy, wirusolodzy, genetycy... wstąpiło w nasze szeregi i do tej pory służy Kręgowi z największym oddaniem. Nie mogłem ich jednak obsadzić w swoich laboratoriach, które są regularnie kontrolowane przez egipskich i amerykańskich inspektorów. Finansowa potęga One Earth pozwoliła stworzyć laboratorium o wysokim stopniu bezpieczeństwa, na poziomie 4, gdzie nikt nie będzie ich szukał... tutaj, w samym sercu pustyni. Wykorzystaliśmy sieć bardzo starych, podziemnych tuneli łączących klasztor z nekropolią faraonów. Całe generacje mnichów ukrywały się tutaj przed jarzmem muzułmańskich oprawców. Pewnego razu zjawili się tu sudańscy fundamentaliści z zamiarem podpalenia klasztoru. Było to nam bardzo na rękę. Pozwoliliśmy im podłożyć ogień, a następnie wykorzystaliśmy proces odbudowy, by dostarczyć materiały potrzebne do laboratoryjnych instalacji. Od tamtej pory nie mieliśmy już żadnych problemów, ponieważ tolerując nasze istnienie, a nawet nas chroniąc, dobry prezydent el-Bashir pokazuje reszcie świata, że w jego kraju chrześcijanie mogą żyć w spokoju. Natomiast masakry, do których doszło na południu, przedstawia jako usankcjonowane represje wobec rebeliantów.

- No, ale ty tak ich nie traktujesz.

- Czy masz pojęcie, jakich zbrodni oni się dopuszczają? Góry Nu-ba, teren, którego ludność została nawrócona na chrześcijaństwo w szóstym wieku, pokryte są zbiorowymi mogiłami, wojsko dokonuje tam ukrzyżowań mężczyzn, kobiety są systematycznie gwałcone przez muzułmańskich żołnierzy, by wydawały na świat potomstwo nienubijskie, dziesiątki tysięcy ludzkich istot, dorosłych, dzieci, zostały sprzedane w niewolę...

- Ale nie zadowolasz się samym tylko zabijaniem winnych... Są jeszcze doświadczenia... jak w Gomie, w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Ile, powiedz mi, ile niewinnych istnień zostało poświęconych, ilu mężczyzn, ile kobiet i dzieci straciło życie na ołtarzu twojego morderczego szaleństwa, pod pretekstem testowania twojej broni?

Mimo upału Nathan czuł się zgrabiąły od lodowatego mrowienia.

- Twój głos przepełniony jest pogardą, Gafhailu, pozostaje jednak faktem, że czynnie uczestniczyłeś w doświadczeniach prowadzonych w Katalu. Miałeś za zadanie dostać się do obozu, wytropić samotne ofiary, odurzyć je narkotykami, żeby potem nocą mogły zostać uprowadzone. I tym razem, jak zawsze wcześniej, doskonale się spisalesz.

- Nie! Nie! Nie!

300

Głos Rhody odmawiającej podania mu nazwisk osób z helikoptera powrócił jak bumerang.

- Śmierć tych ludzi nie poszła na marne, umożliwiła nam posunięcie się do przodu, udoskonalenie naszej broni...

- Jesteś potworem...

- Pod koniec lat dziewięćdziesiątych potęga finansowa One Earth sprawiła, że mogłem zwrócić się ku innym społecznościom chrześcijańskim. Byłem niezmiernie wzburzony straszliwymi, brutalnymi aktami, których na całym świecie dopuszczali się państwa muzułmańskie i totalitarne względem chrześcijan. Ale tym, co mną dogłębnie wstrząsnęło, była bierność, a wręcz wielkoduszność Watykanu i międzynarodowej społeczności. Najwyższy Sędzia natchnął mnie do działania, do zemsty na szerszą skalę, w Europie, w Stanach Zjednoczonych, aby zachodni świat również opłakiwał stratę swoich bliskich, aby uświadomił sobie, co to jest ból, i zdał sobie sprawę z własnej arogancji. Śmierć uświęcona, bez winowajców, uderzająca na oślep, jak przekleństwo, wobec którego człowiek pozostaje całkowicie bezradny. Potrzebowaliśmy nowej broni, nie chodziło już tym razem o precyzyjne namierzanie konkretnych celów...

- Ale o masową zagładę...

- Właśnie. Opracowanie idealnej chimery jest procesem długotrwałym, wirus Ebola-ospa, który testowaliśmy w Kivu, okazał się skuteczny, ale niestety zbyt znamienity dla Afryki, istniało więc ryzyko, że zostaniemy zdemaskowani, jeśli użyjemy go na Zachodzie.

- I wtedy wpadłem na pomysł zdobycia próbki hiszpanki.

- Nie sądziłem, że będzie to możliwe. Już wcześniej bowiem taki zamysł pojawił się w amerykańskiej armii, ale wszystkie usiłowania speliły na niczym. Nie zamierzałem poświęcać kolosalnych sum pieniędzy na przedsięwzięcie, które się nie uda. Mimo wszystko jednak postanowiłem wysłać dwóch moich ludzi, by przeszukali portowe i wojskowe archiwa większości państw europejskich, Kanady i Rosji. Ich zadaniem było niezwykle skrupulatne przesledzenie dokumentów i stwierdzenie, czy ofiary tego wirusa były chowane na Dalekiej Północy. Moi badacze pracowali przez trzy lata i nie znaleźli nic interesującego. Potem ekipa kanadyjskich naukowców zlokalizowała wrak „Dresden”... Data katastrofy doskonale pasowała do okresu, w którym szerzyła się pandemia grypy. Wysłałem więc swoich ludzi do Hamburga, gdzie dotarli do dokumentów zatonięcia statku.

- Łatwo można sobie wyobrazić dalszy ciąg. Znaleźli raporty donoszące, że część załogi została zarażona wirusem grypy wówczas, gdy statek zawinął do portu na Spitsbergenie. Możliwość, że ciała zo-

stały zakonserwowane w lodach, mogła urzeczywistnić twój makabryczny zamysł. Wykradli więc dokumenty z archiwów marynarki i podłożyli na ich miejsce fałszywe manifesty celne, żeby kierownictwo Hydry było przekonane, że „Dresden” transportował ładunek kadmu... W ten sposób mogłeś sobie zapewnić ich współpracę...

- Bez nich nic by się nie udało. Pojechałem do Antwerpii, żeby osobiście porozmawiać z Roubaudem. Jego pierwsza reakcja była bardzo powściągliwa, ale suma, jaką mu zagwarantowałem, rozwiązała całkowicie wszelkie wątpliwości i przekonała go do historii z kadmem. Jedynymi ludźmi na pokładzie znającymi prawdziwy cel wyprawy, byłeś ty, ja i Surial, twój towarzysz broni i partner. Po twoim wypadku zlokalizowaliśmy zwłoki i wydostaliśmy je z wraku. Pewnej nocy włożyłem kombinezon ochronny i usunąłem ze zwłok zakażone organy, płuca i mózgi. Kiedy to już było zrobione, z części najlepiej zachowanych tkanek pobrałem próbki i odpowiednio zabezpieczyłem je w pojemniku z płynnym azotem, który ukryłem na „Pole Explore-rze”. Kiedy dopłynęliśmy do Spitsbergenu, zszedłem na ląd razem z de Wilde'em i jednym z marynarzy, żeby pochować zwłoki, jak sobie tego życzyła załoga. Wszystko szło dobrze, wykopaliśmy na wybrzeżu groby, aż nagle de Wilde zauważył jakieś organiczne zanieczyszczenia na jednym z worków. To był mój duży błąd, nie zwróciłem na to uwagi, kiedy ponownie pakowałem ciała. Otworzył worek i natychmiast zobaczył, że zwłoki zostały naruszone w czasie, gdy przebywały na pokładzie lodołamacza. Kiedy odwrócił się do mnie, uderzeniem kilofa rozłupałem mu czaszkę. Marynarz, Bułgar, zaczął uciekać, ale go dogoniłem... W tej sytuacji musiałem działać bardzo szybko, nie mogłem wrócić na statek i pozostała mi zaledwie godzina, zanim kapitan „Pole Explorera” wysłał helikopter na poszukiwania. Musiałem pogrzebać ciała marynarzy, a potem pozbyć się zwłok Stojkowa i de Wilde'a. Utopiłem je na pełnym morzu, ukryłem zodiaka i wróciłem, by schować się w barakach Horstlandu. Helikopter wysłany z lodołamacza patrolował teren przez niemal dwie godziny. Kiedy odleciał, kiedy miałem już wolną drogę, wróciłem na brzeg i zatopiłem zodiaka. Potem przez dwa dni szedłem do Longyearbyen. Stamtąd, pod zmienionym nazwiskiem, mogłem już dostać się do Europy, a potem do Sudanu.

- W jaki sposób przewieźliście pojemnik zawierający zarażone wirusem tkanki?

- Wszystko zostało wcześniej zaplanowane. Surial, który pozostał na lodołamaczu, bez żadnych problemów przeniósł go z „Pole Explorera” do kontenera One Earth, który czekał w Antwerpii, po brzegi wyła-

dowany sprzętem medycznym. Dwa dni później poleciał samolotem towarowym do Chartumu. My mieliśmy już tylko odebrać go po przylocie i dostarczyć tutaj. Biolodzy natychmiast przystąpili do pracy. Szanse na powodzenie były nieduże, gdyż wirusy mające genom w postaci kwasu rybonukleinowego, czyli retrowirusy, są niezmiernie delikatne. A jednak rezultat przerósł wszelkie oczekiwania. Udało się wyizolować dużo szczepów wirusa z próbek pobranych z tkanek płucnych. Lód spowodował odwodnienie bliskie liofilizacji, zarazek grypy zwanej hiszpanką pozostał tam nietknięty, gotów do genetycznych manipulacji. Nie mieliśmy zamiaru posługiwać się nim w czystej formie, lecz włączyć go do chimery, która była już wcześniej przygotowana i czekała w naszym laboratorium. Dzięki badaniom pewnego amerykańskiego biologa wiedzieliśmy, że wirus ten jest niezmiernie zbliżony do wirusa świńskiej gorączki, którego już wcześniej użyliśmy do swoich badań. Należało więc jedynie zastąpić jeden wirus drugim i utwalić go. Jednakowoż wiedzieliśmy, że ty cały czas podążasz naszym tropem, gotów wszystko zniweczyć swoją zdradą. Niezwłocznie wysłaliśmy więc swojego pierwszego nosiciela do Rzymu, ale zarazek chorobotwórczy nie był jeszcze utwalony i nosiciel zmarł znacznie wcześniej, niż przewidywaliśmy. Wszystko idealnie by zadziało... gdybyśmy mieli jeszcze trochę więcej czasu... gdybyś nie doniósł o nas policji, temu draniowi Woodsowi! Nathan poczuł, jak serce ściska mu się w piersi.

- Woods... jak... jak do niego dotarliście?

- Znaleźliśmy telefon komórkowy, który zgubiłeś w Paryżu, kiedy twoi bracia deptali ci po piętach. Nietrudno było trafić do niego.

Nathana przeniknął dreszcz zgrozy.

- Gdzie on jest? Co mu zrobiliście?

- Wiedziałem, że wcześniej czy później wrócisz tutaj. Przezornie kazałem obserwować przejścia graniczne. Jeden z naszych ludzi zauważył go wczoraj na lotnisku w Chartumie. Nikt go nawet nie tknął, bo byłoby to ogromnie ryzykowne. Oznaczałoby utratę szansy na odnalezienie ciebie. Po tym, jak wywinąłeś się nam w Paryżu, Woods stanowił dla nas jedyne łącznik z tobą...

Michaił zamknął oczy, całe jego ciało wydawało się dygotać w paroksyzmie złości.

- Co cię napadło? Wszystko zniweczyłeś... To twoje śledztwo, zabójstwo Suriala i Rufaila, twoich braci, byłem zmuszony zlikwidować laboratorium, klasztor, wszystko trzeba teraz zacząć od nowa...

Wszystko stawało się zrozumiałe.

W miarę opowieści Michaiła obrazy prześladowujące Nathana nabierały logicznego sensu. Szczegóły z przeszłości układały się jeden

po drugim, pasując do siebie i ściśle się o siebie zazębiając... Teraz zrozumiał swój niepokój w trakcie spotkania z Woodsem... Choć istniały jeszcze strefy niewyjaśnione i mroczne, choć poruszał się jeszcze po niepewnym gruncie, to jednak znalazł już niektóre odpowiedzi... Utkwił spojrzenie w twarzy mnicha.

- To już koniec, Michaile. Nadszedł twój kres. Wróciłem, by wszystko zniszczyć. Walczyłem przy twoim boku, mając przeświadczenie o słuszności swego postępowania. Ale gdy zmieniłeś plany, w mojej świadomości wszystko się zaburzyło. Nie do przyjęcia było dla mnie dążenie do tego, by tysiące niewinnych ludzi straciły życie. Ostrzegałem cię, ale mnie ignorowałeś. Przekonany o mojej wierności, nie chciałeś zrozumieć, że dokonam totalnego spustoszenia. Od lat chciałem położyć kres masakrom, zadenuncjować organizację. Jeśli przystałem na uczestniczenie w misji na Spitsbergenie, jeśli ukradłem manuskrypt Eliasa, to wyłącznie w jednym celu, by zebrać dowody przeciw tobie, przeciw nam. Kiedy nawiązałem kontakt z Woodsem, prosząc go o odtworzenie tekstu, nie miałem najmniejszego pojęcia o jego powiązaniach z brytyjskimi służbami specjalnymi. Rozszyfrowany manuskrypt stałby się ostatecznym dowodem, który potwierdziłby moje rewelacje, wydałby wyrok na Krąg i unicestwił go na zawsze... wszystko jest obłądą, dziełem człowieka obłąkanego. Wirusy, papirus, musiałem położyć kres temu szaleństwu... Chrystus był prorokiem, zwiastunem pokoju, a nie spragnionym krwi oprawcą, jak utrzymują od stuleci twoi ludzie. Brutalność jest cechą ludzi słabych. Przypomnij sobie te słowa, Michaile: „Wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną”.

- „Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz”.

- Te słowa to przenośnia, miecz oznacza zerwanie, rozdarcie spowodowane przez nastanie nowej religii. Przestań przeinaczać słowa Chrystusa, podobnie jak to czyniły przed tobą całe pokolenia fanatyków.

- Pozostań, jeśli taka twoja wola, po stronie nędznych tchórzów, przyglądając się, jak umierają twoi bracia. Krąg jest prawdą, sekretnym aktem zastrzeżonym wyłącznie dla wybrańców. Nawet Ewangelie przekazują jego przesłanie, objawiając je tym, którzy nie zasłaniają sobie oczu. Apostołowie byli uzbrojeni podczas pojmania Jezusa w Getsemani, a on sam zrobił sobie bicz z powrozów, by przegnać handlarzy ze świątyni. Pan powiedział: „Wyjdą aniołowie, wyłączą złych spośród sprawiedliwych i wrzucą w piec rozpalony; tam będzie płacz i

*** Wszystkie cytaty za Biblią Tysiąclecia (przyp. red.).**

zgrzytanie zębów". Zostaliśmy wybrani, Gafhailu, jesteśmy zwiastunami Starego i Nowego Testamentu. „Będzie bowiem wówczas wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata aż dotąd i nigdy nie będzie”.

Twarz Michaiła gwałtownie wykrzywiła się w grymasie nienawiści i szaleństwa. Trzech mężczyzn w czarnych kombinezonach i kominiarkach, z umieszczonymi na czołach latarkami, wyłoniło się z ciemności z wycelowaną w Nathana bronią, HK-MP5 z tłumikiem.

- Musiałeś rzeczywiście stracić pamięć, jeśli sądzisz, że pozwolę ci się z tego wywinąć - ryknął olbrzym. - Umrzesz i zapłacisz za swoją zradę. Ja sam się tym zajmę.

Aniołowie zbliżali się do Nathana, otaczając go półkolem. Lśniące, świetlne wiązki laserowych celowników punktowały mu twarz i tors... Szukając ratunku, obrzucił szybkim spojrzeniem wnętrze kościoła.

Dotarcie do drzwi wydawało się niemożliwe.

Przy najmniejszej próbie ucieczki, jeśli wykona chociaż jeden ruch potrzebny do wyciągnięcia broni, wykończą go na miejscu.

- Nawet nie próbuj się poruszyć - wrzasnął Michaił, jakby czytał w jego myślach.

Był już martwy...

Jeden szczegół dał mu do myślenia. Co miał na myśli mnich, mówiąc, że sam się nim zajmie? Powróciły wspomnienia z próby uprowadzenia go w Hammerfest, z napadu w Paryżu... Mordercy przyjęli tę samą strategię. Z jakiegoś powodu podejmowali ryzyko zbliżenia się do niego, choć bardzo łatwo mogli go zabić na odległość. Tym razem Nathan był pewien, że chcieli wziąć go żywcem. Dlaczego? Tego nie wiedział.

Cofnął się w kierunku bocznego muru. Stary mnich nawet nie drgnął, mierząc go pełnym pogardy wzrokiem. Mordercy przybliżyli się, coraz bardziej zaciskając wokół niego pierścień. Tym razem był to już naprawdę koniec.

- Zabrać mu broń! - krzyknął Michaił.

Myśl o tym, że chcą go wziąć żywcem... kołatała mu się w głowie...

Jeśli rzeczywiście tak było, istniała dla niego jeszcze jakaś szansa. Nathan ponownie zlustrował wnętrze kościoła. Kątem oka dostrzegł wznoszący się z prawej strony nad prezbiterium ogromny witraż w kształcie krzyża, z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa.

To była jedyna droga ucieczki.

Przez ułamek sekundy jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Michaiła, który natychmiast przewidział dalszy ciąg wydarzeń.

- Uważajcie! On teraz... ucieknie!

W tym samym momencie Nathan rzucił się do przodu, uderzając całą siłą w jednego z mężczyzn, przewracając pulpity. Huknęły serie z MP5, odbijając się od murów, kamiennych płyt i kolumn.

- Zatrzymajcie go... nie pozwólcie mu...

Ale Nathan już wspiał się po murze i uczeplił przed witrażem, w którym migotały złote odblaski kandelabrow. Niepewnym ruchem odwrócił się w stronę Michaiła, zatrzymał wzrok na jego zmienionej twarzy i czarnych otworach luf wycelowanych w niego automatów.

Przez moment wszyscy zastygli w bezruchu.

Potem, kiedy na jego piersi zbiegły się w okolicach serca ciemnoczerwone punkciki laserowych celowników, schował twarz za skulonymi ramionami i rzucił całym impetem na migocący krzyż...

Kawałki barwnego szkła eksplodowały z przeraźliwym hukiem. Tysiące ostrych drobinek poleciały wraz z Nathanem.

Spadł na plecy. Tępe uderzenie, o ogromnej sile, rozeszło się po całym ciele falami przejmującego bólu.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył wokół siebie twardą ziemię i białe budynki. Był na zewnątrz, po północnej stronie kościoła. Zszokowany, pośród szczątków witraża, z największym trudem podniósł się na kolana. Obmacał kończyny, twarz... nic nie było złamane. Miał tylko pozdzieraną skórę na rękach i tkwiący głęboko w przedramieniu szklany odłamek, który usunął jednym szybkim ruchem. Prześladowcy wkrótce ukażą się w drzwiach kościoła. Podniósł się i usiłując zebrać myśli, zanurzył w mrok nocy. Zabójcy mieli nad nim przewagę ilościową. Jeśli pozostanie tutaj, będzie dla nich łatwym celem. Musi opuścić fortecę, a jedynym ratunkiem będzie dotarcie do wysepek roślinności ciągnących się wzdłuż brzegów Nilu.

Mógł poruszać się w miarę swobodnie, gdyż księżyc przykryty był chmurami. Bez światła gwiazd noktowizory przeciwników były praktycznie bezużyteczne, ale zdawał sobie sprawę, że musi wykorzystać maksymalnie czas, kiedy niebo było zachmurzone. Gdy wreszcie dotarł do zarośli, pod ich osłoną dostał się na brzeg w tym samym miejscu, w którym przeprowił się z przeciwnej strony. Wąska warstwa chmur powoli się rozpraszala i dokładnie widział rysujący się wokół krajobraz. Wszedł do wody i posuwał się wzdłuż drewnianej kłody, aż natrafił na niewielką nieckę wypełnioną błotem. Zdjął sweter, zanurzył ręce w gęstym mule i pokrył nim ciało, twarz, ubranie. W ten sposób zmyli ostrość noktowizorów oraz systemów namierzania termicznego, gdyby posługiwali się nimi jego przeciwnicy...

Jeden przeciw trzem, sam przeciw wszystkim. Polowanie mogło się rozpocząć.

Nathan posuwał się wśród zarośli schylony, na przygiętych nogach, z bronią gotową do strzału. Powietrze przesycone było słodkim zapachem ziemi wymieszanym z odorem zwierzęcej uryny. Trzej „aniołowie” bezsprzecznie przewidzieli jego ucieczkę w kierunku rzeki. Znaczyło to, że prawdopodobnie już gdzieś tu są, przyczajeni w mroku zarośli. Czuł ich obecność.

Zajść go od tyłu... Zmusić do wyjścia na pustynię... Wykorzystaliby wówczas swoją przewagę i unieszkodliwili... Przejrzał ich zamiary. Zapewne rozproszyli się, podchodząc do palmowego gaju. Dwóch z nich prawdopodobnie doszło do brzegu rzeki, trzeci musiał pozostać gdzieś na pustynnym płaskowyżu, jako zabezpieczenie. Tym ostatnim zajmie się później, na razie musi wytropić dwóch pierwszych, zanim oni jego znajdą.

Jak najmniej poruszać się, wtopić się w otoczenie i zasadzić na nich. Tylko w ten sposób będzie mógł ich dostrzec.

Nathan wyteżył wzrok, by przeniknąć ciemności i znaleźć wygodny punkt obserwacyjny. Wśród kolczastych krzewów rozciągała się łąka wysokich traw. Przestrzeń była odkryta, wiał lekki wietrzyk powodujący falowanie trawy i mącący jej monotonny obraz. Zajął stanowisko na samym środku, przyklęknął na jednym kolanie z mauzerem w dłoni. I czekał.

Pierwsza postać ukazała mu się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od strony Nilu. Człowiek był sam i posuwał się lekko jak cień, równoległe do biegu rzeki, rzucając wokół siebie krótkie spojrzenia. Nathan wziął go na cel, prowadził chwilę gotów do strzału... Zbyt daleko. Nie zdecydował się. Zaraz potem postać zniknęła. Chociaż był przekonany o swojej przewadze taktycznej, nie mógł dorównać „aniołom” pod względem wyposażenia; zapewne mieli jakiś system komunikacji między sobą i utrzymywali łączność z Michailem. Nathan wiedział, że najmniejszy błąd byłby dla niego zgubny.

Jeszcze raz omiół wzrokiem horyzont, gdy raptem usłyszał jakiś szelest. Gdzieś blisko niego, w ciemnościach ktoś się ukrywał. Tego właśnie oczekiwał. Rozciągnął się płasko na plecach wśród traw, pistolet położył na piersiach i skoncentrował całą uwagę na zbliżających się ku niemu, okrążających go krokach... Potężny zastrzyk adrenaliny rozszedł się do najgłębszych części organizmu. Szczęk broni, przyspieszony oddech.

„Anioł” zatrzymał się tuż nad nim... nie odkrył jednak dotąd jego obecności.

Strużki potu ściekały Nathanowi po twarzy i całym ciele. Jeden ruch groził niechybną śmiercią.

W tej samej chwili, w której morderca zrobił następny krok, Nathan chwycił oburącz pistolet, błyskawicznie wycelował i tylko jeden raz pociągnął za spust, roztrzaskując przeciwnikowi kolano. Patrzył, jak tamten zwala się, wrzeszcząc, na ziemię, poderwał się i w tym samym porywie, z bliskiej odległości, wystrzelił jeszcze dwa pociski.

Jeden w gardło, drugi w samą twarz.

Leżącym ciałem wstrząsnęły drgawki. Twarz zamieniła się w lepłą masę czarnej krwi i odłamków kostnych. Zaledwie Nathan wyrwał trupowi karabin, kiedy posypał się grad kul. Ze wszystkich stron padały serie smugowych pocisków, podobnych do żarnikowych drutów.

To ten drugi... zaalarmował go wrzask kompana. Nathan odpowiedział dwiema seriami i umknął ku wschodowi, w kierunku pustyni.

Nie udało mu się zabrać trupowi całego bojowego sprzętu, choć przeciwnicy o tym nie wiedzieli, a nie podjęli ryzyka, by to sprawdzić. Nie mogli już więc poruszać się bez żadnej osłony, a ich system porozumiewania się między sobą był spalony.

Reguły uległy zmianie. Sytuacja się odwróciła. Teraz on ich ścigał.

Ulokował się na granicy palmowego gaju. Jeśli trzeci morderca zajął pozycję na kamienistym płaskowyżu, będzie musiał wkrótce się pojawić. Chmury się rozstały, Nathan miał widok na całą piaszczystą i skalistą przestrzeń wznoszącą się łagodnym stokiem ku Dżabal Barkal. Widział wszystko jak na dłoni.

Chwilę później na tle ciemnego nieba dostrzegł zarys ludzkiej sylwetki. Człowiek zsuwał się po zboczu. Nathan skoczył w jego kierunku, zamierzając przeciąć mu drogę.

Miał go na linii strzału. Prześladowca zmienił kierunek i zmierzał prosto na niego. Nathan pozwolił mu jeszcze trochę się przybliżyć, jeszcze kilka metrów... lekko nacisnął spust wskazującym palcem...

W tej samej chwili poczuł palący ból w lewym ramieniu rozerwanym przez pocisk. Po chwili jeszcze dwie kolejne serie rozdarły nocną ciszę.

Rzucił się na ziemię i doczołgał do zarośli.

Ból był nie do zniesienia. Dostał dwie kule w staw barkowy. Był bliski utraty przytomności. Tylko nie teraz, jeśli zemdleje, to będzie z nim koniec. Raptem usłyszał w krzakach kroki i szepty zbliżających się „aniołów”.

Odrzucił karabin, podniósł się i z mauzerem w ręce zanurzył w ciemność. Nie czuł się na siłach podjąć teraz z nimi walkę, musiał gdzieś się ukryć, znaleźć bezpieczne miejsce, żeby wyjąć z ramienia kule.

Widział tylko jedno wyjście: przedostać się na przeciwny brzeg Nilu. Wokół panowała absolutna ciemność, ale czuł wilgotny powiew od rzeki, zupełnie blisko słyszał cichy plusk fal... w końcu dojrzał ciemne lśnienie wodnej tafli...

Nagły cios kolbą w wątrobę zwałił go z nóg. Wypuszczając z rąk pistolet, runął na zranione ramię. Szarpnął nim ostry, promieniujący ból, wrywając z gardła chrapliwy, nieludzki krzyk i zwijając ciało w niepohamowanym paroksyzmie. Zabłocona podeszwa zmiażdżyła mu twarz, wpychając do gardła gliniasty muł. Tym razem nie było już mowy o zamiarze wzięcia go żywcem.

Widział wymierzone w swoją czaszkę karabiny, przysłony celowników skierowane wprost na siebie... Przed załzawionymi oczami toczyły swe fale ciemne wody Nilu. Zaraz zginie.

Nagle grunt pod jego ciałem drgnął i Nathan poczuł, jak powoli usuwa się spod niego, potem cały kawał drewnianej kłody załamał się z wielkim trzaskiem. W pierwszym porywie Nathan uniósł się gwałtownie, złapał napastnika za nogę unieruchamiającą mu twarz i napierając całym ciężarem, starał się pociągnąć go za sobą do rzeki. Mężczyzna próbował się odwrócić, zachwiał się, śliskimi palcami bezskutecznie drapał błoto; Nathan nie zwolnił nacisku. Osuwali się, walcząc, przez kilka metrów. Kiedy stoczyli się do wody, Nathan rzucił się na przeciwnika, wymierzając mu z całych sił ciosy w gardło, w twarz, w mostek... był jednak osłabiony i brakowało mu mocy. Jednym wierzgnięciem morderca stanął na nogi i potężnym uderzeniem głowy roztrzaskał mu nos.

Po otrzymaniu tego ciosu Nathan miał wrażenie, jakby czaszka rozpadła mu się na drobne kawałki. Zachwiał się i padł do tyłu, w nurt rzeki. Nie miał już więcej sił do walki. Życie z niego uchodziło... Czuł, jak opróżniają mu się płuca, jak powoli ciało zanurza się coraz głębiej w letnich falach...

Nie, nie teraz. Musi dokończyć to, co zaczął...

Nagle przypomniał sobie... Powoli przesunął ręką wzdłuż nogi, aż poczuł metalowy chłód sztyletu przymocowanego płasko do łydki. Uchwycił za rękojeść i zaczął manipulować ostrzem, przecinając gumowe, przytrzymujące nóż paski. Dosięgnął nogami gruntu i ostatnim wysiłkiem, z wściekłością odbił się od dna ku powierzchni. Kiedy „anioł” zobaczył go wyłaniającego się w strumieniu piany, przez sekundę widać było jego ogromne zdumienie, potem natychmiast sięgnął po rewolwer. Za późno. Wyrzucony sztylet poszybował z ogromną prędkością. Nathan usłyszał zgrzyt stali zagłębiającej się w klatce piersiowej przeciwnika.

Uderzył w samo serce.

Napastnik zwał się do wody... Nathan musiał za wszelką cenę zabrać mu broń. Z największym trudem pokonał rwący nurt, zbliżając się do bezwładnego ciała. Już niemal dosięgał celu, gdy wir gwałtownie wciągnął trupa w głębinę.

Tonął.

Ciężar ekwipunku, który miał na sobie, pociągnął go na dno.

Nathan zdał sobie sprawę, że zaraz będzie za późno. Wziął głęboki oddech i ostatnim wysiłkiem zanurkował w kierunku trupa, uchwycił go jedną ręką, drugą po omacku przesunął wzdłuż jego uda. Rewolwer znajdował się cały czas w kaburze. Nathan wyciągnął go i od razu, po dotyku, rozpoznał model: smith & wesson, kaliber 357 magnum, sześcioprowadkowy. Chwycił go skurcz, brakowało mu powietrza, musiał jak najszybciej wydostać się na powierzchnię...

To, co zobaczył po wypłynięciu, dosłownie go sparaliżowało.

Ostatni morderca stał w odległości mniejszej niż metr od niego, z karabinem wycelowanym prosto w jego twarz.

Nathan zamknął oczy.

Rozległ się pierwszy strzał, potem pod zamkniętymi powiekami ciemność rozblęła ogniem. Błysk światła rozprzestrzenił się, sięgając serca, rozchodząc się coraz dalej z każdym kolejnym wybuchem, odrzuciło go do tyłu, tracił zmysły...

To był koniec...

... koniec mordercy. Kierując się instynktem samozachowawczym, Nathan wystrzelił pierwszy, posyłając od razu cały magazynek w głowę swego przeciwnika, który również, niemal jednocześnie, nie celując, odpowiedział ogniem.

Półprzytomny Nathan podniósł się z trudem. Trup leżał przed nim, z twarzą zamienioną w dymiący krater, nieokreśloną materię organicznych odprysków i poczerńiałych, spalonych prochem tkanek. Szybkimi, zdecydowanymi ruchami Nathan przeszukał zabrudzony drelich trupa, wyciągnął latarkę i swojego mauzera, po czym zepchnął ciało do rzeki i przyglądał się, jak niknie w bagnistych wodach Nilu.

Przeżył. Zgładził „aniołów"... Teraz musiał uśmiercić Michaiła i zniszczyć tekst apokryfu, od którego wszystko się zaczęło.

Zerwać łańcuch łączący ze sobą kolejne stulecia. Tylko w ten sposób unicestwi legendę.

Przyciskając ręką zranione ramię, Nathan szedł przez piaski w kierunku nekropolii. Po utracie radiowego kontaktu ze swymi ludźmi Michaił na pewno domyślił się wyniku pościgu. Jego imperium chwiało się w posadach, lecz i tak nie uznał się za pokonanego.

A Nathan doskonale wiedział, że spośród siedmiu „aniołów” to właśnie on był tym najbardziej niebezpiecznym.

Jedyną szansą dotarcia do Michaiła bez zwracania na siebie uwagi były piramidy. Przejdzie przez sieć podziemnych korytarzy łączących je z klasztorem. Niektóre zostały wcześniej zamurowane i przekształcone w laboratoria, ale inne pozostały nienaruszone i prowadziły do samej kościelnej nawy.

W końcu dostrzegł grobowce faraonów, wzniesione na wieczne trwanie u podnóża czystej góry. Większość była po części zdewastowana przez rabusiów lub nadszarpięta zębem czasu. Przed wszystkimi grobowcami tkwiły ogromne, brunatnoczerwone kamienne bloki, na których, w meroickich inskrypcjach, naniesiono inkantacje, magiczne teksty towarzyszące zmarłym w podróży do innego świata.

Nathan prześlizgnął się wśród rumowiska i instynktownie skierował do ostatniej piramidy, wznoszącej się na wschodnim skraju nekropolii.

Okrażył budowlę, doszedł do wąskich, niknących w ciemnościach schodów, zapalił latarkę i bezszelestnie zagłębił się w królestwo zmarłych.

Skalne drzwi zamykające dostęp do grobowca zostały już wcześniej usunięte przez rabusiów. Mimo dotkliwych ran Nathanowi udało się wślizgnąć w wąskie, prowadzące do środka przejście. Wszedł do komory grobowej.

Światło latarki zbeczcęściło tysiącletni mrok.

Nathan ujrzał niewielkie pomieszczenie, z zasypaną piaskiem podłogą, ze ścianami pokrytymi białym wapnem. Ze wszystkich zamkniętych tu niegdyś skarbów pozostało jedynie kilka glinianych urn i fragmenty szkieletu dawno zapomnianego władcy. Przesuwając światło latarki po ścianach, Nathan dojrzał zadziwiające, niemal nietknięte hieroglify nakreślone niebieskimi, purpurowymi i złotymi barwnikami. Główni bogowie, Amon, Ra, Ozyrys, stojąc na swojej świętej łodzi, towarzyszyli zmarłemu monarsze w jego ostatniej podróży do innego świata. Znieważając spokój tego grobowca, Nathan dotarł do samego sedna szaleństwa Michaiła... Zrozumiał, że pobudzająca go siła nie płynęła jedynie z potrzeby zemsty, że Krwawy Krąg był czymś znacznie więcej niż zwykłym tekstem zapisanym na papirusie, tajemnicą przekazywaną sobie z rąk do rąk przez dziesiątki pokoleń mistyków, kluczem do wiedzy, która przetrwała całe wieki. Bycie jej strażnikiem czyniło zaś z Michaiła istotę wybraną, równą faraonom. Rzeczywistość materialna nie miała dla niego większego znaczenia, całe działanie skierowane było na jeden cel - dążenie do absolutu, do własnej deifikacji, włączenia się w boską energię, z której będzie emanowała jego własna nieśmiertelność.

Koniecznien trzeba powstrzymać tego szaleńca.

Nathan musi odnaleźć włącz do podziemnych korytarzy.

Przeszedł do kąta pomieszczenia i zdrową ręką zaczął wściekle przekopywać piach. Po paru chwilach odsłonił granitową płytę z metalowym uchwytem w kształcie pierścienia. Nadludzkim wysiłkiem udało mu się ją przesunąć. Głęboko odetchnął i zanurzył się w trzewia pustyni.

Posuwał się drobnymi kroczkami wzdłuż wykutych w skale ścian podziemnego korytarza. Po obu stronach wydrążone były nisze, w których prześladowani chrześcijanie chowali swoich zmarłych. Nie zwracał na nie uwagi, bo myślami był gdzie indziej.

Krwawy Krąg. Chociaż Michaił utrzymywał w głębokiej tajemnicy miejsce, w którym ukrywał papirus, Nathan dokładnie wiedział, gdzie go szukać. Był moment, że miał go już na wyciągnięcie ręki.

Znajdował się on w centralnym punkcie kościoła, pod głównym ołtarzem. W przeciwieństwie do większości wschodniochrześcijańskich rytuałów, według których umieszczane tam były relikwie świętych, tradycja koptyjska nakazywała, by ołtarz „był” istotnie Grobem Chrystusa. Umieszczona tam mogła zostać wyłącznie relikwia uważana za boską.

Nathan dostrzegł strome, wykute w bocznej ścianie schody prowadzące na powierzchnię. Zbliżał się do celu. Jeśli nie pomylił się w swoich obliczeniach, doprowadzą go one do klasztornych podmurowań. Wspiął się po schodach zamkniętych kolejnym włazem, wyprostował na ostatnim stopniu, mocno wsparł na nogach i zdrowym ramieniem odsunął płytę.

Oślepiło go ostre światło. Białe, wyłożone glazurą, sterylne ściany... komora przejściowa. Za szerokim oknem dojrzał wyciągi wentylacyjne, ciepłarki do hodowli komórek, wirówki, skafandry... Laboratorium... Znajdował się w samym środku laboratorium, w którym wirusolodzy tworzyli swoje chimery. Nie pozostał tam długo. Następny korytarz, drabina.

Zagłębił się w nowy chodnik, wspiął po stalowych szczeblach i przekręcił okrągły uchwyt zamykający kolejny właz. Ten wychodził na kościół, pod nawą...

Blask świeczników rozjaśnił mu twarz. Znieruchomiał na chwilę. Nie słyszał żadnych dźwięków. Wszędzie panowała cisza i spokój. Wydostał się z włazu, wyciągnął pistolet i ściskając go w dłoni, ruszył w kierunku prezbiterium. Najpierw dostrzegł szczątki witraża, który strzaskał w czasie ucieczki, poprzewracane pulpity... Posuwał się prosto przed siebie ku świętemu miejscu, **haykal**. Było ono niezwykle, złożone z trzech ołtarzy, odgradzone balustradą ze szlachetnego gatunku drewna, bogato inkrustowaną macią perłową i rzeźbioną kością słoniową, ozdobioną ikonami i gronami strusich jaj, symbolem życia i opatrności.

Ciemna, gruba, wełnianą kotara osłaniała środkowe drzwi. Nathan zdjął buty i wszedł do środka.

Był to prawdziwy skarbiec.

Nad przykrytym białym, lnianym obrusem ołtarzem wznosił się ogromny baldachim z wizerunkami Chrystusa i aniołów.

Starannie rozłożone naczynia liturgiczne połyskiwały srebrem i pozłotą: kielich i patena, kadzielnica, pokryta ornamentami hebanowa szkatuła na Ewangelię, rzeźbione wachlarze zdobne we wspaniałe pawie pióra.

Nathan musiał działać szybko, Michał mógł zjawić się w każdej chwili. Ukląkł przed ołtarzem, uniósł obrus i odsłonił niewielką niszę. To w niej musiał być ukryty papirus.

Małe drzwiczki były uchylone.

Serce zabiło mu gwałtowniej. Nie namyślając się, włożył rękę do otworu... wydał się bardzo głęboki. Pochylając się do przodu, dojrzał jakiś kształt... nie zdołał go jednak rozpoznać. Wsunął się do wnęki... zapalił latarkę...

Głowa... Ucięta głowa, udreńczona cierpieniem, obrzęknięta twarz... Siwe włosy... To była... Głowa Ashleya Woodsa. Zawył w głębi duszy.

Anglik miał wylupione oczy, czarny język wystawał spomiędzy strzępów warg i szczątków strzaskanych zębów.

Michaił, ta podła kanalia, go okłamał. Jego ludzie złapali Ashleya w Chartumie, torturowali i zamęczyli na śmierć, by wyciągnąć informacje o Nathanie...

Znieruchomiał. Cisza... było zbyt cicho.

Odwrócił się gwałtownie i tuż nad sobą zobaczył nieruchomego jak skała mnicha.

- Ten cholerny glina nie zdradził cię, nie puścił farby.

W pierwszej chwili Nathan spróbował instynktownie się podnieść, ale siły go zawiodły. Dostrzegł, jak dłoń Michaiła, niczym szpon, spada na niego, zaciska się jak kleszcze na jego szczęce i miażdży ją...

Potem pogrążył się w niebycie.

Purpurowe światło wciskało się przez zaciśnięte powieki. Metaliczny smak rozlewał się po wargach, przenikał do gardła...

***Błagam Cię, o Panie Wszechmocny! Ja, Twój sługa pomiędzy Aniołami.
Zaklinam Cię na Twe Cudowne Poczęcie i pięć gwoździ, które przebiły Twoje
Święte Ciało...***

Koptyjskie inkantacje rozbrzmiewały jak pieśń żałobna w budzącej się świadomości. Otworzył oczy. Początkowo obraz był niewyraźny, zatarty, a potem zobaczył.

Krew. ^w

, Gęsta krew spływała mu strumieniami na twarz, nagi tors, ściekała koszmarnymi strugami z rąk stojącego nad nim mnicha-szaleńca.

Czarne oczy Michaiła i twarz wykrzywione były nienawiścią.

Dał się słyszeć zaciekły trzepot skrzydeł świętego ibisa, któremu straszliwy mnich podrzynał gardło. Składał ptaka w ofierze.

***Błagam Cię, o Gwiazdo Wieczorna, wzywam Cię Twym wielkim imieniem
Surdial! błagam Cię, o Drugi Boże! zaprawdę, Adunai, Panie Sabaoth Jezu,
mój Panie umiłowany, nie zaprzestanę mych błagań, aż mnie wysłuchasz...***

Nathan spróbował się poruszyć, ale był mocno przypięty pasami do zimnego kamienia. Wyraźnie widział nad sobą beczkowe sklepienie, płomienie świeczników. Michaił zaciągnął go do krypty, by... odprawić nad nim egzorcyzmy.

***Na dwudziestu czterech niebiańskich starców, Zbawicielu Adunai, wysłuchaj
słów mej skargi i zanieś ją do Wszechmocnego Ojca. Niech przez tę żarliwą
modlitwę powoła do siebie potęgę Gafhaila...***

To kompletny wariat.

Wzywał Boga, by „anioł” opuścił cielesną powłokę Nathana... To z tego powodu chciał go dostać żywego, to z tego powodu jego „bracia” nie zabili go w Paryżu, a potem nie uśmiercili w kościele. Bez tej ceremonii fanatyk ryzykował utratę Gafhaila, który odszedłby na zawsze w piekielne ostępy, razem z martwym ciałem Nathana.

Błagam Cię na Znak Krzyża i Czterech Bezcielesnych Istot: Gabra-rala, Sarafitala, Watatala i Duniala. Nie zaprzestanę wypełniać Twojej Świętej Misji, odbuduję Chwałę Krwawego Kręgu, by dokonała się zemsta na wszystkich wrogach i demonach i by zostali oni na zawsze wygnani z Twojego Królestwa...

Michał zamilkł, wsunął rękę pod zakrwawioną tunicelę. Nathan **zamarł ze** strachu. W złagodniałym spojrzeniu mnicha wyczytał, że ceremonia dobiega końca, „anioł” opuścił ciało zdrajcy. Mógł już umrzeć. Uniosła się nad nim dłoń uzbrojona w długi sztylet.

Nathanem wstrząsnęły dreszcze, skulił się, krępujące go więzy, przecięły skórę. Ostrze już dotykało ciała..., kaleczyło je...

Zawył z przerażenia.

„Anioł” żywcem wyrwie mu serce z piersi.

Nagle twarz Michała się wykrzywiła, usta otworzyły w osłupieniu i wydarło się z nich okropne rżężenie. Na szyi ukazała się karminowa, powiększająca się plama... potem nieoczekiwanie, w wianuszku spienionej krwi i kostnych odłamków, wynurzyło się z gardła czarne ostrze. Starzec szarpnął się, próbował krzyczeć, ale głos uwiązł w bulgocie krwi. Po raz ostatni wznosił ramiona ku niebu i zwałił się bezwładnie na twarz.

Nathan pomyślał, że stracił zmysły, że ma halucynacje, ale kiedy uniósł głowę, zobaczył Rhodę pochylającą się nad stalową włócznią, która sterczała z karku mnicha.

Powolutku dłoń młodej kobiety oderwała się od śmiercionośnej broni, zalane łzami oczy prześlizgnęły się na Nathana. Wytarła dłonią mokre policzki, po czym trzęsącymi się rękami uwolniła go z krępujących skórzanych więzów.

- Co... co oni ci zrobili...

Przesunęła palcami po oblanej krwią ibisa twarzy Nathana. Spróbował się unieść, ale jego ramię było jednym wielkim ogniskiem bólu.

- Jestem przerażona, Nathanie. Muszę ci powiedzieć... Czy widziałeś...

- Woods... nie żyje. On...

Po policzkach Rhody znowu spłynęły łzy.

- Jak to... to niemożliwe...

- Oni go... torturowali. - Nathan nie był w stanie powiedzieć więcej. - To on cię tutaj przyprowadził?

- Ja... Spotkałam go wczoraj w Chartumie. Ustaliliśmy plan działania. Ale potem on wyszedł... I nie wrócił. Och, mój Boże, to niemożliwe! Nathanie...

Zaniosła się rozpaczliwym szlochem. Potem raptownie umilkła.

- Mordercy wpadli na jego trop od razu, jak przyleciał do Chartumu. Wyczekiwali na odpowiedni moment, by go uprowadzić. Chcieli zmusić go do mówienia, żeby dowiedzieć się, jakie mam zamiary.

- Nie powinnam pozwolić mu wychodzić samemu wczoraj wieczorem. To wszystko przeze mnie.

- Wydałabyś na siebie wyrok. Ashley doskonale wiedział, jakie podejmuje ryzyko, przyjeżdżając tutaj, zdawał sobie sprawę z okrucieństwa tych ludzi... Pomóż mi... pomóż mi się podnieść... Papirus, Krwawy Krąg... - wyjęczał Nathan. - Muszę go dostać...

Rhoda objęła go ramieniem i pomogła stanąć na nogi. Podeszedł do zwłok Michaiła. Olbrzym leżał w kałuży czarnej krwi, ułożony na boku, z twarzą zwróconą do ziemi.

Rhoda przykucnęła obok Nathana, złapała trupa za włosy i uniosła mu głowę. Na jej twarzy odmalowało się głębokie zdumienie.

- Ależ to jest Moraquos, Abbas Moraquos! - wykrzyknęła.

- We własnej osobie. Wielki dobroczyńca biednych i uciśnionych. Nathan wyrwał włócznie z ciepłego jeszcze gardła, z pomocą Rho-

dy przewrócił mnicha na plecy i zaczął przeszukiwać fałdy habitu. Wkrótce palce trafiły na ukryty w nich metalowy przedmiot. Wyciągnął cylindryczny pojemnik.

- Zabrał go, trzymał przy sobie...

Rhoda przyklęła na ziemi na jednym kolanie i zbliżyła twarz do twarzy Nathana. Czuł na skórze jej przyspieszony oddech.

- Otwórz go...

Bardzo delikatnie Nathan wyciągnął zatyczkę i wyjął cienki, brunatny zwój, popękany i łamliwy. Niezmiernie ostrożnie go rozwinął. Ujrzeni pismo nakreślone płomiennoczerwonym barwnikiem, tworzące szkarłatny krąg.

- Podobno jest to krew świętego ibisa... - wyszeptał Nathan. -A pismo to prymitywna forma języka koptyjskiego... języka z delty Nilu, wywodzącego się bezpośrednio ze starożytnego Egiptu.

- Co tu jest napisane? Umiesz odczytać?

Nathan skupił się przez chwilę, po czym podjął pełnym powagi tonem:

O, mój Ojczy, Ty Panie Boże, Wielki i Potężny Święty Królu, który zamieszkuje w Światłości, umocnij siłę Twego Syna Saba-otha Jezusa, który tylekroć wznosił miecz sprawiedliwości, by zwalczyć wszelkie zepsucie, by wytępić tych, którzy czynią zło i sprzeniewierzają się prawom Boga Abrahama, Boga Izaaka i Boga Jakuba.

Jestem znużony i czuję, że bliska jest chwila mego powrotu do Ciebie.

Podążałem śladami buntowników, Judy i Mattiasa. Z Twojego posłannictwa wymierzyłem karę temu, który z nienawiści uderzył w synów Adama i dziewicze córki Ewy.

Nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj ich.

O, mój Ojczy, niech za sprawą tego Krwawego Kręgu, z Twego przykazania zstąpi Potęga Aniołów i zatrutego ognia i zwróci swój gniew przeciw Twym wrogom, by z Twej Woli stopiony ołów zalał im gardła, by ich ciała zostały zamknięte w miedzianych gorsetach, by ich odcięte głowy potoczyły się po piasku.

Błagam Cię, na Twój Błogosławiony Tron, byś mnie wysłuchał i spełnił wszystko, o co Cię proszę.

- Kto napisał te słowa?

- Antoni z Cezarei, jeden z pierwszych pustelników, ten, od którego wszystko się zaczęło... Uważał się za proroka, zwiastuna Boga, a wkładając te słowa w usta Chrystusa, był zwykłym bluźniercą. To stek łgarstw. Redagując ten apokryf, przypisując Jezusowi tropienie Judasza Gaulonity, autor szukał usprawiedliwienia dla swych brutalnych czynów. Był po prostu jednym z wielu heretyków. Zamilkli i pograżyli się w zadumie nad manuskrypcem. Zwykły tekst, który zrodził się w umyśle mordercy. Kilka słów, które przetrwały wieki i sprowadziły śmierć na tysiące niewinnych istot...

Rhoda zaczęła opowiadać Nathanowi, jak po ich ostatniej rozmowie, kiedy to telefonował do niej do Dżaninu, była wstrząśnięta informacjami na temat Katala, podziemnego laboratorium, komórki „nadzorczej”... Początkowo nie chciała uwierzyć w ten cały horror. Dowody jednak były niezbite i bardzo konkretne. Postanowiła odnaleźć Nathana. Przypomniała sobie ich rozmowę w Paryżu, która pozwoliła jej wpaść na ślad Woodsa i dotrzeć do niego. Zawarła z nim układ i w zamian za informacje, których mu dostarczyła na temat One Earth, Anglik opowiedział jej całą historię, o manipulacjach wirusami, o dzieciństwie Nathana, jego pobycie w klinice Lucien-Weinberga, nagłym zniknięciu, legendzie Krwawego Kręgu... Z uczuciem rosnącego przerażenia dostrzegła powiązania między tymi faktami i dokumentami młodych pacjentów, które sama przekazywała co kwartał do specjalnej komórki organizacji pozarządowej. Mimo że była nieświadoma całego procederu, czuła się jednak współwinna. Postanowiła działać.

Woods przyznał się jej do błędu, jaki popełnił, wciągając do sprawy Staela. Choć bowiem makabryczne odkrycia Nathana mogły wydawać się obciążające, jeśli chodzi o udział One Earth w tych zbrodniach, to w świetle prawa okazały się słabym materiałem dowodowym. Siedemnastowieczny manuskrypt, zwłoki żołnierzy z czasów pierwszej wojny światowej czy cmentarzysko w Afryce nie stanowiły wystarczającej podstawy, by wdrożyć dochodzenie i wysłać za sprawcami międzynarodowe listy gończe. Organizacja typu MI 5 potrzebowała faktów, niepodważalnych dowodów. Jeśli chodzi o atak na Fiumicino, nic nie wskazywało na jego związek z tą sprawą. Stael nawet byłby skłonny wszcząć śledztwo, ale uwikłanie w nie organizacji pozarządowej, kop-tyjskiej społeczności religijnej, już uprzednio prześladowanej, państw ogarniętych wojną domową, takich jak Sudan i Demokratyczna Republika Konga, zapowiadało wielomiesięczne pertraktacje, niezmiernie opóźniające wszelkie działania. Zakładając, że te dowody istniały,

zbrodniarze mieliby wystarczająco dużo czasu na ich usunięcie oraz na zawieszenie swej działalności. Sytuacja taka stanowiłaby ryzyko całkowitej utraty możliwości schwytania ich.

Woods przewertował jeszcze raz całą dokumentację sprawy i ustalił związek między pyłkami roślinnymi, odnalezionymi na manuskrypcie, a klasztorem Dżabal Barkal. Miał głębokie poczucie winy wobec Nathana i w końcu sam zaczął traktować swój postępek jako zdradę. Nie mogąc się pogodzić z myślą, że Nathan musi działać sam, postanowił pospieszyć mu z pomocą. Mimo nalegań Rhody, która prosiła, by pozwolił jej się do siebie przyłączyć, Anglik zdecydowanie odmówił. Kobieta jednak nie dała za wygraną, wsparła swą prośbę argumentami psychologicznymi odwołała się do swego poczucia winy z powodu redagowanych przez siebie raportów i swojego związku z Nathanem. Jej wojskowe przeszkolenie połączone z doświadczeniem, nabytym podczas akcji ratunkowych w czasie działań humanitarnych w rejonach najbardziej zagrożonych, przeważyło szalę i ostatecznie Woods uległ jej naleganiom. Postanowili spotkać się w Chartumie.

Kiedy odnaleźli się w tym islamskim mieście, zobaczyła przed sobą człowieka na wszystko zdecydowanego. Ashley załatwił samochód terenowy i dotarł do człowieka, który miał mu owego wieczora sprzedać broń. Zdołał również zainstalować sprawny system podsłuchu, umożliwiający przejmowanie i odszyfrowywanie przekazów radiowych. Zdawał sobie sprawę, że nawiązanie kontaktu z Nathanem jest nierealne. Rozwinął więc mapę i przedstawił swój plan: dotrzeć do rejonu klasztoru, ukryć się w pobliżu, czekać i słuchać. Mieli nie podejmować żadnej interwencji, tylko czekać do momentu rozpoczęcia działań przez Nathana. Cały plan legł w gruzach, kiedy Ashley poszedł odebrać broń i już nie wrócił.

Utraciwszy współnika, nie posiadając żadnego wyposażenia, Rhoda w pierwszym momencie spanikowała. W poczuciu bezradności była skłonna zrezygnować. Ale obrazy okrutnych zbrodni, myśl, że Nathan samotnie stawia czoło oprawcom, to wszystko rozwiało jej wahania. Nie namyślając się wiele, wsiadła w jeepa i pojechała. Załatwione wcześniej przez Woodsa zezwolenia na turystyczną podróż przez sektor Meroe umożliwiły jej bezproblemowy przejazd przez zapory ustawione w północnej części miasta. Przeprowadziła się przez pustynię i o zmierzchu dotarła do Karimy. Ukryła samochód, pieszo doszła do nekropolii i przyczaiła się w pobliżu klasztoru. Niczego nie widziała ani nie słyszała do chwili, gdy odbijając się echem o zbocza góry, padły strzały z pistoletu Nathana. Wtedy postanowiła do-

stać się do wnętrza fortecy. Kiedy się już tam znalazła, nogi same zaprowadziły ją do kościoła. Dostrzegła tam ślady walki i usłyszała in-kantacje Michaiła. Od razu domyśliła się, skąd pochodzą. Nie mając żadnej broni, wyrwała stalową włócznię z posągu świętego Michała i zbiegła w podziemia, do krypty.

Dalszy ciąg Nathan już znał. Z kolei sam opowiedział jej przebieg ostatnich zdarzeń. Rhoda pomogła mu potem oczyścić się i żeby zapobiec infekcji, przystąpiła do wydobywania kul z ramienia. Bez trudu znalazła w laboratorium potrzebne do zabiegu skalpele i szczypce.

Michaił zginął od ostrza włóczni i przepadnie w płomieniach. Ogień.

Wszystko spala.

We dwoje pozbierali całe drewno, jakie mogli znaleźć, i porozkładali w różnych częściach klasztoru, tworząc nieduże stosy. Znaleźli kanistry wypełnione benzyną służącą do zasilania zespołów prądotwórczych. Rozlali ją na ziemi, po ścianach, w podziemiach. W samym środku laboratorium zostawili trzy pełne pojemniki.

Kiedy wszystko było już gotowe, Nathan wrócił do prezbiterium, by zabrać szczątki Ashleya Woodsa. Odciętą głowę umieścił w hebanowej skrzynce... Nie mógł skazać przyjaciela na taki sam los jak tego potwornego mnicha. * ' Chwilę później wszystko stanęło w ogniu.

Z początku płomienie zatańczyły niby pomarańczowa, chrzęszcząca korona, z której wydobywały się pióropusze czarnego dymu. Potem języki ognia wystrzeliły ku niebu, liżąc sklepienie i krzyże, oblewając je apokaliptycznym blaskiem.

Rhoda i Nathan stali w milczeniu, przyglądając się temu spektaklowi błędnym wzrokiem. W utkwionych w ogniu tęczęwkach, oślepionych zmęczeniem i światłem, tańczyły rozpalone iskierki. Fale gorącego powietrza buchały im w twarze. Przed oczy Nathana powracały obrazy wydarzeń z ostatnich tygodni, by zatrzeć się pod oczyszczającym działaniem płomieni. Na zawsze wyryty w pamięci pozostanie tylko widok aniołów-strażników, nierozdzielnie ze sobą związanych, oraz ostatniej ofiary złożonej przez Woodsa. Zakończenie śledztwa utwierdziło Nathana w przekonaniu, że posługując się uzbrojonym ramieniem Rhody, Anglik przyczynił się do uratowania go, do położenia ostatecznego kresu wielowiekowym zbrodniom i koszmarowi.

Rhoda odezwała się półgłosem:

- Co zrobisz z tekstem... Krwawego Kręgu?

Nic nie mówiąc, Nathan podszedł do palącego się stosu i wyciągnął ku niemu rękę z papirusem. Rulon natychmiast zajął się płomieniem od wionącego od ognia żaru.

Litery znikły jedna po drugiej, rozległy się suche trzaski papirusu, skręcającego się w ogromnym gorącu...

Po chwili pozostała po nim tylko kupka popiołu.

Epilog

Pustynia Wadi-Rayan, Egipt, wrzesień 2002

Jesienią światło słoneczne staje się łagodniejsze, mniej intensywne, mniej ogniste. Zarysy górskich łańcuchów wtapiają się w wyblakłe niebo, wiatr przybiera na sile, unosząc w swych podmuchach dźwięki, wonie, zacierając ślady na piasku...

Rhoda i Nathan wylecieli z Paryża w południe i wylądowali w Kairze późnym wieczorem. Na lotnisku wynajęli samochód i udali się na południe, w kierunku Bibah. Całą noc jechali wzdłuż Nilu. W miarę pokonywanych kilometrów zbliżali się do świata istniejącego poza czasem, poza przestrzenią, odległego od ludzkiej historii. O świecie pustynia ukazała się im niczym sen. Ogrom brunatnej, żółtej i szarej przestrzeni, ostrość skał, biel słońca na skraju pustych niebios. Powoli zapuszczali się na niewidzialny trakt wciśnięty w środek doliny. Spod kół dżipa wytryskały tumany drobniotkiego, roziskrzonego piachu. Wzrok utkwiony w nieokreślonym, odległym punkcie gubił się w jednostajności krajobrazu.

Nie odzywali się do siebie.

W dniach następujących po pożarze klasztoru w Dżabal Barkal uwaga światowych mediów zwrócona była na Chartum. Wiele zachodnich państw, Watykan, patriarcha Kościoła koptyjskiego w Aleksandrii winą obarczyli islamski reżim Omara el-Bashira, oskarżając go poprzez tę zbrodnię o kolejne prześladowania chrześcijan. Prezydent zdecydowanie odciął się od zarzutów i potępił zamach. Sprawę zaogniła informacja podana przez zarząd One Earth, że prezes-założyciel tej pozarządowej organizacji, Abbas Morąuos, znajdował się w chwili tragedii w klasztorze, którego był dobroczyńcą. Wkrótce potem rzecznik sudańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych podał do wiadomości, że za zamach na klasztor odpowiedzialny jest jakiś nieduży, tajemniczy odłam fundamentalistów i że

324

policja jest na tropie sprawców. Ceremonia dla uczczenia pamięci Morquosa odbyła się w siedzibie organizacji humanitarnej w Liechtensteinie. W mediach ukazała się kolejna fala artykułów i reportaży, wyrażających uznanie dla dzieła dokonanego przez tego dobroczyńcę ludzkości.

Nathan, nie niepokojony przez nikogo, powrócił do Francji. Z rozmowy telefonicznej ze Staëlem dowiedział się, że policja francuska prowadząca dochodzenie w sprawie Casarèsa wysłała za nim międzynarodowy list gończy. Staël, świadomy ryzyka, na jakie Nathan zostałby narażony w razie zatrzymania, błyskawicznie skontaktował się ze swoimi francuskimi kolegami z kontrwywiadu, oczyścił go z podejrzeń i doprowadził do wstrzymania działań zmierzających do ujęcia go. Śledczy doszli do wniosku, że zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem dokonał któryś z dawnych pacjentów psychiatry, ale poszukiwania sprawcy do niczego nie doprowadziły.

Sprawa stała się jednym z wielu „niewyjaśnionych przypadków”. Bilans ataku na lotnisku Fiumicino zamknął się liczbą dwudziestu siedmiu ofiar śmiertelnych na około stu pasażerów lecących na pokładzie samolotu z Monachium. Żaden inny przypadek infekcji nie został odnotowany. Wirus zniknął bez śladu.

Nathan opowiedział Staëlowi przebieg swojego śledztwa, zatajając tylko jedną rzecz: rolę, jaką sam odegrał w całej sprawie. W świetle ostatnich informacji oficer tajnych służb podjął decyzję o umorzeniu.

Szczałki Ashleya Woodsa spoczęły na zawsze w czerwonych piaskach, gdzieś między Karimą a Chartumem.

W ziemi faraonów.

Pewnego czerwcowego poranka Rhoda przyjechała do Paryża do Nathana, który wynajął mieszkanie niedaleko placu des Vosges. Nowe życie, które wówczas z nią rozpoczął, wypełnione było radością, uśmiechem, łagodnością i spokojem, tym wszystkim, czego nie zaznał w swym poprzednim wcieleniu. Mijały tygodnie, w ciągu których oddała mu się całkowicie duszą i ciałem. Dali się unieść uczuciu, przed którym przez tyle czasu oboje się wzbraniali. Z wolna powracały bolesne wspomnienia z jego dawnej przeszłości, ale umiał poukładać je sobie, zapanować nad nimi i stopniowo wymazał je z pamięci.

Głęboko pokochał tę kobietę, lecz chwilami, gdy zapadała noc, gdy miał przed oczami blask Drogi Mlecznej, czuł ogarniającą go lodowatą, ogromną pustkę, podobną do tej, której doświadczył po przebudzeniu się w szpitalu w Hammerfest. Doznawał uczucia samotności, smutku, które rozwiewały się po jednym miłosnym westchnieniu kochanki. Zamykał wówczas oczy i czując pulsującą w ży-

łach krew, pozwalał wypełniać się energią, płynącą ku niemu z jej dłoni, oczu, łona i niszczącą tkwiące w nim cierpienie i nienawiść... I wiedział...

W miarę upływu czasu im bardziej posuwali się na południe, światło dnia stawało się coraz jaśniejsze. Wicher porywał tumany kurzu. Samochód trzął się na wypalonym przez słońce trakcie. W oddali dostrzegli wyschnięte łożysko rzeczne, w którym kłęby potarganych traw falowały w podmuchach wiatru.

To tutaj był prawdziwy Eden, zapomniany przez wszystkich, odbijający się w firmamencie niczym w zwierciadle. W palącym skwarze ukazała się akacja z powykęcanyymi gałęziami.

To było to miejsce. To właściwe.

Rhoda zwolniła i zatrzymała samochód koło drzewa. Wysiedli, pieszo doszli do wąskiego żlebu biegnącego po czarnej, stromej skale. Pot zalewał im twarze. Słońce świeciło prosto w oczy. Rozpalone powietrze trawiło płuca. Wspinali się do góry.

Kiedy znaleźli się na samym szczycie wzgórza, przeszli wzdłuż niego i zeszli zboczem przypominającym księżycowy krajobraz. Powoli widok ulegał zmianie, ukazując szare wydmy o ruchomych grzbietach. Nieustępliwie posuwali się naprzód, między błyskającymi krzemiennymi skałami, krzakami o ostrych kolcach, dostosowując krok do rytmu osuwających się pod stopami kamieni i piasku.

W końcu przystanęli.

Klasztor Markalaus pojawił się między dwiema graniami, biały, naznaczony brunatnymi plamami, rozświecony nieprzyćmionym niczym blaskiem. Do ich uszu docierały jedynie odgłosy własnych oddechów, drżące w zalegającej ciszy, chrzęst piasku zsuwającego się cieniutkimi strumykami po krzywiznach kopuła, wzdłuż murów. Jedyne drzwi, drewniane, obite gwoździami, tworzyły zacienione wejście do środka, ku któremu podążali.

Pod stopami mieli teraz teren kamienisty. Nie mogli już oderwać wzroku od fortecy wznoszącej się ku niezmiernie błękitnemu i palącemu niebu. Tutaj zatrzymywały się porywy wichrów, huk fal oceanów, odgłosy ludzkich spraw. Tutaj zaczynało się gwiazdne królestwo nocy, rzeczywiste zmaganie się samotnego serca.

To tutaj był prawdziwy świat Nathana.

Należał do tej niczym nieograniczonej ziemi, do ziemi ciszy, kamieni, piasku i gwiazd. Do tego miejsca prawdy, w którym nie jest używana mowa, w którym żyjący są jedynie cieniami, dążącymi krok po kroku ku własnej śmierci.

Drzwi otwarły się, ukazując czarną, milczącą sylwetkę mnicha. Skóra na jego twarzy była brązowa i błyszcząca jak miedź. Uśmiechnął się lekko, jakby zapraszając do wejścia.

Tym razem Nathan z własnej woli, samotnie, przekroczył próg klasztoru.

Rhoda wyciągnęła do niego rękę, pragnąc go powstrzymać, dotknąć jeszcze raz ukochanego, który od niej odchodził, ale poczuła, jak wymyka się jej spod palców niczym przesypująca garść piasku.

Nathan postąpił za wyglądającym jak niematerialna zjawą mnichem, odwrócił się jeszcze i w milczeniu zatopił po raz ostatni spojrzenie w szmaragdowych, zalanych łzami oczach Rhody, jakby pragnąc wyryć w sercu obraz życia, swobodnie wiejącego wiatru, czasu na zawsze minionego.

Podziękowania

Pragnę podziękować tym wszystkim, którzy pomagali mi i wspierali mnie podczas pracy nad tą książką: moim dzieciom, Liii i Mać, Irinie Karlukovskiej, Lidwine Boukić, Alainowi i Christiane Delafosse, Blaise'owi Delafosse. Claude'owi, Franklinowi i Tristanowi Azzi, Dominique Lattes, Domitille d'Orgeval, Jérôme i Agnès Samuel, Mathilde Gu-ilbaud i Virgile'owi Desurmont, Sébastien Schapira, Loïc J. Lamoureux, Hélène Darroze, Stéphanie i Stanislas Lequette, Virginie Luc i Jeanowi-- Christophe'owi Grange, Yifat Katiei, Éricowi Clogenson, Thierry'emu Marro, Stéphane'owi Rybojad, Christophe'owi Merlin, Marianie Karlukovskiej, Dom, Mariusowi i Gregowi, Patrickowi Hilbert, Davidowi Servan-Schreiber.

Didace'owi Nzigorohiro i Didierowi Kakunze za ich świadectwa o zbrodniach ludobójstwa dokonywanych na terenach Ruandy i Burundi.

Instytutowi Medycyny Tropikalnej służby zdrowia Armii Francuskiej: profesorowi Jeanowi Paulowi Boutin, naczelnikowi departamentu powszechnej służby zdrowia, i profesorowi Hugues'owi Tolou, kierownikowi oddziału wirusologii tropikalnej, za dostarczenie mi cennych informacji dotyczących manipulacji wirusami i ich własnych doświadczeń z zakresu humanitarnej medycyny ratunkowej. Wydziałowi Komunikacji Ministerstwa Obrony, naczelnemu lekarzowi Christianowi Estripaud i dowódcy batalionu Pascalowi Le Testu. Ludziom z GIGN, elitarnego oddziału żandarmerii francuskiej, oraz z Dowództwa Sił Specjalnych Armii Francuskiej, których miałem okazję spotkać w czasie kręcenia filmów dokumentalnych.

Pragnę również podziękować moim wydawcom, Nicole Lattès, Françoise Delivet i Leonello Brandolini za zaangażowanie i zaufanie, jakim mnie obdarzyli.